MISTRZOWIE SF

ISAAC ASIMOV
ROBERT SILVERBERG

BRZYDKI MAŁY CHŁOPIEC

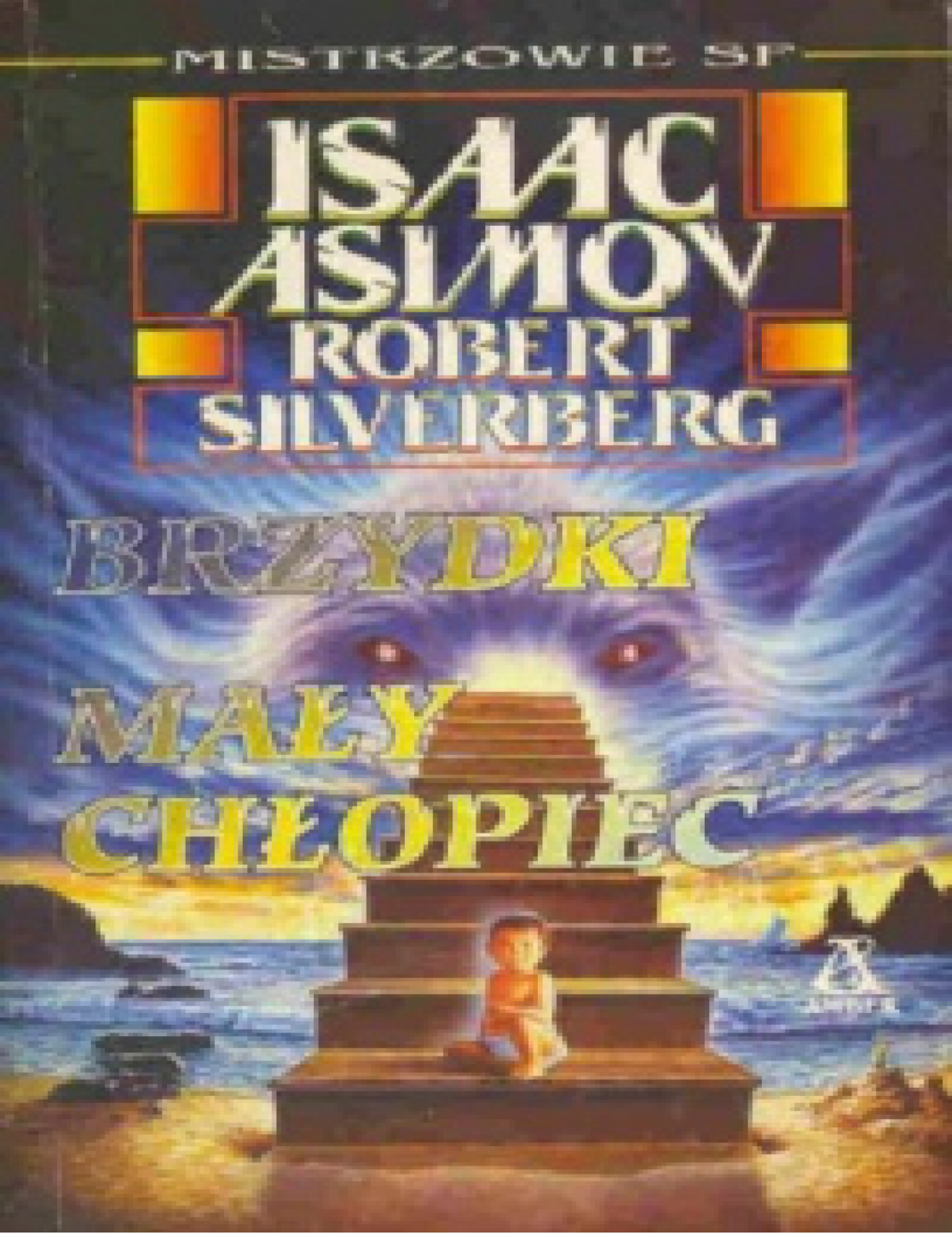

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Naukowcy XXI wiku opracowali technikę podróży w czasie. Pozostaje ich do rozwiązania tylko jeden problem:Jak zmniejszyć do minimum niebezpieczeństwo nieodwracalnego zakłócenia istniejącej rzeczywistości. Decydują się więc na porwanie trzyletniego chłopca z Neandrtalskiego plemienia. Chłopiec pozostaje w XXI wieku pod ścisłą kontrolą, mieszka w zamkniętej strefie, w któej znajdują się obiekty przeniesione z jego czasu. Opiekuje się nim pielęgniarka, panna Fellowes. Mały Neandertalczyk okazuje się nader pojętnym uczniem. Po trzech latach jest cywilizowanym dzieckiem. Wtedy zapada decyzja, że zostanie odesłany w przeszłość. Dla uczonym przestał już być interesującym obiektem badań. Potrzebują przestrzeni, którą zajmuje, dla innych postaci przeniesionych z czasów historycznych. Razem z nim jednak przenosi się w świat epoki lodowcowej nieoczekiwanie jeszcze jedna osoba…

- Isaac Asimov & Robert Silverberg
  -
  - PROLOG
  - 1. Zdolność kochania
  - 1. Ta Która Wie
  - 2. Przybycie
  - 2. Kobieta Bogini
  - 3. Odkrywanie
  - 4. Badanie
  - 3. Miejsce Trzech Rzek
  - 5. Błędne mniemania
  - 6. Udostępnienie
  - 4. Drużyna Wojowników
  - 7. Stawianie oporu
  - 5. Inni
  - 8. Sny
  - 6. Martwy punkt
  - 9. Stawanie się
  - 10. Dotarcie do kresu
  - 11. Odejście
  - EPILOG

Isaac Asimov & Robert Silverberg
Brzydki mały chłopiec

Samotny w mrocznej pustce forkasztelu zdawał się jakby większy, ogromny, bardzo stary — stary jak sam Ojciec Czas, który powinien był przybyć do tego miejsca cichego jak grobowiec, by cierpliwymi oczyma spoglądać na krótkotrwałe zwycięstwo snu-pocieszyciela. On jednak był tylko dzieckiem czasu, samotnym zabytkiem przepadlego i zapomnianego pokolenia. …

JOSEPH CONRAD, Murzyn z załogi „Narcyza” w przekładzie Bronisława Zielińskiego

Martinowi Harry’emu Greenbergowi
z podwójną dozą serdeczności

PROLOG
Srebrny Obłok

Nocą pojawił się śnieg. Delikatny kurz śniegu, cienki jak mgiełka, przywędrował z zachodnim wiatrem. Był to śnieg, który najwyraźniej przebył daleką drogę. Towarzyszył mu bowiem wciąż zapach morza. Zapach ten unosił się teraz nad ponurą, rozległą tundrą, którą zaczynało ogrzewać słońce wczesnego poranka.

Srebrny Obłok widział morze raz w życiu, dawno temu, kiedy był jeszcze chłopcem i kiedy Lud wciąż jeszcze polował na zachodnich terenach. Morze było ogromne, ciemne i niespokojne, a kiedy światło słoneczne padało na nie w pewien określony sposób, iskrzyło się jak przedziwny płynny ogień. Wejść w nie oznaczało wybrać śmierć, ale kiedy człowiek na nie patrzył, czuł się cudownie. Nigdy go już więcej nie zobaczy — tego jednego Srebrny Obłok był pewien. Tereny nadmorskie znajdowały się teraz w rękach Innych, a Lud wycofywał się, z każdym rokiem zbliżając się coraz bardziej do miejsca, w którym rodzi się słońce. A gdyby nawet zdarzyło się tak, że Inni zniknęliby tak nagle, jak się pojawili, Srebrny Obłok nie powróciłby na wybrzeże. Nie miał na to nadziei. Był za stary, za bardzo kulał i jego koniec był zbyt bliski. Droga powrotna w tamte strony zabrałaby tyle czasu, ile trwa połowa życia człowieka, albo nawet dłużej. A Srebrny Obłok nie miał już przed sobą połowy życia. Zostały mu dwa, a może — przy odrobinie szczęścia — trzy lata. Tak, nie zostało mu więcej czasu.

Nie martwił się tym jednak. Widział przecież morze. Raz w życiu. Prawie nikt z jego plemienia nie mógł się tym pochwalić. Nigdy nie zapomni zapachu morza. Nie zapomni też jego wielkiej, rozkołysanej potęgi.

W tej chwili Srebrny Obłok stał na wzniesieniu, z którego widać było obozowisko i patrzył na równinę, która nieoczekiwanie pokryła się śniegiem. Rozdymał szeroko nozdrza, oddychał głęboko i wchłaniał dochodzący do niego z dołu wraz z oparami topniejącego śniegu przypominający woń piżma zapach morza. Stał tak i przez krótką chwilę czuł się znowu młodo.

Przez krótką chwilę.

— Wczoraj wieczorem, kiedy rozbijaliśmy obóz, nie wspominałeś nic o śniegu — odezwał się za nim jakiś głos.

Był to głos Tej Która Wie. Dlaczego Ta Która Wie przyszła za nim aż tutaj? Srebrny Obłok oddalił się przecież, bo pragnął w samotności rozkoszować się spokojem świtu. A ona była ostatnią osobą, przez którą chciał być niepokojony.

Odwrócił się powoli i stanął z nią twarzą w twarz.

— Czy śnieg to coś tak niezwykłego, że powinienem zapowiadać każde jego przyjście?

— Jest piąty tydzień lata, Srebrny Obłoku. Srebrny Obłok wzruszył ramionami.

— W lecie też się zdarza, że pada śnieg, kobieto.

— Ale w piątym tygodniu?

— W piątym czy nie w piątym — odpowiedział Srebrny Obłok. — Pamiętam takie lata, w których śnieg w ogóle nie przestawał padać. Padał wtedy dzień w dzień. Jasne letnie słońce przeświytywało przez niego, a on padał i padał. I to na zachodzie, gdzie latem jest cieplej niż tutaj.

— To było bardzo dawno temu. Mnie nie było jeszcze wtedy na świecie. Wszyscy mówią, że teraz wszędzie lata są coraz lepsze i chyba mają rację. Powinieneś był nam powiedzieć, że śnieg będzie padał, Srebrny Obłoku.

— A czy to jest jakiś wielki śnieg? To przecież tylko taka sobie mała zadymka.

— Gdybyśmy wiedzieli, moglibyśmy spać przykryci.

— Z powodu takiej małej zadymki?

— Tak. Kto lubi budzić się ze śniegiem na twarzy? Powinieneś był nas ostrzec.

— Nie wydawało mi się to ważne — powiedział Srebrny Obłok ze złością.

— A jednak powinieneś był nas uprzedzić. Chyba że nie miałeś pojęcia, iż będzie padało.

Ta Która Wie popatrzyła na niego przeciągle, wzrokiem pełnym wrogości i urazy. Srebrny Obłok pomyślał, że w miarę jak czas coraz potężniej narusza ją swoim zębem, Ta Która Wie staje się coraz bardziej denerwująca. Pamiętał czasy, kiedy była piękną, smukłą dziewczyną noszącą imię Spadająca Rzeka, dziewczyną o gęstych, opadających kaskadami ciemnych włosach i piersiach jak letnie melony. Pożądali jej wtedy wszyscy mężczyźni w ich plemieniu. On też, nie wypiera się tego wcale. Teraz jednak przeżyła swoją trzydziestą zimę i jej włosy stały się podobne do białych sznurów. Piersi były puste i mężczyźni nie patrzyli już na nią pożądliwym wzrokiem. Zmieniła imię. Nazwała się teraz Tą Która Wie i przybierała minę osoby, która zjadła wszystkie rozumy, tak jakby sama Bogini wstąpiła w jej duszę.

Srebrny Obłok spojrzał na nią gniewnie.

— Wiedziałem, że będzie padał śnieg. Ale wiedziałem też, że nie warto o tym mówić. Czułem śnieg w udzie, w tym miejscu, gdzie mam starą ranę, tam, gdzie zawsze czuję, że nadchodzi.

— Naprawdę?

— Więc uważasz, że jestem kłamcą? Tak?

— Gdybyś wiedział, że śnieg będzie padał, tobyś nam o tym powiedział. Ty także, tak jak wszyscy, wolałbyś spać pod przykryciem. Nawet chyba bardziej niż inni.

— A więc zabij mnie — powiedział Srebrny Obłok. — Przyznaję się do wszystkiego. Nie wyczułem, że będzie śnieg. Dlatego nie ostrzegłem cię i ty obudziłaś się ze śniegiem na twarzy. To straszny grzech. Zawołaj Drużynę Zabijaczy, każ im zaprowadzić mnie na pagórek i uderzyć dwanaście razy maczugą z kości słoniowej. Czy uważasz, że bym się tym przejął? Widziałem czterdzieści kilka zim. Jestem bardzo zmęczony. Gdybyś zechciała stanąć na jakiś czas na czele plemienia, byłbym szczęśliwy, mógłbym się usunąć i…

— No nie, Srebrny Obłoku.

— Uważasz, że tak powinno być, prawda? Ty z dnia na dzień stajesz się coraz bardziej oświecona. Wielka mądrość wypełnia twój umysł. A ja po prostu się starzeję. Zastąp mnie. Masz, weź to.

Zdjął przysługującą wodzowi opończę z niedźwiedziego futra i rzucił gwałtownie w twarz Tej Która Wie.

— No dalej, bierz to! I czapkę z piór, i buławę z kości słoniowej, i całą resztę. Zejdziemy do obozowiska, ogłosimy to wszem i wobec. Mój czas upłynął. Teraz ty możesz być wodzem. Masz! Plemię należy do ciebie!

— Zachowujesz się jak głupiec. Jesteś też nieszczery. Dzień, w którym czapka z piór i buława z kości słoniowej przestaną należeć do ciebie, będzie dniem, kiedy rano znajdziemy cię zimnego i sztywnego, leżącego na ziemi. Wcześniej to nie nastąpi. — Odrzuciła mu opończę. — Daruj sobie te patetyczne gesty. Ja nie mam najmniejszej ochoty zajmować twojego miejsca. Nie zrobię tego ani teraz, ani po twojej śmierci. Dobrze o tym wiesz.

— Więc dlaczego tu przyszłaś i dręczysz mnie z powodu tej żałosnej małej zadymki?

— Bo jest piąty tydzień lata.

— No to co? Już przecież o tym mówiliśmy. Śnieg może padać o każdej porze roku. Wiesz o tym bardzo dobrze.

— Przyjrzałam się pałeczkom do mierzenia czasu. Nie mieliśmy śniegu o tak późnej porze od czasu, gdy byłam dziewczynką.

— Patrzyłaś na pałeczki? — spytał zaskoczony Srebrny Obłok. — Patrzyłaś na nie dzisiaj?

— A kiedyż by? Obudziłam się, zobaczyłam śnieg i przestraszyłam się. Poszłam więc do Tej Co Przechowuje Przeszłość i poprosiłam, żeby mi je pokazała. Razem policzyłyśmy wszystko. Siedemnaście lat temu śnieg padał w piątym tygodniu lata. Później to się nie zdarzało. I wiesz, co jeszcze stało się wtedy? Sześciu ludzi straciło życie podczas polowania na nosorożca, a czterech zabiły galopujące mamuty. W ciągu tego jednego lata nastąpiło dziesięć zgonów.

— Co ty mi tu opowiadasz, Ta Która Wie?

— Niczego ci nie opowiadam. Pytam cię tylko, czy uważasz, że ten śnieg to jakiś omen.

— Uważam, że śnieg to śnieg. I nic ponad to.

— I nie znaczy to, że Bogini się na nas gniewa?

— Zapytaj o to Boginię, a nie mnie. Ostatnio Bogini nie rozmawia ze mną zbyt często.

Usta Tej Która Wie wykrzywił grymas wściekłości.

— Mów poważnie, Srebrny Obłoku. Co będzie, jeżeli ten śnieg oznacza, że zagraża nam jakieś niebezpieczeństwo?

— Popatrz — powiedział Srebrny Obłok, wskazując szerokim gestem dolinę i równinę. — Czy widzisz tu coś niebezpiecznego? Ja widzę tylko trochę śniegu. Bardzo mało śniegu. Widzę też Lud. Wszyscy już wstali, uśmiechają się i zajmują tym, co do nich należy. Zaczyna się dla nich kolejny dobry dzień. Ja widzę to i nic więcej. A ty pokaż mi, gdzie jest gniew Bogini, jeżeli go widzisz.

Rzeczywiście, wydawało mu się, że tam, w dole, panuje cudowny spokój. W głównym obozowisku kobiety i dziewczęta rozpalały poranne ognisko. Chłopcy, którzy byli zbyt młodzi, aby polować, kręcili się w pobliżu i szukali pod cienką warstwą śniegu gałązek i darni mogących służyć jako opał. Po lewej stronie, w strefie Matek, Srebrny Obłok zobaczył dzieci, które dostawały właśnie poranny posiłek. Była tam też niezmordowana kobieta z niemowlęciem u każdej piersi nosząca imię Mleczne Źródło i drugao imieniu Głęboka Woda, która bawiła się z dziećmi ustawionymi tak, że tworzyły koło. W tej chwili przerwała zabawę, chcąc pocieszyć małego chłopca — był to chyba Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba — który upadł i obtarł sobie kolano. Poza strefą Matek trzy Kobiety Bogini krzątały się przy ułożonym przez siebie kamiennym kopcu. Miał on służyć jako sanktuarium Bogini. Jedna z kapłanek rozkładała ofiarę z jagód, druga wylewała na specjalnie do tego przeznaczony kamień krew upolowanego poprzedniego dnia wilka, a trzecia rozpalała święty ogień. Po drugiej stronie Jeżdżący na Mamucie rozłożył swój warsztat do produkcji krzemiennych ostrzy. Wciąż wyrabiał je z wielką zręcznością, mimo że jego członki stopniowo ogarniał paraliż. Księżycowa Tancerka siedziała za nim wraz z jedną ze swoich córek. Zajmowały się jak zwykle żuciem skór, tak żeby te stały się miękkie i żeby można z nich było robić opończe. Daleko na horyzoncie Srebrny Obłok widział mężczyzn z Drużyny Myśliwych przeszukujących tundrę i trzymających w pogotowiu włócznie i kije. Nierówna, długa linia ich śladów była wciąż widoczna. Sugerowała ich obecność ciemnymi konturami pięt i rozczapierzonych palców, biegnąc z obozowiska po szybko znikającym śniegu.

Tak, wszystko zdawało się cudownie spokojne. Wszystko zdawało

się iść normalnym trybem. Nowy dzień świtał w życiu Ludu, który był tak stary jak czas i który miał przetrwać do skończenia świata. Dlaczego ta odrobina śniegu, jaka spadła w środku lata, miała kogoś zaniepokoić? Życie było ciężkie. Śnieg był czymś zwykłym w tym życiu i miał czymś zwykłym pozostać — mógł padać o każdej porze roku. Bogini nigdy nie obiecywała, że latem nie będzie śniegu, mimo że ostatnio okazywała pod tym względem łagodność.

Jednak dziwne było to, że poprzedniej nocy Srebrny Obłok nie czuł, że śnieg nadciąga. A może czuł, tylko nie zwrócił na to uwagi? Ostatnimi czasy nękało go tyle bólów. Rozeznanie się w nich stawało się coraz trudniejsze.

Mimo to jednak zdawało się, że wszystko jest w porządku.

— Schodzę na dół — powiedział Srebrny Obłok do Tej Która Wie. — Przyszedłem tu, żeby spędzić parę chwil w spokoju i samotności. Widzę jednak, że mi się to nie uda.

— Pozwól, że ci pomogę — zaproponowała Ta Która Wie.

Wyciągnęła do niego rękę, lecz Srebrny Obłok odepchnął ją z wściekłością.

— Słuchaj kobieto, czy ja wyglądam na kalekę? Zachowaj swoje ręce dla siebie!

Ta Która Wie wzruszyła obojętnie ramionami.

— Jak chcesz, Srebrny Obłoku.

Jednak droga w dół ze wzgórza była wyboista i trudna do pokonania. Cienka warstwa topniejącego śniegu pokrywała niektóre małe, zdradliwe kamienie, ukrywając je przed jego oczami i powodując, że stopy ślizgały się na nich. Zanim uszedł dziesięć kroków, Srebrny Obłok pożałował, że był taki dumny i nie pozwolił sobie pomóc. Jednak przyjęcie pomocy nie wchodziło w rachubę. Nikt nie miał nic przeciwko temu, żeby Srebrny Obłok trochę kulał, ale gdyby zaczął potrzebować pomocy na tak łagodnie opadającym zboczu jak to tutaj, wszyscy mogliby uznać, że czas na to, aby mu pomóc w drodze na ostateczny spoczynek. Starych ludzi szanowano, to prawda, ale nie cackano się z nimi dłużej, niż należało, Za czasów własnej młodości Srebrny Obłok sam dopomagał starcom udawać się na ostateczny spoczynek. Było to smutne zadanie. Trzeba było wygrzebywać dla nich jamy w śniegu i stać przy nich, dopóki ziąb nie spowodował, że zapadli w swój ostatni sen. Srebrny Obłok nie pragnął dla siebie tego rodzaju pomocy — chciał, żeby jego czas nadszedł wtedy, kiedy miał nadejść, wtedy i ani o godzinę wcześniej. I tak musiało to nastąpić wkrótce.

Doszedłszy do podnóża wzniesienia, był trochę zdyszany. Przykrywała go opończa z gęstego, szarego futra. Czuł, że jest mu ciepło, skórę miał lepką od potu. Mimo to schodzenie nie poszło mu tak źle. Był wciąż wystarczająco silny, żeby iść o własnych siłach.

Do jego nozdrzy dotarły zapachy gotowanego jedzenia. Śmiech dzieci i przeraźliwy płacz niemowląt dźwięczały w powietrzu. Słońce szybko pięło się w górę. Srebrny Obłok poczuł przypływ zadowolenia z życia.

Za trzy dni miał nadejść czas Letniego Święta, podczas którego on, Srebrny Obłok, miał tańczyć w kręgu, złożyć w ofierze młodego wołu i wetrzeć jego krew w skórę wybranej dziewicy roku. A potem miał odprowadzić dziewicę na stronę i wziąć ją w objęcia w celu zapewnienia pomyślnych jesiennych łowów. W miarę jak zbliżało się Święto, Srebrny Obłok stawał się coraz bardziej zaniepokojony, gdyż uważał, że jak na tancerza za bardzo kuleje. Obawiał się też, że może nie udać mu się ofiara. Dawno temu sam widział, jak nie udała się pewnemu starzejącemu się wodzowi. A co do obejmowania dziewicy — też gnębiły go pewne wątpliwości. Jednak w cieple poranka wszystkie te niepokoje zniknęły. Ta Która Wie stawała się roztrzęsioną starą idiotką. Śnieg nie oznaczał niczego! Niczego! Dzisiejszy dzień był piękny i jasny. A przed nimi było wspaniałe lato, mające przynieść rosnącą falę ciepła.

Szkoda, że Letnie Święto nie ma się odbyć dzisiaj, pomyślał Srebrny Obłok. Szkoda, że nie ma się ono odbyć w dniu, w którym jego duch znajduje się w fazie wznoszenia, a jego ciało — przynajmniej przez moment — doświadcza przypływu odnowionej energii. Tańce… wół… obejmowanie dziewicy…

— Srebrny Obłoku! Srebrny Obłoku!

Ochrypłe zdyszane głosy, przerywane okrzyki dobiegały z łąk znajdujących się tuż za miejscem, w którym Kobiety Bogini krzątały się koło swego sanktuarium.

Co to jest? Czyżby myśliwi wracali tak wcześnie? I w takim pośpiechu?

Srebrny Obłok przysłonił oczy i spojrzał pod słońce. Tak, to byli Drzewo Wilków i Góra o Zwalonym Wierzchołku. Biegli obaj co sił w stronę obozowiska i wołali go. Drzewo Wilków wywijał włócznią — gwałtownie, jak oszalały. A Góra o Zwalonym Wierzchołku nie miał chyba przy sobie broni.

Podbiegli chwiejnym krokiem i upadli Srebrnemu Obłokowi do nóg, sapiąc, jęcząc i z trudem łapiąc oddech. Byli to najsilniejsi i najszybsi członkowie drużyny, jednak prędki bieg z daleka, bo aż z terenów łowieckich, wyczerpał ich siły.

Srebrny Obłok poczuł, że ogarnia go złe przeczucie, wypierające radość i spokój, w których był pogrążony przez krótką, zbyt krótką chwilę.

— Dlaczego? — spytał, nie dając im czasu na zaczerpniecie tchu. — Dlaczego wróciliście tak wcześnie?

Góra o Zwalonym Wierzchołku wskazał za siebie. Jego ramię

drżało jak ramię starca. Zęby mu szczękały.

Wyrzucił z siebie jedno słowo:

— Inni!

— Co? Gdzie?

Góra o Zwalonym Wierzchołku pokręcił głową. Nie miał dość siły, żeby mówić.

Teraz — z wielkim wysiłkiem — odezwał się Drzewo Wilków:

— My… my… ich… nie widzieliśmy. Widzieliśmy tylko ich ślady.

— Na śniegu.

— Tak, na śniegu.

Drzewo Wilków ukląkł i zwiesił głowę. Jego ciałem od ramion do pasa wstrząsnęło coś w rodzaju konwulsji. Po chwili był w stanie ponownie przemówić.

— Ślady stóp. Długich, wąskich stóp. Takich. Narysował w powietrzu kształt stopy.

— To Inni. Bez wątpienia.

— Ilu?

Drzewo Wilków pokręcił głową. Zamknął oczy.

— Wielu — powiedział Góra o Zwalonym Wierzchołku, odzyskując nagle głos. Podniósł obie ręce i wiele razy machnął dłońmi o rozczapierzonych palcach. — Jest ich więcej niż nas. Dwa, trzy, cztery razy więcej. Maszerują z południa na północ.

— I trochę na zachód — dodał posępnie Drzewo Wilków.

— To znaczy w naszą stronę?

— Być może. Nie… nie mam pewności.

— Ja myślę, że oni idą w naszą stronę — powiedział Góra o Zwalonym Wierzchołku. — Albo my w ich. Jeżeli nie zachowamy ostrożności, wejdziemy prosto na Innych.

— Inni są w tych stronach? — powiedział Srebrny Obłok tak, jakby mówił do siebie. — Ale oni nie lubią otwartych równin. To nie jest teren, jaki im odpowiada.

Nie ma tu dla nich niczego. Powinni przebywać bliżej morza. Jesteście pewni, że taki był kształt stóp?

Drzewo Wilków i Góra o Zwalonym Wierzchołku pokiwali głowami.

— Ich droga krzyżuje się z naszą, ale mnie się wydaje, że oni nie pójdą w naszą stronę — powiedział Drzewo Wilków.

— A ja myślę, że pójdą — odezwał się Góra o Zwalonym Wierzchołku.

— Mnie się zdaje, że oni nie wiedzą, że my tu jesteśmy.

— A ja myślę, że wiedzą — sprzeciwił się Góra o Zwalonym Wierzchołku.

Srebrny Obłok podniósł dłonie i szarpnął brodę, szarpnął mocno, tak mocno, że aż go zabolało. Spojrzał na wschód, jak by się

spodziewał, że wysiliwszy wzrok, będzie mógł zobaczyć bandę Innych maszerujących w poprzek drogi, którą chcieli pójść jego ludzie. Ale zobaczył tylko jaśniejące światło poranka.

Potem odwrócił się, a jego oczy napotkały spojrzenie Tej Która Wie.

Spodziewał się, że Ta Która Wie będzie patrzyła na niego tryumfalnie, wzrokiem pełnym zarozumiałości, jakby chciała powiedzieć: „A nie mówiłam?” Bo przecież ten letni śnieg okazał się w końcu złym znakiem. A on nie tylko nie przewidział jego przyjścia, ale zupełnie mylnie zinterpretował jego znaczenie. „A nie mówiłam?” — powinna była teraz pytać Ta Która Wie. A potem powinna była dodać: „Znaleźliśmy się w wielkich opałach, a ty już nie jesteś zdolny nam przewodzić”.

Jednak, ku jego zdziwieniu, w wyrazie twarzy Tej Która Wie nie było śladu mściwości. Na jej twarzy malował się smutek, a po policzkach płynęły łzy.

Wyciągnęła do niego rękę gestem, w którym była jakaś czułość.

— Srebrny Obłoku — powiedziała miękko. — Och, Srebrny Obłoku.

Srebrny Obłok pomyślał, że Ta Która Wie płacze nie tylko nad sobą i nie tylko z powodu niebezpieczeństwa zagrażającego plemieniu.

Ona płacze nade mną, pomyślał zdumiony.

1. Zdolność kochania

Edith Fellowes przygładziła służbowy uniform — jak zwykle przed otwarciem drzwi zamkniętych na skomplikowane zamki i przed przekroczeniem niewidzialnej linii oddzielającej to, co jest, od tego, czego nie ma. Miała przy sobie notes i długopis, chociaż teraz notatki robiła tylko wtedy, kiedy wydawało jej się, że sporządzenie sprawozdania jest rzeczą absolutnie konieczną.

Tym razem niosła też walizkę („To gry dla chłopca” — powiedziała, uśmiechając się do wartownika, któremu od dawna nie przychodziło nawet do głowy, żeby ją o cokolwiek pytać, i który machnął wesoło ręką, dając jej znak, żeby przekroczyła barierę bezpieczeństwa.)

A brzydki mały chłopiec, jak zwykle, wiedząc, że weszła do jego odciętego od świata królestwa, przybiegł do niej, wołając ją cicho i niewyraźnie.

— Panno Fellowes, panno Fellowes…

— Timmie — powiedziała, przeciągając czule ręką po jego kudłatej, ciemnej głowie o dziwnym kształcie. — Co się stało?

— Gdzie jest Jerry? — zapytał. — Czy przyjdzie dzisiaj i pobawi się ze mną?

— Nie. Dzisiaj nie.

— Przykro mi, że to się stało.

— Wiem, że ci przykro, Timmie.

— A Jerry…?

— Nie myśl teraz o Jerrym. Czy dlatego płakałeś? Dlatego, że tęsknisz za Jerrym?

Chłopiec odwrócił wzrok.

— Nie tylko dlatego, panno Fellowes. Miałem znowu sen.

— Ten sam?

Panna Fellowes zacisnęła usta. Oczywiście, ta historia z Jerrym musiała ponownie wywołać ten sen. Chłopiec kiwnął głową.

— Ten sam. Tak.

— Czy i tym razem był okropny?

— Tak… straszny. Byłem… na zewnątrz. Na zewnątrz były też dzieci. Mnóstwo dzieci. Jerry także. Wszyscy patrzyli na mnie. Niektórzy się śmiali, niektórzy wytykali mnie palcami i wykrzywiali się. Ale inni byli dla mnie mili. „Dalej, Timmie”, mówili, „dalej, uda ci się to. Stawiaj tylko pojedyncze kroki. Po prostu idź, a będziesz wolny”. Zrobiłem tak. Poszedłem po prostu i wyszedłem stąd na zewnątrz. I powiedziałem: „Chodźcie i bawcie się ze mną”. Ale oni wszyscy zaczęli się wahać i już ich nie widziałem, zacząłem się zsuwać w tył i znalazłem się znowu tutaj. Nie mogłem się zatrzymać.

Zsunąłem się do środka i naokoło mnie wyrosła czarna ściana. Nie mogłem się ruszyć, byłem uwięziony, byłem…

— To straszne. Tak mi przykro, Timmie. Wiesz, że mi przykro.

Timmie spróbował się uśmiechnąć, pokazując swoje zbyt duże zęby. Jego wargi rozciągnęły się szeroko, a usta zrobiły się jeszcze bardziej wypukłe.

— Kiedy będę duży? Tak duży, żebym mógł wyjść, panno Fellowes? Kiedy będę mógł wyjść na zewnątrz? Ale tak naprawdę, nie tylko we śnie?

— Niedługo — powiedziała miękko, czując, że serce jej się kraje. — Niedługo.

Pozwoliła mu wziąć się za rękę. Uwielbiała czuć dotknięcie grubej, suchej skóry jego dłoni. Chłopiec pociągnął ją za sobą do środka, prowadząc przez trzy pokoje, z których składała się cala Sekcja Pierwsza. Były wygodne, musiała to przyznać. Ale dla brzydkiego małego chłopca mającego zaledwie siedem lat (zresztą kto wie, ile on naprawdę mógł mieć?) stanowiły wieczne więzienie.

Chłopiec poprowadził pannę Fellowes do tego okna, które wychodziło na porośnięty krzewami skrawek świata (teraz okrytego mrokiem nocy). Znajdował się tam płot i rzucające się w oczy ogłoszenie zawieszone na tablicy. Nakazywało wszystkim bez wyjątku trzymać się z daleka pod rygorem jakiejś okropnej kary.

Timmie przycisnął nos do szyby.

— Panno Fellowes, niech mi pani jeszcze raz powie, co tam jest.

— Miejsca lepsze niż to. I przyjemniejsze — powiedziała smutno.

Po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich trzech lat ukradkiem przyglądała się biedakowi. Kątem oka patrzyła na tę twarz małego więźnia o profilu rysującym się na tle okna. Jego czoło było cofnięte, a gęste, szorstkie włosy leżały na nim płasko, tworząc kępki, których nie mogła nigdy rozczesać. Tył czaszki wystawał dziwnie, co nadawało głowie wygląd nadmiernie ciężki i powodowało, że przechylała się w przód, a całe jego ciało garbiło się. Mocne już, wystające kości zaczynały tworzyć wały nad oczami. Szerokie usta wysunięte były do przodu o wiele bardziej niż przypłaszczony nos. Nie miał właściwie podbródka, a kość szczękowa była łagodnie zaokrąglona i cofnięta. Chłopiec, mały jak na swój wiek, był prawie karzełkiem, mimo że budowę miał już silną. Jego krótkie i grube nogi były pałąkowate. Kości twarzy miał grube, a na jednym jego policzku widniało gniewne, czerwone znamię, które wszystkim patrzącym przypominało zygzakowatą błyskawicę.

Był niezmiernie brzydkim małym chłopcem, lecz Edith Fellowes kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

Stała teraz tak, że chłopiec nie mógł widzieć jej twarzy, i dlatego pozwoliła sobie na pewien luksus: dopuściła do tego, by wargi jej

zadrżały.

Chcieli go zabić. Tak, do tego się to sprowadzało. On był tylko dzieckiem, i to wyjątkowo bezradnym, a oni chcieli posłać go na pewną śmierć.

Ale im się to nie uda. Bo ona zrobi wszystko, żeby temu zapobiec. Tak, wszystko. Przeszkodzenie im w realizacji ich planów będzie poważnym naruszeniem obowiązków. Wiedziała o tym. Przez całe życie nie zrobiła niczego, co można by zinterpretować jako sprzeniewierzenie się obowiązkom, jednak teraz myśl o tym nie miała dla niej żadnego znaczenia. Miała obowiązki wobec nich, tak, bez wątpienia, ale miała je też wobec Timmie'ego, nie mówiąc o sobie samej. I nie miała żadnych wątpliwości, której z tych trzech kategorii powinna dać pierwszeństwo, którą umieścić na drugim miejscu, a którą na trzecim.

Otworzyła walizkę.

Wyjęła z niej płaszcz, wełnianą czapkę z nausznikami i całą resztę.

Timmie odwrócił się i zaczaj jej się przyglądać. Jego oczy były takie ogromne, takie jasne i błyszczące i takie poważne.

— Co to jest, panno Fellowes?

— To jest ubranie — odrzekła. — Ubranie, w którym wychodzi się na zewnątrz.

Skinęła na niego ręką.

— Chodź tu, Timmie — powiedziała.

* * *

Była trzecią ubiegającą się o tę posadę osobą, z którą Hoskins przeprowadzał rozmowę, przy czym dwie pozostałe miały poparcie Działu Kadr. Jednak Gerald Hoskins należał do takich szefów, którzy woleli sami trzymać rękę na pulsie i nie zdawali się bezkrytycznie na opinię podwładnych. Pewni ludzie w firmie uważali to za jego największą wadę. Czasami nawet się z nimi zgadzał. Mimo to jednak uparł się, żeby osobiście porozmawiać ze wszystkimi trzema kobietami.

Pierwsza uzyskała trzy gwiazdki od Sama Aickmana, który był szefem Działu Kadr Instytutu Badań nad Polem Statycznym. Już sam fakt takiego zdecydowanego poparcia z jego strony wzbudził pewne podejrzenia Hoskinsa, gdyż Aickman miał ewidentną skłonność do twardych pedantycznych profesjonalistów. Taka postawa była słuszna, kiedy szukało się specjalisty od obudów bezpieczeństwa pola izolacji

albo kogoś, kto miałby zająć się rojem niesfornych antyelektronów. Jednak Hoskins nie miał przekonania, że jedna z owych twardych, sprawnych profesjonalistek okazałaby się właściwą kandydatką na obecnie wakującą posadę.

Nazywała się Mariannę Leyien i była prawdziwą tygrysicą. Miała gdzieś pod czterdziestkę, była szczupła, wymuskana, wystrojona. Nie była właściwie piękna. Słowo „piękna" nie określało adekwatnie jej typu urody. Ale rzucała się w oczy. Tak, zdecydowanie przyciągała spojrzenie.

Miała wspaniale zarysowane kości policzkowe i kruczoczarne włosy ściągnięte gładko do tyłu. Spojrzenie jej chłodnych, błyszczących oczu rejestrowało wszystko. Ubrana była w szykowny kostium w kolorze ciepłego brązu ze złotymi lamówkami, który mogła kupić zaledwie przedwczoraj w Paryżu lub w San Francisco. A pod szyją błyszczała jej broszka ze złotych beleczek zakończonych perłami. Według Hoskinsa takiej biżuterii nie wkładało się na rozmowy w sprawie pracy, zwłaszcza takiej pracy. Ta kobieta wyglądała jak przebojowa młoda przedstawicielka kadr kierowniczych, której celem było wejście do zarządu firmy, a nie jak pielęgniarka.

Jednak była pielęgniarką, tak, była nią w zasadzie, mimo że słowo „pielęgniarka" zdawało się zbyt skromne na określenie jej zawodowych kwalifikacji i osiągnięć. Jej życiorys zawodowy porażał. Miała dwa doktoraty: z pedagogiki heurystycznej i z technik rehabilitacji. Była asystentką szefa Działu Usług Spegalnych w Klinice Chorób Dziecięcych w Houston. Była konsultantką Komisji Katzina — federalnego oddziału specjalnego do spraw edukacji zapobiegawczej. Miała sześcioletnie doświadczenie w zakresie pracy z dziećmi autystycznymi z zastosowaniem sztucznej inteligencji. Jej bibliografia software'owa ciągnęła się na kilometry.

Dokładnie tego wymagano od kandydatki na tę posadę.

Tak w każdym razie myślał chyba Sam Aickman.

— Zdaje sobie pani sprawę — powiedział Hoskins — że będziemy chcieli, żeby pani zrezygnowała z wszelkich prac poza instytutem. Z pracy w Waszyngtonie, w Houston, z konsultacji wymagających podróżowania. Będzie pani zatrudniona tutaj na pełnym etacie przez kilka lat i będzie pani wykonywała jedno jedyne zadanie o wysokim stopniu wyspecjalizowania.

Twarz kobiety nawet nie drgnęła.

— Zdaję sobie z tego sprawę.

— Widzę, że w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy brała pani udział w konferencjach w Sao Paulo, Winnipeg, Melbourne, San Diego i Baltimore i że w innych pięciu miejscach, w których nie mogła się pani pojawić osobiście, odczytano pani referaty.

— To prawda.

— Mimo to jest pani przekonana, że będzie pani w stanie przejść od bardzo aktywnego życia zawodowego, które pani opisała, do życia w izolacji, jakie czeka panią u nas?

W jej oczach pojawił się zimny, zdecydowany błysk.

— Nie tylko jestem o tym przekonana. Jestem gotowa to zrobić z wielkim zapałem.

Hoskinsowi wydało się, że w tym, co ona mówi, coś jest nie tak.

— Czy mogłaby pani powiedzieć mi o tym coś bliższego? Być może nie zrozumiała pani, jak bardzo nasze życie tutaj przypomina życie w klasztorze. I jak wielką przyjmie pani na siebie odpowiedzialność.

— Myślę, że to rozumiem, panie doktorze.

— I mimo to jest pani gotowa to zrobić z wielkim zapałem?

— Być może nie mam już takiego zapału jak kiedyś do podróżowania z Winnipeg do Melbourne, z Melbourne do Sao Paul o i tak dalej.

— Czy to znaczy, że jest już pani trochę znużona?

Na jej ustach pojawił się cień uśmiechu. Była to pierwsza oznaka ludzkiego ciepła, jaką Hoskins u niej zauważył od czasu, gdy weszła do jego gabinetu. Jednak ten uśmiech zniknął prawie tak szybko, jak się pojawił.

— Mógłby pan to tak określić.

— A pani? Czy pani też tak by to określiła? Wyglądała na nieco zaskoczoną tym nieoczekiwanym atakiem. Zaraz jednak odetchnęła głęboko i bez widocznego wysiłku wróciła do swej poprzedniej postawy niezmąconego spokoju.

— „Znużona” to może zbyt mocne słowo na określenie mojego obecnego stanu. Powiem raczej, że interesuje mnie przemieszczenie wydatkowania własnej energii, które, jak pan widzi, było dość intensywne, w kierunku skoncentrowania go na pojedynczym celu.

— Ach tak. Rozumiem.

Hoskins patrzył na nią z podziwem i przerażeniem. Jej głos był doskonale ustawionym kontraltem, jej brwi absolutnie symetryczne. Trzymała się idealnie prosto. Osoba pod każdym względem niezwykła. Ale jemu wydawała się nierealna.

— A co — powiedział po krótkiej przerwie — skłoniło panią do starania się o tę pracę? Co poza faktem, że koncentrowałaby się w niej pani na pojedynczym celu?

— Charakter tego eksperymentu. Ten eksperyment mnie fascynuje.

— Aha. Proszę powiedzieć o tym coś więcej.

— Jak wiedzą wszyscy autorzy dobrej literatury dziecięcej, świat dziecka różni się bardzo od świata dorosłych. Jest to w istocie inny świat, świat, którego realia, założenia i wartości są zupełnie odmienne

od naszych. Z czasem większość z nas przechodzi z tamtego świata do tego. Przejście jest tak całkowite, że zapominamy, jaki jest charakter świata, który opuściliśmy. Pracując z dziećmi, usiłowałam wniknąć w ich sposób myślenia i zrozumieć ich odmienność na tyle, na ile pozwalały mi moje ograniczenia wynikające z tego, że byłam dorosła.

— Uważa więc pani, że dzieci to istoty z innego świata? — zapytał Hoskins, usiłując ukryć zdziwienie.

— W sensie metaforycznym tak. Ale oczywiście nie dosłownie.

— Oczywiście.

Przejrzał jej podanie, marszcząc brwi.

— Pani nigdy nie była mężatką?

— Nie, nigdy — odpowiedziała chłodno.

— I domyślam się, że nie zdecydowała się pani na rolę samotnej matki?

— Kilka lat temu rozważałam tę możliwość. Jednak moja praca była czymś w rodzaju zastępczego macierzyństwa. Nie zdecydowałam się więc.

— No tak. Przypuszczam, że tak było. Ale mówiła pani przed chwilą, iż uważa pani świat dziecka za świat istoty nam obcej. Jak to się ma do mojego pytania o przyczynę skłaniającą panią do starania się o tę pracę?

— Z tego godnego uwagi opisu pańskiego eksperymentu, jaki otrzymałam, wynika, że miałabym zajmować się dzieckiem, które w sensie dosłownym pochodzi z innego świata. Ze świata obcego nam nie dlatego, by znajdował się gdzieś w kosmosie, lecz dlatego, iż należy do innego czasu, co przecież nie zmienia faktu, że jest światem innym. Z wielką chęcią zajmę się badaniem fundamentalnych różnic istniejących między takim dzieckiem a nami, uzyskując przy tym pewne przesuniecie paralaktyczne, które mogłoby być źródłem dodatkowych danych dla moich własnych badań.

Hoskins patrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

Nie, pomyślał. Ona nie jest prawdziwa. To sprytnie skonstruowany android. Pielęgniarka-robot. Chociaż nie, był pewien, że robotów tej jakości jeszcze nie skonstruowano. A więc ona musi być istotą ludzką z krwi i kości. Nie zachowuje się jednak jak człowiek.

— Może się okazać, że to nie takie proste. Mogą wystąpić trudności z porozumiewaniem się. Dziecko najprawdopodobniej będzie miało wadę mowy. Może się nawet okazać, że w ogóle nie będzie umiało mówić.

— Ono?

— Może to on, a może ona. Na razie jeszcze nie wiemy, jakiej będzie płci. Zdaje sobie pani oczywiście sprawę, że pojawi się tu dopiero za jakieś trzy tygodnie. Dopóki nie dotrze tutaj, nie będziemy właściwie nic o nim wiedzieli.

Wydawało się, że nie zrobiło to na niej wrażenia.

— Zdaję sobie sprawę z ryzyka. Dziecko może okazać się drastycznie upośledzone, jeżeli chodzi o zdolność mówienia… fizycznie i być może umysłowo.

— Tak. Może się okazać, że będzie pani musiała zastosować metody działania stosowane wobec dzieci znacznie opóźnionych w rozwoju. Nie wiemy jeszcze, czy tak nie będzie. Oddamy w pani ręce całkowitą niewiadomą.

— Jestem na to przygotowana. Sprostam takiemu wyzwaniu — powiedziała. — Podobnie jak każdemu innemu. Interesują mnie wszelkie wyzwania, panie doktorze.

Hoskins jej wierzył. Fakt, że opis przyszłej pracy zawierał wiele niewiadomych, nie wywołał żadnej reakcji z jej strony. Wyglądało na to, iż jest gotowa zmierzyć się z wszelkimi wyzwaniami, nie pytając o nic.

Nietrudno zgadnąć, dlaczego Sam Aickman był tak nią zachwycony.

Hoskins milczał przez chwilę, dając jej okazję do przejęcia inicjatywy. Mariannę Levien skorzystała z niej bez wahania.

Sięgnęła do walizki na dokumenty i wyjęła mieszczący się w dłoni komputer, nie większy niż duża moneta.

— Przyniosłam ze sobą — powiedziała — program, nad którym pracowałam od czasu, gdy pocztą komputerową przyszła wiadomość o tym wakacie. Jest to wariacja na temat mojej pracy z dziećmi z uszkodzeniami mózgu, którą parę lat temu prowadziłam w Peru. Mam tu sześć algorytmów określających i modyfikujących przepływ komunikacyjny. W zasadzie te dzieci omijają normalne werbalne kanały komunikowania się i…

— Dziękuję — powiedział Hoskins uprzejmie, wpatrując się w malutkie urządzenie leżące na jej wyciągniętej dłoni, jakby było bombą. — Istnieją niestety pewne przepisy prawne zabraniające mi zapoznawania się z tymi materiałami, dopóki nie zostanie pani naszą pracownicą. Kiedy podpisze pani umowę, będę rad, mogąc omówić pani poprzednie badania, jednak do tego czasu…

Jej nieskazitelne policzki oblał rumieniec. No tak, popełniła błąd taktyczny. Okazała się zbyt gorliwa, a nawet natrętna. Hoskins obserwował ją i widział, że zdała sobie z, tego sprawę.

— No tak — powiedziała. — Głupio zrobiłam, usiłując ominąć formalności. Ale mam nadzieję, że pan zrozumie, panie doktorze, iż mimo że na to nie wyglądam, jestem właściwie naukowcem, badaczem i cechuje mnie entuzjazm świeżo upieczonego doktoranta zabierającego się za odkrywanie tajemnic wszechświata, więc czasami, nie patrząc na to, co wypada, a co nie, usiłuję ominąć zwyczajowe procedury powodowana gorączkowym pragnieniem dotarcia do

sedna…

Hoskins uśmiechnął się. Hoskins kiwnął głową. Hoskins powiedział:

— Oczywiście, pani doktor. To nie grzech popełniać błędy z nadmiaru entuzjazmu. Uważam naszą rozmowę za bardzo cenne doświadczenie. Skontaktujemy się z panią natychmiast po podjęciu decyzji.

Spojrzała na niego z ukosa, jakby zaskoczona tym, że nie zaangażował jej od razu. Miała jednak tyle rozsądku, by powiedzieć tylko:

— Dziękuję bardzo. Do widzenia.

Już przy drzwiach zatrzymała się, odwróciła i posłała mu ostatni porażający uśmiech. A potem zniknęła, pozostawiając w umyśle Hoskinsa porażający obraz własnej osoby.

O Boże, pomyślał Hoskins.

Wyciągnął chusteczkę do nosa i otarł sobie czoło.

* * *

Druga kandydatka różniła się od Mariannę Levien niemal pod każdym względem. Po pierwsze była od niej o dwadzieścia lat starsza, a po drugie nie było w niej nic eleganckiego, chłodnego, onieśmielającego, porażającego ani androidalnego. Nazywała się Dorothy Newcombe. Pulchna, stateczna, o kształtach niemal nadmiernie obfitych. Nie nosiła biżuterii, a jej ubiór był prosty, wręcz niedbały. Zachowanie cechowała łagodność, a twarz miała miły, pogodny wyraz.

Spowijała ją złocista aura macierzyńskiego ciepła. Wyglądała jak dziecięce wyobrażenie idealnej babci. Sprawiała wrażenie kobiety tak prostej i mało skrupulatnej, że trudno było uwierzyć iż ma wymagane wykształcenie w zakresie pediatrii, fizjologu i chemii klinicznej. Jednak z podania wynikało, że je posiada, a także że ukończyła medycynę antropologiczną. Mimo całego postępu cywilizacji dwudziestego pierwszego wieku na Ziemi istniały jeszcze gdzieniegdzie obszary kultur prymitywnych i Dorothy Newcombe pracowała na sześciu czy siedmiu takich obszarach: w Afryce, w Południowej Ameryce, w Polinezji i w Południowo-Wschodniej Azji. Nic więc dziwnego, że popierał ją Sam Aickman. Była bowiem kobietą, która mogłaby służyć jako model do posągu bogini macierzyńskiej miłości i która równocześnie miała doświadczenie w obchodzeniu się z dziećmi pochodzącymi z zacofanych społeczeństw.

Hoskinsowi wydało się, że ta kobieta pod każdym względem nadaje się na oferowane stanowisko. Po przytłaczającej swoją pełną blichtru doskonałością, przerażającej Mariannę Levien, podziałała na niego tak kojąco, że musiał zwalczyć silny impuls, który skłaniał go do zaoferowania jej pracy od razu, bez przeprowadzania wstępnej rozmowy. Nie byłby to pierwszy w jego karierze przypadek zatrudnienia kogoś pod wpływem spontanicznego odruchu.

Jednak tym razem Hoskinsowi udało się opanować ten odruch.

A potem, ku jego zdumieniu i przerażeniu, Dorothy Newcombe zdyskwalifikowała się przed upływem pięciu minut.

Wszystko szło świetnie aż do fatalnego momentu. Dorothy była ciepła i miła. Oczywiście kochała dzieci; miała troje własnych, a przedtem, jako najstarsza w dużej rodzinie i mając chorą matkę, zajmowała się rodzeństwem od wczesnych lat swego życia, opiekowała się braćmi i siostrami, jak daleko sięgała pamięcią. Miała też właściwe doświadczenia zawodowe. Szpitale i kliniki, w których pracowała, zaopatrzyły ją w jak najlepsze rekomendacje; bez trudu dawała sobie radę w najdziwniejszych i najtrudniejszych warunkach w dalekich rejonach zamieszkanych przez prymitywne plemiona; z radością pracowała z różnymi upośledzonymi dziećmi i z ogromną niecierpliwością czekała na to, że będzie miała okazję zmagać się z problemami, jakie postawi przed nią projekt Instytutu Badań nad Polem Statycznym.

W pewnej jednak chwili rozmowa zeszła na przyczynę, dla której Dorothy Newcombe chciała porzucić swoją dotychczasową posadę — dającą satysfakcję i dobrze płatną posadę głównej pielęgniarki w pewnej klinice dziecięcej w jednym z południowych stanów — i zamknąć się w zakonspirowanych, dobrze strzeżonych murach Instytutu Badań nad Polem Statycznym.

— Wiem, że przychodząc tutaj, będę musiała zrezygnować z wielu rzeczy — powiedziała, aby uzasadnić swoją decyzję. — Ale wiem też, że wiele zyskam. Nie tylko będę miała szansę wykonywać swoje ulubione zajęcie, pracując w dziedzinie, w której dotychczas nikt nie pracował, ale również pozbędę się w końcu tego przeklętego Bruce'a Mannheima, który siedzi mi na karku.

Hoskins poczuł, że robi mu się zimno.

— Bruce'a Mannheima? Tego, który zajmuje się „dziećmi w stanie kryzysu"?

— A jest jakiś inny?

Hoskins wziął głęboki wdech i zatrzymał powietrze w płucach. Mannheim! Ten krzykacz! Ten rozrabiaka! Jak, na miłość boską, Dorothy Newcombe z nim zadarła? Była to dla Hoskinsa absolutna niespodzianka, i to nieprzyjemna. Po chwili milczenia odezwał się ostrożnie:

— Czy chce pani powiedzieć, że ma pani jakiś kłopot z Bruce'em Mannheimem?

Dorothy roześmiała się.

— Kłopot? — zapytała. — Można by to tak nazwać. On pozwał do sądu nasz szpital. To znaczy, powinnam powiedzieć: „pozwał mnie". Jestem jedną z wymienionych imiennie pozwanych. Przez ostatnie pół roku mieliśmy z tym okropne zawracanie głowy.

Hoskinsa tak ścisnęło w żołądku, że aż zrobiło mu się mdło. Przekładał papiery na biurku, starając się odzyskać równowagę.

— Nie ma o tym wzmianki w sprawozdaniu z rozmowy z panią w Dziale Kadr.

— Nikt mnie o to nie pytał. Nie próbuję niczego ukryć. W przeciwnym razie nic bym panu o tym nie powiedziała. Po prostu tak się złożyło, że dotąd nie było okazji, żeby o tym wspomnieć.

— No więc dobrze. Pytam panią teraz. O co w tym wszystkim chodzi?

— Wie pan, jakim krzykaczem jest Mannheim. Wie pan przecież, że szuka dziury w całym, żeby pokazać, jak bardzo troszczy się o dobro dziecka.

Wygłaszanie takich opinii nie było rzeczą mądrą. Zwłaszcza gdy chodziło o Bruce'a Mannheima.

— Wiem, że są ludzie, którzy tak o nim mówią — powiedział Hoskins ostrożnie.

— Pan to ujmuje tak dyplomatycznie, panie doktorze. Czy uważa pan, że ma on swój podsłuch w pańskim gabinecie?

— Raczej nie. Nie podzielam jednak pani oczywistej niechęci do Mannheima i jego pomysłów. Właściwie to nie mam wyrobionego zdania na jego temat. Nie śledziłem jego poczynań.

Było to oczywiste kłamstwo i Hoskins źle się czuł, wypowiadając je. W jednym z najwcześniejszych szkicowych opracowań, w których opisywano plany obecnego przedsięwzięcia, zostało napisane: „Należy zrobić wszystko, aby powstrzymać takie zarazy jak Bruce Mannheim od czepiania się nas". Jednak to Hoskins przeprowadzał rozmowę kwalifikacyjną z Dorothy Newcombe, a nie na odwrót. Nie musiał więc mówić jej więcej, niż należało.

Pochylił się.

— Wiem tylko tyle, że jest on bardzo hałaśliwym działaczem i że ma jasno sformułowane poglądy na temat tego, jak należy wychowywać dzieci znajdujące się w placówkach opiekuńczych. Nie mam kwalifikacji wystarczających do tego, żeby oceniać, czyjego poglądy są słuszne, czy nie. A co do tego procesu, proszę pani…

— Przygarnęliśmy pewną liczbę małych dzieci z ulicy. Większość jest w trzecim, a nawet w czwartym pokoleniu narkomanami, narkomanię mają wrodzoną. To najsmutniejsza rzecz, jaką można

sobie wyobrazić: dzieci, które urodziły się uzależnione. Myślę, że zna pan ogólnie przyjętą teorię, mówiącą, że uzależnienie od narkotyków, jak większość uzależnień fizjologicznych, bardzo często jest spowodowane genetycznymi predyspozycjami w tym kierunku?

— Oczywiście.

— No więc prowadzimy badania genetyczne na tych dzieciach. A także na ich rodzicach i dziadkach… na tych, których udało nam się odnaleźć. Usiłujemy umiejscowić i wyizolować gen narkopozytywny, jeżeli taki istnieje, mając nadzieję, że pewnego dnia uda nam się go pozbyć.

— Dla mnie to brzmi rozsądnie — powiedział Hoskins.

— Wszyscy tak uważają z wyjątkiem Bruce'a Mannheima. Mannheim rzucił się na nas jak na kogoś, kto dokonuje u tych dzieci prawdziwej ingerencji w strukturę genetyczną. A my przecież grzebiemy tylko trochę w ich chromosomach, chcąc się dowiedzieć, co tam jest. Jest to praca czysto badawcza, nie dokonujemy żadnych modyfikacji genetycznych. Ale on obstawił nas szesnastoma zakazami sądowymi. Związał nam zupełnie ręce. Wściec się można. Usiłowaliśmy mu wszystko wyjaśnić, ale on nie słucha. Przekręca nasze oświadczenia i na podstawie ich zniekształconych wersji wytacza nam nowe sprawy. Sam pan wie, jak sądy reagują na oskarżenia o to, że dzieci są wykorzystywane do eksperymentów.

— Chyba wiem — powiedział Hoskins posępnie. — Tak więc pani szpital marnuje energię i pieniądze na prowadzenie obrony, zamiast zajmować się…

— Nie tylko szpital. On wymienił różne osoby po nazwisku. Ja jestem jedną z nich. Jedną z tych osób, które on oskarża o maltretowanie dzieci, dosłownie o maltretowanie. Jest to wynik jego dotychczasowych studiów nad naszą pracą. — W głosie była gorycz, ale także nuta rozbawienia. Jej oczy zabłysły. Roześmiała się tak, że zatrzęsły się ciężkie piersi. — Może pan to sobie wyobrazić? Maltretowanie dzieci! Ja i maltretowanie!

Hoskins pokręcił głową współczująco.

— Rzeczywiście to się wydaje niemożliwe.

Był zrozpaczony. Nie miał wątpliwości, że ta kobieta jest idealną kandydatką na wakującą posadę. A jednak jak mógł zatrudnić kogoś, kto popadł w konflikt z tym postrachem wychowawców i opiekunów dzieci — Bruce'em Mannheimem? Ich przedsięwzięcie i tak będzie przedmiotem różnych sporów. Mannheim bez wątpienia i tak zacznie wkrótce wtykać nos w ich sprawy, bez względu na to, jakie środki ostrożności przedsięwezmą. A jednak wciągnięcie Dorothy Newcombe na listę pracowników jest równoznaczne z dobrowolnym pakowaniem się w okropne kłopoty. Hoskins już sobie wyobrażał tę konferencję prasową, którą Mannheim na pewno by zorganizował. Już sobie

wyobrażał, jak Mannheim obwieszcza wszem i wobec, że Instytut Badań nad Polem Statycznym zatrudnił kobietę, która jest oskarżona o maltretowanie dzieci w innej placówce naukowej i że ta kobieta ma być pielęgniarką i opiekunką nieszczęsnego dziecka będącego żałosną ofiarą nowej, nie znanej dotychczas formy porwania…

Nie. Nie. W żadnym wypadku nie może jej zatrudnić.

Hoskins zmusił się do tego, żeby przez dalsze pięć minut prowadzić rozmowę z Dorothy Newcombe. Z pozoru wszystko odbywało się uprzejmie i w miłej atmosferze. A jednak była to jedynie pusta forma. Hoskins wiedział, że Dorothy zdaje sobie z tego sprawę. Podziękował jej za jej szczerość, wyraził uznanie dla wysokich kwalifikacji i zapewnił, jak każdą ze starających się o tę pracę, że wkrótce się z nią skontaktuje, a ona uśmiechnęła się i powiedziała, że bardzo miło było z nim rozmawiać. Lecz Hoskins nie miał jednak wątpliwości, że ona zdaje sobie sprawę z tego, iż nie dostanie tej posady.

Zaraz po jej wyjściu zadzwonił do Sama Aickmana.

— Na litość boską, Sam, dlaczego mi nie powiedziałeś, że Dorothy Newcombe jest oskarżona przez Bruce'a Mannheima w jakimś bzdurnym procesie?

Na widocznej na ekranie twarzy Aickmana pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia.

— A jest?

— Tak mi przed chwilą powiedziała. Została oskarżona o maltretowanie dzieci, wynikające z charakteru jej pracy.

— A niech to. A niech to — powiedział speszony Aickman. Wyglądał teraz raczej na zawstydzonego niż zdumionego. — Do diabła, Jerry, nie miałem pojęcia, że jest zamieszana w jakąś historię z tym koszmarnym facetem.

A przepytywaliśmy ją bardzo dokładnie, naprawdę. Chociaż nie wystarczająco dokładnie.

— Tylko tego nam brakowało, żebyśmy zatrudnili kogoś, kto już jest na liście ofiar Mannheima.

— Ale ona jest wspaniała, prawda? Jest uosobieniem macierzyństwa…

— Tak, rzeczywiście. Ale zatrudniając ją, mielibyśmy absolutną gwarancję, że sępy Mannheima rzucą się na nas z pazurami, kiedy tylko się zorientują, że ona u nas jest. Zgodzisz się chyba z tym, Sam?

— A więc wygląda na to, że zatrudnisz Mariannę Levien, tak?

— Nie skończyłem jeszcze przeprowadzać rozmów — odrzekł Hoskins. — Jednak Levien jest chyba dobra.

— Prawda? — powiedział Aickman, uśmiechając się szeroko.

* * *

Edith Fellowes nie mogła wiedzieć, że jest zaledwie Kandydatką Numer Trzy. Ale gdyby się o tym dowiedziała, nie byłaby zdziwiona. Zdążyła przyzwyczaić się do tego, że jej nie doceniano. Nie było w niej nic rzucającego się w oczy, nic dramatycznego, nic, co na pierwszy rzut oka kazałoby ją oceniać jako osobę mającą najwyższe kwalifikacje w jakiejkolwiek dziedzinie. Edith Fellowes nie była ani oszałamiająco piękna, ani fascynująco brzydka, nie manifestowała ani zbytniej uczuciowości, ani budzącej zainteresowanie rezerwy, nie wykazywała śmiałej przenikliwości, ani nie olśniewała pracowitością i geniuszem. Przez całe życie ludzie traktowali ją raczej jak kogoś przeciętnego. Była doskonale zrównoważoną kobietą, świetnie znającą własną wartość i, ogólnie mówiąc, wiodła satysfakcjonujące życie. Ogólnie mówiąc.

Przypominający kampus uniwersytecki teren Instytutu Badań nad Polem Statycznym był w jej oczach miejscem tajemniczym. Jego nie rzucające się w oczy szare budynki, nagie i proste, wyrastały z ładnych zielonych trawników, na których gdzieniegdzie rosły drzewa. Był to instytut badawczy podobny do tysięcy innych. Ale wewnątrz jego pomieszczeń — Edith Fellowes wiedziała o tym — działy się dziwne rzeczy, rzeczy, których ona nie była w stanie pojąć, rzeczy, w które właściwie nie potrafiłaby uwierzyć. Myśl, że naprawdę mogłaby pracować w jednym z tych budynków, zadziwiała ją.

Jak większość ludzi, miała niejasne pojęcie o tym, czym był instytut, i o tym, w jaki sposób jego pracownicy dokonali tych zadziwiających rzeczy, których dokonali. Słyszała oczywiście o małym dinozaurze, którego sprowadzili z przeszłości. Przezwyciężywszy sceptycyzm, który ją z początku ogarnął, doszła do wniosku, że było to coś w rodzaju cudu. W telewizji wyjaśniono, w jaki sposób Instytut Badań nad Polem Statycznym sięgnął w przeszłość w celu przeniesienia wymarłego gada w dwudziesty pierwszy wiek, jednak dla niej te wyjaśnienia okazały się niezrozumiałe. A później wyprawa na księżyce Jowisza zepchnęła instytut i dinozaura na ostatnie strony gazet i Edith zapomniała kompletnie i o instytucie, i o dinozaurze. Gad był po prostu kolejnym cudem, o którym pamiętano zaledwie przez dziewięć dni, jednym z wielu cudów stających się w wieku, który okazywał się wiekiem cudów.

Ale teraz pracownicy instytutu postanowili sprowadzić z przeszłości dziecko, ludzkie dziecko, prehistoryczne ludzkie dziecko. I potrzebny był im ktoś, kto się tym dzieckiem będzie opiekował.

Edith mogła to zrobić.

Edith chciała to zrobić.

Edith prawdopodobnie potrafiła to zrobić lepiej niż ktokolwiek inny. Oczywiście będzie to robiła bardzo, naprawdę bardzo dobrze.

Mówiono jej, że ta praca to wyzwanie, że będzie niezwykła, że będzie bardzo trudna. Edith się tym nie martwiła. Bo przez całe życie unikała prac zwykłych i prostych, prac, które nie były wyzwaniem.

W ogłoszeniu pisano, że potrzebna jest kobieta znająca się na fizjologii i chemii klinicznej i kochająca dzieci. Edith Fellowes odpowiadała tym wymaganiom.

Miłość do dzieci to coś wrodzonego. Któż normalny nie kocha dzieci? Zwłaszcza jeżeli jest kobietą?

Znajomość fizjologii wchodziła w zakres jej podstawowego pielęgniarskiego wykształcenia. Z chemią kliniczną zapoznała się później, kiedy przyszło jej do głowy, że pracując z chorowitymi dziećmi, wśród których są wcześniaki i dzieci zaczynające życie z jakimś upośledzeniem, dobrze by było wiedzieć, w jaki sposób ich małym schorowanym ciałkom można pomóc funkcjonować bardziej sprawnie.

Praca będąca wyzwaniem, praca trudna, z niezwykłym dzieckiem — tak, to było to, co lubiła. Przy tym oferowano fenomenalną pensję. Już to zwróciłoby jej uwagę, chociaż Edith nigdy nie stawiała sobie za życiowy cel pogoni za pieniędzmi. Poza tym była gotowa podjąć nowe wyzwanie. Rutynowa praca w szpitalu dziecięcym zaczynała ją już nudzić, a nawet odrzucało ją od niej. To okropne, myślała, kiedy człowieka odrzuca od własnej pracy, a zwłaszcza takiej pracy, jaką ja wykonuje. Być może potrzebna mi odmiana.

Opiekować się prehistorycznym dzieckiem…

Tak. Tak.

— Doktor Hoskins prosi — powiedziała sekretarka.

Elektronicznie uruchamiane drzwi rozsunęły się. Panna Fellowes weszła do zaskakująco niepozornego gabinetu, w którym stało zwykłe biurko i zwykły monitor komputera i w którym znajdował się najzwyczajniej wyglądający mężczyzna koło pięćdziesiątki o rzednących blond włosach, o policzkach, które zaczynały robić się obwisłe. Kąciki ust opadały, nadając jego twarzy wyraz bardziej posępny niż należało. Plakietka na biurku informowała:

DOKTOR GERALD A. HOSKINS

DYREKTOR GENERALNY

Pannie Fellowes to nie zaimponowało. Rozbawiło ją raczej. Czy firma naprawdę jest tak duża, że dyrektor generalny musi przypominać ludziom za pośrednictwem plakietki stojącej przed nim w jego własnym gabinecie, jak się nazywa? I dlaczego uważa, że musi chwalić się swoim doktoratem? Przecież wszyscy tutaj mają stopnie naukowe, w jednej dziedzinie bądź dwóch. Czy ten człowiek chce w ten sposób oświadczyć, że nie jest tylko urzędnikiem, że jest także uczonym? Spodziewała się, że dyrektor takiej wyspecjalizowanej placówki musi być uczonym. Wcale nie musiał jej tego w ten sposób wbijać do głowy.

Ale to nic. Istnieją większe wady niż takie zamiłowanie do podkreślania własnej ważności.

Hoskins miał przed sobą na biurku stos wydruków. Było tam, jak przypuszczała, między innymi jej podanie, a także sprawozdanie z rozmowy wstępnej w kadrach. Hoskins podniósł na nią wzrok znad tych wydruków, potem spojrzał jeszcze raz na papier, a później znowu na nią. Oceniał ją. Robił to szczerze i nieco zbyt bezpośrednio. Panna Fellowes zesztywniała. Poczuła, że się rumieni i że w policzku drga jej mięsień.

On uważa, że mam za grube brwi i trochę krzywy nos, pomyślała.

Ale zaraz potem zganiła się, mówiąc sobie, że jest śmieszna, bo tego człowieka jej brwi i jej nos obchodzą tyle co firma, z której pochodzą jej buty. Jednak to, że jakiś mężczyzna patrzy na nią tak uważnie, było zaskakujące i trochę zbijające z tropu. Pielęgniarka w uniformie to zazwyczaj osoba niewidzialna, w każdym razie nie interesująca większości mężczyzn. Panna Fellowes nie miała teraz na sobie uniformu, ale uważała, że z biegiem lat wypracowała sobie sposób na to, żeby być niewidzialną dla mężczyzn nawet w ubraniu, w którym wychodziła na ulicę, i przypuszczała, że był to sposób skuteczny. To, że w tej chwili ten człowiek tak jej się przyglądał, zbijało ją z tropu bardziej, niż się mogła spodziewać.

— Pani kwalifikacje, panno Fellowes, są bardzo wysokie — powiedział Hoskins.

Panna Fellowes uśmiechnęła się, ale milczała. Bo co miała powiedzieć? Zgodzić się z nim? Czy nie zgodzić?

— A ponadto pani przełożeni bardzo panią chwalą. Czynią to, używając prawie identycznych słów. Czy wie pani o tym? Pracowitość i poświęcenie, spełnianie obowiązków z głębokim oddaniem, wielka zaradność w krytycznych chwilach, doskonałe umiejętności techniczne…

— Jestem pracowita, panie doktorze, i przeważnie wiem, co robię. Myślę, że te wszystkie pochwały mówią o tych dwóch rzeczach, tylko w wyszukany sposób.

— Przypuszczam, że tak.

Jego oczy wpatrzyły się w jej oczy i panna Fellowes poczuła nagle, że ten człowiek jest bardzo silny i prostolinijny, i że z wielką zawziętością i determinacją dąży do doprowadzenia swoich dzieł do końca. U administratora były to dobre cechy. Ale cechy te mogły oznaczać, że ci, co z nim pracują, mają bardzo ciężkie życie. Czas pokaże, pomyślała. Spojrzała mu prosto w oczy. Patrzyła w nie bez mrugnięcia.

— Nie widzę potrzeby pytania pani o pani doświadczenia zawodowe — powiedział w końcu Hoskins. — Rozmawiano już o tym z panią szczegółowo i wyszła pani z tego zwycięsko. Ja mam tylko dwa pytania.

Panna Fellowes czekała na dalszy ciąg.

— Po pierwsze — powiedział — muszę wiedzieć, czy była pani kiedykolwiek zamieszana w sprawy, które można by określić jako politycznie kontrowersyjne.

— Ja nie mam nic wspólnego z polityką, panie doktorze. Chodzę na wybory. Wtedy, kiedy znajdzie się ktoś, na kogo warto głosować, co nie zdarza się zbyt często. Ale nie podpisuję żadnych petycji ani nie biorę udziału w demonstracjach, jeżeli o to panu chodzi.

— Niezupełnie. Mówię raczej o zawodowych sporach o tych, które związane są z poglądami na to, jak należy i jak nie należy traktować dzieci.

— Znam tylko jeden sposób, w jaki należy traktować dzieci. Człowiek powinien robić wszystko, co się da, aby zaspokoić potrzeby dziecka, tak jak on sam te potrzeby rozumie. Jeżeli to brzmi zbyt prosto, to przykro mi, ale…

Hoskins uśmiechnął się.

— Także nie to miałem na myśli. Myślałem o… — Przerwał i zwilżył wargi. — Myślałem o tym, o czym mówi Bruce Mannheim. Myślałem o debacie dotyczącej metod traktowania pewnych dzieci w placówkach opiekuńczych. Rozumie pani, o co mi chodzi?

— Panie doktorze, ja zajmowałam się przeważnie dziećmi słabymi i upośledzonymi. Usiłowałam utrzymać je przy życiu i pomóc im się wzmocnić. W takiej pracy nie ma właściwie o czym debatować, prawda?

— Więc nigdy nie miała pani do czynienia na płaszczyźnie zawodowej z tak zwanymi orędownikami praw dzieci w rodzaju Bruce'a Mannheima?

— Nigdy. Czytałam trochę o panu Mannheimie w gazetach. Ale nigdy się z nim nie zetknęłam. Ani z nim, ani z nikim do niego podobnym. Gdybym wpadła na niego na ulicy, nie poznałabym go. Nie mam też wyrobionego zdania na temat tego, co on głosi. Nie jestem ani za tym, ani przeciwko temu. Hoskins najwyraźniej doznał ulgi.

— Ja nie chcę twierdzić, że jestem przeciwnikiem Bruce'a Mannheima — powiedział — ani że nie zgadzam się z jego stanowiskiem. Jednak nie chcę też, żeby nasza praca stała się celem wrogiej propagandy. Bardzo by to nam skomplikowało życie.

— Oczywiście. Jest to ostatnia rzecz, której i ja bym pragnęła.

— A więc w porządku. Możemy iść dalej. Moje następne pytanie wiąże się z tym, czego będziemy tu od pani wymagali. Panno Fellowes, czy uważa pani, że potrafi pani kochać trudne, dziwne, być może niesforne, a nawet w wysokim stopniu odrażające dziecko?

— Kochać? Nie tylko opiekować się nim?

— Kochać. Zastępować mu rodziców. Być mniej więcej jego matką, panno Fellowes. Raczej więcej niż mniej. Będzie to najbardziej samotne dziecko w całej historii świata. Nie będzie mu potrzebna jedynie opiekunka. Będzie mu potrzebna matka. Czy jest pani przygotowana na podjęcie takich obowiązków? Czy chce pani je podjąć?

Wpatrywał się w nią znowu, jak gdyby zamierzał przejrzeć ją na wylot. I jeszcze raz ona przyjęła to skupione spojrzenie z niezachwianą mocą.

— Mówi pan, że on będzie dzieckiem trudnym i dziwnym i… Jak pan to powiedział? W wysokim stopniu odrażającym. Co pan ma na myśli?

— Mówimy o dziecku prehistorycznym. To pani wie. On… albo ona, jeszcze nie znamy płci, może okazać się dzikusem, większym dzikusem niż członek jakiegokolwiek współczesnego dzikiego plemienia. Zachowanie tego dziecka może być zachowaniem wprost zwierzęcym. Może okazać się nawet zachowaniem dzikiego zwierzęcia. To mam na myśli, mówiąc, że to dziecko może być trudne.

— Panie doktorze, ja pracowałam nie tylko z wcześniakami. Miałam też do czynienia z dziećmi emocjonalnie zaburzonymi. Zajmowałam się naprawdę kłopotliwymi małymi klientami.

— Być może nie tak kłopotliwymi jak ten.

— Zobaczymy.

— Będzie on najprawdopodobniej dziki, nieszczęśliwy i wściekły. Będzie obcy w tym świecie, do którego nie należy. I przestraszony. Zostanie wyrwany ze wszystkiego, co znał, i postawiony w sytuacji prawie kompletnej izolacji. Będzie prawdziwym dipisem. Zna pani to określenie, panno Fellowes? Pochodzi z połowy zeszłego wieku, z czasów drugiej wojny światowej, podczas której ludzie wyrwani ze swego środowiska wędrowali po całej Europie i…

— Teraz na świecie panuje pokój, panie doktorze.

— Oczywiście. Ale to dziecko nie zazna spokoju. Będzie cierpiało z powodu całkowitego zniszczenia własnego życia, będzie dipisem odczuwającym najdotkliwsze cierpienia. Na dodatek bardzo małym.

— Ile będzie miało lat?

— Obecnie nie potrafimy przenieść z przeszłości za jednym zaczerpnięciem masy większej niż czterdzieści kilogramów. W tej masie mieści się nie tylko żywy osobnik, ale i jego nieożywiona otoczka izolacyjna. A więc mówimy o małym, o bardzo małym dziecku.

— O niemowlęciu?

— Tego nie możemy być pewni. Mamy nadzieję, że przeniesiemy dziecko sześcio- lub siedmioletnie. Ale może znacznie młodsze.

— Nie wiecie, jakie to będzie dziecko? Macie zamiar sięgnąć na oślep?

Hoskins wyglądał na niezadowolonego.

— Pomówmy o miłości, panno Fellowes. O kochaniu tego dziecka. Gwarantuję pani, że to nie będzie łatwe. Pani naprawdę kocha dzieci, czyż nie? Nie chcę powiedzieć, że kocha je pani miłością banalną. I nie mówię teraz o właściwym wykonywaniu zawodowych obowiązków. Chcę dociec, co to słowo naprawdę znaczy, co znaczy miłość, co naprawdę znaczy macierzyństwo, czym jest bezwarunkowa miłość macierzyńska.

— Myślę, że wiem, czym ona jest.

— Z pani życiorysu wynika, że była pani raz zamężna i że od wielu lat żyje pani w samotności.

Panna Fellowes poczuła, że twarz jej płonie.

— Byłam kiedyś mężatką, to prawda. Przez krótki okres, dawno temu.

— Nie miała pani dzieci.

— Małżeństwo się rozpadło — wyjaśniła — przede wszystkim z tego powodu, że się okazało, że nie mogę mieć dziecka.

— Rozumiem — powiedział Hoskins nieco zakłopotany.

— Oczywiście ten problem można było rozwiązać. Żyjemy przecież w dwudziestym pierwszym wieku. Można było zastosować pozamaciczną komorę płodową, można było skorzystać z usług zastępczej matki, i tak dalej. Jednak mój mąż nie mógł się pogodzić z tym, że trzeba będzie uciec się do którejkolwiek z tych metod. Żadna, mu nie odpowiadała. Dla niego istniała tylko stara, tradycyjna metoda przekazywania genów. Miało to być naprawdę nasze dziecko, jego i moje. I ja miałam je nosić przez przepisowy okres dziewięciu miesięcy. Tylko że ja nie mogłam tego zrobić. A on nie mógł zmusić się do zaakceptowania jakiejś metody alternatywnej. I rozstaliśmy się.

— Przykro mi… Nie wyszła pani ponownie za mąż?

— Pierwsza próba była wystarczająco bolesna — odrzekła, starając się mówić spokojnym, pozbawionym emocji tonem. — Nie miałam pewności, czy następnym razem nie zostanę zraniona jeszcze głębiej, i nie byłam w stanie podjąć ryzyka. Ale, panie doktorze, to nie

oznacza, że nie umiem kochać dzieci. Nie muszę chyba dodawać, że dokonany przeze mnie wybór zawodu ma prawdopodobnie coś wspólnego z wielką pustką, jaką odczuwałam po rozwodzie. I tak, zamiast kochać jedno czy dwoje dzieci, kochałam ich dziesiątki. Setki. Kochałam je jak własne.

— Nie wszystkie były miłe?

— Nie, nie wszystkie.

— Nie były to jedynie rozkosznie szczebioczące słodkie istotki z noskami jak guziczki? A pani brała je takimi, jakimi były, traktowała je pani jednakowo, bez względu na to, czy były ładne, czy brzydkie, spokojne czy niesforne? Kochała je pani bez stawiania warunków?

— Bez stawiania warunków — powiedziała panna Fellowes. — Dzieci są dziećmi, panie doktorze. Może się zdarzyć, że te, które nie są ładne i grzeczne, najbardziej potrzebują pomocy. A pomoc zaczyna się od miłości.

Hoskins przez chwilę zastanawiał się w milczeniu. Panna Fellowes czuła, że narasta w niej poczucie zawodu. Przybyła tutaj przygotowana na to, że będzie musiała mówić o swoich doświadczeniach zawodowych, o badaniach nad brakiem równowagi elektrolitycznej, nad neuroreceptorami czy o badaniach w zakresie fizjologii. Ale Hoskins nie pytał o te rzeczy. Skupił się na pytaniu, czy ona jest zdolna kochać jakieś nieszczęśliwe, niesforne dziecko, czy potrafi kochać jakiekolwiek dziecko — jak gdyby o to tu w istocie chodziło. A także na kwestii jeszcze bardziej błahej — na pytaniu, czy ona zrobiła kiedyś coś, co mogło wywołać jakiś niepokój społeczny. Nie był natomiast ciekaw, jakie są jej prawdziwe kwalifikacje. Stało się dla niej oczywiste, że on chce zatrudnić jakąś inną kandydatkę, a ją grzecznie spławi, i to zaraz, kiedy tylko zastanowi się, jak to zrobić w sposób taktowny. Tymczasem on po dłuższej chwili powiedział:

— Jak szybko może pani złożyć wymówienie w swoim obecnym miejscu pracy?

Podekscytowana panna Fellowes spojrzała na niego z otwartymi ustami.

— To znaczy, że mnie pan zatrudni? Tak od razu? Hoskins uśmiechnął się. Przez chwilę na jego szerokiej twarzy widniał jakiś taki czarujący wyraz roztargnienia.

— A po co prosiłbym panią o złożenie wymówienia?

— Czy nie musi się na ten temat wypowiedzieć najpierw jakaś komisja?

— Panno Fellowes, komisja to ja. Ja jestem tą komisją, która podejmuje ostateczną decyzję. I mam zwyczaj robić to szybko. Wiem, jakiego rodzaju osoby poszukuję i wydaje mi się, że pani spełnia moje kryteria. Oczywiście mogę się mylić…

— A jeżeli pan się myli?

— Potrafię zmienić decyzję równie szybko, jak ją podjąłem, proszę mi wierzyć. W tym przedsięwzięciu nie ma miejsca na błędy. W grę wchodzi życie, życie człowieka, życie dziecka. Chcąc zaspokoić czysto naukową ciekawość, mamy zamiar zrobić temu dziecku coś, co niektórzy z pewnością nazwą potwornością. Nie mam co do tego złudzeń. Ale nie uważam, że jesteśmy potworami i nikt w instytucie tak nie uważa. Nie mam też skrupułów w związku z tym, co robimy, i wierzę, że na dłuższą metę to dziecko, które jest przedmiotem naszego eksperymentu, tylko na tym skorzysta. Jednak zdaję sobie jasno sprawę z tego, że inni zdecydowanie się ze mną nie zgadzają.

Dlatego chcemy, żeby to dziecko podczas pobytu w naszej epoce miało jak najlepszą opiekę. Jeżeli się okaże, że pani nie jest w stanie tej opieki mu zapewnić, zwolnimy panią bez wahania i zatrudnimy kogoś innego. Nie potrafię tego sformułować delikatnie. My tutaj nie jesteśmy sentymentalni i nie chcemy podejmować żadnego ryzyka w sprawach, nad którymi jesteśmy zdolni zapanować. Tak więc obecnie jest pani przyjęta do pracy warunkowo. Chcemy, żeby pani odcięła się całkowicie od dotychczasowej egzystencji, a równocześnie nie gwarantujemy, że u nas popracuje pani dłużej niż tydzień albo nawet jeden dzień. Czy chce pani podjąć takie ryzyko?

— Przedstawia pan sprawę bez ogródek, panie doktorze.

— Rzeczywiście. No więc, panno Fellowes? Co pani na to?

— Ja także nie lubię podejmować ryzyka. Jego twarz spochmurniała.

— Czy to znaczy, że pani odmawia?

— Nie, panie doktorze, przyjmuję pańską propozycję. Gdybym choć przez chwilę wątpiła w to, że nadaję się do tej pracy, nie przyszłabym tutaj. Jestem w stanie podołać temu zadaniu. I podołam mu. A pan nie będzie miał powodu żałować swojej decyzji, zapewniam pana. Od kiedy mam zacząć?

— Właśnie doprowadzamy pole statyczne do poziomu krytycznego. Spodziewamy się, że dokonamy zaczerpnięcia od dzisiaj za dwa tygodnie, piętnastego, dokładnie o wpół do ósmej wieczorem. Chcemy, żeby pani tu była w chwili przybycia dziecka gotowa natychmiast je przejąć. Do tego czasu będzie pani musiała zakończyć swoją działalność poza instytutem. Rozumie pani oczywiście, że będzie pani przez cały czas mieszkała na terenie instytutu? Mówiąc „przez cały czas" mam na myśli dwadzieścia cztery godziny na dobę. Tak w każdym razie będzie musiało być w fazie początkowej. Zwróciła pani na to uwagę, czytając informację o warunkach pracy?

— Tak.

— No to rozumiemy się doskonale.

Nie, pomyślała. Nie rozumiemy się wcale. Ale to nie jest ważne. Jeżeli pojawią się problemy, jakoś sobie z nimi poradzimy. Ważne jest

dziecko. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie. Wszystko.

1. Ta Która Wie

Był już środek dnia i wszyscy w obozowisku mieli wrażenie, że wisi nad nimi coś złego. Cała Drużyna Myśliwych wróciła z równiny, na której przebywała tak krótko, że nie zdołała nawet wytropić zwierzyny łownej, a co dopiero na nią zapolować. Wszyscy członkowie Drużyny, a było ich siedmiu, siedzieli skułem i ponurzy, trapiąc się tym, że zbliża się chyba wojna i zastanawiając się, co ta wojna będzie dla nich oznaczała. Kobiety Bogini, wypakowawszy trzy święte czaszki niedźwiedzie i umieściwszy je na kamiennych półkach ponad sanktuarium Bogini, kucały przed nimi nagie i namaszczone tłuszczem niedźwiedzim, krwią wilka i miodem, i recytowały śpiewnie specjalne modlitwy mające natchnąć plemię wielką mądrością w czasie wielkiego zagrożenia. Matki zebrały pod swe opiekuńcze skrzydła wszystkie małe dzieci, jak gdyby spodziewały się, że Inni mogą zaatakować w każdej chwili. Większe dzieci natomiast przyczaiły się na obrzeżu ich kręgu, przestraszone i niepewne.

A starsi mężczyźni-mędrcy i znakomitości plemienia — udali się wszyscy na mały wzgórek za obozowiskiem, żeby omówić strategię postępowania. Byli tam Srebrny Obłok i Jeżdżący na Mamucie, i jednooki, garbaty Walczący Jak Lew, i tłusty, powolny Cuchnący Wół Piżmowy. Od ich decyzji miał zależeć los plemienia.

Kiedy Inni wkroczyli na tereny myśliwskie plemienia na zachodzie i kiedy stało się jasne, że nic, co zrobiłby Lud, nie wypłoszyłoby ich stamtąd, starszyzna zadecydowała, że najlepiej będzie pójść na wschód.

— Bogini postanowiła dać ziemie na zachodzie Innym — stwierdził Cuchnący Wół Piżmowy. — Ale zimne tereny na wschodzie należą do nas. Bogini chce, żebyśmy się tam udali i żyli tam w pokoju.

Pozostali się z nim zgodzili. Kobiety Bogini rzuciły kamienie przeznaczenia i kamienie poparły zdanie mężczyzn.

Więc Lud przeniósł się na te tereny. Ale teraz Inni najwyraźniej pojawili się i tutaj.

Co teraz zrobimy? — zastanawiała się Ta Która Wie. Moglibyśmy pójść na południe, do ciepłych krain. Jednak w ciepłych krainach jest już na pewno pełno Innych. Czy wobec tego powinniśmy pójść na północ, tam, gdzie znajdują się straszne pola lodowe? Z pewnością Inni są zbyt delikatni i nie mogą żyć w takich okolicach.

Ale my też jesteśmy na to zbyt delikatni — pomyślała Ta Która Wie. — Tak, na pewno jesteśmy zbyt delikatni.

Poczuła, że ogarnia ją wielki smutek. Przywędrowali tu z daleka. Trudy podróży osłabiły ją. Wiedziała, że Srebrny Obłok też jest zmęczony, i nie tylko on, także wielu innych. Teraz należało

odpocząć, zebrać zapasy mięsa i orzechów na zimę, nabrać sił. Wyglądało jednak na to, że będą musieli znowu wędrować, że nie będą mogli odpocząć, że nie będą mieli chwili spokoju. Dlaczego tak się działo? Czy na tym ogromnym pustkowiu nie było miejsca, w którym mogliby się zatrzymać i zaczerpnąć tchu?

Ta Która Wie nie znała odpowiedzi. Ani na to pytanie, ani na żadne inne. Wbrew imieniu, które sobie nadała, nie potrafiła rozwiązać wiecznie ją gnębiącego problemu Innych. Nie potrafiła też dać sobie rady z wyzwaniami i tajemnicami własnego życia.

Była jedyną członkinią plemienia, która nie miała swego miejsca i która nie pełniła żadnej określonej funkcji. Jak większość dziewcząt, wyrosła w przeświadczeniu, że będzie matką, ale za długo czekała z wzięciem sobie towarzysza życia, gdyż wolała być wolna i móc się włóczyć. Czasami nawet chodziła z mężczyznami na polowania. Kiedy w końcu — bardzo późno, bo w dwudziestym roku życia — zgodziła się wziąć sobie za towarzysza Ciemny Wiatr, z jej łona wychodziły jedynie martwe dzieci. A później straciła i Ciemny Wiatr. Przyszła bowiem czarna zaraza i zabrała go w ciągu jednego popołudnia.

Ta Która Wie była wtedy jeszcze bardzo piękna, ale po śmierci Ciemnego Wiatru żaden z mężczyzn nie mających jeszcze towarzyszki życia jej nie chciał. Żaden jej nie chciał, mimo że była piękna. Mężczyźni wiedzieli, że jej łono jest miejscem zabijającym dzieci. Jakąż więc wartość przedstawiała sobą jako towarzyszka życia? Zresztą śmierć Ciemnego Wiatru była dowodem na to, że prześladuje ją pech. Tak więc została sama i miała być sama zawsze, miała pozostać nie tknięta przez mężczyzn — ona, która kiedyś miewała tylu chłopców. I miała nigdy nie stać się jedną z Matek.

Nie mogła także zostać Kobietą Bogini, bo kpiną byłoby, gdyby Bogini i wszystkiemu temu, co Ona reprezentowała, służyła kobieta bezpłodna. A poza tym tajemnice Kobiet Bogini trzeba było poznawać, zanim z dziewczęcych lędźwi popłynęła pierwsza krew. Bez sensu byłoby, gdyby starzejąca się dwudziestopięcioletnia kobieta, która w ciągu kolejnych pięciu lat urodziła pięcioro martwych dzieci, została Kobietą Bogini.

Tak więc Ta Która Wie nie została ani Matką, ani Kobietą Bogini, co oznaczało, że jest niczym. Robiła to, co zwykle robią kobiety: skrobała skóry, gotowała posiłki, zajmowała się chorymi i opiekowała się dziećmi. Nie miała jednak towarzysza życia i nie należała do żadnej Grupy, co czyniło z niej niemal obcą pośród własnego Ludu. Jedyną jej nadzieją było to, że Ta Co Przechowuje Przeszłość umrze, a ona zostanie kronikarką plemienia. Ta Co Przechowuje Przeszłość była kobietą taką jak ona: nie była ani Matką, ani kapłanką, była natomiast najbliższą przyjaciółką Tej Która Wie. Ta Co Przechowuje Przeszłość miała czterdzieści lat, była najstarszą kobietą plemienia, a mimo to

zachowała smukłość i wigor. Natomiast Ta Która Wie, o osiem lat młodsza od niej, stawała się już staruszką. Zaczynała myśleć, że przeznaczone jej jest zwiędnąć, uschnąć i umrzeć, zanim Ta Co Przechowuje Przeszłość przekaże jej pałeczki do mierzenia czasu i uda się do Bogini.

Życie Tej Która Wie było życiem pełnym smutku. Ale skrywała ten smutek przed innymi. Niech się jej boją, niech czują do niej niechęć. Nie dopuści do tego, żeby się nad nią litowali.

Teraz stała jak zwykle sama i patrzyła na pozostałych skupionych w grupach. Wszyscy oni, podobnie jak i ona, stali bezradni w obliczu zagrożenia ze strony Innych. Ale oni przynajmniej byli razem. Z faktu, że są w grupie, czerpali pocieszenie.

— Oto jest ta, której szukamy! — krzyknął Płonące Oko. — Ta Która Wie powinna wraz z nami walczyć przeciwko Innym!

— Ta Która Wie! Ta Która Wie! — wołali ochryple członkowie Drużyny Myśliwych.

Kpili z niej oczywiście. Czyż nie czynili tego zawsze? Czyż każdy z tych mężczyzn po kolei nie odrzucił jej po śmierci Ciemnego Wiatru, kiedy miała nadzieję, że znajdzie nowego towarzysza?

Mimo to podeszła i stanęła nad nimi, uśmiechając się dziko, podczas gdy oni kulili się, tworząc krąg na zamarzniętej ziemi.

— Tak — odezwała się. — To dobry pomysł. Potrafię walczyć tak jak każdy z was.

Wyciągnęła rękę tak szybko, że nikt nie mógł jej powstrzymać, i chwyciła włócznię Płonącego Oka. Płonące Oko stęknął z wściekłością i skoczył ku niej, ale ona zręcznie chwyciła włócznię, tak jak chwytają ją myśliwi i przytknęła krzemienny grot do brzucha Płonącego Oka. Płonące Oko spojrzał na nią, wybałuszając oczy. Był wzburzony. Nie tylko dlatego, że popełnione zostało świętokradztwo, bo kobieta trzymała jego włócznię, ale także dlatego, że myślał, iż ona naprawdę wepchnie mu tę włócznię w brzuch.

— Daj mi to — powiedział ochryple.

— Zobacz, Płonące Oko, ona umie ją trzymać — odezwał się Drzewo Wilków.

— Tak. Wiem też jak się nią posługiwać.

— Daj mi ją.

Ta Która Wie znowu dźgnęła Płonące Oko włócznią. Myślała, że mężczyzna wpadnie w szał, bo twarz miał purpurową, a po policzkach spływał mu pot. Wszyscy się śmiali. Płonące Oko rzucił się w stronę włóczni, a Ta Która Wie cofnęła się tak, że nie mógł do niej dosięgnąć. Rozwścieczony, splunął w jej stronę i złożonymi dłońmi zrobił znak oznaczający przekleństwo. Ta Która Wie uśmiechnęła się szeroko.

— Zrób ten znak jeszcze raz, a zmyję go twoją krwią — powiedziała.

— No, no, Ty Która Wiesz — odezwał się Płonące Oko szorstko. Widać było, że z najwyższym wysiłkiem stara się opanować. — Nie powinnaś dotykać tej włóczni, wiesz o tym dobrze. I tak grozi nam niebezpieczeństwo, nawet bez twoich bezecności.

— Zachęcałeś mnie, żebym wyszła w pole i walczyła razem z mężczyznami — powiedziała. — A do tego potrzebna mi włócznia, prawda? Twoja włócznia jest doskonała. Bardzo mi odpowiada. A ty zrób sobie drugą.

Mężczyźni znowu się roześmiali. Jednak w ich śmiechu brzmiała teraz jakaś osobliwa nuta.

Ta Która Wie znów udała, że dźga Płonące Oko włócznią, a on, klnąc, uchylił się. A potem ruszył naprzód powoli, jak gdyby chciał odebrać kobiecie broń siłą. Ale ona dźgnęła teraz naprawdę. Płonące Oko odskoczył. Wyglądał na rozzłoszczonego i trochę przestraszonego.

Ta Która Wie z trudem usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiła. Płonące Oko był najsilniejszym wojownikiem w całym plemieniu i najprzystojniejszym mężczyzną. Ramiona miał szerokie jak mamut, a jego zdumiewające ciemne oczy błyszczały jak węgle pod wspaniałymi brwiami wysuniętymi w przód jak nawis skalny. Kiedy byli jeszcze młodzi, spała z nim wiele razy. Miała też nadzieję, że po śmierci Ciemnego Wiatru on weźmie ją sobie za towarzyszkę. Jednak okazał się pierwszym, który jej odmówił. Powiedział, że pragnie tylko Mlecznego Źródła. Pragnął kobiety, która umiałaby rodzić dzieci, tak jej powiedział. I tak to się między nimi skończyło.

— No dobrze — zlitowała się wreszcie Ta Która Wie. Pochyliła się i wbiła włócznię Płonącego Oka w ziemię.

Był środek dnia i zrobiło się ciepło. Resztki spadłego w nocy śniegu stopniały, a ziemia zmiękła. Płonące Oko z dzikim pomrukiem wyrwał włócznię z ziemi.

— Powinienem cię zabić — powiedział, wywijając nią przed nosem Tej Która Wie.

— No to mnie zabij. Dalej.

Ta Która Wie rozłożyła ręce i wypięła pierś.

— Wal tutaj. Zabij kobietę, Płonące Oko. Będzie to wspaniały wyczyn.

— Może dzięki temu szczęście by się do nas uśmiechnęło — odpowiedział, ale opuścił broń. — Jeżeli jeszcze raz odważysz się tknąć moją włócznię, to związę cię i zostawię gdzieś na wzgórzu, żeby cię niedźwiedzie pożarły. Rozumiesz, co mówię? Rozumiesz?

— Zachowaj swoje groźby dla Innych — odpowiedziała spokojnie Ta Która Wie. — Ich trudniej przestraszyć niż mnie. Zresztą i ja się wcale nie boję.

— Widziałaś kiedyś Innego z bliska, prawda? — zapytał Góra o

Zwalonym Wierzchołku.

— Tak, kiedyś jednego widziałam — odpowiedziała Ta Która Wie, marszcząc brwi na to wspomnienie.

— Jaki on miał zapach z tak bliska? — zapytał Młoda Antylopa. — Założę się, że śmierdział.

Ta Która Wie kiwnęła głową.

— Jak zdechła hiena — powiedziała. — Jak coś, co się rozkłada od ponad miesiąca. I był brzydki. Jego twarz wyglądała tak, jakby mu ją ktoś rozpłaszczył. — Pokazała wyrazistym gestem jak. — A zęby miał takie małe jak dziecko. Miał też śmieszne małe uszy i malutki nos. A jego ręce i nogi… — Wzdrygnęła się. — Wyglądały idiotycznie i były okropne. Jak u pająka. Takie długie i cienkie.

Wszyscy patrzyli na nią z przerażeniem. Nawet Płonące Oko nie odrywał od niej wzroku. Nikt inny w całym plemieniu, nawet sam Srebrny Obłok, nigdy nie stał twarzą w twarz z Innym. A ona stała, stała tak blisko, że mogła wyciągnąć rękę i go dotknąć. Niektórzy widywali Innych od czasu do czasu, ale z daleka i tylko przez chwilę, kiedy tamci przechodzili. Było to w czasach, kiedy plemię przebywało na zachodzie. Tylko Ta Która Wie natknęła się w lesie na jednego z nich.

Zdarzyło się to bardzo dawno. Ta Która Wie miała wtedy dziewiętnaście lat i wciąż jeszcze była niesforną dziewczyną, która żyła tak, jak chciała, inaczej niż wszyscy.

Mężczyźni z Drużyny Myśliwych zabronili jej wtedy chodzić ze sobą na patrole, a ona pewnego ranka udała się na patrol sama. Była w ponurym nastroju i odeszła daleko od obozowiska. W południe, wśród niewielkiej kępki brzóz o białej korze znalazła małe skalne jeziorko. Zdjęła futrzaną szatę, chcąc się wykąpać w jego chłodnej błękitnej wodzie. Kiedy już z niej wyszła, zobaczyła ze zdumieniem Innego. Tak, był to bez wątpienia Inny. Stał i patrzył na nią z odległości nie większej niż dwadzieścia kroków.

Był wysoki, niewiarygodnie wysoki, tak wysoki jak drzewo i bardzo szczupły. Miał wąskie ramiona i zapadniętą pierś. Mimo wysokiego wzrostu wyglądał wskutek tego bardziej krucho niż kobieta. Jego twarz była najdziwniejszą twarzą, jaką Ta Która Wie w życiu widziała. Rysy miał dziwnie delikatne, jak rysy dziecka, a cerę niezwykle bladą. Jego szczęki wyglądały na tak słabe, że Ta Która Wie zastanawiała się, jak radzi sobie z gryzieniem mięsa. Podbródek natomiast miał nieprzyjemny wygląd: był ciężki i wysunięty do przodu. Oczy ten Inny miał duże, w dziwnym, wyblakłym, wodnistym kolorze, a jego czoło biegło prosto w górę — nie miał wcale wałów nad oczami.

W sumie, pomyślała, jest zadziwiająco brzydki, tak brzydki jak jakiś demon. Nie wyglądał jednak groźnie. Nie zauważyła, żeby miał

przy sobie broń, a poza tym najwyraźniej się do niej uśmiechał. W każdym razie ona, patrząc jak na jego odsłonięte drobne zęby, uważała, że się uśmiecha.

Była całkiem naga, prezentowała się w całej swej krasie, w pełnym rozkwicie swej młodzieńczej piękności. Kiedy tak stała przed nim bez cienia wstydu, przyszła jej do głowy nieoczekiwana myśl. Pomyślała mianowicie, że chciałaby, żeby ten człowiek skinął na nią i przywołał do swego boku, a potem wziął ją w ramiona i kochał się z nią w sposób, w jaki Inni kochają się ze swymi kobietami. Był brzydki i dziwny, ale ona go pragnęła. Dlaczego tak się dzieje? — zastanowiła się. I zaraz odpowiedziała sobie na to pytanie: pragnęła go, bo był nie taki jak ona i jej współplemieńcy, bo był czymś nie znanym, bo był inny. Tak, była gotowa mu się oddać. A potem poszłaby z nim do obozowiska, żyłaby z nim i stałaby się jedną z Innych. Bo sprzykrzyli jej się mężczyźni z własnego plemienia i chciała zaznać czegoś nowego. Tak. Tak było.

Czego miała się bać? Inni byli podobno przerażającymi demonami, a jednak ten człowiek nie miał w sobie niczego demonicznego. Miał tylko dziwną twarz był zbyt wysoki i chudy. Nie wydawał się wcale groźny. Tylko inny.

— Mam na imię Spadająca Rzeka — powiedziała, bo takie imię nosiła w tamtych czasach. — A ty kim jesteś?

Inny nie odpowiedział. Z głębi jego gardła wydobył się dźwięk, który mógł być śmiechem. Więc on się śmiał?

— Podobam ci się? — spytała. — Wszyscy w moim plemieniu uważają mnie za piękną. A ty?

Przeczesała dłońmi długie, gęste włosy, które były mokre po kąpieli. Zaczęła się wdzięczyć i przeciągać, pozwalając mu zobaczyć, jak pełne ma piersi, jak mocne są jej ramiona i uda, i szyja. Zrobiła dwa czy trzy kroki w jego stronę, uśmiechając się i nucąc pieśń pożądania.

Jego oczy otworzyły się szeroko. Pokręcił głową. Wyciągnął w jej stronę wyprostowaną rękę, dłonią ku niej i zaczął dawać znaki palcami, czarodziejskie znaki bez wątpienia znaki sprowadzające demony. Cofnął się.

— Nie boisz się mnie, prawda? Ja chcę się tylko bawić. Chodź tutaj, Inny.

Uśmiechnęła się do niego szeroko.

— Słuchaj, przestań się cofać! Nie zrobię ci nic złego. Czy nie rozumiesz, co mówię?

Mówiła bardzo głośno, bardzo wyraźnie, robiąc długie przerwy między słowami. Ale on nadal się cofał. Wzięła swoje piersi w dłonie i wypchnęła je w uniwersalnym geście oddania.

Zrozumiał to, przynajmniej to zrozumiał.

Wydał niski pomruk, jak zwierzę znajdujące się w potrzasku. W jego oczach pojawił się błysk strachu. Wargi cofnęły się, wyrażając co? Przerażenie? Obrzydzenie?

Tak, obrzydzenie. Zrozumiała, że to było obrzydzenie.

Muszę mu się wydawać tak samo brzydka jak on mnie.

Odwrócił się teraz i uciekał od niej, biegł chwiejnym krokiem przez brzozowy zagajnik.

— Poczekaj! — zawołała. — Poczekaj, Inny! Wróć! Nie uciekaj!

Ale jego już nie było. Nigdy dotąd żaden mężczyzna jej nie odmówił. Coś takiego zdarzyło jej się po raz pierwszy w życiu. Była tym zdziwiona. Nie chciała w to uwierzyć. Doświadczenie okazało się druzgoczące. Był Innym, to prawda, a ona musiała wydawać mu się obca i niepociągająca, ale czy rzeczywiście była tak odpychająca, że musiał wydać ten pomruk i robić te grymasy? Czy rzeczywiście była tak odpychająca, że musiał uciekać?

No tak. Musiał być jeszcze niedorosłym chłopcem, powiedziała sobie. Był co prawda bardzo wysoki, ale był chłopcem.

Tej nocy powróciła do plemienia z silnym postanowieniem, że w końcu weźmie sobie towarzysza, a kiedy wkrótce potem Ciemny Wiatr poprosił ją, żeby dzieliła z nim jego futro do spania, bez wahania przyjęła jego propozycję.

— Tak — powiedziała mężczyznom z Drużyny Myśliwych. — Tak, wiem bardzo dobrze, jacy są Inni. Kiedy ich dogonimy, będę wśród was i będę zabijała te paskudne bestie podobne do obrzydliwych demonów. Bo właściwie są takimi demonami.

— Zobaczcie — powiedział Drzewo Wilków, wskazując palcem. — Starzy ludzie schodzą ze wzgórza.

Rzeczywiście, schodzili. Prowadził ich Srebrny Obłok. Kulał i w sposób zbyt oczywisty udawał, że nie kuleje. Za nim szli pozostali trzej starcy. Ta Która Wie patrzyła, jak wmaszerowują do obozu i jak idą prosto do sanktuarium Bogini. Przez dłuższy czas Srebrny Obłok konferował z trzema kapłankami. Wszyscy czworo kręcili głowami, a potem znowu kiwali nimi. Aż w końcu Srebrny Obłok wystąpił, mając przy swoim boku najstarszą kapłankę i przemówił.

— Letnie Święto — powiedział — będzie w tym roku odwołane, albo przynajmniej odłożone na później. Bogini okazała niezadowolenie, sprowadzając w pobliże obozowiska, tak, sprowadzając bardzo blisko, grupę Innych. Inni pojawili się tutaj, na terenach wschodnich, gdzie nie powinni mieszkać. Jest oczywiste, że Lud zrobił coś niewłaściwego. Jest też oczywiste, że to miejsce nie jest dla Ludu dobre. Dlatego Lud odejdzie stąd jeszcze dzisiaj i uda się z pielgrzymką do Miejsca Trzech Rzek, w którym w zeszłym roku, idąc na wschód, wzniósł wspaniałe sanktuarium na cześć Bogini. W Miejscu Trzech Rzek Lud będzie błagał Boginię, żeby mu wyjaśniła, jakie

popełnił błędy.

Ta Która Wie jęknęła.

— Ale podróż zajmie nam kilka tygodni! A poza tym to nie ten kierunek! Pójdziemy prosto na tereny, które właśnie opuściliśmy, na tereny, na których aż roi się od Innych!

Srebrny Obłok zmierzył ją lodowatym i gniewnym spojrzeniem.

— Bogini obiecała nam ten kraj. Obiecała, że nie będzie tu Innych. Przyszliśmy tu i okazuje się, że Inni już tu są. Tak nie powinno być. Musimy zapytać Boginię o wskazówki.

— Zapytajmy więc o nie na południu. Tam będzie przynajmniej cieplej. I może znajdziemy przyzwoite miejsce na obozowisko, miejsce nie otoczone przez Innych.

— Ty możesz iść na południe. Masz na to nasze zezwolenie, Ta Która Wie. A reszta plemienia wyrusza dziś po południu w drogę do Miejsca Trzech Rzek.

— A co z Innymi? — krzyknęła.

— Inni nie odważą się zbliżyć do sanktuarium Bogini — odpowiedział Srebrny Obłok. — Ale skoro tak się boisz, że to zrobią, idź na południe! Tak, idź sobie na południe!

Ta Która Wie usłyszała śmiech. Śmiał się Płonące Oko. A potem zaczęli się śmiać i inni członkowie Drużyny Myśliwych. Dołączyły się do nich niektóre Matki. Za chwilę śmiali się wszyscy, wytykając ją palcami.

Żałowała, że nie ma już w rękach włóczni Płonącego Oka. Gdyby ją miała, rozgromiłaby ich, nic by jej nie powstrzymało, zrobiłaby rzeź.

— Idź na południe! — wołali do niej. — Idź na południe, idź na południe!

Przekleństwo cisnęło jej się na usta, ale się powstrzymała i nic nie powiedziała. Zrozumiała, że oni rzeczywiście chcą, żeby sobie poszła. Jeżeli teraz wyrwą się jej jakieś gniewne słowa, oni mogą ją wypędzić. Dziesięć lat temu przyjęłaby to z ochotą. Ale teraz była już starą kobietą, miała więcej niż trzydzieści lat. W jej sytuacji odejście od plemienia równałoby się pewnej śmierci.

Wymamrotała pod nosem parę gniewnych słów, a potem odwróciła wzrok od uporczywego spojrzenia, jakim wpatrywał się w nią Srebrny Obłok.

Srebrny Obłok klasnął w dłonie.

— W porządku — zawołał. — Zacznijcie się wszyscy zbierać do drogi! Zwijamy obóz! Wyruszamy, zanim się zrobi ciemno!

2. Przybycie

W ciągu tych kilku tygodni Edith Fellowes miała mnóstwo zajęć. Najtrudniejsze okazało się rozstanie z pracą w szpitalu. Dwutygodniowy okres wymówienia był nie tylko niezgodny z przepisami; zaproponowanie go było także czymś wysoce niewłaściwym. Jednak kiedy panna Fellowes oświadczyła, że opuszcza swoje dotychczasowe miejsce pracy bardzo niechętnie i tylko dlatego, że zaproponowano jej, aby wzięła udział w niewiarygodnie ekscytującym nowym przedsięwzięciu badawczym, administracja szpitala okazała zrozumienie.

Panna Fellowes wymieniła nazwę Instytutu Badań nad Polem Statycznym.

— Będzie się pani opiekowała małym dinozaurem? — zapytano ją przy wtórze stłumionego śmiechu.

— Nie, nie dinozaurem — powiedziała. — Będzie to praca o wiele bliższa temu, na czym się znam.

Nie podała żadnych dalszych szczegółów. Doktor Hoskins zabronił jej rozmawiać o nich z kimkolwiek. Jednak tym, którzy znali Edith Fellowes, nie było trudno się domyślić, że przedsięwzięcie musi mieć związek z dziećmi. A jeżeli zatrudniają ją ludzie, którzy sprowadzili tego sławnego dinozaura z ery mezozoicznej, to ich obecne przedsięwzięcie musi być czymś podobnym, być może ma polegać na sprowadzeniu prehistorycznego dziecka z jakiejś zamierzchłej epoki. Panna Fellowes ani nie potwierdziła ich domysłów, ani im nie zaprzeczyła. Ale oni i tak wiedzieli swoje. Wszyscy. Oczywiście udzielono jej urlopu.

Mimo to przez kilka dni musiała pracować praktycznie przez całą dobę. Zamknęła w tym czasie nie zakończone sprawy, napisała końcowe sprawozdanie, przygotowała spisy inwentarzowe dla swoich następczyń, oddzieliła własne wyposażenie i materiały naukowe od szpitalnych. Wymagało to wysiłku, ale tak naprawdę nie było kłopotliwe. Natomiast rzeczą rzeczywiście trudną okazało się pożegnanie z dziećmi. Dzieci bowiem nie mogły uwierzyć, że panna Fellowes odchodzi.

— Wróci pani za tydzień albo dwa, prawda panno Fellowes? — pytały, tłocząc się wokół niej. — Wyjeżdża pani po prostu na wakacje, prawda? Bierze pani krótki urlop? A dokąd pani jedzie, panno Fellowes?

Niektóre znała od dnia ich urodzenia. Teraz miały po pięć, sześć, siedem lat. Większość była pacjentami ambulatoryjnymi. Niektóre jednak przebywały w szpitalu na stałe. A ona pracowała z nimi od lat.

Trudno było powiedzieć im, że odchodzi, bardzo trudno.

Panna Fellowes zebrała jednak siły i zrobiła to. Potrzebowało jej teraz inne dziecko, dziecko najniezwyklejsze z niezwykłych, dziecko, którego historia była czymś unikatowym w dziejach wszechświata. Panna Fellowes wiedziała, że powinna być tam, gdzie jest najbardziej potrzebna.

Zamknęła swoje małe mieszkanie znajdujące się w południowej części miasta. Wybrała z niego tylko te rzeczy, które miała zabrać ze sobą do nowego domu, a resztę zmagazynowała. Zrobiła to dość szybko. Nie miała roślin doniczkowych, o które musiałaby się martwić. Nie miała też kotów ani innych zwierząt. Praca była jedyną rzeczą, jaka się dla niej naprawdę liczyła: liczyły się dzieci, zawsze tylko dzieci, niepotrzebne jej były zwierzęta czy rośliny.

Z właściwą sobie ostrożnością przedłużyła jednak okres najmu mieszkania na czas nieokreślony, gdyż bardzo poważnie potraktowała słowa Geralda Hoskinsa, który ostrzegł ją, ze w każdej chwili może przestać u niego pracować. Albo że może okazać się, że sama będzie chciała zrezygnować. Wiedziała, iż musi brać pod uwagę to, że ta praca może jej nie odpowiadać, że może uznać, iż nie satysfakcjonuje jej rola, jaką ma do odegrania w całym przedsięwzięciu, że może się bardzo szybko przekonać, iż biorąc tę pracę, popełniła gigantyczną pomyłkę. Nie spaliła za sobą mostów, o nie: szpital miał czekać na jej powrót, szpital, dzieci i mieszkanie.

Podczas tych ostatnich dwóch tygodni mimo całego zaabsorbowania różnymi sprawami odbyła kilka razy podróż przez całe miasto do Instytutu Badań nad Polem Statycznym, żeby pomóc w przygotowaniach do przybycia dziecka z przeszłości. Przydzielono jej troje podwładnych: dwóch młodych mężczyzn i kobietę, a ona przedstawiła im listę potrzebnych rzeczy, na której były lekarstwa, dodatkowe produkty żywnościowe, a nawet inkubator.

— Inkubator? — zapytał Hoskins.

— Inkubator — odpowiedziała.

— Ależ, panno Fellowes, nie mamy zamiaru sprowadzać wcześniaka.

— Pan nie wie, kogo pan sprowadzi, panie doktorze. Sam mi pan to powiedział. Być może będzie to dziecko chore albo słabe, a może takie, które zachoruje z chwilą, gdy do jego organizmu dostaną się nasze współczesne bakterie. Chcę mieć inkubator, na wszelki wypadek.

— Inkubator. No dobrze.

— I sterylną komorę, tak dużą, żeby mogło się w niej zmieścić zdrowe dziecko. Na wypadek, gdyby się okazało, że jest za duże, aby żyć w inkubatorze.

— Ależ panno Fellowes, niech pani będzie rozsądna. Nasz budżet jest…

— Potrzebna mi sterylna komora. Do czasu, kiedy przekonamy się, że możemy bez ryzyka dopuścić do tego, by to dziecko zostało skażone naszym powietrzem.

— Obawiam się, że skażenie jest nieuniknione. To dziecko będzie wdychało nasze pełne bakterii powietrze od chwili przybycia. Nie możemy zapewnić sterylności w polu statycznym, czego pani, jak się zdaje, wymaga. W żaden sposób, panno Fellowes.

— Chcę, żeby znalazł się jakiś sposób.

Hoskins spojrzał na nią tak, że już wiedziała, iż nie ma o czym mówić.

— Ten spór, panno Fellowes, na pewno z panią wygram. Doceniam pani chęć chronienia dziecka przed wszelkim ryzykiem. Ale pani nie ma pojęcia o fizycznych cechach naszego wyposażenia. Musimy po prostu pogodzić się z faktem, że nie jesteśmy w stanie umieścić dziecka natychmiast w idealnie czystej komorze izolacyjnej. Nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

— A co będzie, jeżeli dziecko zachoruje i umrze?

— Nasz dinozaur wciąż cieszy się dobrym zdrowiem.

— Nie ma powodu sądzić, że gady, prehistoryczne czy nie, są podatne na infekcje bakteryjne, które przenoszą choroby na człowieka. Ale teraz sprowadzacie istotę ludzką, a nie małego dinozaura. Sprowadzacie przedstawiciela naszego własnego gatunku.

— Doceniam ten fakt, panno Fellowes.

— I dlatego proszę pana, żeby…

— A ja pani mówię, że odpowiedź brzmi: „nie”. Pewne ryzyko musi zostać podjęte. Infekcja bakteryjna jest częścią tego ryzyka. Jeżeli pojawi się jakiś problem, będziemy gotowi udzielić wszelkiej pomocy lekarskiej. Ale nie mamy zamiaru stwarzać jakiegoś cudownego, w stu procentach bezpiecznego środowiska. Nie stworzymy go. — Następnie ton Hoskinsa zmiękł. — Proszę posłuchać, panno Fellowes. Ja sam mam dziecko, małego chłopca, który jeszcze nawet nie chodzi do przedszkola. Tak, w moim wieku… I to dziecko jest najwspanialszą rzeczą, jaka mi się w życiu zdarzyła. Otóż chcę, aby pani wiedziała, panno Fellowes, że zależy mi na bezpieczeństwie tego dziecka, które tu przybędzie w przyszłym tygodniu, tak samo jak na bezpieczeństwie własnego syna Jerry’ego. I że jestem pewien, że wszystko pójdzie dobrze, tak jak byłbym tego pewien, gdyby w eksperymencie brał udział mój własny syn.

Panna Fellowes nie miała pewności, czy są to argumenty całkiem logiczne. Jednak stało się dla niej jasne, że doktor Hoskins nie ustąpi i że ona mogłaby na niego wpłynąć tylko wtedy, gdyby zagroziła rezygnacją. Rezygnację jednak chciała traktować jako ostateczność. Bez sensu byłoby grozić nią teraz. Była to jedyna jej broń. Należało zachować ją na właściwą chwilę, a ta chwila nie wydawała się

właściwa.

Hoskins okazał się równie nieugięty, kiedy poprosiła go, żeby jej pozwolił zobaczyć miejsce, w którym dziecko miało przebywać.

— Jest to obszar pola statycznego i odbywa się tam teraz nieustanne odliczanie. Nikt tam nie może wejść. Nikt. Ani pani, ani ja, ani prezydent Stanów Zjednoczonych. Nie możemy przerwać odliczania po to, żeby pani mogła zwiedzić to miejsce.

— Ale jeżeli mieszkanie jest nieodpowiednie…

— Mieszkanie jest odpowiednie, panno Fellowes. Więcej niż odpowiednie. Niech mi pani zaufa.

— Jednak wolałabym…

— Naprawdę. Proszę mi zaufać.

Słowa pełne podłości. A jednak ona mu ufała, do pewnego stopnia w każdym razie.

Nie była pewna, jak dobrym uczonym jest Hoskins, nie wiedziała tego, mimo że na jego tabliczce pysznił się tytuł „DOKTOR". Jedno wszakże było bezsprzeczne: był twardym administratorem. Nie doszedłby do swojego stanowiska, gdyby łatwo ludziom ustępował.

* * *

Punktualnie o piątej po południu piętnastego tego miesiąca telefon panny Fellowes zadzwonił. Telefonował Phil Bryce, jeden z podwładnych Hoskinsa.

— Do zakończenia odliczania zostały jeszcze trzy godziny, panno Fellowes, i wszystko idzie zgodnie z planem. Wysyłamy po panią samochód. Przyjedzie punktualnie o siódmej.

— Dziękuję, mogę się tam dostać sama.

— Doktor Hoskins polecił mi wysłać samochód. Będzie pod pani domem o siódmej.

Panna Fellowes westchnęła. Mogła dyskutować, ale na co by się to zdało?

Trzeba pozwolić Hoskinsowi zwyciężać w rzeczach małych, postanowiła. I zachować amunicję na wielkie bitwy, które z pewnością są przede mną.

* * *

Padał niewielki deszcz. Wieczorne niebo było szare i posępne, a zabudowania instytutu wyglądały brzydziej niż zwykle. Były duże, podobne do stodół i nie miały w sobie krzty elegancji ani wdzięku.

Wszystko wydawało się tu tymczasowe i wykonane w pośpiechu. To miejsce miało w sobie coś stechnicyzowanego i surowego, było pozbawione radości i nieludzkie. Panna Fellowes spędziła całe dorosłe życie w szpitalach, ale przy tych budynkach nawet najbardziej ponury szpital wydawał się siedliskiem radości i śmiechu. No i ci pracownicy z plakietkami — wszyscy zajęci swoimi sprawami, wszyscy zamknięci w sobie, mówiący ściszonymi głosami, działający niemal jak wojsko w czasie alarmu.

Co ja tu robię? — zadała sobie pytanie. — Jak to się stało, że zostałam w to wszystko wciągnięta?

— Tędy, panno Fellowes, tędy proszę — powiedział Bryce.

Ludzie zaczęli kiwać głowami na jej widok i witać ją skinięciami rąk. Wydawało się, że nie trzeba jej im przedstawiać. Wszyscy tutaj, kobiety i mężczyźni, zdawali się ją znać i wiedzieć, jaka jest jej funkcja. Oczywiście do jej uniformu przypięta była plakietka, ale ona miała wrażenie, z,e nikt na tę plakietkę nie patrzy. „To jest opiekunka dziecka” — zdawali się mówić wszyscy. Nie czuła się speszona, wchodząc coraz dalej w głąb budynku, idąc wzdłuż korytarzy, w których panował nastrój tymczasowości i wkraczając do tej części instytutu badawczego, do której nigdy przedtem nie miała wstępu.

Z głośnym szczękiem zeszli po metalowych schodach i wkroczyli do jakiegoś pozbawionego okien tunelu oświetlonego jaskrawo przez fluorescencyjne lampy. Przez pewien czas szli pod ziemią. Czas ten wydał się pannie Fellowes wiecznością. W końcu podeszli do stalowych drzwi. Na ich czarnej powierzchni tańczył w dół i w górę sfalowany morowy wzór zabezpieczającej osłony.

— Proszę przyłożyć plakietkę do osłony — powiedział Bryce.

— Doprawdy, czy to wszystko jest potrzeb…

— Proszę to zrobić, panno Fellowes. Proszę.

Drzwi ustąpiły. Przed nimi były następne schody. Szli w górę, ciągle w górę. Schody biegły spiralnie po ścianach ogromnej krypty w kształcie beczki. A potem poszli korytarzem, przeszli przez następne drzwi… Czy rzeczywiście to wszystko było potrzebne?

W końcu panna Fellowes znalazła się na balkonie wychodzącym na ogromny szyb. Daleko pod nią znajdowało się skupisko jakichś urządzeń ustawionych tak, że tworzyły matrycę, która wyglądała jak coś pośredniego między tablicą nawigacyjną statku kosmicznego a płytą czołową gigantycznego komputera albo może scenografią do filmu będącego fantastycznym i nonsensownym „naukowym” eposem. Między tymi urządzeniami miotała się w idiotycznie teatralny sposób obsługa techniczna. Ludzie byli rozczochrani, mieli obłęd w oczach i

dawali sobie gwałtowne znaki rękami. Z jednego gniazdka do drugiego przeciągano grube, czarne kable, przyglądano się im kręcąc głowami, a potem odciągano na dawne miejsca. Błyskały światła, na ogromnych ekranach przesuwały się w dół cyfry.

Doktor Hoskins znajdował się niedaleko na balkonie. Spojrzał na nią tylko i nie podchodząc do niej, mruknął:

— A, panna Fellowes.

Wyglądał na zaabsorbowanego, całkowicie zajętego czym innym, prawie nieobecnego duchem.

Nie zasugerował nawet, by usiadła, mimo że za barierką balkonu stały w czterech, a może pięciu rzędach składane krzesła. Panna Fellowes znalazła sobie jedno i przysunęła je do krawędzi balkonu, żeby lepiej widzieć.

Nagle w szybie zabłysły reflektory, oświetlając obszar znajdujący się tuż pod nią, który dotychczas był ciemny. Panna Fellowes spojrzała w dół i zobaczyła ścianki działowe oddzielające od siebie pomieszczenia czegoś, co wyglądało jak mieszkanie bez sufitu, ogromny domek dla lalek, do którego można było zaglądać z góry.

W jednym pomieszczeniu zobaczyła kuchenkę mikrofalową i zamrażarkę, a w drugim urządzenia łazienkowe. Było tam też małe pomieszczenie zawierające dobrze jej znane wyposażenie medyczne. Przyjrzawszy się lepiej, zobaczyła, że jest tam wszystko, o co prosiła podwładnych Hoskinsa. Łącznie z inkubatorem.

A ten przedmiot, który dostrzegła w następnym pomieszczeniu, mógł być tylko częścią łóżka, małego łóżeczka.

Mężczyźni i kobiety z plakietkami wchodzili gęsiego do pomieszczenia, w którym się znajdowała, i zajmowali miejsca obok niej. Panna Fellowes rozpoznała kilku członków zarządu, którym została poprzednio przedstawiona, chociaż nie pamiętała nazwisk. Pozostałych nie znała. Wszyscy kiwali głowami i uśmiechali się do niej, jakby pracowała tutaj od lat.

A później zobaczyła człowieka, którego nazwisko i twarz dobrze znała: szczupłego, przystojnego mężczyznę w wieku jakichś pięćdziesięciu pięciu lat z malutkimi, starannie przystrzyżonymi siwymi wąsami i bystrymi oczami, które zdawały się widzieć wszystko.

Candide Deveney! Korespondent naukowy Międzynarodowych Telewiadomości!

Panna Fellowes niezbyt często oglądała telewizję. Godzinę lub dwie tygodniowo, czasami nawet mniej. Były tygodnie, podczas których zapominała nawet włączyć odbiornik. Książki stanowiły dla niej wystarczającą rozrywkę, a bywały też dość długie okresy, podczas których praca tak ją fascynowała, że i książki wydawały się zbędne. Jednak Candide Deveney był osobowością telewizyjną, którą

naprawdę znała. Bywały chwile, od czasu do czasu, kiedy miały miejsce wydarzenia tak ogromnie interesujące, że panna Fellowes po prostu m u s i a ł a je zobaczyć, nie tylko czytać o nich, wydarzenia takie jak lądowanie na Marsie albo publiczna prezentacja małego dinozaura, albo spektakularny wybuch nuklearny wysoko na wschodnią półkulą niszczący malutki ale niebezpieczny asteroid, który przed dwoma laty groził zderzeniem z Ziemią. Candide Deveney pojawiał się na ekranie przy okazji każdego z tych wydarzeń. Zawsze był widoczny, gdy działo się coś, co miało doniosłe znaczenie naukowe. To, że dzisiejszego wieczora znajdował się tutaj, zdumiało pannę Fellowes. Poczuła, że jej serce bije trochę szybciej, gdyż zdała sobie sprawę, że dzisiejsze wydarzenie musi być czymś bardzo ważnym. Musiało tak być, skoro on uznał, że warto tu się znaleźć. Podekscytowało ją też to, że sama jest tak blisko Candide'a Deveneya, że może wyciągnąć rękę i go dotknąć w chwili, gdy zbliża się tak doniosły moment.

Ale potem skrzywiła się na własną głupotę. Deveney był w końcu tylko dziennikarzem. Dlaczego miałaby się nim tak zachwycać? Czy to, że widywała go w telewizji, stanowiło dostateczny powód?

Większym powodem do zachwytu, pomyślała, jest to, że oni mieli sięgnąć w odległą przeszłość i sprowadzić malutką istotę ludzką do dwudziestego pierwszego wieku. Na dodatek ona miała brać udział w tym eksperymencie i odgrywać w nim bardzo ważną rolę. Ona — a nie Candide Deveney. To Candide Deveney powinien być zachwycony tym, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z Edith Fellowes, a nie odwrotnie.

Hoskins podszedł do Deveneya i powitał go. Wyglądało na to, że wyjaśnia mu, na czym polega to przedsięwzięcie. Panna Fellowes pochyliła głowę, by to usłyszeć.

Deveney mówił:

— Zastanawiałem się, co wy robiliście od czasu, gdy byłem tu po raz ostatni, w dniu, kiedy przybył dinozaur. Zastanawiałem się zwłaszcza nad jednym: nad sprawą selektywności.

— Proszę mówić dalej — odezwał się Hoskins.

— Potraficie sięgnąć tylko na pewną odległość. To wydaje się sensowne. Im dalej sięgacie, tym bardziej wszystko jest niewyraźne i w końcu dochodzicie do absolutnej granicy energetycznej. Nie mam żadnych trudności ze zrozumieniem tego. Jednak równocześnie wydaje się, że istnieje też granica z drugiej strony, granica, poza którą nie możecie sięgnąć. Nie możecie więc wydobyć obiektu, który znajduje się bliżej w czasie niż ta granica. To jest dla mnie zagadkowe. I nie tylko dla mnie. Jeżeli możecie schwytać coś, co istniało sto milionów lat temu, to wydaje się, że powinniście też móc sprowadzić coś z poprzedniego wtorku i to z o wiele mniejszym wysiłkiem. A

jednak wy mi mówicie, że do poprzedniego wtorku nie możecie się wcale dostać, podobnie jak do czegokolwiek, co jest nam bliskie w czasie. Dlaczego tak się dzieje?

— No więc, Deveney, może będzie się to panu wydawało mniej paradoksalne, jeżeli pozwoli mi pan posłużyć się analogią — powiedział Hoskins.

(Mówi do niego „Deveney”! — pomyślała panna Fellowes. — Jak profesor mimochodem wyjaśniający coś studentowi.)

— Proszę bardzo, proszę się posłużyć analogią — odrzekł Deyeney. — Proszę się posłużyć czymkolwiek, co według pana ułatwi zrozumienie.

— A więc to jest tak: człowiek nie jest w stanie czytać książki wydrukowanej normalną czcionką, jeżeli ta książka znajduje się dwa metry od jego oczu, prawda? Ale może ją czytać z łatwością, jeżeli trzyma ją w odległości, powiedzmy, trzydziestu centymetrów. Jak dotąd im bliżej tym lepiej. Ale gdy przysunie książkę na odległość cala, znowu nie jest w stanie czytać. Oko ludzkie nie potrafi po prostu zogniskować się na czymś, co jest tak blisko. Tak więc odległość jest czynnikiem decydującym na więcej niż jeden sposób. Odległość zbyt mała jest tak samo nieodpowiednia jak zbyt wielka. W każdym razie wtedy, kiedy chodzi o zdolność widzenia.

— Mhm — mruknął Deveney.

— Albo weźmy inny przykład. Pański prawy bark znajduje się o jakieś siedemdziesiąt centymetrów od końca pańskiego prawego palca wskazującego i może pan dotknąć prawego barku prawym palcem wskazującym bez żadnych trudności. No ale pański łokieć znajduje się o połowę bliżej końca pańskiego palca wskazującego niż bark. Zwykła logika mówi, że dotknąć łokcia palcem wskazującym powinno być o wiele łatwiej niż dotknąć barku. A więc niech pan to zrobi, niech pan dotknie prawego łokcia prawym palcem wskazującym. I tym razem problem w tym, że jest za blisko.

— Czy mogę się posłużyć tymi analogiami w moim reportażu? — zapytał Deveney.

— Ależ oczywiście. Niech pan pisze, co pan chce. Wie pan, że ma pan wolny dostęp do wszystkiego. Chcemy, żeby tym razem cały świat zaglądał nam przez ramię. Będzie tu mnóstwo do zobaczenia.

(Panna Fellowes, ku własnemu zaskoczeniu, uświadomiła sobie, że podziwia spokojną pewność Hoskinsa. Była w niej bowiem siła.)

— Jak daleko w przeszłość macie zamiar sięgnąć dzisiaj? — zapytał Deveney.

— Czterdzieści tysięcy lat.

Panna Fellowes gwałtownie wciągnęła powietrze. Czterdzieści tysięcy lat?

* * *

Nigdy nie rozważała tej możliwości. Była zbyt zaabsorbowana innymi rzeczami: zrywaniem profesjonalnych więzi ze szpitalem i przygotowywaniem się do życia tutaj. Teraz nagle uświadomiła sobie, że nie zadała sobie trudu, żeby poświecić uwagę obecnemu przedsięwzięciu, mimo że istniało w związku z nim sporo rzeczy, nad którymi należało się zastanowić.

Wiedziała oczywiście, że miano sprowadzić dziecko z przeszłości i umieścić je w obecnym świecie. Wiedziała leż — chociaż nie była pewna, skąd uzyskała tę informację — że dziecko miało pochodzić z epoki prehistorycznej.

Ale słowo „prehistoryczny" mogło oznaczać cokolwiek. Większa część Europy sprzed zaledwie trzech tysięcy lat mogła być uważana za „prehistoryczną". Nawet w dzisiaj istniały takie zakątki świata, w których ludzie żyli czymś w rodzaju życia prehistorycznego. Panna Fellowes, poświęciwszy tej sprawie tyle uwagi, ile poświęciła,' doszła do wniosku, że dziecko będzie pochodziło z jakiejś przedrolniczej epoki, w której ludzie wiedli życie nomadów, prawdopodobnie z epoki sprzed pięciu, a najwyżej dziesięciu tysięcy lat.

Ale czterdzieści tysięcy?

Na to nie była przygotowana. Czy to dziecko, które oni)ej przekażą, będzie w ogóle rozpoznawalne jako istota ludzka? Czy przed czterdziestoma tysiącami lat w ogóle istniał homo sapiens!

Panna Fellowes zaczęła żałować, że nie pamięta choć trochę więcej z uniwersyteckiego kursu antropologii, na który uczęszczała dawno temu, bo to, co odgrzebywała z pamięci obecnie, było tylko strzępkami informacji, i to informacji okrojonych i zniekształconych. Zanim wyewoluował prawdziwy człowiek, istniał człowiek neandertalski, tak? Neandertalczycy byli istotami prymitywnymi i mającymi cechy zwierzęce. A przed nimi po świecie wędrowały jeszcze prymitywniejsze pitekantropy, a także inne istoty o równie skomplikowanych nazwach, jak również jakieś odmiany przed- czy podczłowieka — kudłate, małe, nagie małpy człekokształtne, które mogły uchodzić za naszych odległych przodków. Ale jak dawno temu żyli wszyscy ci przodkowie? Dwadzieścia tysięcy lat temu? Pięćdziesiąt?

Sto tysięcy? Panna Fellowes naprawdę nie wiedziała na ten temat niczego konkretnego.

Boże drogi, czy ja będę się opiekowała dzieckiem małpy człekokształtnej?

Zaczęła drżeć. Ona kłóciła się o inkubatory i sterylne komory, a oni tymczasem przygotowywali się do rzucenia jej na podołek czegoś

podobnego do szympansa! Tak? Tak było? Mieli jej oddać pod opiekę dziką, kudłatą małą istotę z pazurami i zębami, istotę, której miejsce było w zoo, a nie pod opieką specjalistki od…

A może nie? Może tak nie było? Może neandertalczycy, pitekantropy i wszystkie te wczesne formy praczłowieka żyły milion lat temu albo wcześniej i może ona miała mieć do czynienia tylko z niesfornym małym chłopcem? Z takimi chłopcami miewała do czynienia już przedtem.

A jednak czterdzieści tysięcy lat to taki ogromny szmat czasu. Jego ogrom ją oszałamiał.

Czterdzieści tysięcy lat?

Czterdzieści tysięcy lat?

* * *

W powietrzu wyczuwało się napięcie. Chaotyczny balet w szybie na dole ustał. Technicy przy urządzeniach kontrolnych prawie się teraz nie ruszali. Porozumiewali się przy pomocy znaków tak subtelnych, że prawie niezauważalnych. To któryś uniósł brew, to znowu inny postukał sobie palcem w przegub.

Człowiek znajdujący się przy mikrofonie mówił do niego cicho i monotonnie. Wypowiadał krótkie zdania, które dla panny Fellowes nic nie znaczyły. Były to przeważnie cyfry przeplatane czymś, co wyglądało na zaszyfrowane komunikaty, tajemnicze i nieprzeniknione.

Deveney usiadł tuż obok niej. Po drugiej stronie znajdował się Hoskins. Przechylając się przez balkonową barierkę i wpatrując się intensywnie przed siebie, dziennikarz powiedział:

— Czy będzie tu coś do zobaczenia, panie doktorze? To znaczy, czy będą jakieś efekty wizualne?

— Co takiego? Nie. Nic, dopóki nie będzie po wszystkim. Namierzamy pośrednio, czymś takim jak radar, z tym, że posługujemy się raczej mezonami niż promieniowaniem. Od kilku tygodni operujemy skanerami mezonowymi, nastrajając je i przestrajając. Mezony sięgają wstecz… w odpowiednich warunkach. Niektóre zostają odbite i my te odbicia analizujemy. A potem wprowadzamy je ponownie i używamy ich jako czynnika naprowadzającego w następnej sondzie, namierzając obiekt coraz precyzyjniej, aż do chwili, gdy zaczynamy się zbliżać do pożądanego poziomu dokładności.

— To chyba trudne zadanie. Skąd możecie mieć pewność, że osiągnęliście właściwy poziom?

Hoskins uśmiechnął się. Jak zwykle uśmiech rozbłysnął na jego

twarzy i zaraz zgasł.

— Pracujemy nad tym już od piętnastu lat. A właściwie to około dwudziestu pięciu, jeżeli liczyć też pracę firmy, która była naszą poprzedniczką i której pracownicy ustalili wiele z podstawowych zasad, nie będąc jednak w stanie dokonać przełomu i osiągnąć prawdziwej niezawodności działania. Tak, to trudne zadanie, Deveney. Bardzo trudne. A nawet przerażające.

Człowiek przy mikrofonie podniósł rękę.

— Przerażające? — zapytał Deveney.

— Nie lubimy doznawać niepowodzeń. Jaw każdym razie zdecydowanie tego nie lubię. A niepowodzenie jest naszym wiecznym zagrożeniem. Pracujemy tu w obszarach prawdopodobieństwa. Mamy do czynienia z efektami kwantowymi, rozumie pan. Możemy mieć najwyżej nadzieję na osiągnięcie wyniku prawdopodobnego, a nigdy pewnego. To oczywiście nie jest wystarczające, ale to wszystko, czego możemy się spodziewać.

— A mimo to wydaje się, że ma pan sporą pewność.

— Tak — powiedział Hoskins. — Od kilku tygodni nastawiamy się na ten określony moment w czasie, zabezpieczamy go, biorąc pod uwagę nasze własne ruchy temporalne, sprawdzamy paralaksy, szukamy wszystkich wyobrażalnych relatywnych zniekształceń, bezustannie się upewniamy, że z wystarczającą precyzją jesteśmy w stanie radzić sobie z przepływem czasu. I wydaje nam się, że potrafimy tego dokonać. Chciałbym nawet powiedzieć, iż w i e m y, że potrafimy tego dokonać.

Mimo to czoło mu błyszczało od potu.

Nagle w pomieszczeniu zapadła straszliwa cisza, którą zakłócały tylko ciężkie oddechy. Edith Fellowes uświadomiła sobie, że wstaje, pochyla się i chwyta kurczowo balkonową barierkę.

Nie było jednak nic widać.

— Teraz — powiedział spokojnie człowiek przy mikrofonie. Cisza jeszcze się wzmogła. Był to jakiś nowy rodzaj ciszy, cisza totalna, cisza niewiarygodnie głęboka jak na pomieszczenie pełne ludzi. Ale ta cisza nie trwała dłużej niż trwa pojedynczy oddech.

A potem rozległ się krzyk przerażonego małego chłopca. Krzyk dobiegał z domku dla lalek znajdującego się pod panną Fellowes. Był to krzyk nie do opisania przeraźliwy. Był to rodzaj krzyku, na dźwięk którego człowiekowi chce się zakryć sobie dłońmi uszy.

Przerażenie! Rozdzierające serce przerażenie!

Przerażone dziecko krzyczące w chwili okropnego szoku, krzyczące z rozpaczą, wydobywające z siebie głos o zdumiewającej sile. Ten krzyk był wyrazem przerażenia straszliwego, wręcz niewyobrażalnego.

Głowa panny Fellowes obróciła się w stronę, z której ten krzyk

dobiegał.

Pięść Hoskinsa bębniła o barierkę, a sam Hoskins powiedział zduszonym głosem, drżąc w poczuciu zwycięstwa:

— Udało się!

* * *

Rzucili się pędem po spiralnie opadających schodach. Hoskins zbiegał pierwszy, tuż za nim Deveney, a panna Fellowes, nie proszona, podążała za nimi. Być może dopuszczała się złamania przepisów bezpieczeństwa. Pomyślała, że tak może być. Jednak biegła, bo słyszała przecież ten krzyk dziecka.

Jeżeli Candide Deveney może tam iść, powiedziała sobie, to i jej miejsce jest na dole.

U stóp schodów Hoskins zatrzymał się i rozejrzał. Wydawał się trochę zaskoczony tym, że panna Fellowes zeszła za nim. Ale tylko trochę. Nie odezwał się do niej ani słowem.

Nastrój w pomieszczeniu na dole zmienił się teraz dramatycznie. Całe podniecenie zniknęło. Zniknęło też prawie całkowicie napięcie. Technicy, którzy monitorowali aparaturę służącą do sięgnięcia w przeszłość, wyglądali na całkiem wyczerpanych. Stali spokojnie, jakby byli oszołomieni. Hoskins i na nich nie zwracał uwagi. Byli jak porzucone części maszynerii, niepotrzebne mu już dłużej.

Z domku dla lalek dobiegało bardzo ciche bzyczenie.

— Wejdziemy teraz do środka — powiedział Hoskins.

— Wejdziemy w pole statyczne? — zapytał Deveney, trochę przestraszony.

— To jest całkiem bezpieczne. Robiłem to z tysiąc razy. Przechodząc przez powłokę pola, człowiek doznaje dziwnego uczucia, ale trwa to tylko chwilę i nie ma żadnego znaczenia. Proszę mi zaufać.

Przeszedł przez otwarte drzwi, pokazując im w milczeniu, co miał na myśli. Deveney, uśmiechając się nerwowo i robiąc głęboki wdech, poszedł za nim w chwilę później.

— Pani też, panno Fellowes — odezwał się Hoskins. — Proszę bardzo!

Zakrzywił niecierpliwie palec wskazujący.

Panna Fellowes kiwnęła głową i przeszła przez próg. Poczuła pole, nie miała co do tego wątpliwości. Było to tak, jakby przez jej ciało przeszła łaskocząca fala.

Ale gdy znalazła się w środku, nie odczuwała niczego niezwykłego. Wszystko było normalnie. W powietrzu unosił się

świeży, czysty zapach drewna, z którego dopiero co wybudowano te pomieszczenia. Poczuła też inny zapach — zapach ziemi, lasu…

Uświadomiła sobie, że krzyk spanikowanego dziecka ucichł przed chwilą. Teraz w polu statycznym panował spokój. Od czasu do czasu do jej uszu dobiegał odgłos szurania nogami, drapania w drewniane ściany, rozległo się też coś, co brzmiało jak jęk.

— Gdzie jest dziecko? — spytała rozpaczliwie. Hoskins sprawdzał jakieś tarcze i przyrządy pomiarowe umieszczone przy wejściu do domku dla lalek. Deveney gapił się na niego jak ogłupiały. Żadnemu z nich najwyraźniej nie spieszyło się do dziecka, do dziecka, które zostało właśnie wyrwane z jakiejś niewyobrażalnie dawnej epoki przez tę ogromną i niepojętą maszynerię.

Czy ci głupi mężczyźni w ogóle nie przejmują się dzieckiem?

Panna Fellowes, nie pytając o nic nikogo, poszła przed siebie, zakręcającym pod kątem prostym korytarzem prowadzącym do pokoju, w którym stało łóżko.

Dziecko znajdowało się w tym pokoju. Był to chłopiec.

Bardzo mały chłopiec. Bardzo mały chłopiec, bardzo brudny, bardzo mizerny i wyglądający bardzo dziwnie.

Mógł mieć trzy lata — na pewno nie miał wiele więcej. Był nagi. Jego mała, pokryta brudem pierś falowała nierówno. Naokoło niego leżała ziemia, leżały też pojedyncze kamyki i wydarte z gruntu kępki szorstkiej trawy. Wszystko to tworzyło na podłodze duże półkole, jak gdyby do pokoju wsypano przypadkowo cały buszel wykopanej ziemi. Unosił się z tego intensywny zapach gleby, a poza tym coś cuchnęło. Panna Fellowes zauważyła duże ciemne mrówki i coś, co wyglądało na włochate pająki. Krążyły koło bosych, brązowych stóp chłopca.

Spojrzenie Hoskinsa pobiegło w ślad za jej przerażonym wzrokiem.

— Nie można było wyrwać go z jego czasu samego — powiedział tonem ostrym, zdradzającym wzburzenie. — Ze względu na bezpieczeństwo musieliśmy zabrać trochę różnych rzeczy z jego otoczenia. A może wolałaby pani, żeby pojawił się tutaj bez jednej nogi albo bez połowy głowy?

— Proszę przestać! — powiedziała panna Fellowes, doznając ataku obrzydzenia. — Czy będziemy tak tu stali? Biedne dziecko jest przerażone. A poza tym jest brudne.

To ostatnie zdanie przedstawiało sprawę w formie zbyt łagodnej. Nigdy w życiu nie widziała dziecka o wyglądzie tak odrażającym. Chłopiec chyba nie był myty co najmniej przez kilka tygodni, a może nie myto go nigdy od samego urodzenia. Cuchnął. Całe ciało miał pokryte zaskorupiałym brudem. Na jego udzie widniało duże zadrapanie. Było czerwone i najwidoczniej bolące, prawdopodobnie zainfekowane.

— No, no, niech na ciebie popatrzę — wymamrotał Hoskins, podchodząc ostrożnie do chłopca.

Mały zgarbił się, przycisnął łokcie do boków, schował głowę w ramiona i przybrał instynktownie postawę obronną, a potem cofnął się gwałtownie. Oczy mu płonęły ze strachu i chęci stawiania oporu. Kiedy doszedł do ściany i nie mógł się cofać dalej, uniósł górną wargę, prychnął i zasyczał… jak kot. Były to dźwięki budzące przerażenie — dzikie, zwierzęce, wściekłe.

Panna Fellowes poczuła, że przenika ją zimny dreszcz. Więc to był jej nowy podopieczny? T o? To małe… zwierzątko?

Rzeczywistość okazała się tak zła, jak się obawiała.

A właściwie gorsza. Tak, gorsza. Bo on prawie nie wyglądał na człowieka. Był ohydny. Był małym potworem.

Hoskins szybko schwycił chłopca za przeguby, pociągnął za ręce i skrzyżował mu je na brzuchu. Równocześnie podniósł go — wierzgającego nogami, wijącego się i krzyczącego — nad podłogę.

Chłopiec wył i zawodził jak banshee. Te dźwięki wybuchały z głębi jego ciała z zadziwiającą siłą. Panna Fellowes zauważyła, że chłopiec drży, i zmusiła się do zachowania spokoju. Hałas był przerażający, rozdzierający uszy, odpychający, brzmiał jak coś, co wydziera z siebie istota niższa niż człowiek. Prawie nie można było uwierzyć, że taki mały chłopiec potrafi wydawać tak okropne dźwięki.

Hoskins trzymał go w powietrzu w wyciągniętych rękach, obejrzał się na pannę Fellowes i spojrzał na nią udręczonym wzrokiem.

— Tak, niech go pan trzyma. Niech go pan nie stawia na podłodze. I niech pan uważa na jego paznokcie u nóg, kiedy kopie. Niech go pan zaniesie do łazienki. Tam go umyjemy. Jemu potrzebna jest przede wszystkim ciepła kąpiel.

Hoskins kiwnął głową. Mimo że chłopiec był mały, nie przychodziło mu łatwo trzymać go tak spętanego. Mierzyli się tutaj dorosły mężczyzna i małe dziecko. Jednak to dziecko, chociaż było małe, miało ogromną, nie poskromioną siłę. A poza tym to dziecko bez wątpienia uważało, że walczy o życie.

— Niech pani napełni wannę, panno Fellowes! — krzyknął Hoskins. — Prędko!

W polu statycznym byli teraz i inni ludzie, wśród których, w całym tym zamieszaniu, panna Fellowes rozpoznała trójkę swoich asystentów.

— Elliott, proszę odkręcić wodę. Mortenson, potrzebne mi antybiotyki. On ma zainfekowaną ranę na nodze. Proszę przynieść cały zestaw środków. Stratford, proszę wezwać ekipę do sprzątania, niech zlikwiduje cały ten bałagan.

Wszyscy troje zabrali się raźno do roboty. Panna Fellowes

ochłonęła. Teraz, kiedy wydawała polecenia, mijał szok, mijało też przerażenie i wracało jej zawodowe opanowanie. To zadanie będzie trudne, tak. Ale ona jest przecież specjalistką od trudnych przypadków. I miała w życiu do czynienia z wieloma takimi przypadkami.

Pojawili się pomocnicy. Wniesiono pojemniki, w których miano przechować to, co sprowadzono wraz z chłopcem. Pracownicy zmietli ziemię, kamyki i kępki trawy, po czym wynieśli pojemniki do magazynu znajdującego się gdzieś na tyłach.

— Pamiętajcie, ani odrobina nie może się wydostać poza kopułę — krzyknął za nimi Hoskins.

Panna Fellowes weszła z Hoskinsem do łazienki i dała mu znak, żeby zanurzył chłopca w wannie, którą Elliott pospiesznie napełniał ciepłą wodą. Panna Fellowes nie, była już w tej chwili zdezorientowaną obserwatorką, stała się natomiast sprawną i doświadczoną pielęgniarką zabierającą się do swojej roboty. Była na tyle opanowana, że zatrzymała się i popatrzyła na dziecko spokojnie, fachowym okiem. Popatrzyła na nie tak, jak gdyby widziała je po raz pierwszy.

To, co zobaczyła, wzbudziło w niej ponownie nieopanowane przerażenie. Zaszokowana, zawahała się przez chwilę, walcząc z uczuciami, które ją nagle opanowały. Powściągnąwszy je, zignorowała jednak w końcu cały brud i wrzask, zignorowała wierzganie i wicie się i dojrzała samego chłopca.

Jej pierwsze wrażenie, wrażenie, którego doznała w chwili ogromnego zamieszania, nie kłamało. Chłopiec był najbrzydszym dzieckiem, jakie w życiu widziała. Był przerażająco brzydki — brzydkie w nim było wszystko od niekształtnej głowy aż po pałąkowate nogi.

Ciało miał bardzo krępe, klatkę piersiową potężną, a ramiona szerokie. No cóż, pomyślała, nie ma w tym nic takiego niezwykłego. Ale ta ogromna czaszka! To wypukłe, pochyłe czoło! Ten wielki, kartoflowaty nos z ogromnymi, przypominającymi jamy nozdrzami, które nie tylko miały potężne otwory, ale były też niezwykle głębokie. No i te ogromne, wpatrujące się w nią oczy, osadzone w kolosalnych oczodołach! I cofnięty podbródek, i krótka szyja, i karłowate kończyny!

Czterdzieści tysięcy lat — powiedziała do siebie osłupiała panna Fellowes.

No nie, on raczej nie był człowiekiem.

Był zwierzęciem. Najgorszy scenariusz, jaki sobie wyobraziła, okazał się więc prawdziwy. Dziecko małpy człekokształtnej — oto czym był. Był czymś w rodzaju szympansa. To za opiekowanie się tym stworem płacili jej tak dużo! Ale czy ona będzie mogła się nim

zaopiekować? Co wiedziała na temat opieki nad małymi, dzikimi, prehistorycznymi małpami człekokształtnymi?

A jednak… jednak…

Może się myliła? Miała głęboką nadzieję, że tak jest.

W tych jego ogromnych, błyszczących, oczach, z których wyzierała wściekłość, tlił się płomień inteligencji, będącej bez wątpienia inteligencją ludzką. Jego skóra — jasno-brązowa, niemal śniada — była pokryta tylko delikatnym złotym puszkiem, a nie szorstką, kudłatą sierścią, jakiej można by się spodziewać u małego zwierzątka. A jego twarz — chociaż brzydka — nie była twarzą małpy człekokształtnej. Patrząc na niego, należało przeniknąć głębiej, nie zwracać uwagi na powierzchowną brzydotę, a kiedy się to zrobiło, widziało się, że jest w rzeczywistości po prostu małym chłopcem.

Małym chłopcem, tak, brzydkim małym chłopcem, dziwnym małym chłopcem, małym człowiekiem — brudnym, przestraszonym ludzkim dzieckiem o pałąkowatych nogach, o dziwnie ukształtowanej głowie, prawie nieobecnym podbródku, z zainfekowanym skaleczeniem na udzie i z dziwacznym czerwonym znamieniem na policzku, które wyglądało jak zygzakowata błyskawica. Tak, tak, nie wyglądał jak dzieci, z którymi panna Fellowes miała w życiu do czynienia, mimo to jednak postara się uważać go za istotę ludzką. Tak, będzie uważała go za biedne, zagubione, przestraszone dziecko, które wyrwano z własnej epoki, za istotę ludzką. Może jej się to uda.

Ale, Boże drogi, jakiż on był brzydki! Boże jedyny, Boże drogi, zmusić się do kochania czegoś tak brzydkiego — to nie lada wyzwanie! Wbrew temu, co powiedziała doktorowi Hoskinsowi podczas ich rozmowy, panna Fellowes nie miała wcale pewności, że uda jej się go pokochać. Uświadomiwszy to sobie, poczuła, że jest głęboko zaniepokojona.

Wanna była już pełna. Elliott — krzepki, ciemnowłosy mężczyzna o wielkich dłoniach i grubych przegubach — wziął chłopca z rąk doktora Hoskinsa i trzymał jego wijące się ciałko do połowy zanurzone w wodzie. Mortenson, drugi z asystentów, wprowadził wózek w utensyliami medycznymi. Panna Fellowes wycisnęła do wanny pół tuby antyseptycznego mydła i w wannie zaczęła tworzyć się żółtawa piana z bąbelkami. Bąbelki przyciągnęły uwagę chłopca, który na chwilę przestał krzyczeć i wierzgać. Jednak tylko na chwilę. Bo potem najwyraźniej przypomniał sobie, że dzieje się z nim coś okropnego, i znowu zaczął stawiać opór. Elliott roześmiał się.

— Śliski jest, cholernik. Tym razem o mało mi się nie wypsnął.

— Proszę uważać i nie wypuszczać go z rąk — powiedziała srogo panna Fellowes. — Boże, co za brud! Ostrożnie… niech go pan trzyma!

Było to zajęcie wymagające brutalności. Pomagało jej dwóch

mężczyzn, a mimo to z trudem udawało się trzymać dziecko w ryzach. Chłopiec bez przerwy wił się, wierzgał, drapał, wrzeszczał. Panna Fellowes nie miała pojęcia, czy on uważa, że broni życia, czy też sądzi, że walczy jedynie o zachowania godności. Wiedziała tylko, iż nigdy dotąd nie miała tak opornego pacjenta. Wszyscy byli teraz ochlapani brudną wodą z mydłem, a Elliott przestał się śmiać. Chłopiec przejechał mu po ręce paznokciami i pod gęstymi kędzierzawymi włoskami pojawiła się długa, podbiegnięta krwią krecha. Panna Fellowes zastanawiała się, czy przypadkiem, aby skończyć tę robotę, nie trzeba będzie dać dzieciakowi czegoś na uspokojenie. Uważała to za środek ostateczny, którego należy użyć dopiero w chwili desperacji.

— Po skończeniu tej roboty niech pan zrobi sobie zastrzyk z antybiotyku — powiedziała do Elliotta. — To zadrapanie wygląda paskudnie. Nie wiadomo, jakie prehistoryczne bakterie ten chłopak ma pod paznokciami.

Uświadomiła sobie, że zupełnie zapomniała o swoim niedawnym żądaniu, żeby dziecko umieścić w sterylnym, wolnym od zarazków środowisku. Teraz to żądanie wydawało jej się głupie. Chłopiec był taki silny, taki ruchliwy, taki zawzięty. A ona wyobrażała sobie, że to będzie słaba, podatna na ciosy mała istotka…

No, ale przecież tak naprawdę, powiedziała sobie panna Fellowes, on i tak może doznać obrażeń, bez względu na to, jak zawzięcie walczy. Przez pierwsze kilka dni będą musieli go bardzo dokładnie obserwować, aby się upewnić, że nie złapał jakiejś infekcji bakteryjnej, na którą nie ma wrodzonej odporności.

— Proszę go wyjąć z wanny — powiedziała. — Mortenson, zmieńmy wodę. Boże, Boże, jakież to dziecko jest brudne!

Kąpiel zdawała się trwać bez końca.

Panna Fellowes pracowała w milczeniu i czuła, że ogarnia ją wściekłość. Jej nastrój zmieniał się. Zaczynała być zirytowana, naprawdę zła. Nie zastanawiała się nad tym, że mierzenie się z trudnym wyzwaniem jest bardzo stymulujące. W jej głowie dominowała teraz myśl — pobudzana bezustannym dzikim rzucaniem się i wrzaskami chłopca oraz tym, że wszystko wokół niej zaczynało być przemoczone — iż Hoskins oszustwem wmanipulował ją w zadanie niemożliwe do wykonania, w zadanie, którego prawdziwej natury ona właściwie nie pojmowała.

Mówił coś o tym, że dziecko może nie być ładne. Ale powiedzieć to jedno, a drugie to ostrzec, że dziecko może być zdeformowane w sposób budzący odrazę, a poza tym tak niesforne jak zwierzę z dżungli. No i unosił się wokół niego fetor, który woda i mydło mogły usunąć tylko stopniowo.

W miarę jak batalia nad wanną się przedłużała, panna Fellowes nabierała coraz większej chęci, żeby cisnąć chłopca — mokrego i

pokrytego mydlaną pianą — w ramiona doktora Hoskinsa i opuścić budynek instytutu. Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić. Miała przecież w końcu swoją dumę zawodową. Zgodziła się podjąć tę pracę, na dobre i na złe. Będzie więc po prostu musiała przez to przejść. Przyznała, iż Hoskins wcale jej nie oszukał. Powiedział, że praca będzie trudna. Powiedział, że dziecko będzie trudne, dziwne, niesforne i prawdopodobnie w wysokim stopniu odrażające. Tak dokładnie brzmiały jego słowa. Zapytał, czy jest gotowa kochać to dziecko miłością bezwarunkową — bez względu na to, jak cofniętą będzie miało szczękę i jak wypukłe czoło. A ona odpowiedziała: „Tak, tak, tak". Odpowiedziała, że jest gotowa dać sobie z tym wszystkim radę. Gdyby teraz wyszła, w oczach Hoskinsa pojawiłby się ten wyraz, zimny, badawczy wyraz mówiący: „A więc miałem rację. Panią interesuje jedynie opieka nad ładnymi dziećmi, prawda, panno Fellowes?"

Panna Fellowes spojrzała na Hoskinsa. Stał z boku, obserwując ich chłodno z pewnej odległości z półuśmieszkiem na twarzy. Ten półuśmieszek stał się szerszy, kiedy jego oczy spotkały się z jej oczami, tak jakby potrafił czytać w jej myślach i znał jej uczucia — złość i poczucie zdrady, które ją nurtowały — i jakby był tym ubawiony.

Rzucę to — pomyślała, gdy wściekłość opanowała ją ponownie.

Ale jeszcze nie teraz. Dopiero wtedy, kiedy będę tu wszystko miała pod kontrolą. Rzucić to wcześniej oznaczałoby się poniżyć. Najpierw muszę trochę ucywilizować tego małego dzikusa, a potem Hoskins może sobie znaleźć kogoś innego, kto się nim zajmie.

* * *

Potyczka w wannie zakończyła się zwycięstwem trojga dorosłych nad małym, przestraszonym dzieckiem. Warstwy brudu zostały z grubsza usunięte. Tak, zrobili przynajmniej tyle i skóra chłopca przybrała dość przyzwoicie wyglądający odcień różowości. Jego przeszywające uszy okrzyki strachu zamieniły się w niepewne skomlenie.

Wyglądał na wyczerpanego całą tą walką. Obserwował wszystko uważnie. Jego przestraszone, podejrzliwe oczy wędrowały w tę i z powrotem od jednej osoby obecnej w łazience do drugiej.

Drżał. Nie tyle ze strachu, co z zimna po kąpieli, domyśliła się panna Fellowes. Był krępy, ale bardzo chudy. Nie miał na sobie grama zbędnego tłuszczu, a jego ręce i nogi przypominały cienkie patyki. Trząsł się teraz tak, jakby zmyty przed chwilą brud tworzył na nim

przedtem warstwę izolacyjną.

— Przynieście mi koszulę nocną dla dziecka! — powiedziała ostro panna Fellowes.

Koszula pojawiła się natychmiast. Wydawało się, że wszystko jest przygotowane, a równocześnie okazywało się, że nic nie jest gotowe, dopóki ona nie wyda polecenia. Wyglądało to tak, jakby Hoskins umyślnie trzymał się z boku i pozwalał jej decydować, aby ją sprawdzić.

— Może lepiej będzie, jeżeli go potrzymam — powiedział krzepki Elliott. — Pani nie da rady włożyć mu jej sama.

— Ma pan rację — stwierdziła panna Fellowes. — Nie dam rady. Dziękuję.

Na widok koszuli oczy chłopca otworzyły się szeroko, jakby koszula była narzędziem tortur. Jednak tym razem bitwa była krótsza i mniej gwałtowna niż ta przy okazji kąpieli. Elliott schwycił obiema wielkimi dłońmi dwa małe przeguby i podniósł krótkie rączki, a panna Fellowes zręcznie przeciągnęła flanelową koszulę przez godną gnoma głowę.

Chłopiec wydał cichy, pytający dźwięk. Wsunął palce jednej dłoni za kołnierz koszuli i kurczowo schwycił materiał. Jego dziwne, pochyłe czoło sfalowało się. Pojawiły się na nim głębokie bruzdy.

Potem warknął cicho i szybkim ruchem mocno pociągnął materiał, jakby chciał zerwać z siebie koszulę.

Panna Fellowes energicznie dała mu klapsa w rękę. Doktor Hoskins, stojący za nią, wydał dźwięk świadczący o tym, że jest zaskoczony. Nie zwróciła na to uwagi.

Chłopiec poczerwieniał, ale nie zaczął płakać. Wpatrywał się w pannę Fellowes tak, jakby klaps wcale go nie obraził, lecz był raczej czymś znajomym i spodziewanym. Jego oczy były największymi oczami, jakie panna Fellowes widziała w życiu u dziecka. Ciemne, błyszczące i tajemnicze.

Rozczapierzone, krótkie i grube palce jego dłoni przesuwały się powoli po koszuli. Ale chłopiec nie próbował po raz drugi szarpać materiału.

No dobrze, i co dalej? — pomyślała panna Fellowes z rozpaczą.

Wszyscy zamarli i zdawali się czekać na jej decyzję… nawet brzydki mały chłopiec.

W jej głowie pojawiła się długa lista rzeczy do zrobienia. Kolejność niekoniecznie odpowiadała stopniowi ich ważności.

Działania profilaktyczne w związku z tym zainfekowanym zadrapaniem.

Obciąć paznokcie u rąk i u nóg.

Badanie krwi. Sprawdzić odporność systemu immunologicznego.

Szczepienia? Profilaktyczne zastosowanie antybiotyków?
Obciąć włosy.
Badanie kału. Czy są pasożyty w jelitach?
Sprawdzenie uzębienia.
Rentgen klatki piersiowej. Ogólny rentgen kręgosłupa.

I jeszcze jakieś pół tuzina innych haseł oznaczających mniej lub bardziej pilne rzeczy do wykonania. Zaraz potem uświadomiła sobie, co musi być najważniejsze — przynajmniej dla brzydkiego małego chłopca.

— Przygotowaliście jedzenie? Mleko? — spytała energicznie.

Przygotowali. Pani Stratford, jej trzecia asystentka, wprowadziła błyszczącą jednostkę ruchomą. W lodówce znajdującej się w jej wyposażeniu panna Fellowes znalazła trzy kwarty mleka, a także podgrzewacz i zestaw substancji wzbogacających w postaci dodatków witaminowych, a poza tym syrop zawierający miedź, żelazne i kobalt oraz inne rzeczy, którymi w tej chwili nie miała czasu się zajmować. W następnym przedziale ruchomej jednostki znajdowały się pokarmy dla dzieci w samoogrzewających się puszkach.

Mleko. Należało zacząć po prostu od mleka. Czym jeszcze mógł się żywić w miejscu, z którego go wyrwano? Na wpół przypalonym mięsem, dzikimi jagodami, korzonkami i owadami? Kto to mógł wiedzieć? Mleko było bezpieczne, bo bez wątpienia wchodziło w skład diety dziecka. U dzikich ludzi, domyślała się, karmienie piersią niewątpliwie trwało długo.

No ale dzicy ludzie nie mogli umieć posługiwać się kubkiem. Tyle panna Fellowes wiedziała na pewno. Nalała trochę mleka na spodek i wstawiła na kilka chwil do kuchenki mikrofalowej, aby je zagrzać.

Wszyscy na nią patrzyli: Hoskins, Candide Deveney, troje asystentów i pozostali, którzy zdołali wcisnąć się pod kopułę. Chłopiec też na nią patrzył.

— Tak, patrz na mnie — powiedziała do niego. — Kochane z ciebie dziecko.

Wzięła ostrożnie spodek, przysunęła go sobie do ust i udała, że chłepcze mleko.

Chłopiec nie odrywał od niej oczu. Ale czy zrozumiał, o co chodzi?

— Pij — powiedziała. — Tak się pije.

Jeszcze raz udała, że chłepcze. Poczuła się trochę głupio. Ale zignorowała to uczucie. Będzie robiła to, co wydaje się konieczne. Chłopca trzeba nauczyć, jak ma pić.

— Teraz ty — powiedziała.

Przysunęła do niego spodek, trzymając go tak, że chłopiec musiał jedynie wysunąć głowę i zacząć zlizywać mleko. Patrzył na spodek

poważnie, nie dając najmniejszego znaku, że zrozumiał.

— Pij — powiedziała. — Pij.

Wysunęła znowu język, chcąc mu jeszcze raz pokazać, jak to się robi.

Żadnej reakcji. Chłopiec tylko patrzył. I znowu drżał, chociaż w pokoju było ciepło, a koszula nocna z pewnością stanowiła wystarczające okrycie.

Trzeba mu pokazać wyraźnie, pomyślała panna Fellowes.

Postawiła spodek na podłodze. A potem ujęła chłopca za ramię jedną dłonią i, schylając się, zanurzyła trzy palce drugiej dłoni w mleku. Zgarnęła trochę mleka na palce i zwilżyła nim jego wargi. Mleko zaczęło skapywać po jego cofniętej szczęce.

Chłopiec krzyknął coś cienkim głosem. Takiego krzyku nie słyszała od do tej pory w jego wykonaniu. Chłopiec wyglądał na zawiedzionego i niezadowolonego. A potem przesunął językiem po zwilżonych wargach. Zmarszczył brwi. Posmakował. Język wysunął się ponownie, oblizując wargi.

Czy to uśmiech?

Tak. Tak. Było to w każdym razie coś w rodzaju uśmiechu. Panna Fellowes cofnęła się.

— Mleko — powiedziała. — To jest mleko. No dalej. Napij się.

Chłopiec ostrożnie zbliżył się do spodka. Pochylił się, a potem obejrzał się przez ramię, patrząc bystro, jak gdyby spodziewał się, że czai się jakiś wróg. Ale za nim nie było nikogo. Chłopiec pochylił się znowu — sztywno, niezdarnie, a potem wysunął głowę i zaczął lizać mleko — najpierw ostrożnie, a następnie z rosnącym zapałem. Chłeptał tak jak kot — głośno. Nie okazał chęci posłużenia się rękami w celu podniesienia spodka do ust. Był jak małe zwierzątko — skulony na podłodze chłeptał mleko.

Panna Fellowes nagle poczuła odrazę, mimo że przecież ona sama pokazała mu, jak ma pić. Pragnęła uważać go za dziecko, za dziecko ludzkie, a on tymczasem wracał do poziomu zwierzęcia. Naprawdę bardzo jej się to nie podobało. Bardzo. Wiedziała, że jej twarz zdradza te uczucia. Ale nie mogła nic na to poradzić. Dlaczego to dziecko było tak podobne do zwierzęcia? Było prehistoryczne, to prawda — pochodziło sprzed czterdziestu tysięcy lat! — ale czy to oznaczało, że musi tak bardzo przypominać małpę? Przecież było istotą ludzką. Prawda? Co oni za dziecko oddali pod jej opiekę?

— Panie doktorze, czy opiekunka wie? — powiedział Candide Deveney, najwyraźniej odgadując jej myśli.

— Co mam wiedzieć? — spytała panna Fellowes. Deveney zawahał się, ale Hoskins (znowu z wyrazem twarzy zdradzającym, że patrzy na to wszystko z dystansu i z rozbawieniem) odpowiedział:

— Nie jestem pewien. A może pan jej powie?

— Co to za tajemnice? — spytała znowu panna Fellowes. — Powiedzcie mi. Czy jest jakaś tajemnica, którą mam odkryć?

— Zastanawiałem się właśnie, proszę pani — zwrócił się do niej Deveney — czy zdaje sobie pani sprawę, że jest pani pierwszą w dziejach ludzkości cywilizowaną kobietą, która została poproszona o to, by opiekowała się młodym neandertalczykiem.

2. Kobieta Bogini

Był to czwarty ranek marszu. Wracali na zachód. Pielgrzymowali do Miejsca Trzech Rzek. Suchy, zimny wiatr wiał nieustannie z północy, odkąd Srebrny Obłok dał rozkaz, żeby zawrócili i ruszyli w długą drogę przez płaskie pustkowie. Od czasu do czasu nad ich głowami tańczył śnieg, który przy wtórze świstu wiatru tworzył nieokiełznane mleczne wiry. I pomyśleć, że działo się to w środku lata! Naprawdę, Bogini musiała być zagniewana. Ale dlaczego? Co oni takiego zrobili?

Nocą Lud kulił się w szczelinach pod białym księżycem, który zalewał niebo strumieniami chłodnego światła. Nie było tu jaskiń, do których mogliby wpełznąć. Najbardziej przedsiębiorczy zbierali gałęzie i budowali sobie małe szałasy, ale większość była wyczerpana marszem i szukaniem pożywienia i niezdolna do najmniejszego wysiłku.

Dzień Letniego Święta nadszedł i mina). Po raz pierwszy za ich pamięci Święto się nie odbyło. Kobiecie Bogini wcale się to nie podobało.

— Kiedy nadejdą zimne miesiące, będziemy cierpieli głód — powiedziała ponuro do Tej Co Przechowuje Przeszłość. — Zlekceważenie Letniego Święta to poważna sprawa. Czy był chociaż jeden rok, w którym nie odprawilibyśmy właściwych rytuałów?

— My nie lekceważymy Letniego Święta — odrzekła Ta (’o Przechowuje Przeszłość. — Odkładamy je po prostu do czasu, gdy otrzymamy już wskazówki od Bogini.

Kobieta Bogini splunęła.

— Wskazówki od Bogini! Wskazówki! Co ten Srebrny Obłok sobie myśli? Ja jestem tą, która przekazuje plemieniu wskazówki Bogini. I nie muszę wracać do Miejsca Trzech Rzek, żeby je poznać.

— A Srebrny Obłok musi — powiedziała Ta Co Przechowuje Przeszłość.

— Ze strachu, tylko ze strachu. Przestraszył się Innych i chce przed nimi uciec, bo wie, że są przed nami.

— I przed nami, i za nami. Nie możemy się już przed nimi ukryć. Są naokoło, wszędzie. A nas jest za mało, żeby z, nimi walczyć. Co mamy robić? Bogini musi nam powiedzieć, jak z nimi postępować.

— Tak — zgodziła się posępnie Kobieta Bogini. — Myślę, że to prawda.

— Więc skoro nie możesz udzielić nam wskazówek w imieniu Bogini, wskazówek dotyczących taktyki, jaką powinniśmy zastosować…

— Dość. Wiem, co masz na myśli.

— To dobrze. Pamiętaj więc o tym.

Kobieta Bogini prychnęła gniewnie i odeszła w stronę ogniska. Stanęła blisko niego, przyciskając ręce do boków.

Ona i Ta Co Przechowuje Przeszłość dogryzały sobie od dawna, czyniły to przez bardzo wiele lat — Kobieta Bogini nie chciała nawet pamiętać przez ile — iż biegiem czasu wcale nie stawały się bardziej skłonne, żeby się darzyć sympatią. Ta Co Przechowuje Przeszłość uważała się za osobę wyjątkową, gdyż miała dobrą pamięć (której pomagała przy pomocy pałeczek do mierzenia czasu) i doskonale znała tradycje plemienia. No tak, rzeczywiście ona jest na swój sposób wyjątkowa, przyznawała niechętnie Kobieta Bogini. Ale nie jest święta. Ja jestem święta. Ona jest tylko kronikarką, ale do Bogini mówię ja. I Bogini czasami mówi do mnie.

Jednakże, przyznawała też, rozchylając futrzaną opończę i pozwalając, żeby ciepły, różowy żar ognia wspinał się po jej chudym, krępym ciele, Ta Co Przechowuje Przeszłość ma pod pewnym względem rację. Bo Inni stanowią ogromny problem. Tak, ci wysocy, ruchliwi, denerwujący ludzie o płaskich twarzach, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, od których zaczynało się roić wszędzie, którzy przywłaszczali sobie najlepsze jaskinie, najwspanialsze tereny łowieckie i najsłodsze źródła, stanowili ogromny problem. Kobieta Bogini nieraz słyszała przerażające opowieści nie należących do żadnego plemienia wędrowców, których Lud czasami spotykał, o bitwach między Innymi a grupami należącymi do Ludu, o okropnych masakrach, o straszliwych pogromach. Inni mieli lepszą broń. I najwidoczniej byli zdolni wytwarzać ją w niewiarygodnych ilościach. Byli też chyba szybsi, szybciej poruszali się w walce. Poruszali się jak cienie — tak opowiadano — a podczas bitwy wydawało się, że są równocześnie ze wszystkich stron. Jak dotąd, Srebrnemu Obłokowi udawało się unikać walki z nimi. Zręcznie prowadził plemię przez ogromną, otwartą równinę, nie dopuszczając do starć z niebezpiecznymi przybyszami. Ale jak długo miało mu się to udawać?

Tak, najlepiej będzie odbyć pielgrzymkę ł dowiedzieć się, czy Bogini ma dla nas jakieś wskazówki — powiedziała sobie Kobieta Bogini.

A poza tym Srebrny Obłok, dyskutując z nią na temat religijnej strony całej sprawy, używał bardzo przekonujących argumentów. Letnie Święto odbywało się w kulminacyjnym momencie roku, kiedy słońce było ciepłe, a dzień długi. Były to obchody dla uczczenia dobroci Bogini, dla uczczenia jej łaski, było to dziękczynienie za te dobrodziejstwa, którymi miała ich obdarzyć podczas następnych tygodni letniej pory polowań i gromadzenia żywności.

Jak więc mogli obchodzić Letnie Święto — zapytywał Srebrny Obłok — skoro Bogini była w sposób tak oczywisty z nich

niezadowolona?

A raczej — myślała Kobieta Bogini — jak mogli je obchodzić, skoro Srebrny Obłok odmawiał odprawienia obrzędów? Rytuały Letniego Święta wymagały udziału mężczyzny, i to najpotężniejszego mężczyzny w całym plemieniu. To ten mężczyzna musiał odtańczyć taniec wdzięczności przed sanktuarium Bogini. To on musiał złożyć ofiarę z wołu, to on musiał wziąć wybraną dziewicę w ramiona i wprowadzić ją w sekrety Wielkiej Matki. Za pozostałe święta plemienne odpowiedzialne były trzy Kobiety Bogini, tego jednak nie mogły celebrować samodzielnie. Musiał to zrobić wódz. Jeżeli Srebrny Obłok odmawiał swego udziału, Letnie Święto nie mogło się odbyć. Tak się rzeczy miały. Kobieta Bogini czuła w związku z tym niepokój. Jednak decyzja należała do wodza, którym był Srebrny Obłok.

Kobieta Bogini odwróciła się od ognia. Czas najwyższy, żeby przygotować sanktuarium do porannych obrzędów.

— Kobiety Bogini! — zawołała. — Chodźcie tu obie! Zabierajmy się do roboty!

Wszystkie one kiedyś miały swoje własne imiona. Teraz jednak każda z trzech kapłanek znana była jako Kobieta Bogini. Wstępując na służbę Bogini, trzeba było zrezygnować z imienia. Bogini nie miała imienia, jej służki też nie miały.

Kobieta Bogini jeszcze pamiętała, jakie imię nosiła kiedyś najmłodsza z nich, gdyż ta najmłodsza była jej własną córką, której ona sama nadała imię: Jasne Niebo o Świcie. Jednak od chwili, gdy po raz ostatni wymówiła to imię głośno, upłynęły długie lata. Dla niej i dla pozostałych członków plemienia jej córka, która kiedyś była Jasnym Niebem o Świcie, teraz jest po prostu Kobietą Bogini. Podobnie jak druga, zaawansowana wiekiem, a jednak młodsza od niej Kobieta Bogini, której dawne imię zaczynało zacierać się w jej pamięci. Brzmiało ono Samotny Ptak, a może Uciekająca Jak Lis. Kobieta Bogini nie była pewna. Te dwie — Samotny Ptak i Uciekająca Jak Lis — były bardzo do siebie podobne. Jedna z nich nie żyła, a druga została kapłanką i z biegiem lat Kobiecie Bogini zaczęły się mylić ich imiona.

Kobieta Bogini nie miała też pojęcia, jak brzmiało jej własne imię. Przed wielu laty zapomniała, jakie ono było, i rzadko o nim w ogóle myślała. Była Kobietą Bogini i już. Czasami, nie mogąc zasnąć, łapała się na tym, że zastanawia się, jakie mogło być jej dawne imię. Czy miało coś wspólnego ze światłem słonecznym? Albo ze złotymi skrzydłami? Albo z lśniącą wodą? Była w nim jasność, tak, Kobieta Bogini miała co do tego pewność. Ale samo imię wyleciało jej z pamięci na zawsze. Czuła się winna, nawet gdy usiłowała je sobie przypomnieć. Oczywiście nie było nikogo, kogo mogłaby o nie zapytać. Kobiecie Bogini nie wolno wypowiadać własnego imienia, to

grzech. Kiedy zaczynała je sobie przypominać, zaraz robiła znak oczyszczenia i prosiła Boginię o przebaczenie.

Była najstarszą kobietą w plemieniu po Tej Co Przechowuje Przeszłość. Miała czterdzieści lat, a Ta Co Przechowuje Przeszłość liczyła sobie zaledwie o jedną porę roku albo dwie więcej. Jednak mimo to Kobieta Bogini była silna i zdrowa. Spodziewała się, że przeżyje jeszcze z dziesięć lat, może piętnaście, a może nawet i dwadzieścia — jeżeli dopisze jej szczęście. Jej matka dożyła bardzo sędziwego wieku, przekroczyła sześćdziesiąt wiosen. Podobnie jak jej luibka. Długowieczność była cechą jej rodziny.

— Odprawimy dziś pełny obrzęd? — spytała ją najmłodsza Kobieta Bogini, kiedy układały kamienie, budując ..inktuarium.

Najstarsza spojrzała na nią gniewnie.

— Oczywiście. Dlaczego miałybyśmy tego nie robić?

— Dlatego że Srebrny Obłok chce, żebyśmy ruszyli w drogę zaraz po porannym posiłku. Mówi, że dzisiaj musimy pokonać większą odległość, niż pokonywaliśmy podczas każdego z trzech ostatnich dni.

— Srebrny Obłok! Srebrny Obłok! Srebrny Obłok to, Srebrny Obłok tamto, a my skaczemy jak żaby na jego iczkaz. Może jemu się spieszy, ale Bogini nie. Odprawimy pełny obrzęd.

Rozpaliła boski ogień. Druga Kobieta Bogini wyciągnęła woreczek z wilczej skóry zawierający wonne zioła i wysypała trochę tych ziół w ognisko. Kolorowe płomienie buchnęły wysoko. Najmłodsza Kobieta Bogini przyniosła kamienną misę pełną krwi z wczoraj zabitych zwierząt i ulała trochę tej krwi na ołtarz ofiarny.

Najstarsza wyjęła z włochatej skóry niedźwiedzia trzy niedźwiedzie czaszki, które były największą świętością plemienia, i położyła je na trzech płaskich kamieniach, by chroniły je przed zetknięciem z ziemią.

Czaszki były w posiadaniu plemienia bardzo długo. Nawet Ta Co Przechowuje Przeszłość nie potrafiła powiedzieć przez ile pokoleń. Niedźwiedzie zostały zabite w walce w pojedynkę przez wielkich dawnych bohaterów, a czaszki przekazywały sobie kolejne Kobiety Bogini. Niedźwiedź był zwierzęciem-Ojcem, był wielką rozpalającą siłą, która wydobywała życie z Wielkiej Matki. Dlatego właśnie Kobieta Bogini musiała uważać, żeby czaszki nie dotknęły nagiej ziemi, gdyż dotknąwszy jej, mogłyby zapłodnić Matkę, a nie była na to pora. Dzieci spłodzone teraz, w środku lata, przyszłyby na świat późną zimą, kiedy dni są ciemne i kiedy jest najmniej jedzenia. Młode należało płodzić jesienią, tak żeby rodziły się na wiosnę.

Kobieta Bogini kładła ręce na każdej czaszce po kolei, z miłością gładząc ich sklepienia, jasne jak lód, bo wypolerowane w ciągu długich lat przez ręce wielu Kobiet Bogini. Kobieta Bogini poczuła, że jej ręce i ramiona przenika dreszcz — to żywiołowa siła Ojca

przeniknęła z czaszek do jej ciała.

Kobieta Bogini pieściła błyszczące kły. Dotykała palcami ciemnych oczodołów.

Siła Ojca otworzyła drogę, wprowadzając siłę Matki do jej duszy. Jedna z tych sił prowadziła w sposób nieunikniony do drugiej. Nie można było odwołać się do jednej, nie czując obecności drugiej.

— Dziękujemy Ci, o Bogini — wymamrotała Kobieta Bogini. — Dziękujemy Ci za owoce ziemi i za mięso zwierząt, a największe dzięki składamy Ci za owoce naszych łon.

Szybkimi ruchami dotknęła swoich piersi, brzucha i bioder. Przysiadła i wbiła palce w twardą, zmarzniętą ziemię. Ziemia była dzisiaj zimna, ale mimo to była piersią Matki, więc kobieta Bogini pieściła ją z miłością. Obok niej pozostałe dwie Kobiety Bogini robiły to samo.

Najstarsza Kobieta Bogini zamknęła oczy. Zobaczyła j wielką łukowatą krzywiznę piersi Matki ciągnącą się przed' nią aż po horyzont. Napełniła duszę świadomością obecności Bogini, świadomością siły Matki.

— Błogosław nam — modliła się. — Zachowaj nas. Daj 5 nam łaskę Twojej miłości.

Z medytacji wyrwał ją gwałtownie ochrypły, przeraźliwy śmiech dobiegający gdzieś z tyłu. To chłopcy, oddający się swoim brutalnym zabawom. Zmusiła się do tego, żeby nie zwracać na nich uwagi. Oni także pochodzili od Bogini, bez względu na to, jak byli nieokrzesani, okrutni i głupi.

Bogini stworzyła kobiety, aby rodziły dzieci, karmiły i kochały, a mężczyzn, żeby polowali, dostarczali pożywienia i walczyli. Kobiety i mężczyźni mieli własne role do odegrania i ani jednym ani drugim nie wolno było się ważyć odgrywać roli drugiej płci. Taki był sens Letniego Święta. Oznaczało ono zejście się kobiety i mężczyzny w służbie Bogini. A skoro chłopcy byli szorstcy i nie okazywali szacunku, to cóż, widocznie Bogini uczyniła ich takimi. Niech się śmieją. Niech biegają w koło i walczą ze sobą na kije. Tak ma być.

Kiedy przydługi obrzęd był już zakończony, Kobieta Bogini wstała i posługując się patykiem, zasypała ogień, a potem zebrała święte kamienie. Zebrała też niedźwiedzie czaszki, ucałowała każdą po kolei i otuliła je w futro.

Zauważyła, że Srebrny Obłok stoi dość daleko od niej z rękami założonymi na piersi. Wyglądał tak, jakby od pewnego czasu niecierpliwie i ze złością czekał, aż ona skończy. Bliżej siebie Kobieta Bogini zobaczyła Tę Która Wie bawiącą się z grupą najmniejszych dzieci stojących w kole. Uczyła je śpiewać piosenkę.

Jakie to żałosne — powiedziała sobie. — Ta Która Wie, ta bezpłodna kobieta udaje, że jest jedną z Matek. Bogini srogo się z nią

obeszła.

— Skończyłaś wreszcie? — krzyknął Srebrny Obłok. — Możemy już wyruszać, Kobieto Bogini?

— Tak, możemy.

Ta Która Wie podeszła do niej. Za nią słychać było szczebiot mniejszych dzieci. To szczebiotały Słodki Kwiat, Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba i kilkoro innych.

— Czy mogę z tobą przez chwilę porozmawiać, Kobieto Bogini? — zapytała Ta Która Wie.

— Srebrny Obłok chce, żebyśmy się zbierali i ruszali w drogę.

— Zajmę ci tylko chwilę.

— No dobrze.

Ta Która Wie potrafiła człowieka zdenerwować. Kobieta Bogini nigdy jej nie lubiła. Nikt jej nie lubił. Ta Która Wie była inteligentna, to prawda, i pełna energii, no i trzeba było przyznać, że, aczkolwiek niechętnie, należało ją szanować. Ale była złośliwa i nieznośna. Życie miała ciężkie, Kobieta Bogini współczuła jej z tego powodu; umierały jej dzieci, straciła towarzysza życia. Kobieta Bogini współczuła jej, ale mimo to wolałaby, żeby ona zostawiła ją w spokoju. Tę Która Wie otaczała bowiem zła aura — aura spowodowana niezadowoleniem Bogini.

Ta Która Wie powiedziała spokojnie:

— Czy to prawda co mówią, czy to prawda, że kiedy znajdziemy się w Miejscu Trzech Rzek, zostanie złożona specjalna ofiara?

— Tak, złożymy tam ofiarę — powiedziała Kobieta Bogini. — Po cóż by była pielgrzymka, gdybyśmy nie mieli złożyć tam ofiary?

— Ale to będzie specjalna ofiara? Cierpliwość Kobiety Bogini była na wyczerpaniu.

— W jakim sensie specjalna? Mów, bo nie mam teraz czasu na zagadki.

— Czy to będzie ofiara z dziecka?

Kobieta Bogini nie zdumiałaby się bardziej, gdyby Ta Która Wie rzuciła jej w twarz garść śniegu.

— Co takiego? Kto rozpowiada takie rzeczy?

— Słyszałam, jak mówili o tym mężczyźni. Ofiarujemy Bogini dziecko w Miejscu Trzech Rzek, żeby Bogini sprawiła, żeby Inni trzymali się od nas z daleka. Srebrny Obłok podjął już decyzję. Prawdopodobnie po omówieniu sprawy z tobą. Czy to jest prawda, Kobieto Bogini?

Kobieta Bogini poczuła kołatanie w piersi i wydało jej się, że słyszy coś w rodzaju grzmotu. Poczuła, że jest słaba i ze kręci jej się w głowie. Z trudem zmusiła się do tego, z(.•by stać prosto i patrzeć Tej Która Wie prosto w oczy. Odetchnęła głęboko, napełniając płuca powietrzem. Powtórzyła to raz i drugi i trzeci, dopóki nie powrócił

spokój.

— To szaleństwo — powiedziała lodowatym tonem. — Bogini daje dzieci. Bogini nie chce ich z powrotem.

— Czasami zabiera je z powrotem.

— Tak. Tak. Wiem — powiedziała Kobieta Bogini, a jej ton trochę złagodniał. — Nie jesteśmy w stanie pojąć działań Bogini. Ale nie składamy Jej dzieci w ofierze, zwierzęta tak. Ale nigdy dzieci. To się nigdy nie zdarzyło.

— Nigdy przedtem nie zagrażali nam też naprawdę Inni.

— Ofiara z dziecka nie ochroni nas przed Innymi.

— Ludzie mówią, że ty i Srebrny Obłok doszliście do wniosku, że ochroni.

— Ten, kto to mówi, kłamie — powiedziała Kobieta Bogini porywczo. — Ja nic nie wiem o takim planie. Nic! Gadasz od rzeczy, kobieto. To się nie stanie. Przyrzekam ci. Nie będzie u nas ofiar z dzieci. Możesz być tego całkiem pewna.

— Przysięgnij. Przysięgnij na Boginię. Albo nie… — Ta Która Wie wzięła za ręce Twarz Naznaczoną Ogniem z Nieba i Słodki Kwiat. — Przysięgnij na dusze tego chłopca i tej dziewczynki.

— Moje słowo powinno ci wystarczyć — powiedziała Kobieta Bogini.

— Więc nie przysięgniesz?

— Moje słowo jest wystarczające. Nie muszę przysięgać. Jesteśmy ludźmi cywilizowanymi. Nie zabijamy dzieci. To powinno ci wystarczyć.

Ta Która Wie popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Jednak dała za wygraną i odeszła. Kobieta Bogini została sama. Stała i zastanawiała się. Złożyć w ofierze dziecko? Czy oni mówili poważnie? Czy naprawdę myśleli, że to mogłoby służyć jakiemuś celowi? Czy to w ogóle mogło służyć jakiemukolwiek celowi?

Czy Bogini pozwoliłaby na taką rzecz? Kobieta Bogini starała się to przemyśleć. Czy poświęcenie życia, czy zwrócenie Bogini tego, co Ona sama dała, mogło Ją przekonać, że powinna pomóc Ludowi w potrzebie?

Nie. Nie. Nie. Nie. Kobieta Bogini roztrząsała problem ze wszystkich stron i nie widziała w tym żadnego sensu.

A gdzie jest Srebrny Obłok? Aha, tam, ogląda nowe groty do strzał zrobione przez Jeżdżącego na Mamucie. Kobieta Bogini podeszła do niego i odciągnęła go na bok.

— Powiedz mi, ale szczerze — odezwała się cicho — czy zamierzasz złożyć ofiarę z dziecka, kiedy znajdziemy się w Miejscu Trzech Rzek?

— Czyś ty postradała zmysły, Kobieto Bogini?

— Ta Która Wie twierdzi, że mężczyźni o tym rozmawiają.

Mówią, że ty już podjąłeś taką decyzję, a ja dałam na to zgodę.

— A ty rzeczywiście dałaś na to zgodę? — spytał Srebrny Obłok.

— Oczywiście, że nie.

— Reszta tej historii jest tak samo prawdziwa. Mamy złożyć w ofierze dziecko? Nie mogłaś chyba uwierzyć, że ja bym kiedykolwiek…

— Nie byłam pewna.

— Jak możesz tak mówić?

— Odwołałeś przecież Letnie Święto.

— Co ci się stało, Kobieto Bogini? Nie widzisz różnicy między odwołaniem Święta a zabiciem dziecka?

— Są tacy, którzy by powiedzieli, że odwołanie Święta jest tak samo złe jak zabicie dziecka.

— Ten, kto tak mówi, jest szalony — odpowiedział ostro Srebrny Obłok. — Nie mam takich zamiarów. Możesz powiedzieć Tej Która Wie, że ja… — Przerwał i zmienił się na twarzy. — Nie myślisz chyba, że to by nam coś dało? Nie chcesz powiedzieć…

— Nie — odparła Kobieta Bogini. — Oczywiście, że nie. Teraz ty mówisz tak, jakbyś postradał zmysły. — Ale nie bądź śmieszny. Ja wcale niczego takiego nie mówię. Przyszłam tu, żeby się dowiedzieć, czy w tej plotce jest ziarno prawdy, to wszystko.

— No to teraz już wiesz. Nie ma w niej prawdy. Ani odrobiny.

Mimo to Srebrnego Obłoka oczy miały dziwny wyraz. Jego wściekłość przygasła, a on sam jakby wycofał się w głąb siebie. Kobieta Bogini nie wiedziała jak zinterpretować to zamknięcie się w sobie. O czym on myśli? — zastanowiła się.

Ale nie, zreflektowała się. Nie. To nie może być to. Znała go dobrze. Był twardy, nieugięty, potrafił być brutalny, ale tego by nie zrobił. Dziecka by nie zabił.

— Chcę, żebyś bardzo dobrze rozumiał moje stanowisko — powiedziała Kobieta Bogini z całą mocą, na jaką się mogła zdobyć. — W naszym plemieniu są być może mężczyźni, którzy uważają, że złożenie w ofierze dziecka będzie dla nas dobre. I coś mi się widzi, że mogą przekonać cię o tym, zanim dotrzemy do Miejsca Trzech Rzek. Ale ja na to nie pozwolę. Jestem gotowa rzucić najcięższą klątwę Bogini na każdego, kto zaproponuje taką rzecz. Będzie to klątwa niedźwiedzia, najbardziej mroczna ze wszystkich. Bez wahania odetnę tego człowieka od dopływu łaski Bogini…

— Uspokój się, Kobieto Bogini. Złościsz się bez powodu. Nikt nie mówi o składaniu ofiar z dzieci. Nikt. Kiedy znajdziemy się w Miejscu Trzech Rzek, złapiemy koziorożca albo kozicę, albo porządnego czerwonego łosia i jak zawsze ofiarujemy Bogini mięso tego zwierzęcia. I na tym koniec. Więc uspokój się. Uspokój się, mówię ci. Awanturujesz się o coś, czego, jak wiesz, nigdy nie pozwoliłbym

zrobić. Wiesz dobrze, że bym na to nie pozwolił, Kobieto Bogini.

— W porządku — powiedziała. — Koziorożec. Kozica.

— Oczywiście — potwierdził Srebrny Obłok. Uśmiechnął się do niej szeroko i wyciągnął rękę, chcąc serdecznie uścisnąć jej ramię. Kobiecie Bogini zrobiło się bardzo głupio. Jak mogła w ogóle przypuszczać, że Srebrnemu Obłokowi przyszedł do głowy tak barbarzyński pomysł?

Odeszła, uklękła nad małym strumieniem i obmyła sobie rozpalone czoło zimną wodą.

Już później, przed południem, kiedy plemię podjęło ponownie swój marsz, Kobieta Bogini podeszła do Tej Która Wie i powiedziała:

— Rozmawiałam ze Srebrnym Obłokiem. Wiedział tyle co ja o tym projekcie złożenia dziecka w ofierze. I myśli o tym to samo co ja. I co ty. Nigdy by na to nie pozwolił.

— Są tu tacy, co myślą inaczej.

— Kto na przykład?

Ta Która Wie pokręciła tajemniczo głową.

— Nie wymienię żadnych imion. Ale oni uważają, że Bogini nie będzie zadowolona, jeżeli nie damy jej jednego z naszych dzieci.

— Jeżeli tak uważają, to nie rozumieją wcale Bogini. Przestań o tym myśleć, dobrze? To pusta gadanina. Gadanina głupców.

— Miejmy nadzieję — powiedziała Ta Która Wie ponuro, gdyż była pełna złych przeczuć.

Maszerowali przed siebie. Stopniowo Kobieta Bogini przestała myśleć o całej sprawie. To, że Ta Która Wie nie chciała wymienić imion, wzbudziło jej podejrzenia. Bardzo prawdopodobne, że historia została wyssana z palca. Być może Ta Która Wie wymyśliła to wszystko. Może była chora na głowę. Może dobrze by wysłać ją na samotną pielgrzymkę, żeby oczyściła duszę z takich wyobrażeń. Ofiara z dziecka! Niewiarygodne!

Kobieta Bogini zapomniała o całej sprawie. Tygodnie mijały, a Lud maszerował na zachód, wracał w stronę Miejsca Trzech Rzek, a ciepło letniej pory zanikało coraz bardziej.

W końcu znaleźli się na pochyłym zboczu, z którego widać było Trzy Rzeki. Długi marsz powrotny prawie dobiegał kresu. Ścieżka prowadziła stopniowo w dół, z jednego poziomu zbocza na drugi. A w dole, w zasnutej mgłą dolinie, widać było błyszczącą wodę Trzech Rzek.

Było już po południu i Lud zaczynał myśleć o rozbiciu obozu. I wtedy zdarzyła się rzecz dziwna.

Kobieta Bogini znajdowała się w początkowej części maszerującego szeregu. Po jednej stronie miała Drzewo Wilków, a po drugiej Płonące Oko — obaj pomagali jej nieść święte rzeczy. Nagle, tuż przy ścieżce zrobiło się bardzo jasno. Roziskrzyło się intensywne

światło. Kobieta Bogini zobaczyła oślepiające czerwone i zielone błyski, świetliste pętle i rozpaloną biel w samym środku. Białe światło poruszało się. Unosiło się i obniżało, wirując równocześnie.

Patrząc na nie, poczuła, że bolą ją oczy. Podniosła rękę, by je osłonić. Wszyscy naokoło wydawali okrzyki przerażenia.

Potem światło zniknęło — tak nagle jak się pojawiło. W powietrzu obok ścieżki nic nie było widać. Kobieta Bogini stała nieruchomo, mrugając. Oczy ją bolały, a w głowie wirowały pomieszane myśli.

— Co to było? — zapytał ktoś.

— Co się teraz stanie?

— Ratuj nas, Srebrny Obłoku!

— Kobieto Bogini! Kobieto Bogini, powiedz nam, co to było!

Kobieta Bogini zwilżyła wargi.

— To Bogini przechodziła obok nas — zaimprowizowała z rozpaczą. — To był… to był skraj jej szaty.

— Tak — odpowiedzieli. — To Bogini. To była Bogini. To musiała być Bogini.

Przez chwilę wszyscy milczeli. Chcąc zachować ostrożność, zamarli w bezruchu i czekali. Pragnęli się przekonać, czy Bogini ma zamiar wrócić. Nie zdarzyło się jednak nic niezwykłego.

Nagle Ta Która Wie zawołała:

— Tak, to była Bogini. Ona zabrała Twarz Naznaczoną Ogniem z Nieba!

— Co takiego?

— Kiedy pojawiło się światło, on był tutaj, tuż za mną. Teraz go nie ma.

— Nie ma go? Zniknął? Gdzie? Jak?

— Szukajcie go! — krzyknął ktoś. — Znajdźcie go! Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba! Twarz Naznaczona Ogniem…

Zrobiło się straszne zamieszanie. Kręcili się w kółko. Był to bezładny ruch bez celu, dla samego ruchu. Kobieta Bogini słyszała, jak Srebrny Obłok usiłuje wszystkich uspokoić. Najbardziej poruszone były Matki — ich krzyk górował nad wszystkimi innymi dźwiękami. Biegały w kółko, płacząc i wymachując rękami.

Przez chwilę Kobieta Bogini nie mogła sobie przypomnieć, kto był prawdziwą matką Twarzy Naznaczonej Ogniem z Nieba. Potem przypomniała sobie, że była nią Czerwony Dym o Wschodzie Słońca, która cztery lata wcześniej urodziła tego chłopca z zygzakowatym znamieniem w kształcie błyskawicy. Ale Matki wychowywały wszystkie dzieci plemienia razem i było im prawie wszystko jedno, która sprowadziła na świat które dziecko. Mleczne Źródło, Piękny Śnieg i Jezioro Zielonego Lodu były tak samo przerażone zniknięciem chłopca jak Czerwony Dym o Wschodzie Słońca.

— Musiał zejść ze ścieżki — powiedział Góra o Zwalonym

Wierzchołku. — Pójdę go poszukać.

— On był tutaj — stwierdziła kwaśno Ta Która Wie. — To światło go połknęło.

— Widziałaś to?

— Był za mną, kiedy się to stało. Ale nie tak daleko ode mnie, żeby mógł się zgubić. To światło go zabrało. Tak, światło.

Jednakże Góra o Zwalonym Wierzchołku upierał się przy tym, żeby wrócić i poszukać chłopca. Ale na nic się to nie zdało. Po chłopcu nie było śladu. Poszukiwania trwające godzinę nic nie dały. Nie znaleźli nawet odcisku stopy. A tymczasem zaczęło się robić bardzo ciemno.

— Musimy iść dalej — powiedział Srebrny Obłok. — Tutaj nie można rozbić obozowiska.

— Ale Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba…

— Zniknął — stwierdził nieubłaganie Srebrny Obłok. — Zniknął, wtopił się w światło Bogini.

— Światło Bogini! Światło Bogini!

Ruszyli w dalszą drogę. Kobieta Bogini była jak odurzona. Patrzyła prosto w migoczący blask. Bolały ją jeszcze od tego oczy. Kiedy je zamykała, widziała wzory z pływających purpurowych punkcików. Ale czy to naprawdę była Bogini? Kobieta Bogini nie wiedziała. Nigdy w życiu nie widziała czegoś takiego. I miała nadzieję, że nigdy więcej nie zobaczy.

— A więc okazuje się, że Bogini chciała zabrać jedno z naszych dzieci — odezwała się Ta Która Wie. — No, no, no.

— Nie znasz się na tych sprawach! — odrzekła rozwścieczona Kobieta Bogini. — Wcale się na nich nie znasz!

A co, jeżeli ona ma rację? — zastanowiła się. — Jest całkiem prawdopodobne, że ją ma. Całkiem możliwe.

Tylko Bogini mogła ukazać się w formie tak silnego światła.

Więc Bogini zażądała dziecka? Dlaczego? Jaki to miało sens?

Nigdy jej nie zrozumiemy, doszła do wniosku Kobieta Bogini po długich nocnych zmaganiach z tym problemem. Ona jest Boginią, a my jesteśmy tylko jej stworzeniami. A Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba zniknął. To przechodzi wszelkie możliwości pojmowania, ale trudno. Kobieta Bogini przypomniała sobie plotkę mówiącą, że Srebrny Obłok zamierza złożyć dziecko w ofierze w Miejscu Trzech Rzek. Teraz nie będzie już mowy o takich rzeczach — pomyślała. Byli prawie na miejscu, a Bogini wzięła dziecko sama; oni nie musieli jej go dawać. Plemię nie miało zbyt wielu dzieci. Nie mogli więc sobie pozwolić na oddanie jej jeszcze jednego.

3. Odkrywanie

Neandertalczykiem? Antropoidalnym neandertalczykiem? — pomyślała oszołomiona panna Fellowes z niedowierzaniem. Zaraz potem poczuła przypływ gniewu i uznała się za zdradzoną. Jeżeli to, co powiedział Deveney, było prawdą, to potwierdzały się jej najgorsze przypuszczenia.

Odwróciła się w stronę Hoskinsa, patrząc na niego z hamowaną wściekłością.

— Mógł mi pan o tym powiedzieć.

— Po co? Co to dla pani za różnica?

— Była mowa o dziecku, nie o zwierzęciu.

— To jest dziecko, panno Fellowes. Nie uważa pani, że tak?

— Tak, ale to dziecko neandertalskie. Hoskins wyglądał na zakłopotanego.

— Tak, tak, oczywiście. Pani wie, jakiego rodzaju eksperymentami zajmuje się nasz instytut. Nie ma pani z pewnością zamiaru powiedzieć mi, że nie zdawała sobie pani sprawy z tego, że dziecko będzie pochodziło z epoki prehistorycznej. Omawialiśmy to.

— Z prehistorycznej tak. Ale neandertalczyk? Myślałam, że będę się opiekowała ludzkim dzieckiem.

— Neandertalczycy byli ludźmi — powiedział Hoskins, okazując już pewne zniecierpliwienie. — Mniej więcej.

— Tak? To prawda?

Spojrzała w stronę Candide'a Deveneya, jakby chciała się odwołać do jego wiedzy.

— Zgodnie z tym, co myśli od jakichś sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu lat większość paieoantropologów — powiedział Deveney — neandertalczyków trzeba uważać za odmianę Homo sapiens. Być może za archaiczną odmianę gatunku, albo za podgatunek, za takich kuzynów z puszczy, którzy jednak zdecydowanie są bliskimi krewnymi, i którzy zdecydowanie muszą być uważani za ludzi.

Hoskins przerwał mu niecierpliwie.

— Zostawmy to na chwilę, Deveney. Bo jest inna sprawa do omówienia. Panno Fellowes, miała pani kiedyś szczeniaka czy kociaka?

— Tak, kiedy byłam mała. Ale co to ma wspólnego z…

— I dbała pani o tego szczeniaka czy kociaka? Kochała go pani?

— Oczywiście. Ale…

— A ten kociak czy szczeniak był człowiekiem, panno Fellowes?

— To był zwierzak, panie doktorze. Nie rozmawiamy teraz o zwierzętach domowych. Rozmawiamy o sprawach zawodowych.

Proponuje pan pielęgniarce o wysokich kwalifikacjach, mającej doświadczenie w zakresie nowoczesnej pediatrii, żeby się opiekowała…

— Przypuśćmy, że to dziecko jest młodym szympansa — powiedział Hoskins. — Czy byłoby dla pani odrażające? Gdybym panią poprosił o opiekę nad nim, zaopiekowałaby się nim pani, czy odrzuciłaby propozycję z obrzydzeniem? A proszę zwrócić uwagę, że to nie jest szympans. Nie jest to żadna małpa człekokształtna. Jest to młoda istota ludzka.

— Dziecko neandertalskie.

— To, co powiedziałem. Młoda istota ludzka. Dziwnie wyglądająca i niesforna… dokładnie tak ją pani kiedyś opisałem. To trudny przypadek. Jest pani doświadczoną pielęgniarką, panno Fellowes, z wielkimi osiągnięciami zawodowymi. Czy pani uchyla się od trudnych przypadków? Czy odmówiła pani kiedyś prośbie o zajęcie się dzieckiem ułomnym?

Panna Fellowes poczuła, że ta dyskusja wymyka jej się spod kontroli.

— Mógł mi pan powiedzieć — powtórzyła o wiele mniej gwałtownie niż przedtem.

— A pani by wtedy nie przyjęła tej pracy, tak?

— No…

— Wiedziała pani, że nasze eksperymenty mają związek z poruszaniem się w czasie odległym o tysiące lat.

— „Tysiące” mogło oznaczać trzy tysiące. Aż do chwili, gdy omawiając to przedsięwzięcie z panem Deveneyem, użył pan nagle wyrażenia „czterdzieści tysięcy lat”, nie uświadamiałam sobie, co się tu naprawdę dzieje. Zresztą nawet w tamtej chwili nie zdawałam sobie w pełni sprawy, że będzie chodziło o neandertalczyka. Nie znam się na… Jak pan to nazwał, panie Deveney?”. Na paleoantropologii. Nie znam się na ewolucji człowieka tak jak wy, nie wiem, jak przebiegała w czasie…

— Nie odpowiedziała pani na moje pytanie — przerwał jej Hoskins. — Gdyby zawczasu wiedziała pani wszystko, odrzuciłaby pani tę propozycję pracy czy nie?

— Nie jestem pewna.

— Czy chce pani ją odrzucić teraz? Były inne kandydatki z odpowiednimi kwalifikacjami. Czy mam rozumieć, że pani rezygnuje?

Hoskins patrzył na nią chłodno, Deveney obserwował ją z drugiego końca pokoju, a małe neandertalskie dziecko, skończywszy chłeptać mleko i wylizawszy spodek do czysta, podniosło na nią wzrok. Twarz miało mokrą, a oczy szeroko otwarte i pełne tęsknoty.

Panna Fellowes popatrzyła na chłopca. Na brzydkiego małego chłopca. Usłyszała siebie mówiącą: „Ale neandertalczyk? Myślałam, że

będę się opiekowała ludzkim dzieckiem”.

Chłopiec wskazał palcem mleko i spodek. I nagle wydał z siebie krótką serię ostrych, przykrych dla ucha dźwięków. Dźwięki te powtarzały się w kółko. Były to dziwnie zduszone gardłowe odgłosy i skomplikowane mlaśnięcia językiem.

— Ależ on mówi! — stwierdziła panna Fellowes zdziwiona.

— Najwyraźniej — powiedział Hoskins. — W każdym razie potrafi wydać dźwięk oznaczający: „Nakarm mnie znowu”. To oczywiście umie też zrobić każdy kot.

— Nie, nie. On coś powiedział — upierała się panna Fellowes.

— To trzeba będzie jeszcze stwierdzić. Niektórzy uważają, że neandertalczycy naprawdę potrafili mówić, a niektórzy, że nie. Trwa na ten temat spór. Mamy nadzieję, że dzięki temu eksperymentowi będziemy go mogli rozstrzygnąć. Podobnie jak i niektóre inne.

Dziecko znowu mlasnęło i zabulgotało. Spojrzało na pannę Fellowes. A potem na mleko i na pusty spodek.

— Oto odpowiedź — powiedziała panna Fellowes. — On mówi, to oczywiste!

— Jeżeli tak, to jest człowiekiem, prawda, panno Fellowes?

Panna Fellowes pominęła milczeniem to pytanie. Problem był zbyt skomplikowany na to, żeby go teraz rozpatrywać. Zwracało się do niej głodne dziecko. Sięgnęła po mleko.

Hoskins chwycił ją za przegub i zmusił do podniesienia wzroku.

— Proszę chwilę zaczekać. Zanim pani coś zrobi, muszę wiedzieć, czy ma pani zamiar wziąć tę pracę.

Panna Fellowes oswobodziła ze złością rękę.

— A jeżeli nie mam takiego zamiaru, to on ma zostać zagłodzony? On prosi o mleko, a pan mi nie daje go napoić.

— No dobrze. Niech pani mu je da. Ale muszę znać pani odpowiedź.

— Zostanę z nim… na jakiś czas.

Nalała mleka. Chłopiec przykucnął i zanurzył w nim twarz. Zaczął chłeptać tak gwałtownie, jakby od kilku dni nic nie jadł i nie pił. Kiedy lizał spodek, z jego gardła wydobywały się ciche pomruki.

On jest ni mniej ni więcej tylko małą bestią — pomyślała panna Fellowes. Małym zwierzątkiem!

Poczuła, że zaraz wstrząśnie nią dreszcz. Powstrzymała go z wysiłkiem.

* * *

— Zostawimy panią z chłopcem — powiedział Hoskins. — Przeżył ciężkie chwile, więc najlepiej będzie usunąć stąd wszystkich i pozwolić pani położyć go spać.

— Zgadzam się.

Hoskins wskazał stojące otworem owalne metalowe drzwi u wejścia do domku dla lalek, bardzo podobne do włazu do łodzi podwodnej.

— To są jedyne drzwi prowadzące do Sekcji Pierwszej Pola Statycznego. Będą przez cały czas zamknięte na skomplikowane zamki i strzeżone. Zapieczętujemy je, kiedy stąd wyjdziemy. Chcę, żeby jutro nauczyła się pani, jak się należy obchodzić z zamkiem. Oczywiście będzie reagował na pani odciski palców, tak jak reaguje na moje. Te przestrzenie tam w górze… — Spojrzał w górę na otwarte sufity domku dla lalek — są także strzeżone przez system czujników. Jeżeli zajdzie coś niefortunnego, będziemy o tym natychmiast wiedzieli.

— Coś niefortunnego?

— Jeżeli wtargną tu jacyś intruzi.

— Dlaczego mieliby…

— Mamy tu neandertalskie dziecko sprzed czterdziestu tysięcy lat — powiedział Hoskins, nie ukrywając prawie zniecierpliwienia. — Pani może to się wydawać nieprawdopodobne, ale są najróżniejsze możliwości wtargnięcia tutaj, mogą tu się pojawić ludzie z Hollywood albo nasi rywale-naukowcy, albo ci samozwańczy obrońcy praw dziecka, o których rozmawialiśmy podczas naszego pierwszego spotkania.

Bruce Mannheim — pomyślała panna Fellowes. — On się martwi, że będzie miał z nim do czynienia. Więc pytanie o to, czy ja nie miałam z nim jakiegoś zatargu, nie było tylko pytaniem bez znaczenia.

— No tak, rzeczywiście — powiedziała. — Dziecko musi być chronione.

Zaraz potem coś sobie uświadomiła. Spojrzała w górę na sufit bez przykrycia i przypomniała sobie, że z balkonu widziała, co się dzieje w domku dla lalek.

— Chce pan powiedzieć, że będę widoczna dla każdego obserwatora, który przypadkiem znajdzie się tam, na górze? — spytała oburzona.

— Nie, nie — odpowiedział Hoskins.

Uśmiechnął się. To jest uśmiech dobrotliwy, może trochę protekcjonalny — pomyślała panna Fellowes. Pruderyjna stara panna boi się, że ją ktoś będzie podglądał. No tak, ale nie istniał powód, dla którego ona miałaby się ubierać i rozbierać na oczach obcych.

— Pani prawo do intymności będzie uszanowane, panno Fellowes. Zapewniam panią. Proszę mi zaufać.

Do tego zmierzał. Znowu. „Proszę mi zaufać”. Lubił to wyrażenie.

Prawdopodobnie posługiwał się nim rozmowie z każdym. Nie było to zdanie skłaniające do wielkiej ufności. Im częściej go używał, tym mniej ona mu ufała.

— Jeżeli każdy może wejść na ten balkon i zajrzeć do tych pomieszczeń, to nie rozumiem…

— Dostęp do balkonu będzie ściśle ograniczony, ściśle — zapewnił Hoskins. — Będą tam wchodzili tylko technicy, którzy zajmują się zasilaniem. Zostanie pani o tym uprzedzona zawczasu. Czujniki, o których mówiłem, będą prowadziły kontrolę czysto elektroniczną, będą przesyłały dane, z którymi potrafi się obchodzić tylko komputer. Nie zamierzamy pani szpiegować. A więc dzisiaj w nocy zostanie pani z nim, tak? I będzie z nim pani co noc aż do odwołania.

— Dobrze.

— Będzie pani miała czas wolny w ciągu dnia, w godzinach dla pani dogodnych. Omówimy to jutro. Mortenson, Elliott i pani Stratford będą się zmieniać przy chłopcu podczas pani nieobecności. Chłopiec będzie przez cały czas pilnowany. Wszyscy czworo będziecie się przy nim zmieniali. Jest absolutnie konieczne, żeby przebywał bezustannie w polu statycznym i żeby pani zawsze wiedziała, gdzie on jest.

Panna Fellowes z zakłopotaną miną rozejrzała się po domku dla lalek.

— Ale dlaczego to jest konieczne? Czy chłopiec jest taki niebezpieczny?

— To sprawa energii, panno Fellowes. Istnieją prawa zachowania energii, które tu wchodzą w grę. Mogę pani wytłumaczyć, na czym to wszystko polega, ale sądzę, że teraz ma pani na głowie ważniejsze rzeczy. Musi pani tylko pamiętać, że jemu nie wolno wychodzić z tego pomieszczenia. Nigdy. Ani na chwilę. Z żadnego powodu. Nawet gdyby to miało mu uratować życie. Albo pani życie, panno Fellowes. Czy to jasne?

Panna Fellowes uniosła głowę nieco teatralnym ruchem.

— Nie jestem pewna, czy wiem, co to jest prawo zachowania energii, ale rozumiem polecenie, panie doktorze. Chłopiec ma przebywać w swoich pokojach. Najwyraźniej jest po temu dostateczny powód. Może zabrzmi to nieco melodramatycznie, ale jestem gotowa stosować się do tego, nawet gdyby zagrożone było moje życie. Pielęgniarki są przyzwyczajone do uważania swych obowiązków za coś ważniejszego niż własne życie.

— Dobrze. W razie, gdyby pani ktoś potrzebowała, może pani zawsze komunikować się przez interkom. Dobranoc, panno Fellowes.

Po tych słowach dwaj mężczyźni wyszli. Wszyscy inni opuścili to miejsce już wcześniej. Owalne drzwi zamknęły się, a pannie Fellowes

wydało się, że słyszy, jak cykają urządzenia elektroniczne.

Była zamknięta. Zamknięta z tym dzikim dzieckiem sprzed czterdziestu tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze swoim podopiecznym, który patrzył na nią bojaźliwie. Na spodku było wciąż mleko. Panna Fellowes spróbowała pokazać chłopcu za pomocą gestów, jak ma podnieść ten spodek do ust. Bez skutku. Chłopiec patrzył na nią, ale nie próbował jej naśladować. Więc ona odegrała to bardziej dosłownie — tak jak przedtem: podniosła spodek do twarzy i zaczęła udawać, że zlizuje mleko.

— Teraz ty — powiedziała. — Spróbuj. Chłopiec wciąż się w nią wpatrywał. Drżał.

— To nie jest trudne — zapewniła go. — Pokażę ci jak to zrobić. Daj ręce.

Delikatnie… bardzo delikatnie… położyła dłonie na jego przegubach.

Chłopiec warknął. Ten dźwięk w ustach tak małego dziecka był przerażający. Warknął i wyrwał się. Był zaskakująco silny. Na jego twarzy malowały się wściekłość i strach. Znamię w kształcie błyskawicy odcinało się wyraźnie od świeżo umytej skóry.

Nie tak dawno doktor Hoskins złapał go za przeguby, i pociągnął go za ręce i uniósł. Chłopiec bez wątpienia pamiętał, jak te duże męskie dłonie gwałtownie go chwyciły.

— Nie — powiedziała panna Fellowes tonem jak najłagodniejszym. — Nie chcę ci zrobić krzywdy. Chcę ci tylko pokazać, jak masz trzymać spodek z mlekiem.

Patrzył jej w oczy zalękniony. Był czujny, czekał na jej fałszywy ruch. Panna Fellowes jeszcze raz powoli sięgnęła do jego nadgarstków, ale on pokręcił głową i gwałtownie cofnął ręce.

— W porządku — powiedziała. — Ja potrzymam spodek. A ty go tylko wyliżesz. Nie będziesz przynajmniej schylał się nad podłogę jak małe zwierzątko.

Nalała jeszcze trochę mleka na talerzyk, podniosła go na wysokość ust dziecka i wyciągnęła w jego stronę. I czekała.

Czekała.

Chłopiec zaczął mlaskać i wydawać gardłowe, bulgoczące dźwięki, co oznaczało, że jest głodny. Ale nie ruszył się, nie zbliżył się do spodka.

Podniósł na nią wzrok. Oczy miał ogromne.

Wydał jakiś dźwięk, a jej wydało się, że takiego jeszcze nie słyszała.

Co on mógł znaczyć? „Postaw spodek, ty głupia stara, tak żebym mógł trochę polizać!” Czy to było to?

— No, chłopcze. Wypij, nie schylając się nad podłogę. Wypij jak

przyzwoite ludzkie dziecko.

Nie przestawał na nią patrzeć. I znowu mlasnął, trochę smutno.

— Zrób to tak — powiedziała panna Fellowes. Zgięła się w pół i wysunęła głowę. Było to trudne, bo nie miała takich wypukłych, przypominających pysk ust jak on. Było to trudne, ale jej się udało. Zaczęła chłeptać mleko po swojej stronie spodka, trzymając go przed nim. Chłopiec spojrzał na nią poważnie, stojąc po drugiej jego stronie, bardzo blisko niej. Jakie on ma wielkie oczy, pomyślała.

— O tak…

Upiła jeszcze trochę mleka.

Chłopiec ruszył naprzód. Ręce trzymał przyciśnięte do boków, tak że musiała nadal trzymać spodek. Jednak jego język zaczął się wysuwać i wsuwać z powrotem do ust, najpierw ostrożnie, a potem z coraz większym entuzjazmem. Wciąż stojąc, zaczął pić.

Panna Fellowes stopniowo opuszczała spodek w stronę podłogi.

Chłopiec wydał pomruk niezadowolenia i wyciągnął ręce, chcąc go podtrzymać na dawnym poziomie. Panna Fellowes puściła talerzyk i cofnęła ręce. Teraz chłopiec sam trzymał naczynie. I chłeptał z zapałem.

(Wspaniale, dziecko. Świetnie!)

Spodek był pusty. Skończywszy pić, chłopiec wypuścił go z rąk na podłogę. Naczynie rozbiło się na pół tuzina kawałków. Chłopiec podniósł wzrok na pannę Fellowes z wyrazem twarzy oznaczającym z pewnością konsternację, smutek, może nawet przerażenie. Z jego gardła wydobyło się coś w rodzaju skomlenia.

Panna Fellowes uśmiechnęła się.

— To tylko spodek, dziecko. Spodki nie są ważne. Mamy ich mnóstwo. Mamy też mnóstwo mleka.

Stopą odsunęła na bok skorupy. Trzeba je będzie sprzątnąć, bo są ostre. Ale to może na razie poczekać. Wyciągnęła drugi spodek z szafki stanowiącej część wózka z jedzeniem. Pokazała go chłopcu.

Skomlenie ustało. Chłopiec uśmiechnął się do niej.

Tak, to bez wątpienia był uśmiech, pierwszy, jaki u niego widziała od czasu jego przybycia. Uśmiech zaskakująco szeroki — usta chłopca były takie wielkie, sięgały dosłownie od ucha do ucha! Uśmiech szeroki i cudownie promienny, jak blask słońca przedzierający się nagle przez ciemne chmury.

Panna Fellowes odpowiedziała uśmiechem. Niezmiernie ostrożnie wyciągnęła rękę, chcąc go dotknąć, pogłaskać po głowie. Przesuwała dłoń bardzo powoli, tak żeby on mógł śledzić ją przez cały czas wzrokiem i mieć pewność, że nic mu nie grozi.

Chłopiec zadrżał. Ale nie ruszył się z miejsca, tylko patrzył na nią. Udało jej się pogłaskać go po włosach. A potem on cofnął się bojaźliwie jak małe… zwierzątko.

Na tę myśl jej twarz oblała się rumieńcem.

(Przestań. Nie możesz tak o nim myśleć. On nie jest zwierzęciem; to że tak wygląda, nie ma znaczenia. Jest chłopcem, małym chłopcem, przestraszonym małym chłopcem, przestraszonym małym człowiekiem.)

Ale te jego włosy — jakież one były szorstkie. Czuła to przez chwilę, gdy ich dotykała. Jakie były splątane, jakie gęste!

Cóż to za dziwne włosy. Bardzo, bardzo dziwne.

* * *

— Muszę ci pokazać, jak się korzysta z toalety — powiedziała. — Czy uważasz, że będziesz mógł się tego nauczyć?

Mówiła spokojnie, łagodnie, wiedząc doskonale, że on nie rozumie jej słów, ale mając nadzieję, że dobrze zareaguje na kojący ton.

Chłopiec znowu zaczął mlaskać. Chciał jeszcze mleka, tak? A może mówił coś innego? Panna Fellowes miała nadzieję, że wszystkie wydawane przez niego dźwięki są nagrywane. Prawdopodobnie tak było, ale mimo to ona postanowiła poprosić o to następnego dnia doktora Hoskinsa. Chciała zbadać mowę chłopca. Chciała nauczyć się jego języka. Gdybyż tylko jej się to udało! Oczywiście jeżeli to był naprawdę język, a nie jakieś instynktowne zwierzęce ciamkania. Panna Fellowes zamierzała też spróbować nauczyć chłopca angielskiego. Na wypadek jednak, gdyby to się okazało niemożliwe, chciała przynajmniej próbować porozumiewać się z nim na jego własną modłę.

Dziwny pomysł — chcieć nauczyć się języka neandertalczyków. Jednak ona w swoim życiu robiła już dziwniejsze rzeczy, by porozumieć się z różnymi trudnymi dziećmi.

— Mogę cię wziąć za rękę? — zapytała. Wyciągnęła swoją, a chłopiec patrzył tak, jakby nigdy w życiu nie widział ręki. Panna Fellowes czekała, nie cofając jej. Chłopiec zmarszczył brwi. Po chwili jego własna dłoń uniosła się niepewnie i drżąc lekko przesunęła się w stronę jej ręki.

— Dobrze — powiedziała panna Fellowes. — Weź mnie za rękę.

Drżąca rączka zbliżyła się na paru centymetrów, ale potem chłopiec stracił odwagę. Cofnął dłoń gwałtownie, jak gdyby z palców panny Fellowes buchał ogień.

— No dobrze — powiedziała panna Fellowes spokojnie — spróbujemy jeszcze raz później. Czy mógłbyś usiąść tutaj?

Poklepała materac na łóżku. Żadnej reakcji.

Pokazała mu gestem, że ma usiąść. Nic. Tylko wpatrujące się w nią oczy. Usiadła sama. Trudno jej to przyszło, bo małe łóżeczko było za niskie. Ale usiadła i poklepała materac obok siebie.

— Tutaj — powiedziała, uśmiechając się do niego swoim najserdeczniejszym, najbardziej dodającym otuchy uśmiechem. — Usiądź obok mnie, dobrze?

Cisza. I wpatrzone w nią oczy. A potem znów seria mlasków i parę gardłowych chrząknięć. Te chrząknięcia to nowe dźwięki — była tego pewna. Wyglądało na to, że chłopiec ma spory zasób słów składających się z mlasków, chrząknięć i bulgotów. To musiał być język. Było to epokowe odkrycie naukowe. Doktor Hoskins mówił, że nikt nie wie, czy neandertalczycy mieli język, czy nie, a ona dowiodła od razu, że mieli.

(Nie, nie dowiodłam tego, skarciła się panna Fellowes surowo. Postawiłam zaledwie hipotezę. Jednak ta hipoteza była przypuszczalnie prawdziwa.)

— Usiądziesz? Nie?

Mlaski. Słuchała, a później spróbowała go naśladować. Ale nie wyszło jej to dobrze. Nie potrafiła tak jak on mlaskać szybko jak karabin maszynowy. Chłopiec spojrzał na nią. Czy był zdziwiony? Czy może rozbawiony? Trudno było się zorientować, co wyrażają jego miny. Ale to, że ona mlaska, wyraźnie go fascynowało. Ona natomiast pomyślała, że mówi w jego języku jakieś okropne słowa. Że wymawia niewymawialne. Z drugiej strony bardzo możliwe, że dźwięki, które wydaje, są dla niego niezrozumiałym bełkotem. Może nawet myślał, że dostała pomieszania zmysłów.

Chłopiec mlasnął i wydał cichy, spokojny, prawie refleksyjny pomruk.

Panna Fellowes odpowiedziała mu mlaśnięciem. Zaczęła też naśladować jego pomruki. Było to łatwiejsze niż naśladowanie mlasków. Chłopiec znowu zaczął się w nią wpatrywać. Wyraz twarzy miał poważny, myślący — taki, jaki przybrałoby dziecko mające do czynienia z dorosłym, który jest niespełna rozumu.

To bez sensu, pomyślała panna Fellowes. Muszę mówić do niego po angielsku. Nie nauczy się niczego, jeżeli wydając te dziwne dźwięki będę naśladowała to, co według mnie jest jego językiem.

— Siadaj — powiedziała do niego tak, jak się mówi do szczeniaka. — Siadaj! Nie? No dobrze. Do toalety? Weź mnie za rękę, a ja ci pokażę, jak jej używać. Znowu nie? Dobrze cię zrozumiałam? No wiesz, nie możesz po prostu narobić na podłogę. Nie żyjemy czterdzieści tysięcy lat przed naszą erą. Nawet jeżeli przyzwyczajony jesteś do wygrzebywania dołka, tutaj nie będziesz mógł tego zrobić. Bo przecież podłoga jest drewniana. Weź mnie za rękę i wejdźmy tam,

dobrze? Nie? Trochę później?

Panna Fellowes uświadomiła sobie, że zaczyna paplać bez sensu.

Problem polegał na tym, że odczuwała zmęczenie. Zrobiło się już późno, a ona od wielu godzin była bardzo napięta. To wszystko przypominało jej sen. Przebywała tutaj w jednym z pokojów w tym domku dla lalek i usiłowała wyjaśnić małemu dziecku małpy człekokształtnej z wypukłymi brwiami i wybałuszonymi oczami, jak się pije mleko ze spodka, jak się korzysta z toalety i jak się siedzi na małym łóżeczku, i wydawało jej się, że to nierealne.

Nie, pomyślała surowo. To nie jest dziecko małpy człekokształtnej.

Nigdy go tak nie nazywaj — nawet gdy mówisz do siebie!

— Weźmiesz mnie za rękę? — spytała znowu. Prawie to zrobił. Prawie, ale nie do końca.

Godziny płynęły powoli, a chłopiec nie czynił niemal żadnych postępów. Oczywiste się stało, że w sprawie toalety i łóżka też nie będzie sukcesu. Teraz i on zaczynał okazywać, że jest zmęczony. Ziewał. Oczy miał szkliste, powieki mu opadały. Nagle zwinął się w kłębek, położył się na gołych deskach podłogi i szybkim ruchem wpełznął pod łóżko.

Panna Fellowes uklękła i zajrzała tam. Jego oczy zabłysły, a on sam mlasnął kilka razy.

— W porządku — powiedziała panna Fellowes. — Jeżeli pod tym łóżkiem czujesz się bezpieczniej, śpij tam.

Odczekała chwile, a potem usłyszała spokojne, regularne oddychanie. Jakiż on musi być zmęczony. Znajdował się czterdzieści tysięcy lat od domu, w przedziwnym, obcym miejscu pełnym jaskrawych świateł i twardych podłóg, a także obcych ludzi wyglądających inaczej niż ci, których znał dotychczas, a mimo to był w stanie zwinąć się w kłębek i zasnąć. Panna Fellowes zazdrościła mu tej cudownej zdolności przystosowywania się. Dzieci są takie elastyczne, tak łatwo im przychodzi pogodzić się z najokropniejszym zakłóceniem rytmu życia…

Panna Fellowes zgasiła światło, zamknęła drzwi od sypialni chłopca i położyła się do łóżka przygotowanego dla niej w największym pokoju.

W górze nad jej głową panowały ciemności. Panna Fellowes zbadała je wzrokiem, zastanawiając się, czy na balkonie nie czai się ktoś, kto ją obserwuje. Nie mogła stwierdzić, czy tak jest, czy nie. Wiedziała, że jej podejrzenia nie mają sensu. Zrobiło się przecież późno i na górze na pewno nikt się nie czaił. Jedyne obserwujące ją oczy były oczami elektronicznych czujników. Jednak nie mieć ani odrobiny prywatności…

Prawdopodobnie wszystko filmowano. Prawdopodobnie dokonuje

się kompletnej rejestracji wizualnej wszystkiego, co dzieje się w polu statycznym. Nie powinna była brać tej pracy bez uprzedniego sprawdzenia, gdzie będzie musiała mieszkać.

„Proszę mi zaufać", powiedział jej Hoskins.

No tak. Oczywiście.

Dobrze, dzisiaj jakoś tu przebieduje. Ale jutro oni będą musieli zrobić przynajmniej dach zasłaniający jej pokój. A poza tym, pomyślała, ci głupi mężczyźni będą musieli wstawić do tego pokoju lustro i większą komodę. Będą też musieli urządzić mi łazienkę. Tak, jeżeli mam spędzać tu noce, muszę mieć to wszystko.

* * *

Miała trudności z zaśnięciem. Mimo że była zmęczona, leżała z otwartymi oczami, w stanie całkowitego rozbudzenia właściwym tylko tym, którzy są skrajnie wyczerpani. Nasłuchiwała, czy z sąsiedniego pokoju nie dobiegają jakieś dźwięki.

On nie wyjdzie sam, nie może? Nie może?

Ściany były pionowe i bardzo wysokie. Ale co będzie, jeżeli ten dzieciak potrafi się wspinać jak małpa?

Ale po pionowej ścianie, na której nie ma się czego uchwycić? No tak, znowu myślisz o nim jako o małpie!

On nie będzie w stanie wyjść, nie. Miała co do tego prawie absolutną pewność. A zresztą tam, na balkonie są wiecznie aktywne czujniki. One by go z pewnością zauważyły i wszczęły alarm, gdyby w środku nocy zaczął wspinać się i przechodzić z pokoju do pokoju.

Z pewnością.

(Jest tak dużo rzeczy, których nie sprawdziłam, pomyślała panna Fellowes.)

A później, nagle zadała sobie pytanie: Czy on może być niebezpieczny? Czy może mnie zaatakować?

Przypomniała sobie, jak trudno było go wykąpać. Widziała przecież, jak najpierw Hoskins, a potem Elliott zmagali się z nim, chcąc go utrzymać. Taki był mały, a taki silny! No i tak podrapał Elliotta.

Co by się stało, gdyby tu przyszedł i…

Nie, powiedziała sobie, on mnie nie skrzywdzi.

Hoskins z pewnością nie zostawiłby jej tutaj samej, gdyby wiedział, że istnieje jakiekolwiek ryzyko, że… Tak, samej, bo przecież czujniki to nie ludzie… Ale nie, nie ma żadnego ryzyka…

Próbowała śmiać się z własnego strachu. Ten chłopiec miał

zaledwie trzy lata, najwyżej cztery. Tak, ale nie zdążyła jeszcze obciąć mu paznokci. Gdyby zaatakował ją podczas snu paznokciami i zębami…

Zaczęła oddychać szybko. To śmieszne, to naprawdę śmieszne, a jednak…

Kręciła się w kółko, nie była w stanie zająć konsekwentnego stanowiska i pozostać przy nim przez dłuższą chwilę. Czy on był niebezpieczną, okropną małpą, czy też przerażonym dzieckiem znajdującym się daleko od bliskich? Jednak nawet przerażone dziecko może człowiekowi zrobić krzywdę, jeżeli uderzy wystarczająco silnie. Panna Fellowes pamiętała parę nieprzyjemnych wydarzeń w szpitalu — dzieci doprowadzone do ostateczności atakowały personel naprawdę gwałtownie i rzeczywiście potrafiły zrobić krzywdę.

Panna Fellowes nie miała odwagi zasnąć. Nie miała odwagi.

Leżała, patrząc w górę i nasłuchując uważnie. Nagle coś usłyszała.

Chłopiec płakał.

Nie krzyczał ze strachu czy złości, nie darł się, nie wrzeszczał. Płakał cicho. Jego płacz był żałosnym szlochaniem samotnego dziecka.

Natychmiast zniknęły wszystkie jej obawy. Po raz pierwszy pomyślała z bólem serca: Biedactwo! Biedne przerażone dziecko!

Oczywiście — to było dziecko. Bo jakie znaczenie miał kształt jego głowy czy to, że jego włosy były szorstkie? Było to dziecko osierocone — w sposób, w jaki nie zostało osierocone żadne inne. Hoskins mówił o tym podczas ich pierwszego spotkania. „Będzie to najbardziej samotne dziecko w całej historii świata” — powiedział. I miał rację. Bo to dziecko nie tylko zostało pozbawione matki i ojca, ono zostało pozbawione całego gatunku, do którego należało. Zostało brutalnie wyrwane z własnego czasu i było jedynym przedstawicielem swego gatunku w obecnym świecie.

Ostatnim. Jedynym.

Panna Fellowes współczuła mu coraz bardziej. A wraz ze współczuciem przyszedł wstyd. Wstydziła się, że była taka niewrażliwa, wstydziła się, że pozwoliła sobie na odczuwanie odrazy i na okazanie irytacji spowodowanej niesfornością chłopca. Jak mogłam być taka okrutna? — zastanawiała się. — Jak mogłam okazać taki brak profesjonalizmu? Przecież to dziecko zostało porwane, a być porwanym jest bardzo źle, a jeszcze gorzej jest być obiektem pogardy ze strony osoby, która ma się człowiekiem opiekować i nauczyć go, jak ma się znaleźć w nowym, przerażającym świecie.

Otuliwszy sobie łydki koszulą nocną — te idiotyczne czujniki, nie mogła przestać o nich myśleć! — panna Fellowes wyszła z łóżka i poszła na palcach do pokoju chłopca.

— Chłopczyku — szepnęła — chłopczyku.

Uklękła i sięgnęła pod łóżko. Ale zaraz przyszła jej do głowy myśl

(której się wstydziła, ale która płynęła z jej długoletniego doświadczenia z zaburzonymi dziećmi), że chłopiec może ją ugryźć. Cofnęła rękę. Zmieniła taktykę: zapaliła nocną lampkę i odsunęła łóżko od ściany.

Biedactwo leżało żałośnie skulone w kącie. Leżało z kolanami podciągniętymi pod brodę i patrzyło na nią zalęknione zamglonymi oczami.

Światło było nikłe, dzięki czemu panna Fellowes mogła nie zwracać uwagi na to, że chłopiec jest taki wstrętny, że ma grube rysy i dużą, niekształtną głowę.

— Biedny chłopczyk — wymruczała. — Biedny, przestraszony, mały chłopczyk.

Pogłaskała go po głowie, po jego szorstkich, splątanych, przypominających szczecinę włosach, które parę godzin temu wydały jej się takie nieprzyjemne. Teraz były tylko niezwykłe. Chłopiec zesztywniał, kiedy go dotknęła, ale zaraz potem zauważyła, że się odprężył.

— Biedactwo — powiedziała. — Chodź do mnie.

Chłopiec mlasnął cicho. A następnie zamruczał niegłośno. Jego pomruk był łagodnym burczeniem oznaczającym, że jest niezadowolony.

Panna Fellowes usiadła na podłodze tuż koło niego i jeszcze raz pogłaskała go po głowie. Powoli, rytmicznie. Widać było, że ciało chłopca rozluźnia się. Może nikt nigdy nie głaskał go po głowie — tam, w tym dzikim prehistorycznym świecie, który pozostawił za sobą? Wyglądało na to, że podoba mu się to głaskanie. Panna Fellowes — delikatnie i czule — bawiła się jego włosami. Przygładzała je, prostowała, wyjmowała spomiędzy nich jakieś paprochy, przeważnie jednak gładziła mu czubek głowy ruchem powolnym, prawie hipnotyzującym.

Pogłaskała go po policzku i po ręce. Pozwolił na to.

Zaczęła cicho, powoli i łagodnie śpiewać piosenkę, piosenkę bez słów, powtarzającą się melodię, którą znała od dzieciństwa i którą śpiewała wielu zaburzonym dzieciom, żeby je ukoić, uspokoić.

Chłopiec podniósł głowę i w półmroku wpatrywał się w jej usta. Wyglądał tak, jakby te dźwięki go zastanawiały.

Panna Fellowes przyciągnęła go bliżej do siebie, objęła. Nie stawiał oporu. Powoli przytknęła mu rękę do skroni i delikatnie położyła jego głowę na swoim ramieniu. Wsunęła rękę pod jego uda i harmonijnym, niespiesznym ruchem uniosła go i posadziła sobie na kolanach.

Śpiewała dalej — tę samą spokojną, wznoszącą się i opadającą melodię. Powtarzała ją, kołysząc się w tył i w przód, w tył i w przód.

Chłopiec przestał płakać.

Po chwili, słysząc jego regularny oddech, panna Fellowes zorientowała się, że śpi.

Bardzo ostrożnie popchnęła łóżeczko kolanem i przysunęła je z powrotem do ściany. Położyła na nim chłopca. Przykryła. Czy on kiedyś spał pod kołdrą? Bo z pewnością nie spał w łóżku! Otuliła go i stała nad nim przez chwilę, przyglądając mu się. Jego twarz we śnie była cudownie spokojna.

Teraz jakoś nie przeszkadzało jej to, że jest taki brzydki. Naprawdę jej nie przeszkadzało.

Wyszła z pokoju na palcach. Przy drzwiach zatrzymała się i pomyślała: A co będzie, jeżeli on się obudzi?!

Może się przestraszyć i to bardziej niż poprzednio. Bo będzie się spodziewał, że ona jest przy nim, a tymczasem okaże się, że jej nie ma. Nie wiedząc, gdzie ona jest, może wpaść w popłoch, w jakiś szał.

Panna Fellowes zawahała się, walcząc niezdecydowanie ze sobą. Stanęła znowu przy łóżku i przyjrzała się śpiącemu chłopcu. Potem westchnęła. Mogła zrobić tylko jedno. Ostrożnie położyła się obok chłopca.

Łóżko było dla niej o wiele za małe. Musiała podciągnąć nogi aż pod brodę. Jej lewy łokieć był przyciśnięty do ściany. Nie chcąc przeszkadzać chłopcu, musiała się zwinąć i przyjąć bardzo niewygodną pozycję. Leżała całkiem rozbudzona, skulona i wygięta i czuła się jak Alicja w Krainie Czarów po napiciu się z buteleczki. No dobrze, dzisiejszej nocy nie będzie więc wcale spała. Ale to jest pierwsza noc. Później będzie łatwiej. Bywają rzeczy ważniejsze niż sen.

Poczuła, że coś dotyka jej dłoni. Były to palce dziecka. Dotykał jej przez sen. Jego mała szorstka rączka wsunęła się w jej dłoń.

Panna Fellowes uśmiechnęła się.

* * *

Obudziła się, drgnąwszy mocno. Zaczęła się zastanawiać, gdzie jest i dlaczego jest taka sztywna i obolała. Poczuła nieznany zapach jakiejś drugiej osoby. A poza tym miała świadomość, że czyjeś ciało przyciska się do jej ciała. Zaskoczyło ją to.

Omal nie krzyknęła. Z jej gardła wydobył się głuchy bulgot.

Chłopiec siedział i patrzył na nią szeroko otwartymi oczami. Brzydki mały chłopiec, dziecko wyrwane z zamierzchłej epoki. Małe neandertalskie dziecko.

Dopiero po dłuższej chwili panna Fellowes zdołała sobie

przypomnieć, że położyła się z nim do łóżka. Później przypomniała jej się reszta. Zrozumiała, że mimo wszystko udało jej się zasnąć. A teraz był ranek.

Patrząc chłopcu w oczy, wyciągnęła powoli jedną nogę i ostrożnie dotknęła nią podłogi. Potem zrobiła to samo z drugą. Mięśnie miała napięte, trzymała ręce w pogotowiu na wypadek, gdyby chłopiec wpadł w panikę.

Szybko i z niepokojem rzuciła okiem w stronę otwartego sufitu. Czy oni ją obserwują? Czy kamery podpatrują, jak ona, z mętnym wzrokiem, zaczyna nowy dzień?

Nagle krótkie i grube palce chłopca dotknęły jej warg. Chłopiec coś powiedział: dwa razy mlasnął i wydał jeden pomruk.

Panna Fellowes mimo woli cofnęła się. Spojrzała na chłopca. Zadrżała lekko. Nienawidziła za to samej siebie, ale nie mogła nic na to poradzić. W świetle dnia chłopiec był strasznie brzydki.

Znowu coś powiedział. Otworzył usta i pokazał gestem, że coś z nich wychodzi.

Nie było trudno domyślić się, co to znaczy. Drżącym głosem panna Fellowes zapytała:

— Chcesz, żebym znowu zaśpiewała? Tak? Chłopiec nic nie powiedział, ale wpatrywał się w jej usta. Głosem drżącym i trochę fałszując panna Fellowes zaczęła śpiewać tę piosenkę, którą rzuciła wieczorem. Brzydki mały chłopiec uśmiechnął się. Wydawało się, że rozpoznaje melodię. Kołysał się niezdarnie mniej więcej w jej rytm, wymachując rękami. Wydał ciche bulgotanie, które mogło być zaczątkiem śmiechu.

Panna Fellowes westchnęła w duchu. Muzyka swoim czarem może ukoić dziką bestię. No dobrze, cokolwiek byłoby w stanie…

— Poczekaj — powiedziała. — Niech się trochę ogarnę. To zajmie tylko chwilę. A potem zrobię ci śniadanie.

Umyła twarz i uczesała się, mając przez cały czas dojmującą świadomość, że nad jej głową brakuje sufitu i że patrzą na nią niewidzialne elektroniczne oczy. A może nie tylko elektroniczne? — pomyślała.

Chłopiec pozostał w łóżku. Patrzył w jej stronę. Był spokojny. Wściekła furia, jakiej pokaz dał w ciągu swoich pierwszych paru godzin w dwudziestym pierwszym wieku, zniknęła. Panna Fellowes machała mu ręką za każdym razem, kiedy stawała twarzą do niego. W końcu i on odpowiedział jej tym samym — niezdarnym lecz uroczym gestem, który ją zaskoczył i na widok którego poczuła przyjemny dreszcz.

— Dobrze by było zjeść coś solidnego, prawda? Co myślisz o płatkach owsianych na mleku? — powiedziała, kiedy skończyła toaletę.

Uśmiechnął się prawie tak jak ktoś, kto rozumie. Prawie.

Przygotowanie owsianki — podgrzanie jej w kuchence mikrofalowej — zajęło tylko chwilę. Potem panna Fellowes skinęła na chłopca.

Nie miała sposobu, żeby stwierdzić, czy zrozumiał jej gest, czy zwabił go zapach, ale zobaczyła, że wstaje z łóżka i ciężkim krokiem podchodzi do niej. Jego nogi były niezmiernie krótkie w porównaniu z krępym tułowiem, wskutek czego wydawały się bardziej krzywe, niż były w rzeczywistości.

Chłopiec spojrzał na podłogę. Najwyraźniej spodziewał się, że ona postawi miskę z owsianką u jego stóp i że będzie mógł tę owsiankę wylizać.

— Nie — powiedziała panna Fellowes. — Teraz jesteś cywilizowanym, małym chłopcem. Albo przynajmniej się nim staniesz. Cywilizowani mali chłopcy nie jedzą z podłogi.

Mlaski. Pomruki.

— Wiem, że nie rozumiesz nic z tego, co mówię. Ale prędzej czy później zrozumiesz. Ja chyba nie nauczę się twojego języka, ale jestem pewna, że ty potrafisz nauczyć się mojego.

Wyjęła z szuflady łyżkę i pokazała mu ją.

— Łyżka.

Spojrzał na nią obojętnie, bez zainteresowania.

— Nią sieje. Łyżka.

Panna Fellowes zanurzyła łyżkę w owsiance i podniosła ją sobie do ust. Oczy chłopca otworzyły się szeroko, jego nozdrza rozdęły się, a z gardła wyrwał mu się przeciągły dźwięk, coś w rodzaju bardzo spokojnego skowytu — dźwięk, który zgodnie z przypuszczeniem panny Fellowes wydaje stworzenie głodne i uważające, że inne stworzenie chce mu ukraść śniadanie.

Przy pomocy pantomimy pokazała, jak się wkłada łyżkę do ust, udała, że połyka owsiankę i oblizała sobie wargi ze smakiem. Chłopiec obserwował ją okrągłymi oczami. Wyglądał na nieszczęśliwego i oczywiste było, że nie rozumie.

— Teraz ty spróbuj — powiedziała panna Fellowes. Włożyła owsiankę z powrotem do miski i pokazała mu pustą łyżkę na znak, że nic nie zjadła. Potem jeszcze raz nabrała owsianki i wyciągnęła sztuciec w jego stronę.

Chłopiec cofnął się z przestrachem w oczach, jak gdyby łyżka była jakąś bronią. Jego śniada twarzyczka zmarszczyła się z przerażenia. Wydał dźwięk, który był niezupełnie szlochem i niezupełnie warknięciem.

— Zobacz — powiedziała panna Fellowes. — Łyżka. Owsianka. Usta.

Nie. Mimo że był głodny, nie chciał nic wiedzieć o łyżce. No

dobrze, mamy na to czas, pomyślała panna Fellowes. Odłożyła łyżkę.

— Ale musisz trzymać miskę w rękach. Wiesz, jak to się robi. Nie będzie żadnego jedzenia z podłogi.

Podała mu miskę. Spojrzał na nią, a potem na podłogę.

— Trzymaj w rękach.

Mlaski. Pannie Fellowes wydało się, że rozpoznaje w nich znajomy układ dźwięków, ale nie mogła mieć co do tego pewności. Hoskins musi koniecznie nagrać te odgłosy! Zresztą może już je nagrywa.

— W rękach — powtórzyła stanowczo. — O tak. Zrozumiał. Wziął miskę, kciuki wsadził do owsianki.

Podniósł miskę do twarzy. Zrobił to bardzo niezręcznie, upaćkał się okropnie, jednak większa część owsianki dostała się do jego żołądka.

A więc okazało się, że uczy się szybko. Wtedy, kiedy nie paraliżuje go strach. Panna Fellowes pomyślała, że nie będzie już raczej chłeptał z podłogi jak zwierzę.

Obserwowała go uważnie, kiedy jadł. Wyglądał na chłopca zdrowego i silnego. Oczy miał jasne, cerę dobrą, nic nie wskazywało na to, że ma gorączkę albo że jest chory. Jak dotąd zdawał się bardzo dobrze znosić niewygody swej niezwykłej podróży.

Mimo że właściwie nie miała pojęcia, jakie są prawidłowości wzrostu neandertalskich dzieci, panna Fellowes zaczęła teraz przypuszczać, że chłopiec jest prawdopodobnie starszy, niż z początku myślała, że ma raczej cztery lata, a nie trzy. Był mały, to prawda, jednak jego rozwój fizjologiczny wyglądał na dalej posunięty niż u trzyletniego współczesnego jej dziecka. Oczywiście mogło to być częściowo spowodowane warunkami, w których żył, tam, w epoce kamienia. (W epoce kamienia? Tak, oczywiście, neandertalczycy musieli żyć w epoce kamienia. Panna Fellowes była tego prawie pewna. Będzie się musiała jeszcze tyle nauczyć, jeżeli oczywiście znajdzie czas.)

Spróbowała nakłonić go, aby tym razem wypił mleko ze szklanki. Zdawało się, iż szybko przyswoił sobie myśl, że szklankę trzeba trzymać w rękach. Potrzebne mu były do tego obie ręce, jednak większość dzieci w jego wieku trzyma szklankę dwiema rękami. No i szklanka nie wydała mu się taka groźna jak poprzednio łyżka. Miał jednak kłopoty z otworem. Otwór był bowiem za mały na to, żeby włożyć do niego całą głowę. Chłopiec zaczął wyć, wydawał wysoki dźwięk oznaczający frustrację, która zaczynała zamieniać się w złość. Panna Fellowes położyła rękę na jego ręce i zmusiła go, żeby przechylił szklankę, przyciskając usta do krawędzi.

I znowu chłopiec się upaćkał. Ale i tym razem większa część mleka znalazła się w jego żołądku. A panna Fellowes była

przyzwyczajona do tego, że dzieci się brudzą.

Toaleta, ku jej zdumieniu i wielkiej uldze, okazała się czymś mniej trudnym. Z początku chłopiec myślał, że miska klozetowa to jakaś fontanna, w której można się taplać. Panna Fellowes obawiała się, ze dzieciak zaraz do niej wejdzie. Powstrzymała go jednak, ustawiła naprzeciwko miski, podciągnęła jego koszulę i chłopiec natychmiast zrozumiał, czego się po nim spodziewa.

Poklepała go po głowie.

— Mądry chłopiec. Grzeczny chłopiec.

A chłopiec uśmiechnął się do niej, czym sprawił jej niebywałą przyjemność.

Miał to być poranek odkryć. Panna Fellowes stwierdzała to z przyjemnością. Odkryć dokonywanych i przez niego, i przez nią. Chłopiec uczył się tego, co trzeba wiedzieć o łyżkach, szklankach i miskach klozetowych. A ona uczyła się tego, co trzeba było wiedzieć o nim. I odkrywała podstawowy pierwiastek ludzki kryjący się pod pokrywką tych jego dziwnych i brzydkich, okropnie brzydkich rysów.

Odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. Chłopiec uśmiechnął się jeszcze raz. Normalnym uśmiechem, uśmiechem dziecka, które się przekonało, że warto się uśmiechać, bo powoduje to przyjemną reakcję ze strony innych.

Ale on nie jest wcale normalnym dzieckiem, przypomniała sobie panna Fellowes. Mając takie złudzenia, popełniałaby poważny błąd.

Jednak kiedy się uśmiecha, pomyślała, jest całkiem znośny. Naprawdę.

4. Badanie

Było przedpołudnie. Panna Fellowes zdążyła wykąpać chłopca, który nie stawiał tym razem takiego oporu, i przyjrzeć się dokładnie, w jakim znajdował się stanie fizycznym. Miał parę siniaków i zadrapań, jakich się można spodziewać u dziecka, które żyło w prymitywnych warunkach. Panna Fellowes zdołała nawet obciąć mu paznokcie u rąk, co wymagało od niej ogromnej cierpliwości. Trzeba go było najpierw udobruchać, śpiewając mu długo jakąś kojącą nerwy piosenkę. Paznokcie u nóg musiały jeszcze poczekać. Żadne z nich bowiem nie wytrzymałoby dzisiaj dalszych tego rodzaju zabiegów.

Panna Fellowes, wykonując swoje czynności, nie zauważyła, kiedy drzwi się otworzyły. Dopiero po jakimś czasie zobaczyła Hoskinsa, który mógł się tam znajdować od kilku minut, i który stanął przed nią w milczeniu z założonymi rękami.

— Czy mogę wejść? — zapytał. Panna Fellowes kiwnęła głową.

— Już pan chyba wszedł, prawda?

— Mam na myśli strefę pracy. Nie odpowiedziała mi pani, kiedy mówiłem do pani przez interkom.

— Byłam zajęta. Może powinien pan mówić głośniej. Ale proszę wejść, proszę!

Kiedy Hoskins wszedł, chłopiec się cofnął. Spojrzał na niego bojaźliwie i wyglądało na to, że ma zamiar czmychnąć do pokoju w głębi. Panna Fellowes uśmiechnęła się i skinęła na niego ręką. Chłopiec nie uciekł, tylko przylgnął do niej, obejmując jej nogę swoimi pałąkowatymi i cienkimi, tak bardzo cienkimi nóżkami.

Na twarzy Hoskinsa pojawił się wyraz niemal czci.

— Zrobiła pani wielkie postępy, panno Fellowes!

— Ciepła owsianka jest w stanie uczynić cuda.

— Wygląda na to, że on już się do pani bardzo przywiązał.

— Wiem, jak robić to, co do mnie należy, panie doktorze. Czy to jest takie zdumiewające?

Hoskins poczerwieniał.

— Nie chciałem powiedzieć…

— Nie, oczywiście, że nie. Rozumiem. Wczoraj, kiedy pan go widział po raz ostatni, chłopiec był małym dzikim zwierzątkiem, a teraz…

— Nie jest nim wcale.

— Nie — powiedziała panna Fellowes. — W najmniejszym stopniu nim nie jest. — Zawahała się przez chwilę, a potem dodała: — Początkowo miałam co do tego pewne wątpliwości.

— Jak mógłbym o tym zapomnieć! Była pani taka oburzona.

— Teraz już nie jestem. Przesadziłam. Na pierwszy rzut oka

wydało mi się, że on jest małpą człekokształtną i nie czułam się przygotowana do podjęcia takich obowiązków. Ale on się zdumiewająco szybko przystosowuje. Nie jest małpą, panie doktorze. Tak naprawdę jest dość inteligentny. Bardzo dobrze nam się współdziała.

— Miło mi to słyszeć. Czy to oznacza, że postanowiła pani nie rezygnować z tej pracy?

Panna Fellowes spojrzała na niego srogo.

— Co do tego nie było nigdy żadnych wątpliwości, prawda, panie doktorze?

— No… — Hoskins wzruszył ramionami. — Chyba nie. Wie pani, panno Fellowes, nie pani jedna była zdenerwowana. Myślę, że rozumie pani, z jak wielkim wysiłkiem zostało przygotowane to przedsięwzięcie i jak bardzo zależało nam na sukcesie. A teraz, kiedy go osiągnęliśmy, naprawdę wielki sukces, czujemy się trochę oszołomieni. Czujemy się jak człowiek, który zmobilizował wszystkie siły, żeby wyważyć drzwi, naparł na te drzwi, a one ustępują mu prawie bez oporu. Człowiek wpada z impetem do pokoju, do którego tak bardzo chciał się dostać, staje na środku trochę zbity z tropu i mówi do siebie: No dobrze, w końcu jestem. I co teraz?

— To dobre pytanie, panie doktorze. Co teraz? Sprowadzi pan różnych ekspertów. Oni będą oglądać chłopca, tak? Specjalistów od prehistorii i innych takich?

— Oczywiście.

— Przypuszczani, że wkrótce podda się go dokładnym badaniom lekarskim.

— Tak, naturalnie. Ale on jest zdrowy, prawda? Tak zasadniczo biorąc.

— Zasadniczo tak. Jest odporny. Ale ja nie jestem lekarzem. A poza tym nie przeszedł żadnych badań. Człowiek może wydawać się zdrowy, ale n i e być zdrowy. To przecież nie to samo. Chłopiec może mieć różne pasożyty, na przykład ameby, może być zaatakowany przez pierwotniaki. Prawdopodobnie je ma. Być może są one dla niego nieszkodliwe, a być może nie. Nawet jeżeli nie zagrażają zbytnio jemu, mogą zagrażać nam.

— Pomyśleliśmy już o tym. W południe przyjdzie doktor Jacobs i przeprowadzi wstępne badania. Będzie pani z nim współpracowała tak długo, jak będzie trwał ten eksperyment. Jeżeli doktor Jacobs nie wyprowadzi chłopca zbytnio z równowagi, przyjdzie potem doktor Mclntyre ze Smithsonian, żeby przeprowadzić pierwsze badania antropologiczne. A potem oczywiście pojawią się media. Panna Fellowes przerwała swoje czynności.

— Media? — zapytała. — Jakie media? Kto przyjdzie? Kiedy?

— Ależ, panno Fellowes, oni będą chcieli zobaczyć chłopca jak

najprędzej. Candide Deveney już ich poinformował o jego przybyciu. Dzisiaj pojawią się u nas dziennikarze ze wszystkich gazet i sieci telewizyjnych świata.

Panna Fellowes popatrzyła na chłopca i objęła go opiekuńczym gestem. Chłopiec zadrżał i troszeczkę się skulił, ale nie zrobił żadnego ruchu po to, żeby uniknąć jej dotknięcia.

— Ma pan zamiar wpuścić do tego małego pomieszczenia dziennikarzy i kamery? Pierwszego dnia?

— No, nie pomyśleliśmy…

— No tak, pewnie, że nie pomyśleliście. To oczywiste. Niech pan posłucha, panie doktorze, ten mały neandertalczyk należy do pana i może pan z nim robić, co pan chce. Ale dopóki nie przejdzie badań lekarskich i dopóki nie okaże się, że jest zdrowy, nie będzie tu dziennikarzy. To jest program minimum. A właściwie to nie należy ich wpuszczać, dopóki on się lepiej nie zaadaptuje. Rozumie pan, co mówię, prawda?

— Panno Fellowes, wie pani z pewnością, że reklama jest podstawą…

— Tak. Reklama jest podstawą wszystkiego. W dzisiejszych czasach. A wyobraża pan sobie, zrobi pan sobie reklamę, jeżeli dziecko umrze ze strachu przed kamerami?

— Doprawdy, panno Fellowes!

— Albo jeżeli zarazi się katarem od jednego z pańskich ukochanych dziennikarzy. Kiedy prosiłam o sterylną komorę, usiłowałam panu uświadomić, że jego odporność na współczesne nam mikroorganizmy przenoszące infekcje jest prawdopodobnie zerowa. Zerowa. On nie ma przeciwciał, nie ma wrodzonej odporności, nie ma nic, co by mogło zwalczyć…

— Ależ panno Fellowes…

— A co będzie, jeżeli oni zarażą się od niego jakąś chorobą z epoki kamienia, chorobą, na którą my nie jesteśmy odporni?

— W porządku, panno Fellowes. Przekonała mnie pani.

— Chcę mieć absolutną pewność, że tak jest. Niech media poczekają, oto co chcę powiedzieć. On najpierw powinien przejść wszelkie szczepienia ochronne. I tak niedobrze się stało, że zetknął się z tyloma osobami wczoraj wieczorem. Nie wpuszczę tu tłumu dziennikarzy. Ani dzisiaj, ani jutro. Jeżeli chcą, mogą sfotografować go z góry. Na razie muszą być poza polem statycznym, całkowicie poza nim. Tak jakby tu było nowo narodzone niemowie. Chcę też, żeby byli cicho. Później możemy opracować plan zdjęć wideo. Ale, skoro już o tym mowa, to muszę stwierdzić, że wciąż nie podoba mi się to, że jestem tu aż tak wystawiona na widok publiczny. Chcę, żeby mój pokój miał dach. Chwilowo wystarczy jakiś brezent. Nie chcę, żeby tu teraz pracowali i hałasowali robotnicy. Myślę też, że pozostała

część tego domku dla lalek również może mieć sufit.

Hoskins uśmiechnął się.

— Mówi pani prosto z mostu. Działa pani bardzo skutecznie, panno Fellowes.

W jego głosie było tyleż podziwu co zniecierpliwienia.

— Skutecznie? — zapytała. — Chyba tak. Przynajmniej wtedy, kiedy chodzi o moje dzieci.

Jacobs był krzepkim mężczyzną około sześćdziesiątki. Twarz miał szczerą, a gęste białe włosy przystrzyżone tuż przy skórze, na modłę wojskową. Był rzeczowy i nieco szorstki. Jego sposób bycia, według niektórych, pasował raczej do lekarza wojskowego niż do pediatry. Jednak panna Fellowes wiedziała z doświadczenia, że dzieciom nie przeszkadza tego typu szorstkość, o ile pod nią kryje się dobroć. W oczach dzieci lekarz musi być autorytetem. Dzieci pragną, żeby nim był. Delikatności, czułości i pocieszenia szukają gdzie indziej. Lekarz ma być jak Bóg, ma rozwiązywać problemy, uzdrawiać.

Panna Fellowes zastanawiała się, jakich to lekarzy miało plemię chłopca żyjące przed czterdziestoma tysiącami lat. Byli nimi bez wątpienia czarownicy. Przerażające postacie z kością tkwiącą w przegrodzie nosowej, z czerwonymi kołami namalowanymi wokół oczu, postacie, które stawiały diagnozy, skacząc i wierzgając przy obozowym ognisku o płomieniach zabarwionych na niebiesko, zielono i czerwono. Jak wyglądałby doktor Jacobs z kością w nosie? I ze skórą niedźwiedzia zarzuconą na ramiona zamiast białego fartucha?

Doktor Jacobs uścisnął jej krótko dłoń. Nie było w tym uścisku nic, co by jej dawało do zrozumienia, że on traktuje ją z góry.

— Słyszałem o pani dobre rzeczy, Fellowes.

— Mam nadzieję, że tylko dobre.

— Pracowała pani u Gallaghera w Valley General, prawda? Tak przynajmniej mówił Hoskins. Świetny facet z tego Gallaghera. Dogmatyczny sukinkot, ale przynajmniej trzyma się właściwych dogmatów. Jak długo była pani u niego?

— Trzy i pół roku.

— Lubi go pani?

Panna Fellowes wzruszyła ramionami.

— Niespecjalnie, Słyszałam kiedyś, jak mówi do młodej pielęgniarki rzeczy, jakich się nie powinno mówić. Ale dobrze nam się razem pracowało. Dużo się od niego nauczyłam.

— Tak, on jest zdolny. — Jacobs pokręcił głową. — Szkoda, że źle postępuje z pielęgniarkami. Nie tylko w tym sensie. Ale pani sama nie miała z nim żadnej scysji, prawda?

— Ja? Nie. Nie, nic z tych rzeczy!

— Nie, myślę, że z panią by niczego nie próbował — powiedział Jacobs.

Panna Fellowes zastanowiła się, co on chciał przez to powiedzieć. Może to, że ona nie jest w typie Gallaghera? Nie była w niczyim typie i od wielu lat to jej odpowiadało. Puściła uwagę lekarza mimo uszu.

Jacobs zdawał się znać na pamięć cały jej życiorys. Wymieniał różne szpitale i różnych lekarzy, ze swobodą mówił o różnych siostrach przełożonych i zarządach szpitali, zdawał się znać tych wszystkich. Widocznie pracował w wielu miejscach. A ona wiedziała o nim tylko tyle, że był jakąś ważną figurą w Stanowym Instytucie Medycyny i że oprócz tego miał dość rozległą praktykę prywatną. Ich zawodowe ścieżki nigdy się nie skrzyżowały. Skoro Hoskins uznał, że jemu można pokazać jej życiorys, powinien był także pokazać jego życiorys jej. Jednak panna Fellowes zignorowała też i tę sprawę.

— No, myślę, że czas najwyższy obejrzeć tego małego neandertalczyka — powiedział Jacobs. — Gdzie on się ukrywa?

Panna Fellowes wskazała ręką w stronę drugiego pokoju. Chłopiec czaił się tam, wyglądając od czasu do czasu zza drzwi. Zza futryny wyzierał chwilami kosmyk jego splątanych włosów, a chwilami kąt oka.

— Nieśmiały, co? Od pani pomocników słyszałem coś innego. Mówili, że jest tak niesforny jak mała małpa.

— Już nie. Na początku był przerażony, ale to już mu przeszło. Teraz czuje się po prostu zagubiony i przestraszony.

— Nic w tym dziwnego. Biedaczysko. No, ale musimy się zabrać do roboty. Proszę go zawołać. A może musi pani tam wejść i go przyprowadzić?

— Spróbuję go zawołać — powiedziała panna Fellowes. Odwróciła się twarzą do chłopca.

— Możesz wyjść, Timmie. To jest doktor Jacobs. Nie zrobi ci nic złego.

Timmie?

Skąd jej się to wzięło? Nie miała pojęcia.

Imię wypłynęło po prostu ze studni jej podświadomości. Nigdy w życiu nie znała żadnego Timmie'ego. Ale na chłopca trzeba było jakoś wołać, prawda? Wyglądało na to, że właśnie w tej chwili nadała mu imię. Timothy. Zdrobniale Timmie. Niech tak będzie. Prawdziwe imię, ludzkie imię. Timmie.

— Timmie? — powtórzyła jeszcze raz.

Podobał jej się dźwięk tego słowa, rozkoszowała się tym, że może wołać chłopca po imieniu, przestać myśleć o nim jako o „dziecku", „neandertalczyku", „brzydkim małym chłopcu". Miał na imię Timmie. Był osobą. Miał imię.

Kiedy szła do drugiego pokoju, Timmie wsunął się za drzwi, chowając się za nimi.

— W porządku — powiedział Jacobs trochę zniecierpliwiony. —

Nie możemy na to marnować całego dnia. Proszę tam pójść i go przyprowadzić.

Naciągnął sobie na twarz maskę chirurgiczną. Panna Fellowes pomyślała, że zrobił to zarówno ze względu na własne bezpieczeństwo, jak i na bezpieczeństwo Timmie'ego.

Ale był to błąd. Timmie wyjrzał, zobaczył maskę i z jego gardła wyrwał się przenikliwy, wwiercający się w uszy skowyt. Zareagował tak, jakby zobaczył jakiegoś demona pochodzącego z koszmarnych snów śnionych w epoce kamienia. Kiedy panna Fellowes doszła do drzwi, rzucił się gwałtownie na przeciwległą ścianę jak stworzenie trzymane w klatce chcące uciec przed strażnikami. Przycisnął się do ściany, drżąc ze strachu.

— Timmie… Timmie…

Jej wezwania nie odnosiły żadnego skutku. Nie dopuszczał jej do siebie, w każdym razie nie wtedy, kiedy w pobliżu był Jacobs. Chłopiec dobrze znosił obecność Hoskinsa, ale Jacobs przerażał go tak, że odchodził od zmysłów. No cóż, nie sprawdzała się teoria, że dzieci lubią szorstkich lekarzy o wojskowym sposobie bycia. To dziecko z pewnością ich nie lubiło.

Panna Fellowes zadzwoniła po Mortensona i Elliotta.

— Będzie nam chyba potrzebna pomoc — powiedziała. Dwaj krzepcy asystenci popatrzyli po sobie niepewnie.

Na lewej ręce Elliotta było wyraźne wybrzuszenie widoczne pod rękawem jego uniformu. Przyczyną był bez wątpienia bandaż, którym opatrzono ranę zadaną mu wczoraj przez Timmie'ego — owo zadrapanie.

— Ależ dajcie spokój — powiedziała panna Fellowes. — On jest przecież tylko małym dzieckiem.

Tak, był małym dzieckiem, ale z przerażenia, znajdował się znowu w stanie takim jak poprzedniego dnia. Mając po obu stronach Mortensona i Elliotta, panna Fellowes weszła do pokoju chłopca i spróbowała go złapać. Jednak on zaczął miotać się na wszystkie strony z prawdziwie małpią ruchliwością. Trudno im było go schwytać. W końcu Mortenson, robiąc gwałtowny ruch do przodu, chwycił go w pasie i podniósł nad podłogę. Elliott ostrożnie wziął go za kostki i usiłował nie pozwolić mu wierzgać.

Panna Fellowes podeszła do chłopca.

— W porządku, Timmie — powiedziała cicho — nikt nie zrobi ci krzywdy…

Równie dobrze mogła powiedzieć: „Zaufaj mi". Chłopiec stawiał zacięty opór, walczył prawie tak energicznie jak poprzedniego wieczora, kiedy próbowali go wykąpać.

Czując, że postępuje bezsensownie, a zarazem chcąc go uspokoić i skłonić do współdziałania, panna Fellowes zaczęła nucić melodię

znaną mu z poprzedniego wieczora. To również na nic się nie zdało.

Doktor Jacobs pochylił się nad chłopcem.

— Chyba będziemy musieli dać mu coś na uspokojenie — powiedział. — Ależ on jest brzydki!

Panna Fellowes poczuła nagły przypływ wściekłości, tak jakby Timmie był jej własnym dzieckiem. Jak on śmie tak mówić! Jak śmie!

— To klasyczna neandertalska twarz — odcięła się energicznie. — On jest bardzo przystojny, jeżeli zastosować neandertalskie kryteria.

Sama się zdziwiła, skąd jej to przyszło do głowy. Bo właściwie to nie miała pojęcia, jak powinna wyglądać klasyczna neandertalska twarz. Nie wiedziała również, jakie w tamtych czasach panowały kryteria dotyczące urody.

— Nie podoba mi się pomysł, żeby dać mu na uspokojenie. Ale skoro nie ma innego wyjścia…

— Nie sądzę, żeby było inne wyjście — powiedział lekarz. — Nic nie osiągniemy, stosując brutalną siłę.

Nie, pomyślała panna Fellowes. Chłopiec na pewno nie odniesie się z entuzjazmem do szpatułki do przyciskania języka, ani do świateł świecących mu w oczy. I na pewno nie będzie się chciał pogodzić z tym, że pobiera mu się krew, ani z tym, że mierzy mu się temperaturę — nawet jeżeli będzie to robione przy pomocy zdalnie sterowanego przekaźnika termoelektrycznego. Panna Fellowes niechętnie kiwnęła głową.

Jacobs wyjął z podręcznej apteczki ultradźwiękową ampułkę uspokajającą i zaczął ją aktywować.

— Nie wie pan, jaka dawka będzie odpowiednia — odezwała się panna Fellowes.

Lekarz spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Te dawki są dobrane do wagi ciała poniżej trzydziestu kilogramów. Powinny być w granicach tolerancji.

— One są dobrane do wagi ciała ludzkiego, panie doktorze. A to jest dziecko neandertalskie. Nie mamy żadnych danych na temat układu krążenia takich dzieci.

Była zaskoczona własnym rozumowaniem. Z pewnym upokorzeniem uświadomiła sobie, że jeszcze raz przeprowadziła rozróżnienie między neandertalczykami a ludźmi. Najwyraźniej nie potrafiła przyjąć jednolitej postawy wobec chłopca. On jest człowiekiem, upomniała sama siebie gwałtownie. Człowiekiem, człowiekiem, człowiekiem. To jest Timmie, on jest człowiekiem.

Dla Jacobsa jej argument nie był najwyraźniej nawet wart tego, żeby podejmować dyskusję.

— Nawet gdyby był młodym gorylem, Fellowes, uważałbym, że to jest odpowiednia dawka. Człowiek czy neandertalczyk… co ma z tym wspólnego układ krążenia? Liczy się waga ciała. No dobrze, damy mu

tym razem pół dawki. Tak żeby nie narażać na żadne ryzyko tego ukochanego malca Hoskinsa.

Nie tylko Hoskinsa, pomyślała panna Fellowes ku własnemu zdziwieniu.

Jacobs obniżył dawkę i przytknął ampułkę do ramienia Timmie'ego. Rozległo się ciche bzyczenie i środek uspokajający zaczął natychmiast działać.

— No dobrze — powiedział lekarz. — Teraz pobierzemy trochę tej jego paleolitycznej krwi i trochę prehistorycznego moczu. A czy ma pani kał, panno Fellowes?

— On się nie wypróżniał, panie doktorze. Przemieszczenie w czasie…

— No więc kiedy to zrobi, niech pani zgarnie trochę z podłogi i da mi znać, dobrze?

— On się załatwia w toalecie, panie doktorze — powiedziała panna Fellowes z oburzeniem.

Jacobs podniósł na nią wzrok. Jego mina wyrażała zaskoczenie i coś, co mogło być gniewem. Ale zaraz się roześmiał.

— Widzę, że gorliwie go pani broni.

— Tak. Bronię go. Czy widzi pan w tym coś złego?

— Chyba nie. No dobrze. Zatem kiedy chłopiec znów pójdzie do toalety, chcę dostać ten kał… oczywiście jeżeli się wypróżni. Przypuszczam, że wody jeszcze po sobie nie spuszcza, co, panno Fellowes?

Tym razem roześmiali się też Elliott i Mortenson. Panna Fellowes nie podzieliła tej ogólnej wesołości.

Wyglądało na to, że Timmie śpi. Był w każdym razie bierny, spokojny, tolerancyjny. Jacobs bez trudu otworzył mu usta i skontrolował uzębienie. Panna Fellowes, która do tej pory nie miała okazji zobaczyć zębów chłopca, patrzyła Jacobsowi przez ramię. Bała się, ze ujrzy straszne zębiska, zębiska jak u małpy człekokształtnej. Tymczasem nie, nie. Jego zęby wcale nie przypominały zębów małpy człekokształtnej. Były dość duże — większe niż u współczesnego dziecka — i wyglądały na mocne, ale kształt miały ładny i rosły równo. Bardzo ładne zęby, naprawdę. I były to zdecydowanie zęby człowieka, a nie przerażające, wystające siekacze czy wielkie wysunięte psie zębiska. Panna Fellowes odetchnęła z ulgą.

Jacobs zamknął chłopcu usta, zajrzał mu do uszu, podniósł powieki. Spojrzał na wnętrza jego dłoni i na stopy, opukał klatkę piersiową, obmacał brzuch, zgiął mu ręce i nogi, zbadał palcami muskuły przedramion i ud.

— On jest jak mała siłownia. Zresztą pani już zdążyła to odkryć. Jest mały jak na swój wiek i raczej chudy, ale nie ma oznak niedożywienia. Kiedy dostaniemy kał, będę miał pojęcie, co on jadał.

Teraz mogę przypuszczać, że była to dieta o dużej zawartości protein i nisko skrobiowa, taka, jakiej można się spodziewać u ludzi trudniących się myślistwem i zbieractwem żyjących w surowym klimacie.

— Surowym? — spytała panna Fellowes.

— W epoce lodowcowej — powiedział Jacobs trochę protekcjonalnie. — Neandertalczycy żyli w epoce lodowcowej.

A skąd pan to wie? — pomyślała wojowniczo panna Fellowes. — Był pan tam? Jest pan antropologiem?

Jednak poskromiła język. Doktor Jacobs robił wszystko, żeby ją zdenerwować, ale był teraz jej kolegą i należało pozostawać z nim w dobrych stosunkach. Jeżeli nie z innych powodów, to ze względu na Timmie'ego.

* * *

W połowie badań Timmie zaczął się kręcić i okazywać niepokój, a w jakiś czas później było oczywiste, że środek uspokajający już nie działa. Co oznaczało, że normalna dawka przeznaczona dla zwykłego dziecka mającego taką samą wagę byłaby odpowiednia. Jacobs miał więc rację, a panna Fellowes w swojej nadopiekuńczości popełniła błąd. Timmie pod pewnymi względami bardzo różnił się od współczesnego równolatka, jednak na środek uspokajający zareagował tak, jak zareagowałby jego rówieśnik z dwudziestego pierwszego wieku. Pannie Fellowes, w miarę jak dowiadywała się o nim coraz więcej, wydawał się coraz bardziej ludzki.

Jacobs uporał się ze wszystkim, spakował się i wyszedł, zanim środek uspokajający przestał działać. Przed wyjściem powiedział, że wróci za parę dni, aby zająć się tym, co po wstępnej analizie okaże się odbiegające od normy.

— Czy chce pani, żebyśmy tu zostali? — zapytał Mortenson.

— Nie ma potrzeby. Proszę mnie zostawić samą z chłopcem.

Timmie uspokoił się natychmiast po wyjściu asystentów. Najwyraźniej przyzwyczaił się do towarzystwa panny Fellowes. Inni go denerwowali. Ale z czasem to mu przejdzie, pomyślała panna Fellowes.

— Nie było tak źle, prawda Timmie? Pozaglądał ci trochę tu i tam, trochę cię opukał. Ale widzisz, my musimy dowiedzieć się o tobie bardzo wielu rzeczy.

Chłopiec popatrzył na nią poważnie, nic nie mówiąc.

— Rozumiesz to, prawda, Timmie?

Timmie coś wymruczał: były to dwie sylaby. Ze zdumieniem usłyszała, że zabrzmiało to jak „Timmie". Czy to możliwe? Czy on znał już swoje imię?

— Powiedz to jeszcze raz! Timmie. Timmie. Chłopiec wymówił jeszcze raz dwie stłumione sylaby.

Tym razem panna Fellowes nie była wcale taka pewna, że mówi „Timmie". Tę myśl mogła jej podsunąć nadgorliwa wyobraźnia. Jednak warto było jej się trzymać. Wskazała go palcem.

— Timmie to ty. Timmie. Timmie. Znowu patrzył na nią w milczeniu.

— A ja jestem…

Wskazała siebie i przez chwilę miała twardy orzech do zgryzienia. Panna Fellowes — to było za trudne do wymówienia. Ale Edith nie brzmiało dobrze. Siostra? Nie, też niedobrze. Trzeba będzie zostać przy pannie Fellowes.

— Ja — panna Fellowes. Ty — Timmie. — Wskazała palcem. — Ja — panna Fellowes. Ty — Timmie.

Powtórzyła to trzy lub cztery razy. Chłopiec nie zareagował.

— Myślisz, że zwariowałam, tak? — zapytała, śmiejąc się z własnej głupoty. — Bo wydaję te niezrozumiałe dźwięki, pokazuję palcem, śpiewam. A tymczasem tobie chyba teraz tylko w głowie lunch. Mam rację, Timmie? Lunch? Jedzenie? Głodny?

Timmie znowu wymówił te dwie sylaby i mlasnął parę razy, jakby chcąc się upewnić, że ona go rozumie.

— Tak, głodny. Czas na jakieś jedzenie o wysokiej zawartości protein i małej ilości skrobi. Na specjały jak z epoki lodowcowej, tak Timmie? No dobrze, zobaczmy, co my tam mamy…

* * *

Doktor Mclntyre z Wydziału Antropologii w Smithsonian przybył wczesnym popołudniem. Hoskins zastosował środek ostrożności w postaci rozmowy przez interkom, podczas której zapytał pannę Fellowes, czy uważa, że chłopiec wytrzyma drugą wizytę następującą tak szybko po poprzedniej. Panna Fellowes spojrzała w drugi koniec pokoju. Timmie pochłonął lunch z wilczym apetytem — wypił całą butlę syntetycznego napoju witaminowego, który zalecił doktor Jacobs, zjadł miskę płatków owsianych na mleku i mały kawałek grzanki. Grzanka była pierwszym stałym pokarmem, jaki panna Fellowes odważyła się mu podać. Teraz siedział na krawędzi łóżka, wyglądał na odprężonego i zadowolonego i uderzał rytmicznie piętami

w dolną część materaca. Każdy, kto by na niego spojrzał, uznałby, że jest zwyczajnym małym chłopcem zabawiającym się po lunchu.

— Co ty na to, Timmie? Myślisz, że wytrzymasz następne badanie?

Tak naprawdę to nie spodziewała się od niego odpowiedzi, zresztą jego mlaskania nie wyglądały na odpowiedź. Chłopiec nie patrzył w jej stronę i dalej machał nogami. Mówi do siebie, nie ma co do tego wątpliwości. Ale zdecydowanie jest w dobrym humorze.

— Myślę, że możemy zaryzykować — powiedziała panna Fellowes do Hoskinsa.

— Dobrze. Jak go pani nazywa? „Timmie”? Co to znaczy?

— To jest imię.

— On pani powiedział, jak ma na imię? — zapytał Hoskins tonem osoby, na którą spadł grom z jasnego nieba.

— Oczywiście, że nie. To ja go tak nazywam. Nastąpiła krótka chwila konsternacji i milczenia.

— Aaa — powiedział w końcu Hoskins. — To pani go nazywa „Timmie”.

— Muszę go jakoś nazywać, panie doktorze.

— No tak, tak. Hm. „Timmie”.

— „Timmie” — powiedziała panna Fellowes stanowczo.

— „Timmie”. Tak. No dobrze. Poślę tam teraz doktora Mclntyre’a, jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu. Doktor Mclntyre zbada Timmie’ego.

Doktor Mclntyre okazał się człowiekiem szczupłym i wytwornym, i o wiele młodszym, niż się panna Fellowes spodziewała. Miał nie więcej niż trzydzieści, no może trzydzieści pięć lat. Był niski, delikatnie zbudowany, miał błyszczące złote włosy, a brwi tak jasne i miękkie, że właściwie nie było ich widać. Poruszał się precyzyjnie i tak elegancko, jakby tańczył zgodnie z zasadami jakiejś tajemniczej, wewnętrznej choreografii. Pannę Fellowes zdumiała jego elegancja i wyrafinowanie. Nie wyobrażała sobie, że tak może wyglądać paleoantropolog. Zdawało się, że nawet Timmie’ego wprowadził w błąd jego wygląd, bardzo różniący się od wyglądu innych mężczyzn, których chłopiec dotychczas tu spotkał. Patrzył na Mclntyre’a oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia, jak gdyby Mclntyre był jakąś emanującą światłem boską istotą z innej planety.

A Mclntyre był tak oszołomiony widokiem Timmie’ego, że prawie zaniemówił. Przez dłuższą chwilę stał nieruchomo w drzwiach, wpatrując się w chłopca z taką samą intensywnością, z jaką chłopiec wpatrywał się w niego. Przeszedł kilka kroków w lewo, zatrzymał się i spojrzał jeszcze raz. A potem przeszedł na prawo, w drugi koniec pokoju i zaczął się znowu wpatrywać w dziecko.

— Panie doktorze — odezwała się trochę kwaśno panna

Fellowes — to jest Timmie. Timmie, to doktor Mclntyre. Doktor Mclntyre przyszedł tu, żeby ci się przyjrzeć. Przypuszczam, że ty możesz również przyjrzeć się jemu. Jeżeli oczywiście chcesz.

Blade policzki Mclntyre'a poczerwieniały.

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział głosem słabym i schrypniętym ze wzruszenia. — Naprawdę nie mogę w to uwierzyć. To dziecko to czysty neandertalczyk! Prawdziwy, żywy neandertalczyk, który stoi tu przede mną. Proszę mi wybaczyć, panno Fellowes. Musi pani zrozumieć… To przechodzi moje wyobrażenie. To coś fenomenalnego, coś absolutnie zdumiewającego…

Miał łzy w oczach. Cała ta wylewność była żenująca. Rozdrażniła trochę pannę Fellowes. Ale zaraz potem, nagle, irytacja zniknęła, a jej miejsce zajęła empatia. Panna Fellowes wyobraziła sobie, jak czułby się historyk, któremu dano by szansę porozmawiania z Abrahamem Lincolnem, Juliuszem Cezarem lub Aleksandrem Wielkim, albo jak zareagowałby badacz Starego Testamentu, gdyby miał przed sobą autentyczne kamienne tablice z Dziesięcioma Przykazaniami zniesione przez Mojżesza ze szczytu góry Synaj. Oczywiście byłby oszołomiony. Oczywiście. No bo gdyby po wielu latach studiów nad czymś, co było znane jedynie ze starodawnych resztek, po latach prób zrozumienia tego czegoś, po latach mozolnego odtwarzania w myślach zaginionej rzeczywistości, miał niespodziewanie okazję skonfrontować się z samym przedmiotem swoich studiów, z autentycznym obiektem…

Mclntyre szybko oprzytomniał. Z charakterystycznym dla siebie wdziękiem przeszedł pospiesznie przez pokój i ukląkł przed Timmiem. Jego twarz znalazła się bardzo blisko twarzy chłopca. Timmie nie okazał strachu. Po raz pierwszy zareagował tak spokojnie na kogoś obcego. Uśmiechał się i nucił coś pozbawionego melodii, kołysał się też z boku na bok, zachowywał się jak dziecko cieszące się wizytą ulubionego wujka. Był tak zaaferowany, że oczy mu błyszczały. Wyglądało na to, że paleoantropolog go zafascynował.

— Panno Fellowes, jaki on piękny! — powiedział Mclntyre po dłuższym milczeniu.

— Piękny? Jak dotąd nie słyszałam, żeby wielu ludzi tako nim mówiło.

— Ależ tak, on jest piękny! Co za doskonała neandertalska twarzyczka! Wały czołowe… dopiero zaczęły się rozwijać, ale są rozpoznawalne. I to płaskogłowie. I to wydłużenie okolicy potylicznej. Panno Fellowes, czy mogę dotknąć jego twarzy? Zrobię to delikatnie. Nie chcę go przestraszyć, ale chciałbym zbadać budowę kostną…

— Wygląda na to, że to on chce dotknąć pana twarzy — powiedziała panna Fellowes.

Rzeczywiście ręka Timmie'ego wyciągnęła się w kierunku czoła Mclntyre'a. Uczony pochylił się trochę w jego stronę i palce dziecka

zaczęły badać jego lśniące złote włosy. Chłopiec gładził je, jakby nigdy w życiu nie widział czegoś tak cudownego. A później, nagle, nawinął sobie kilka pasm na palec środkowy i szarpnął. Było to potężne, silne szarpnięcie.

Mclntyre krzyknął i cofnął się. Twarz mu poczerwieniała.

— On chyba chce wziąć sobie trochę pana włosów — powiedziała panna Fellowes.

— Nie tak. Trzeba nożyczkami.

Mclntyre, uśmiechając się szeroko, obciął sobie kosmyk znad czoła i podał błyszczące włosy Timmie'emu, który rozpromienił się zachwycony. Wydobył z gardła cichy bulgot.

— Proszę mi powiedzieć, panno Fellowes, czy ktoś jeszcze, kto tutaj był, miał blond włosy?

Panna Fellowes zastanawiała się przez chwilę. Hoskins, Deveney, Elliott, Mortenson, pani Stratford, doktor Jacobs — wszyscy mieli włosy ciemnobrązowe, czarne albo siwe. Ona sama była siwiejącą szatynką.

— Nie. Nie przypominani sobie nikogo takiego. Pan jest chyba pierwszy.

— Zastanawiam się, czy jestem pierwszą taką osobą w jego życiu. Nie mamy oczywiście pojęcia, jakiego koloru włosy mieli neandertalczycy. Popularne rekonstrukcje przedstawiają ich prawie zawsze jako ciemnowłosych. Przypuszczam, że dlatego, iż neandertalczycy są przeważnie uważani za brutalne, podobne do małp stworzenia, a większość obecnych wielkich małp ma ciemną sierść. Ale ciemne włosy występują częściej u ludów zamieszkujących obszary o ciepłym klimacie niż u tych, które mieszkają na północy. Tymczasem neandertalczycy z całą pewnością przystosowani byli do niezwykle zimnego klimatu. Mogli więc mieć włosy blond jak przeciętny Rosjanin, Szwed czy Fin.

— A jednak jego reakcja na pańskie włosy, panie doktorze…

— Tak. Nie ma wątpliwości, że ich widok silnie na niego podziałał… Hm, może plemię, z którego pochodzi, było plemieniem całkowicie ciemnowłosym. Może cała populacja w tej części świata, z której przybył, miała ciemne włosy. Z pewnością ta jego śniada cera nie ma w sobie niczego nordyckiego. Nie możemy jednak wyciągać ostatecznych wniosków na podstawie próbki składającej się tylko z jednego dziecka. No, ale przynajmniej mamy to jedno dziecko! Jakie to cudowne, panno Fellowes! Nie mogę w to uwierzyć, naprawdę nie mogę…

Przez chwilę panna Fellowes myślała, że Mclntyre znowu da się ponieść emocjom. Jednak tym razem trzymał je na wodzy. Bardzo delikatnie przyciskał końce palców do policzków Timmie'ego, do jego pochyłego czoła, do małego, cofniętego podbródka. Pracując, mruczał

coś pod nosem, wypowiadał jakieś komentarze techniczne, słowa przeznaczone najwyraźniej tylko dla własnych uszu.

Timmie zniósł to badanie z wielką cierpliwością.

A potem, po pewnym czasie, wygłosił monolog składający się z pomruków i mlasków. Była to jego pierwsza wypowiedź od czasu wejścia paleoantropologa do jego pokoju.

Mclntyre podniósł wzrok na pannę Fellowes. Jego twarz stała się purpurowa z podniecenia.

— Słyszała pani te dźwięki? Czy wydawał podobne już przedtem?

— Oczywiście. On bez przerwy mówi.

— Mówi?

— A cóż by to było innego, jak pan myśli? On coś do nas mówi.

— Czy to znaczy, że pani przyjmuje, że on coś do nas mówi?

— Nie przyjmuję, tylko tak jest — powiedziała panna Fellowes, trochę zirytowana. — On mówi, panie doktorze. W języku neandertalczyków. W tym, co on mówi, zdecydowanie pojawiają się regularności. Próbowałam je wyłowić, a nawet naśladować. Ale na razie bez powodzenia.

— Jakiego rodzaju regularności, panno Fellowes?

— Schematy składające się z mlasków i pomruków.

Zaczynam je rozpoznawać. Jeden taki schemat informuje mnie o tym, że on jest głodny. Drugi oznacza zniecierpliwienie albo niepokój. Jest też taki, który świadczy o strachu. Wiem, że te interpretacje są tylko moje własne, a nie naukowe. Ale przebywam tu z tym chłopcem bez przerwy od chwili jego przybycia i mam doświadczenie w pracy z dziećmi z ograniczoną zdolnością mowy. Słucham bardzo uważnie.

— Tak, jestem tego pewien. — Mclntyre popatrzył na nią sceptycznie. — To jest ważne, panno Fellowes. Czy ktoś nagrywa te jego mlaski i pomruki?

— Mam nadzieję, że tak. Ale nie wiem. (Uświadomiła sobie, że miała o to poprosić doktora Hoskinsa i że zapomniała tego zrobić.)

Timmie znowu coś powiedział, tym razem z inną intonacją, bardziej melodyjnie, prawie płaczliwie.

— Widzi pan, panie doktorze? To nie przypomina niczego, co powiedział przedtem. Myślę, że chce się znowu pobawić pana włosami.

— Ale pani się tylko tego domyśla, tak?

— Oczywiście. Nie mówię jeszcze płynnie językiem neandertalczyków. Ale proszę zobaczyć, on wyciąga do pana rękę tak jak przedtem.

Nie wyglądało na to, że Mclntyre chce, żeby chłopiec znowu szarpnął go za włosy. Uśmiechnął się i wyciągnął palec do Timmie'ego, ale chłopca to nie zainteresowało. Powiedział im o tym przy pomocy serii mlasków przeplecionych trzema nie znanymi

wysokimi dźwiękami, które były na wpół warknięciami, na wpół skomleniem.

— Chyba ma pani rację, panno Fellowes! — powiedział Mclntyre, podnosząc głos. Wyglądał na podekscytowanego. — To rzeczywiście brzmi jak język! Zdecydowanie tak. Jak pani myśli, w jakim on jest wieku?

— Gdzieś pomiędzy trzecim a czwartym rokiem życia.

Bliżej czwartego, tak myślę. Nie ma co się dziwić, że potrafi tak dobrze mówić. Czterolatki dobrze mówią, panie doktorze. Jeżeli pan ma własne dzieci…

— Mam. Prawie trzyletnią córkę, która ma sporo do powiedzenia. Ale ten chłopiec jest dzieckiem neandertalskim.

— A jakie to ma znaczenie? Czy nie uważa pan, że neandertalskie dziecko w jego wieku powinno umieć mówić?

— W obecnym stanie wiedzy, panno Fellowes, nie mamy podstaw przypuszczać, że jakikolwiek neandertalczyk w jakimkolwiek wieku potrafił posługiwać się językiem, tak jak my rozumiemy to pojecie. Dlatego właśnie dźwięki, które wydaje to dziecko, są tak ważne z punktu widzenia wiedzy na temat człowieka prehistorycznego. Jeżeli są mową, jeżeli są to uporządkowane schematy dźwiękowe z wyraźną strukturą gramatyczną…

— Ależ oczywiście! — wybuchnęła panna Fellowes. — Mowa to coś, co odróżnia człowieka od zwierząt, prawda? Jeżeli uważa pan, że potrafi mi pan chociaż na moment wmówić, że ten chłopiec nie jest człowiekiem, to…

— Oczywiście, panno Fellowes, neandertalczycy byli ludźmi. Jestem ostatnim człowiekiem, który by temu zaprzeczał. Ale to nie znaczy, że posługiwali się językiem.

— Co? Jak mogli być ludźmi, nie potrafiąc mówić? Mclntyre westchnął ciężko. To westchnienie dawało przesadnie wyraźnie do zrozumienia, że rozmowa z nią wymaga od niego dużo cierpliwości. Panna Fellowes pojęła to z całkowitą jasnością. Całe życie w pracy miała do czynienia z ludźmi, którzy uważali, że ona wie mniej od nich, bo jest „tylko” pielęgniarką. Przeważnie ludzie ci się mylili, przynajmniej w szpitalu. Lecz tutaj panna Fellowes nie znajdowała się na terenie szpitala. Jeżeli chodziło o neandertalczyków, jej wiedza była praktycznie żadna, podczas gdy ten jasnowłosy mężczyzna był specjalistą w tej dziedzinie. Przybrała więc minę oznaczającą głębokie zainteresowanie.

— Panno Fellowes — zaczął Mclntyre tonem wykładowcy — aby móc mówić, potrzebna jest nie tylko pewna doza inteligenci, lecz także fizyczna zdolność do wytwarzania złożonych dźwięków. Psy są dość inteligentne i mają znaczny zasób słów. Ale jest różnica miedzy tym, że się wie, co znaczy „siad” i „przynieś”, a tym, że jest się

zdolnym do wypowiedzenia tych słów i żaden pies od zarania dziejów nigdy nie wypowiedział nic oprócz „hau”. Z pewnością wie pani, że szympansy i goryle też można nauczyć dość sprawnego porozumiewania się przy pomocy znaków i gestów. Ale szympansy i goryle, podobnie jak psy, nie są w stanie wypowiadać słów. Nie mają po prostu potrzebnego do tego anatomicznego wyposażenia.

— Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Ludzka mowa to zjawisko bardzo złożone — powiedział Mclntyre i dotknął swojego gardła. — Kluczem do niej jest mała kostka w kształcie litery U zwana gnykową, znajdująca się u nasady języka. Kontroluje jedenaście drobnych mięśni, które poruszają językiem i dolną szczęką i które powodują rozszerzanie się i zwężanie krtani przy wymawianiu samogłosek i spółgłosek. Małpy człekokształtne nie mają kości gnykowej. Dlatego potrafią tylko pomrukiwać i ryczeć.

— A papugi i szpaki? Potrafią wymawiać słowa. Czy chce pan powiedzieć, że kość gnykową wyewoluowała u nich, a u szympansów nie?

— Ptaki takie jak papugi i szpaki naśladują po prostu dźwięki wytwarzane przez ludzi. Posługują się przy tym zupełnie innymi tworami anatomicznymi. Ale to naśladowanie dźwięków nie może być uważane za mowę. Ptaki nie rozumieją słów. Nie mają pojęcia, co mówią. To jest jak playback, one tylko powtarzają to, co słyszą.

— W porządku. A neandertalczycy… czy oni nie mają kości gnykowej? Jeżeli są uważani za ludzi, to muszą ją mieć.

— Nie byliśmy pewni, czy ją mają — powiedział Mclntyre. — Musi pani pamiętać, że po pierwsze całkowita liczba szkieletów neandertalskich odkrytych od roku tysiąc osiemset pięćdziesiątego szóstego, kiedy to po raz pierwszy natknięto się na jeden z nich, nie sięga dwustu. Z wielu ocalały tylko fragmenty. Sporo też jest poważnie uszkodzonych. A po drugie kość gnykowa jest bardzo mała. Na dodatek nie jest połączona z żadnymi innymi kośćmi, tylko z mięśniami krtani. Kiedy ciało ulega rozkładowi, kość gnykowa odpada i może z łatwością zostać oddzielona od reszty szkieletu. Spośród wszystkich zbadanych neandertalskich szkieletów tylko jeden, podkreślam jeden, miał na miejscu kość gnykowa.

— Jeżeli jeden ją miał, to musiały mieć wszystkie! Mclntyre kiwnął głową.

— To bardzo prawdopodobne. Jednak nigdy nie widzieliśmy krtani neandertalczyka. Tkanki miękkie oczywiście nie zachowują się. Dlatego nie wiemy, do czego u neandertalczyków służyła kość gnykowa. W każdym razie nie mieliśmy sposobu, żeby się upewnić, czy neandertalczycy rzeczywiście potrafili mówić. Możemy tylko powiedzieć, że anatomia narządów mowy była u nich

prawdopodobnie taka sama jak u współczesnych nam ludzi. Prawdopodobnie. Ale nie wiadomo, czy były na takim poziomie rozwoju, który umożliwiał im wymawianie i rozumienie słów, nie wiadomo także, czy mózg był dostatecznie rozwinięty, żeby poradzić sobie z mową…

Timmie znowu mlaskał i pomrukiwał.

— Proszę go posłuchać — powiedziała z tryumfującą miną panna Fellowes. — Oto odpowiedź na pańskie pytania! On ma doskonały język i bardzo dobrze nim mówi. A niedługo, panie doktorze, będzie też mówił po angielsku. Jestem tego pewna. Wtedy nie będzie pan musiał zastanawiać się, czy neandertalczycy potrafili mówić.

* * *

Wyglądało na to, że McIntyre chce rozwiązać wszystkie neandertalskie zagadki naraz. Mlaskał, mając nadzieję, że chłopiec odpowie mlaskaniem. Wyjął z teczki kolorowe plastikowe klocki, będące bez wątpienia jakimś testem na inteligencję i próbował nakłonić Timmie'ego, żeby ułożył je według wielkości i kolorów. Dał chłopcu kredki i papier, po czym stanął z boku czekając, aż Timmie coś narysuje. Timmie jednak nie zainteresował się kredkami. Potem McIntyre poprosił pannę Fellowes, żeby wzięła chłopca za rękę i poprowadziła go do pokoju, a sam sfotografował poruszającego się Timmie'ego. Były też inne testy, które chciał przeprowadzić, ale Timmie miał na ten temat swoje zdanie. W chwili, gdy McIntyre zaczął ustawiać jakąś konstrukcję ze szpulek i wrzecion, która wyglądała jak zabawka i która była w istocie urządzeniem sprawdzającym stopień skoordynowania ruchów, Timmie usiadł na środku pokoju i zaczaj płakać. Głośno.

Był to jego pierwszy prawdziwy płacz — w odróżnieniu od szlochów, skowytów i jęków, jakie panna Fellowes słyszała od niego przedtem — pierwszy prawdziwy płacz od chwili przybycia. Ten płacz był znanym każdemu zawodzeniem bardzo zmęczonego dziecka, które miało dosyć. Panna Fellowes była zadowolona, że go słyszy. Była zadowolona, chociaż równocześnie zadziwiało ją to, że usta chłopca mogą być aż tak szerokie i to, że jego nos wydał jej się nagle większy niż był naprawdę, a także to, że te jego dziwne ciężkie wały czołowe nad oczami wysuwają się aż tak do przodu, gdy on zaciska powieki. Z twarzą taki zniekształconą pod wpływem udręki chłopiec wyglądał niemal przerażająco obco.

A jednak… a jednak to zawodzenia, ten wylew uczuć… Gdyby na

niego nie patrzyła, mogłaby z łatwością uwierzyć, że to dziecko tupiące nogami i zrywające sobie struny głosowe jest po prostu zwykłym czterolatkiem przeżywającym poważny atak zniecierpliwienia.

— Co ja takiego zrobiłem? Czym go do tego stopnia zdenerwowałem? — zapytał Mclntyre.

— Zbyt długo zmuszał go pan do skupiania uwagi. Tak mi się zdaje — powiedziała panna Fellowes. — On nie jest w stanie tak długo kogoś tolerować. Jest jeszcze mały, panie doktorze. Nie można się spodziewać, że pogodzi się z takim trwającym bez końca badaniem i nękaniem. Muszę panu przypomnieć, że on jest małym chłopcem, który ostatnio doznał poważnej traumy, bo został oddzielony od wszystkiego, co zna.

— Ale ja go nie nękałem i… Chociaż może rzeczywiście pani ma rację. Przykro mi z tego powodu. Zobacz, Timmie, zobacz, widzisz moje włosy? Chcesz się nim pobawić? Chcesz za nie pociągnąć?

Mclntyre pomachał swoim złotym kosmykiem tuż przed oczami chłopca. Timmie nie okazał zainteresowania. Zaczął krzyczeć jeszcze głośniej.

— On nie chce się teraz bawić pana włosami — powiedziała panna Fellowes oburzona. — A poza tym będzie pan chyba żałował, jeżeli postanowi pana za nie pociągnąć. Najlepiej zostawić go w spokoju. Będzie jeszcze mnóstwo okazji, żeby go zbadać.

— Tak. Racja.

Paleoantropolog wstał. Wyglądał na speszonego.

— Rozumie pani, panno Fellowes, ja czuję się tak, jakby ktoś wręczył mi zapieczętowaną księgę zawierającą wyjaśnienie wszystkich nie wyjaśnionych od wieków tajemnic. Chcę ją otworzyć i przeczytać. Natychmiast i całą, od deski do deski.

— Rozumiem. Ale obawiam się, że pańska książka jest głodna i zła, a poza tym wydaje mi się, że chce pójść do toalety.

— No tak. Tak, oczywiście.

Mclntyre zaczął pospiesznie zbierać swój ekwipunek. Kiedy zabrał się za składanie swoich szpulek i wrzecion, panna Fellowes zapytała:

— Czy może pan zostawić jedno z tych urządzeń?

— Chce pani sama sprawdzić jego inteligencję?

— Ja nie potrzebuję sprawdzać jego inteligenci, panie doktorze. Mnie on wydaje się dość inteligentny. Sądzę jednak, że przydałoby mu się parę zabawek, a tak się składa, że ta już tu jest.

Policzki Mclntyre'a zaczerwieniły się znowu. On się chyba bardzo łatwo rumieni, pomyślała panna Fellowes.

— Oczywiście. Proszę.

— A skoro już była mowa o otwieraniu księgi, panie doktorze, to czy nie mógłby mi pan przysłać jakichś materiałów na temat

człowieka neandertalskiego? Dwa czy trzy podstawowe teksty, coś, co dostarczyłoby mi fundamentalnych informacji. Jak dotąd jakoś nikt nie zadał sobie trudu, żeby mnie w takie rzeczy zaopatrzyć. Te teksty mogą być tekstami fachowymi. Potrafię czytać literaturę naukową. Muszę się sporo dowiedzieć o anatomii neandertalczyków, o ich sposobie życia, o pożywieniu, które jedli. Chcę wiedzieć wszystko, co na ten temat do tej pory odkryto. Czy mógłby to pan dla mnie zrobić?

— Przyślę pani wszystko, co jest pani potrzebne, jutro z samego rana. Ale ostrzegam panią, panno Fellowes: to, co wiemy dzisiaj o neandertalczykach, to prawie nic w porównaniu z tym, czego dowiemy się od Timmie'ego w trakcie realizagi tego przedsięwzięcia.

— Wszystko we właściwym czasie. — Panna Fellowes uśmiechnęła się. — Bardzo pan chce się do niego zabrać, prawda?

— Oczywiście.

— Obawiam się, że będzie pan musiał być cierpliwy. Nie pozwolę męczyć chłopca. Dzisiaj niepokoiliśmy go za bardzo. To się nie powtórzy.

Mclntyre był najwyraźniej zbity z tropu. Zdołał jednak zdobyć się na wymuszony uśmiech, a potem poszedł w stronę drzwi.

— A co do tych książek, panie doktorze…

— Tak?

— …to chciałabym zwłaszcza dostać taką, w której dokonuje się porównania neandertalczyków z ludźmi. Ze współczesnymi nam ludźmi. Chcę się dowiedzieć, czym oni różnią się od nas, a pod jakimi względami są do nas podobni. Chcę wiedzieć, jak przebiegała ewolucja. Tak, to jest informacja, którą najbardziej pragnę uzyskać. — Tu spojrzała na niego srogo. — Oni są ludźmi, prawda panie doktorze? Trochę innymi niż my. Ale tylko trochę. Prawda?

— Tak, w zasadzie tak jest. Ale oczywiście…

— Nie — przerwała ma. — Żadnych „ale oczywiście". Nie mamy do czynienia z jakąś małpą, tyle to ja już wiem. Timmie nie jest żadnym brakującym ogniwem. Jest małym chłopcem, małym człowiekiem. Niech mi pan przyśle te książki, panie doktorze. I dziękuję panu bardzo. Zobaczymy się niedługo.

Paleontolog wyszedł. Gdy zniknął, zawodzenie Timmie'ego przeszło w płaczliwe, niepewne szlochanie, a później, szybko, w ciszę.

Panna Fellowes wzięła chłopca w ramiona. Dzieciak, cały drżący, przywarł do niej mocno.

— Tak — powiedziała uspokajająco. — Tak, tak, tak, to był dzień pełen zajęć. Za dużo ich było. A ty jesteś jeszcze mały. Jesteś małym, zagubionym chłopcem.

Jesteś daleko od domu, daleko od wszystkiego, co kiedykolwiek znałeś.

— Miałeś braci i siostry? — zapytała go, mówiąc bardziej do

siebie niż do niego i nie spodziewając się odpowiedzi. Starała się go ukoić łagodnym tonem głosu płynącego wprost do ucha. — Jaka była twoja matka? A twój ojciec? A twoi koledzy, z którymi się bawiłeś? Wszyscy zniknęli z twojego życia. Zniknęli. Są już pewnie dla ciebie jak postacie ze snu. Ciekawa jestem, jak długo będziesz o nich pamiętał.

Mały zagubiony chłopiec. M oj mały zagubiony chłopiec.

— A co powiesz na dobre ciepłe mleczko? — zapytała. — I na drzemkę?

3. Miejsce Trzech Rzek

W nocy Srebrny Obłok śnił o morzu.

W tym śnie był znowu młody. Śniło mu się, że jest chłopcem o jedno lato, a może o dwa lata starszym od Twarzy Naznaczonej Ogniem z Nieba, od tego chłopca, którego zabrała Bogini, zstąpiwszy w postaci wiru światła. Stał niedaleko miejsca, gdzie morze styka się z lądem, i czuł na wargach powiew dziwnego, mokrego wiatru. Jego rodzice: ojciec — Wysokie Drzewo i matka — Słodka Jak Kwiat, byli z nim, trzymali go za ręce i prowadzili delikatnie w stronę wody.

— Nie — powiedział. — Jest zimna. Boję się do niej wejść.

— Ona nie może ci zrobić nic złego — uspokajał go Wysokie Drzewo.

Ale to, co mówił, nie było prawdą. Nikt jeszcze nie wszedł do morza, nikt, nigdy. Każde dziecko dowiadywało się o tym z chwilą, gdy stawało się tak duże, że mogło się czegoś nauczyć. Morze zabijało. Morze było zdolne w jednej chwili wypić z człowieka życie i wyrzucić go z powrotem na brzeg, pustego i nieruchomego. Nie dalej jak w zeszłym roku wojownik imieniem Ten Co Zabił Włócznią Pięć Mamutów poślizgnął się na ośnieżonej skale nadbrzeżnej i wpadł do morza, a kiedy niedługo potem został wyrzucony na brzeg, okazało się, że nie żyje, więc musieli go pochować w małej jaskini w pobliżu skały, z. której spadł. Tak, pochowali go przy wtórze całonocnych .śpiewów paląc ogień w dziwnych kolorach. Srebrny Obłok wiedział to wszystko, a teraz jego własny ojciec i jego własna matka nakłaniali go, żeby wszedł do morza. Czy chcieli, żeby umarł tak jak Ten Co Zabił Włócznią Pięć Mamutów? Czy mieli go dosyć? O co tu chodziło? O jaką zdradę?

— Morze uczyni cię silnym — powiedziała mu Słodka Jak Kwiat. — Morze zrobi z ciebie mężczyznę.

— Ale Ten Co Zabił Włócznią Pięć Mamutów w nim zginął!

— Przyszedł już jego czas. Musiał umrzeć. Morze wezwało go i zabrało. Ale czas twojej śmierci, chłopcze, jest odległy. Nie masz powodu do obaw.

Czy to prawda? Czy mógł im zaufać?

Byli jego rodzicami. Dlaczego mieliby pragnąć jego śmierci?

Ściskając ich mocno za ręce, poszedł z nimi naprzód, w stronę brzegu morza.

Nigdy przedtem nie był tak blisko niego, mimo że jego plemię zawsze zamieszkiwało nadmorską równinę, wędrując wzdłuż wybrzeża w ślad za zwierzyną łowną. Patrzył teraz na wodę, zdziwiony i przestraszony. Woda była jak ogromna, potężna, płaska bestia, leżała przed nim, ciemna i połyskliwa. Dochodził od niej ryk, a

na jej krawędzi falowała i wzbierała biała piana. Tu i ówdzie kawałek morza wznosił się wysoko w powietrze i spadał, rozbijając się z łoskotem o skały sterczące przy brzegu. Czasami, stojąc na skałach takich jak te, z których spadł w ramiona śmierci Ten Co Zabił Włócznią Pięć Mamutów, Srebrny Obłok patrzył daleko w morze i dostrzegał w nim pełne wdzięku zwierzęta poruszające się wśród unoszących się na wodzie bloków lodu. Były to zwierzęta inne niż żyjące na lądzie mamuty, woły piżmowe i nosorożce — były smukłe i lśniące i poruszały się w morzu tak, jakby fruwały w powietrzu.

Zeszłej wiosny jedno z tych morskich zwierząt wyszło na brzeg. Drużyna Myśliwych dopadła je i zabiła, a potem całe plemię miało wspaniałą ucztę. Jakież delikatne było mięso tego zwierzęcia! I jakie dziwne! A jego gęste, piękne futro — jakie było miękkie, jak cudownie miękkie. Wysokie Drzewo zrobił z tego futra opończę dla Słodkiej Jak Kwiat, a ona nosiła ją z dumą w specjalne dni roku.

Czy rodzice chcieli oddać go morzu w zamian za futro tego morskiego stworzenia? Czy to o to chodziło?

— Zrób jeszcze krok, chłopcze — ponaglił go Wysokie Drzewo. — Nie ma się czego bać.

Srebrny Obłok podniósł wzrok. Ojciec uśmiechał się.

Powinien ufać ojcu. Zrobił krok w przód, trzymając rodziców mocno za ręce. Krawędź morza podniosła się, obejmując jego kostki. Spodziewał się, że morze będzie zimne, a tymczasem wcale tak nie było. Okazało się ciepłe, gorące, paliło jak ogień. Ale po chwili już nie czuł żaru. Morze cofnęło się, a potem wróciło, sięgając wyżej niż przedtem, sięgając jego kolan, ud, brzucha. Wysokie Drzewo i Słodka Jak Kwiat weszli w nie dalej, prowadząc go ze sobą. Grunt na dnie morza był bardzo miękki, tak miękki jak futro morskiego zwierzęcia i zdawał się poruszać pod jego stopami, gdy szedł.

Był teraz zanurzony po pierś. Morze owinęło się wokół niego jak ciepła płachta.

— Czy wciąż dotykasz stopami dna? — zapytał go Wysokie Drzewo.

— Tak. Tak.

— Dobrze. Pochyl się. Włóż głowę do morza. Niech morze przykryje ci twarz.

Zrobił, jak mu ojciec mówił. Morze uniosło się i ogarnęło go. Czuł się tak, jakby był przykryty płachtą zrobioną ze śniegu. Śnieg także przestawał być zimny, kiedy się w niego weszło głęboko. Stawał się ciepły jak ogień, a jeżeli człowiek pozostał w nim dość długo, to zasypiał jak ktoś owinięty płachtą. To wszystko powiedziała mu pewna starsza od niego dziewczynka, która kiedyś obserwowała, jak pewna stara kobieta o powyginanych kościach i matowych oczach została wyniesiona i włożona w śnieg. Ta kobieta zamknęła oczy i

zasnęła, zasnęła naprawdę bardzo spokojnie.

Więc teraz ja zasnę w morzu, pomyślał Srebrny Obłok, i to będzie mój koniec. Pomyślał tak i umieranie przestało na nim robić wrażenie. Podniósł głowę, żeby zobaczyć, czy rodzice też mają twarze przykryte przez morze, ale ku własnemu zdziwieniu zorientował się, że ich już przy nim nie ma, że w ogóle nigdzie ich nie widać. Był zupełnie sam.

Słyszał głos ojca dobiegający z oddali.

— Wyjdź teraz z morza, chłopcze. Odwróć się i wyjdź.

Tak, dobrze. Zrobi to, wyjdzie.

Ale kiedy szedł w stronę brzegu, poczuł, że jego ciało zmienia się z każdym krokiem, że się rozciąga, staje się wyższe i tęższe. Uświadomił sobie, że zmienia się w mężczyznę, że jest z każdą chwilą starszy. Jego ramiona stawały się szerokie, klatka piersiowa potężniała, uda robiły się grube i silne. W chwili, gdy postawił stopę na skalistym brzegu, był już wojownikiem w kwiecie wieku. Spojrzał na własne nagie ciało i przekonał się, że jest to ciało mężczyzny, ciemne, owłosione. Roześmiał się. Potarł sobie pierś i uderzył się dłońmi w uda. Zobaczył znajdujące się w pewnej odległości obozowe ogniska i puścił się w ich kierunku szybkim biegiem, pragnąc opowiedzieć wszystkim o tej dziwnej rzeczy, która mu się przytrafiła.

Kiedy tak biegł, zdarzyła się następna zadziwiająca rzecz: uświadomił sobie, że w dalszym ciągu staje się z każdą chwilą starszy. Wiek trzymał go w swoim uchwycie i nie chciał wypuścić. Będąc w morzu, wyszedł z dzieciństwa. Następnie, wynurzając się z morza, stał się pełen radosnej siły młodego wieku męskiego. Teraz jednak był nieco zdyszany, potem zaczął ciężko chwytać oddech, zwalniając i przechodząc od szybkiego biegu do truchtu i w chwilę później do zwykłego marszu. Potem zaczął kuleć, kuśtykać, gdyż coś się stało z jego lewym udem, a całą nogę miał sztywną i obolałą. Spojrzał w dół na tę nogę. Była na niej krew, tak jakby jakieś zwierzę rozorało ją pazurami. Przypomniał sobie: tak, tak, polował wraz z Drużyną Myśliwych i nagle z góry zaatakował go lampart śnieżny…

Jak trudno było mu teraz iść. Jakiż jestem stary i zmęczony, pomyślał. Nie mogę już stać prosto. Spójrzcie, włosy na całym ciele robią mi się srebrne.

Bolało go wszystko. Czuł, że opuszczają go siły. Jaki to dziwny, przykry sen! Najpierw był chłopcem, który wszedł do morza, potem wyszedł z morza i gwałtownie zaczął się starzeć, a teraz umiera, umiera gdzieś na lądzie w nie znanym sobie miejscu z dala od morza, w miejscu, gdzie ziemia jest zimna i twarda, a wiatr jest suchy, i gdzie naokoło siebie ma samych obcych. Gdzie jest Wysokie Drzewo, gdzie jest Słodka Jak Kwiat… gdzie jest Srebrny Obłok?

— Ratunku — krzyknął przez sen, siadając. — Morze mnie zabiło! Morze… morze…

— Srebrny Obłoku?

Ktoś był przy nim. Srebrny Obłok zamrugał i spojrzał. To była Ta Która Wie. Klęczała tuż obok i patrzyła na niego zaniepokojona. Otrząsnął się, chcąc odzyskać panowanie nad sobą. Drżał jak chora stara kobieta, pierś unosiła mu się i opadała gwałtownie. Nikt nie może go zobaczyć w takim stanie. Nikt. Poszukał po omacku swojego kostura, chwycił jego koniec, dźwignął się niezdarnie i wstał.

— Sen — wymamrotał. — Zły omen. Będę musiał natychmiast złożyć ofiarę. Gdzie jest Kobieta Bogini? Dajcie mi tu Kobietę Bogini!

— Poszła tam — powiedziała Ta Która Wie. — Oczyszcza sanktuarium.

— Sanktuarium? Jakie sanktuarium? Gdzie?

— Przy Trzech Rzekach. Co się z tobą dzieje, Srebrny Obłoku? Wygląda na to, że straciłeś orientację!

— Sen — odrzekł. — Bardzo zły sen.

Zrobił ciężko jeden krok w przód, opierając się na kosturze. Zaczął odzyskiwać jasność myślenia. Wiedział, gdzie jest. W pobliskiej dolinie spotykały się trzy rzeki.

Tak. Długa powrotna pielgrzymka dobiegła końca. Rozbili obóz na wysokim pochyłym płaskowyżu, z którego był widok na równinę, a na tej równinie spotykały się trzy rzeki. W zamglonym świetle świtu Srebrny Obłok zobaczył je płynące w dole: największą, przybywającą leniwie z północy i przynoszącą ze sobą liczne bloki lodu, i dwie mniejsze i bystrzejsze wpadające do niej, każda pod ostrym kątem, ze wschodu i z zachodu.

W zeszłym roku — a wydawało się, że było to całe wieki temu — zatrzymali się dokładnie w tym samym miejscu na wiele tygodni. A trzeba powiedzieć, że były to bardzo chude tygodnie. Głodowali, dopóki Bogini w cudowny sposób nie przysłała im stada reniferów. Renifery były tak ogłupiałe z głodu, że Drużynie Myśliwych udało się z łatwością zapędzić tuzin z nich w miejsce, w którym spadły z krawędzi skały. Cóż za mięsne żniwa! Z wdzięczności zbudowali dla Bogini cudowne sanktuarium. Zbudowali je w miejscu, gdzie spotykają się trzy rzeki. Użyli w tym celu ogromnych bloków kamiennych — najcięższych, jakie potrafili udźwignąć — a potem ozdobili sanktuarium dziwnymi błyszczącymi kawałkami skały, które odłupali na nadbrzeżnym urwisku i które miały kształt cienkich lśniących płytek. Następnie ruszyli w drogę, kontynuując swój marsz na wschód. A teraz wrócili.

— Nie widzę tam w dole Kobiety Bogini — powiedział Srebrny Obłok do Tej Która Wie.

— Powinna być w sanktuarium.

— Widzę sanktuarium. Nie widzę Kobiety Bogini.

— Twoje oczy, Srebrny Obłoku, nie są już dobre. Pozwól, niech ja

popatrzę.

Stanęła przed nim i spojrzała w zamgloną dolinę. Po chwili powiedziała tonem zdradzającym zmieszanie:

— Masz rację, nie ma jej tam. Pewnie już wraca. Ale mówiła, że zostanie tam przez cały ranek, że pomodli się i oczyści sanktuarium…

— Srebrny Obłoku! Srebrny Obłoku!

— Kobieta Bogini? Co ty…

Kapłanka posuwała się pospiesznie pod górę boczną ścieżką prowadzącą z doliny. Twarz miała zaczerwienioną, a szaty w nieładzie. Chwytała gwałtownie powietrze ustami, wyglądała tak, jakby całą drogę biegła.

— Co się stało? Co się stało, Kobieto Bogini?

— Inni!

— Co takiego? Gdzie?

— Wszędzie koło sanktuarium. Nie widziałam ich, ale ich ślady są wszędzie. Te długie stopy… znam je. Ślady są wszędzie na mokrej ziemi. Świeże ślady, Srebrny Obłoku. Są tam wszędzie. Weszliśmy prosto na nich!

5. Błędne mniemania

— Jak się dzisiaj ma nasz chłopiec, panno Fellowes? — zapytał Hoskins.

— Proszę się przekonać, panie doktorze.

Na twarzy Hoskinsa odmalowało się rozbawienie i zniecierpliwienie zarazem.

— Dlaczego wciąż mówi mi pani „panie doktorze”? — zapytał.

— Dlatego, że jest pan doktorem nauk, przynajmniej tak mi się zdaje — odrzekła, myśląc o owym słowie „DOKTOR” stojącym tak dumnie przed jego nazwiskiem na tabliczce w jego gabinecie.

— Mam doktorat z fizyki, to wszystko.

— Doktorat jest doktoratem.

— A pani przez długi czas była przyzwyczajona tytułować tak ludzi na stanowiskach, czy tak? Zwłaszcza mężczyzn.

Jego słowa ją zaskoczyły. Oczywiście trafił w dziesiątkę. W szpitalach, w których pracowała, ludzie na stanowiskach byli lekarzami z tytułami naukowymi. Większość z nich, chociaż wcale nie wszyscy, była mężczyznami. Panna Fellowes nabrała nawyku polegającego na dodawaniu w rozmowach z tymi, których uważała za stojących w hierarchii służbowej wyżej od niej, zwrotu „panie doktorze” do co drugiego zdania.

Jej mąż także był doktorem, miał doktorat z fizyki, jak Hoskins. Panna Fellowes zastanawiała się, czy gdyby] pozostali małżeństwem, zaczęłaby też zwracać się do niego per „panie doktorze” jak do Hoskinsa. Dziwny pomysł. Rzadko wspominała męża. Sama myśl o tym, że można mieć męża, stała się dla niej odległa i nieprawdopodobna. Była zamężna tak krótko i tak dawno temu.

— A jak pan chce, żebym się do pana zwracała? — zapytała. — Czy mam mówić „proszę pana”?

— Większość ludzi tutaj nazywa mnie „Jerry”. Panna Fellowes popatrzyła na niego zaskoczona.

— Ja bym nie mogła!

— Nie mogłaby pani?

— To… to by nie było w porządku.

— To by nie było w porządku? — powtórzył Hoskins, zamyślając się.

Przyjrzał jej się uważnie, tak jakby widział ją po raz pierwszy. Na jego szerokiej, mięsistej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

— Jest pani doprawdy bardzo oficjalna. Nie zdawałem sobie sprawy jak bardzo oficjalna. W porządku więc: może mnie pani dalej tytułować „panem doktorem”, jeżeli z tym czuje się pani lepiej. A ja będę dalej mówił do pani „panno Fellowes”.

Co on chce przez to powiedzieć? — zastanowiła się panna Fellowes.

Czy myślał o tym, żeby do niej mówić „Edith”?

Nikt tego nie robił. Prawie nikt. Może ze sześć osób na całym świecie. Przeważnie była „panną Fellowes”, nawet dla siebie samej — w każdym razie wtedy, kiedy myślała o sobie w trzeciej osobie, co zdarzało się często. Było to takie przyzwyczajenie, nad którym nigdy się nie zastanawiała.

Jednak to dziwne, powiedziała sobie teraz, myśleć o sobie w ten sposób. Jaka w tym jest surowość, jaka sztywność. W średnim wieku stałam się naprawdę dziwaczką. I nigdy przedtem tego nie zauważyłam.

Hoskins wciąż patrzył na nią i wciąż się uśmiechał.

Było w nim coś bardzo ciepłego, uświadomiła sobie nagle, coś bardzo sympatycznego. To też coś, czego wcześniej nie zauważyła. Podczas poprzednich spotkań uderzyło ją to, że on usiłuje przedstawić się światu jako człowiek zamknięty w sobie, opanowany, nieugięty, który tylko czasami okazuje trochę ludzkich uczuć. Możliwe zresztą, że to stresy ostatnich dni poprzedzających rozpoczęcie eksperymentu spowodowały, że się taki wydawał. Teraz jednak, kiedy zaczerpnięcie z przeszłości dokonało się i pewne było, że eksperyment się udał, stał się bardziej odprężony, bardziej ludzki, był bardziej sobą. Sobą, czyli człowiekiem całkiem miłym.

Panna Fellowes złapała się na tym, że zastanawia się, czy Hoskins jest żonaty.

Zdziwiło ją to i zawstydziło. Powiedział jej przecież kilka tygodni wcześniej, że ma syna, prawda? Małego syna, który dopiero nauczył się chodzić. Oczywiście, że jest żonaty. Oczywiście. Co mi się roi? Przerażona odsunęła od siebie te myśli.

— Timmie! — zawołała. — Chodź tutaj, Timmie! Podobnie jak Hoskins, chłopiec też był tego ranka w radosnym nastroju. Wyglądało również na to, że ma chęć nawiązywać kontakty z ludźmi. Spał dobrze, dobrze sobie podjadł, a teraz wybiegł szybko ze swojej sypialni, nie okazując zmieszania na widok Hoskinsa. Podszedł odważnie do niego i mlasnął kilka razy.

— Czy pani sądzi, panno Fellowes, że on coś mówi? A nie po prostu wydaje dźwięki, chcąc się cieszyć własnym głosem?

— A cóż innego miałby robić, jak nie mówić, panie doktorze? Doktor Mclntyre pytał mnie o to samo wczoraj, kiedy usłyszał, jak Timmie mówi. Jak można wątpić w to, że chłopiec posługuje się jeżykiem! I to bardzo skomplikowanym!

— Doktor Mclntyre jest bardzo konserwatywny. Nie lubi wyciągać pochopnych wniosków.

— Ja też tego nie lubię. Ale to jest prawdziwy jeżyk, albo ja nie

posługuję się językiem.

— Miejmy nadzieję, że tak jest, panno Fellowes. Miejmy nadzieję. Jeżeli nie uda nam się wypracować jakiegoś sposobu porozumiewania się z Timmiem, fakt, że go tu sprowadziliśmy, straci w znacznym stopniu na wartości. Bo chcemy, żeby Timmie opowiedział nam o świecie, z którego pochodzi. Żeby opowiedział nam o nim jak najwięcej.

— On to zrobi, panie doktorze. Albo we własnym języku, albo w naszym. Uważam, że nauczy się naszego, zanim my dowiemy się czegokolwiek o jego własnym.

— Być może ma pani rację, panno Fellowes. Czas pokaże. Czas pokaże.

Hoskins przykucnął, tak że jego twarz znalazła się na jednym poziomie z twarzą Timmie'ego i położył rozczapierzone dłonie na żebrach chłopca. Timmie zachował spokój. Po chwili panna Fellowes uświadomiła sobie, że Hoskins bardzo delikatnie łaskocze dziecko, zataczając małe kręgi koniuszkami palców w sposób, który wiele mówił o jego wiedzy o tym, jak należy obchodzić się z małymi chłopcami. Timmie'emu podobało się to łaskotanie.

— Jaki z niego krzepki malec — powiedział Hoskins. — Jest naprawdę silny… Więc masz zamiar nauczyć się angielskiego, tak, Timmie? A potem podyktujesz nam książkę o życiu w epoce paleolitu i każdy będzie chciał ją przeczytać. Książka stanie się wielkim bestsellerem, a nam zacznie się zwracać zainwestowana suma, co Timmie? Co? Będzie tak? — Hoskins podniósł wzrok na pannę Fellowes. — Bardzo wiele zależy od tego chłopca, naprawdę. Nie muszę pani chyba tego mówić. To nie tylko kwestia pieniędzy, to kwestia całej naszej zawodowej przyszłości.

— Tak. Wyobrażam sobie.

Hoskins potargał lekko gęste, niesforne włosy Timmie'ego, poklepał chłopca i wstał.

— Od lat pracujemy z maleńkim budżetem, pozyskując niewielkie sumy, kiedy tylko się da. Nie ma pani pojęcia, jakim kosztem energetycznym utrzymuje się pole statyczne. Na parę minut jego działania potrzeba tyle energii, ile na zasilenie całego miasta przez kilka dni. A koszt energii to tylko jedna przyczyna naszego zadłużenia. Ze dwanaście razy byliśmy bliscy pójścia pod powierzchnię. Żeby się uratować, musieliśmy postawić wszystko na jedną kartę. Trzeba się było zdecydować: wszystko albo nic. Ale Timmie nas uratował. Dzięki niemu wypłyniemy. Jesteśmy uratowani, panno Fellowes, jesteśmy uratowani!

— Mnie się zdaje, że sprowadzenie żywego dinozaura już powinno wystarczyć. Dzięki niemu powinniście byli pozbyć się kłopotów, panie doktorze.

— My też tak uważaliśmy. Ale nasz dinozaur jakoś nie przyciągnął uwagi publiczności.

— Dinozaur nie przyciągnął uwagi publiczności? Hoskins roześmiał się.

— Gdybyśmy sprowadzili dorosłego, wyrośniętego brontozaura albo ryczącego tyranozaura, czy coś w tym rodzaju… Ale my zmagaliśmy się z problemem ograniczenia wagi, związano nam zupełnie ręce. Nie chodzi o to, że nie potrafilibyśmy opanować tyranozaura, gdybyśmy byli w stanie go tu przetransportować… Muszę pewnego dnia oprowadzić panią po całym terenie i pokazać pani naszego dinozaura.

— Tak, musi pan to zrobić.

— On jest śliczny.

— Śliczny? Dinozaur śliczny?

— Zobaczy pani. Tak. To śliczny mały dinozaurek. Ale ludzie niestety nie entuzjazmują się ślicznymi małymi dinozaurkami. „Jakie to ciekawe", mówili, „ci naukowcy sprowadzili żywego dinozaura z czasów prehistorycznych." j Ale później obejrzeli go w telewizji i uznali, że wcale nie jest j interesujący. Chyba dlatego, żenię był dwa razy wyższy od domu i nie zionął ogniem. A neandertalski chłopiec] prawdziwa prehistoryczna istota ludzka, istota, która dość, dziwnie wygląda, ale z którą każdy może się identyfikować i której może współczuć, to będzie nasz ratunek. Słyszysz, Timmie? Jesteś naszym ratunkiem. Gdyby to się nie udało — Hoskins mówił dalej do panny Fellowes — to byłoby po nas. Nie ma co do tego wątpliwości. Byłoby po całej naszej firmie.

— Rozumiem.

— Ale teraz już wszystko jest z nami w porządku. Wkrótce będziemy mieli mnóstwo pieniędzy. Obiecano nam je z najróżniejszych stron. To wszystko jest wspaniałe, panno Fellowes. Jeżeli potrafimy utrzymać Timmie'ego w dobrym zdrowiu, sprawić, żeby był szczęśliwy i być może nauczyć go mówić trochę po angielsku, tak żeby na przykład potrafił powiedzieć: „Cześć, tu Timmie z epoki kamienia…"

— Czy coś w tym rodzaju — odezwała się panna Fellowes lodowatym tonem.

— Tak, czy coś w tym rodzaju. Ma być zdrowy i szczęśliwy… to jest klucz do wszystkiego. Jeżeli coś mu się stanie, będziemy skończeni, tak, panno Fellowes, skończeni. A to oznacza, że pani jest centralną postacią w całej naszej operacji. Zdaje pani sobie z tego sprawę? Polegamy na pani, wierzymy, że stworzy pani naszemu chłopcu przyjazne, sprzyjające mu środowisko. Pani słowo będzie dla nas prawem. Timmie dostanie wszystko, czego będzie potrzebował. Miała pani najzupełniejszą racje, nie pozwalając wczoraj wejść tutaj

przedstawicielom mediów. Za wcześnie na to, żeby dziennikarze się na niego rzucali.

— Dziękuję za uznanie.

— Ale oczywiście rozumie pani, że chcemy zorganizować konferencję prasową tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. W interesie wszystkich leży jak najszybsze zmaksymalizowanie wartości reklamowej naszego przedsięwzięcia…

Nagle Hoskins wydał się pannie Fellowes znów o wiele mniej dobrotliwy i sympatyczny. Stał się ponownie spiętym urzędnikiem, który mówi: „Proszę mi zaufać" wtedy, kiedy jego słowa są najmniej warte zaufania.

Usłyszawszy jego argumentację, panna Fellowes zapytała chłodno:

— Czy to oznacza, że chce pan ich tu sprowadzić dziś po południu?

— No, gdyby pani uważała, że chłopiec jest gotowy do…

— Nie uważam tak. Jeszcze nie. Hoskins zwilżył wargi.

— Pani słowo jest prawem. Proszę nam powiedzieć, kiedy przyjdzie na to czas.

— Nie omieszkam.

— To znaczy… czy mogłaby pani teraz w przybliżeniu określić, kiedy to będzie? Może jutro? A może pojutrze?

— Wstrzymajmy się z tym jeszcze, panie doktorze. Dobrze? Ja po prostu nie chcę jeszcze narażać Timmie'ego na taki stres. On ciągle, że tak powiem, łapie oddech, stara się stanąć na nogach… niech pan wybierze metaforę, która panu odpowiada. Po tym wstępnym okresie, kiedy był taki spanikowany, dobrze sobie radzi. Ale w każdej chwili może wrócić do tamtego stanu, może stać się dzikim, przerażonymi dzieckiem, które pan widział tamtego wieczora. Nawet doktor Mclntyre po pewnym czasie wyprowadził go wczoraj z równowagi. Hoskins wyglądał na zmartwionego.

— Nie możemy z tym zwlekać w nieskończoność.

— To nie będzie w nieskończoność. Jeszcze parę dni. Dwa, trzy, cztery. Niech mi pan pozwoli ocenić, kiedy (nastąpi właściwy moment, dobrze, panie doktorze? Moje słowo jest prawem?

— Pani słowo jest prawem — zgodził się Hoskins, niezbyt zadowolony.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Nie wychodziła pani z pola statycznego od tamtego pierwszego wieczora, prawda panno Fellowes? Nie wychodziła pani ani na chwilę.

— Nie! — oburzyła się. — Ja znam swoje obowiązki, panie doktorze i jeżeli pan sądzi…

— No, no, panno Fellowes — uśmiechnął się, podnosząc rękę. — Ja niczego pani nie zarzucam. Staram się tylko dać pani do

zrozumienia, że nie mamy zamiaru więzić tu pani z chłopcem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i przez siedem dni w tygodniu. Zdaję sobie sprawę, że przez kilka pierwszych krytycznych dni powinna pani być tu przez cały czas. Powiedziałem to podczas naszej pierwszej rozmowy, powiedziałem, że, przynajmniej początkowo, będzie pani dyżurowała bez przerwy. Wydaje się jednak, że Timmie teraz bardzo dobrze się przystosowuje. Więc pani będzie mogła mieć czas wolny na rekreację i odpoczynek. Najpierw przez parę godzin może panią zastąpić pani Stratford, a później być może będzie pani mogła mieć wolne całe popołudnie.

— Będzie, jak pan zarządzi.

— Nie brzmi to zbyt entuzjastycznie. Nie miałem pojęcia, że jest pani taką pracoholiczką, panno Fellowes.

— To nie jest właściwe słowo. Ja po prostu… no Timmie'emu w tej sytuacji tak łatwo zrobić przykrość. Chłopiec jest zdezorientowany, wyizolowany, znajduje się daleko od domu, tak bardzo potrzebuje miłości i ochrony… zanim zdąży się pogodzić z tym, co mu się przytrafiło. Nie chciałam go opuścić nawet na moment.

— Bardzo się to pani chwali. Ale teraz, kiedy najtrudniejsze chwile minęły, musi pani zacząć stąd wychodzić, robić sobie chociaż krótkie przerwy.

— Jeżeli pan tak sobie życzy, panie doktorze.

— Myślę, że tak będzie najlepiej. To dla pani własnego dobra, panno Fellowes. Ma pani prawo trochę odpocząć. A ja nie chcę, żeby Timmie stał się całkowicie od pani uzależniony, żeby się przyzwyczaił do pani bezustannej obecności. Nie wiadomo jak silną więź może wytworzyć taka stała opieka, jeżeli dłużej potrwa. A potem, jeżeli tak się zdarzy, że pani będzie musiała opuścić pole statyczne, Timmie może sobie z tym nie poradzić. Taka sytuacja może się okazać nie całkiem zdrowa. Rozumie mnie pani?

Panna Fellowes kiwnęła głową.

— Ma pan rację.

— No to dobrze. Czy chce pani zrobić mały eksperyment? Poprosimy tutaj panią Stratford i pozwolimy jej opiekować się Timmiem przez parę godzin, a ja tymczasem oprowadzę panią po pozostałych częściach laboratorium.

— No…

— Nie podoba się pani ten pomysł, tak? Proszę posłuchać, zaopatrzymy was w urządzenie alarmowe. Jeżeli pani Stratford będzie miała najmniejsze trudności, pani wróci do niego w pięć minut, zgoda? Proszę mi zaufać.

— W porządku — powiedziała panna Fellowes z mniejszą niż poprzednio niechęcią.

Musiała przyznać, że rozumowanie Hoskinsa jest słuszne.

Przeprowadziła już Timmie'ego przez dwa pierwsze dni, a teraz dobrze by sprawdzić, czy chłopiec jest zdolny wytrzymać przez krótki czas bez niej.

— Chcę spróbować — dodała. — Niech mnie pan zaprowadzi do swojego dinozaura.

— Pokażę pani wszystko — odrzekł Hoskins. — Zwierzęta, rośliny i minerały.

Spojrzał na zegarek.

— Przypuśćmy, że dam pani… no… dziewięćdziesiąt minut na zakończenie czynności, w trakcie których tu panią zastałem, i na poinstruowanie pani Stratford, na co ma zwracać szczególną uwagę. Potem zjawię się tutaj, żeby panią zabrać na ten obchód.

Panna Fellowes zastanawiała się przez chwilę.

— Myślę, że lepiej będzie, jeżeli da mi pan dwie godziny.

— Dwie godziny? Dobrze. Wrócę punktualnie o jedenastej. A więc do zobaczenia. Nie ma pani co do tego zastrzeżeń, prawda?

Panna Fellowes uśmiechnęła się radośnie.

— „Właściwie to się cieszę na tę wycieczkę. Możesz się beze mnie obejść przez jakiś czas, prawda, Timmie?

Chłopiec mlasnął kilka razy.

— Widzi pan, panie doktorze? On wie, kiedy mu zadaję pytanie i odpowiada, nawet jeżeli nie wie, co naprawdę do niego mówię. W tej główce mieści się prawdziwa inteligencja.

— Jestem tego pewien — powiedział Hoskins. A potem kiwnął głową, uśmiechnął się i wyszedł. Panna Fellowes złapała się na tym, że wykonując swoje poranne obowiązki, nuci coś sobie. Prawdą było to, co powiedziała: cieszyła się na myśl o wyjściu na pewien czas spod kopuły. Bardzo lubiła zajmować się Timmiem, ale nawet ona potrzebowała odpoczynku.

A może to myśl że spędzi trochę czasu w towarzystwie Hoskinsa wprawiała ją w taki dobry nastrój?

Nie, naprawdę — to śmieszne. Wiedziała, że to śmieszne. A jednak to było prawie jak… prawie jak randka.

On ma małe dziecko, powiedziała sobie jeszcze raz bardzo surowo. Co oznacza, że prawie na pewno ma żonę. Młodą i ładną.

A mimo to panna Fellowes zdjęła uniform pielęgniarski i włożyła sukienkę. Miała ją na sobie, kiedy Hoskins zjawił się o jedenastej. Była to oczywiście sukienka o klasycznym kroju. Panna Fellowes innych nie nosiła. Mimo to jednak od lat nie czuła się tak kobieco.

Hoskins pochwalił jej wygląd w sposób stateczny i oficjalny, a ona przyjęła komplement z równie oficjalną gracją. To naprawdę doskonały wstęp, powiedziała sobie. Ale zaraz potem pojawiła się nieubłagana myśl: Wstęp? Do czego?

* * *

Pożegnała się z Timmiem i zapewniła go, że wróci niedługo. Upewniła się, że pani Stretford wie, co i kiedy dać mu na lunch. Przyszło jej do głowy, że młoda pomocnica nie wygląda na zbyt pewną siebie, kiedy ma zostać z chłopcem sama. Ale zaraz potem pani Stratford napomknęła, że Mortenson będzie w pobliżu i pomoże jej, jeżeli Timmie zacznie sprawiać kłopoty. Panna Fellowes zrozumiała, że ona bardziej się martwi o to, czy nie będzie musiała stoczyć z chłopcem walki niż o to, czy chłopcu nie stanie się pod jej opieką coś złego. Może trzeba ją przenieść do innych obowiązków, pomyślała panna Fellowes. W tej chwili jednak nie było wyboru: musiała zostawić Timmie'ego z tą kobietą. Będzie miała w torebce urządzenie alarmowe, a ono w razie czego wezwie ją natychmiast.

Wyszli. Timmie zaskowyczał cicho. Czy dawał w ten sposób wyraz swemu zaskoczeniu? Czy rozpaczy?

— Nie martw się, Timmie! Ja wrócę! Wrócę na pewno! Trzeba było dokonać tego przełomu, pomyślała. Im wcześniej, tym lepiej — dla chłopca i dla niej.

Hoskins poprowadził ją w górę przez labirynt źle oświetlonych korytarzy, dźwięczących echem sklepionych krypt i ponurych klatek schodowych, którymi szli tego pierwszego wieczoru, kiedy przybył Timmie. Ten wieczór wydawał pannie Fellowes się tak odległy, że przypominał bardziej sen niż wydarzenie mające miejsce na jawie. Na chwilę wyszli z budynku. Mrużyli oczy, chroniąc je przed jasnym blaskiem złotego południa. A potem weszli do kolejnego ponurego, przypominającego stodołę gmachu, bardzo podobnego do tego, w którym znajdowały się pomieszczenia dla Timmie'ego.

— To jest nasze stare laboratorium — poinformował ją Hoskins. — Tutaj wszystko się zaczęło.

I znowu sprawdzanie tożsamości, i znowu klekoczące schody, zatęchłe przejścia, przerażające przepaściste krypty. Aż w końcu znaleźli się w samym sercu strefy, w której odbywały się badania. Krzątanina była tu bardzo ożywiona. Mężczyźni i kobiety w fartuchach kręcili się tam i z powrotem, nosili sterty sprawozdań, dokumentów, przenosili moduły komputerowe w postaci kostek. Hoskins witał się z wieloma pracownikami, zwracając się do nich po imieniu, a oni odpowiadali mu tym samym. Pannę Fellowes drażniła ta poufałość.

To nie jest szpital, powiedziała sobie. Ci ludzie po prostu tutaj pracują. A to różnica.

— Zwierzęta, rośliny, minerały — powiedział Hoskins. — Dokładnie tak jak obiecałem. Zwierzęta znajdują się tutaj. Są to nasze

najefektowniejsze eksponaty. Jeżeli nie brać pod uwagę Timmie'ego, oczywiście.

Pomieszczenie było podzielone na wiele mniejszych, z których każde stanowiło oddzielna komorę pola statycznego — trochę mniejszą niż ta, w którą umieszczono Timmie'ego. Hoskins podprowadził pannę Fellowes do szklanej ściany w jednej z nich i panna Fellowes zajrzała do środka.

To, co zobaczyła, było na pierwszy rzut oka kurczęciem pokrytym łuskami i mającym ogon. To coś biegało tu i tam, od jednej ściany do drugiej. Robiło to nerwowo, ślizgając się na dwóch cienkich nogach i rozglądało się. Ale przecież nie mogło istnieć kurczę, które tak wygląda: bezskrzydłe kurczę z dwojgiem małych zwisających ramion zakończonych podobnymi do dłoni łapami, które bez przerwy kurczyły się i rozkurczały. Głowa tego stworzenia była wąska i przypominała głowę ptaka. Miało też dziwnie błyszczące szkarłatne oczy. Na czaszce sterczała narośl kostna podobna do grzebienia koguta, tylko że jaskrawo niebieska. Jego ciało było jasnozielone w ciemnozielone paski połyskujące jak u jaszczurki. Cienki, wężowaty ogon poruszał się nerwowo z boku na bok.

— Oto nasz dinozaur — powiedział Hoskins. — Nasza największa duma i radość… do chwili, gdy pojawił się u nas Timmie.

— Donizaur? To jest dinozaur?

— Mówiłem pani, że jest mały. A pani by chciała, żeby był olbrzymem, tak panno Fellowes?

Panna Fellowes zrobiła minę trochę zniecierpliwioną.

— Rzeczywiście, chyba tak. To naturalne. Przecież słysząc słowo „dinozaur", człowiek myśli o czymś ogromnym. A ten jest taki… no taki maleńki.

— Proszę mi wierzyć, panno Fellowes, chcieliśmy sprowadzić właśnie małego. Może sobie pani wyobrazić, co by się tu działo, gdyby dorosły stegzaurus wkroczył nagle z hukiem w pole statyczne i zaczął się niezdarnie poruszać po laboratorium? A poza tym sześć okręgów nie wyprodukowałoby energii elektrycznej potrzebnej do stworzenia pola statycznego koniecznego dla obiektu takiej wielkości. No i nie potrafimy jeszcze dokonać transferu tak znacznej masy, nawet gdybyśmy potrafili wyprodukować wystarczającą ilość energii.

Panna Fellowes wpatrywała się w dinozaura. Zrobiło jej się zimno. Wiec to jest żywy dinozaur! Jakie to fantastyczne!

Ale jest taki mały, przypomina raczej nie opierzonego ptaka albo jakąś dziwną jaszczurkę.

— Skoro nie jest duży, to dlaczego jest dinozaurem?

— Rozmiary nie są czynnikiem decydującym, panno Fellowes. Podstawą do zaklasyfikowania zwierzęcia jako dinozaura jest budowa jego szkieletu. Przede wszystkim kształt miednicy. Współczesne nam

gady mają kończyny, które rosną w bok, o tak. Niech pani przypomni sobie, jak chodzi krokodyl albo jaszczurka. Jest to raczej takie kołysanie się, a nie chodzenie prosto, prawda? Nie ma krokodyli, które stoją pionowo i chodzą na tylnych łapach. Dinozaury natomiast miały miednice takie jak ptaki. Jak wszyscy wiedzą, wiele z nich potrafiło chodzić w pozycji wyprostowanej, tak jak współczesne nam stworzenie dwunożne. Proszę sobie przypomnieć strusia albo długonogie ptaki brodzące, proszę sobie uświadomić, jak umocowane są nasze nogi. Nawet te dinozaury, które chodziły na czterech łapach, miały miednicę pozwalającą na to, żeby nogi rosły prosto, a nie na boki jak u jaszczurek. To zupełnie inny model ewolucyjny, jest to linia, która prowadziła od dinozaurów poprzez ptaki do ssaków. Gadzia gałąź tej linii wymarła. Jedynymi gadami, które przeżyły Wielkie Wymieranie pod koniec ery mezozoicznej, były te z zupełnie inną niż nasza budową miednicy.

— Rozumiem. I istniały zarówno duże, jak i małe dinozaury. Ale tylko te duże działają ludziom na wyobraźnię.

— To prawda. To one są sławne, to na nie ludzie się gapią w muzeach. Ale było sporo gatunków, które miały zaledwie niewiele ponad metr. Na przykład ten.

— Rozumiem teraz, dlaczego ludzie tak szybko przestali się nim interesować. On nie jest straszny. Nie budzi przerażenia.

— Laicy być może przestali, panno Fellowes. Ale zapewniam panią, że dla uczonych ten malec jest rewelacją. Badamy go dniami i nocami i dokonaliśmy paru interesujących odkryć. Na przykład ustaliliśmy, że nie jest całkowicie zimnokrwisty. A to potwierdza jedną z najbardziej kontrowersyjnych teorii dotyczących dinozaurów. Inaczej niż którykolwiek gatunek współczesnych nam gadów potrafi on w jakiś sposób powodować, że jego temperatura wewnętrzna jest wyższa niż temperatura otoczenia. Metoda, którą się posługuje, nie jest doskonała, w żadnym wypadku, ale fakt, że organizm ją w ogóle wypracował, potwierdza to, co mówi nam budowa kostna, czyli świadczy o tym, że ptaki i ssaki pochodzą w prostej linii od dinozaurów. Stworzenie, na które pani patrzy, jest jednym z naszych najodleglejszych przodków.

— Jeżeli tak, to czy wyrywając to stworzenie z jego epoki, nie zakłóca pan przebiegu ewolucji? Przypuśćmy, że ten właśnie dinozaur był kluczowym ogniwem w całym łańcuchu ewolucyjnym?

Hoskins roześmiał się.

— Obawiam się, że ewolucja to proces, który nie toczy się tak prosto. Nie, nie istnieje ryzyko, że zmieniamy przebieg ewolucji. Fakt, że po przeniesieniu tego osobnika w czasie na odległość stu milionów lat, wszyscy jeszcze tu jesteśmy, powinien być wystarczającym dowodem.

— No tak… A czy ten dinozaur to jest samiec czy samica?

— Samiec — powiedział Hoskins. — Niestety. Odkąd go tu sprowadziliśmy, usiłowaliśmy namierzyć innego, pochodzącego z tego samego gatunku i będącego samicą. Ale w porównaniu z tym zadaniem szukanie igły w stogu siana to pestka.

— A po co wam samica? Spojrzał na nią kpiąco.

— Bo chcielibyśmy otrzymać zapłodnione jaja i wyhodować dinozaurzątko, tutaj, w laboratorium.

Panna Fellowes poczuła się głupio.

— No tak, oczywiście.

— Proszę podejść tutaj — powiedział Hoskins. — Tu są trylobity. Wie pani, co to są trylobity, panno Fellowes?

Panna Fellowes nie odpowiedziała. Obserwowała młodego dinozaura, który — zdezorientowany — kręcił się w swoim więzieniu, biegając od jednej ściany do drugiej. Wbiegał na te ściany i odbijał się od nich. Wszystko wskazywało na to, że to głupie stworzenie nie jest w stanie zrozumieć, dlaczego nie może iść dalej, dlaczego nie może wyjść i pójść na mokradła, dlaczego nie może biegać po ciepłych lasach w swojej prehistorycznej ojczyźnie.

Pannie Fellowes przyszedł na myśl Timmie, zamknięty w kilku małych pokojach, w drugim budynku.

— Panno Fellowes, pytałem, czy pani wie, co to są trylobity.

— Co takiego? Aha, tak. Tak. To jakieś wymarłe homary, tak?

— No niezupełnie. To skorupiaki, wymarłe skorupiaki, ale niepodobne do homarów. Jeżeli już mowa o podobieństwie, to niepodobne do niczego, co żyje obecnie. Kiedyś były dominującą formą życia na Ziemi, najwspanialszym stworzeniem. Było to pół miliarda lat temu. Trylobity znajdowały się wtedy wszędzie. Całe ich miliony pełzały po dnie każdego oceanu. A później wszystkie wymarły. Nie wiemy dlaczego. Nie pozostawiły potomstwa, nie pozostawiły w ogóle żadnego genetycznego spadku. Były tu, żyły i mnożyły się, a potem zniknęły… tak jakby nigdy nie istniały. Pozostawiając po sobie ogromną ilość skamielin.

Panna Fellowes zajrzała do pojemnika z trylobitami. Zobaczyła sześć czy siedem ospałych, szarozielonych stworzeń o długości ośmiu czy dziewięciu centymetrów. Tkwiły w szarym mule i wyglądały jak coś, co można zobaczyć na brzegu morza w kałuży pozostawionej przez przypływ. Ich wąskie, owalne, sprawiające wrażenie twardych ciałka podzielone były na trzy prążkowanec części: wypukłą środkową i dwie mniejsze mające kształt bocznych płatów z małymi kolcami. Na jednym końcu każdego z takich ciałek widać było ogromne ciemne oczy, podobne do oczu owadów. Kiedy panna Fellowes spojrzała uważniej, jeden z trylobitów wysunął po obu bokach szereg malutkich nóg składających się z kilku członów i zaczął pełznąć — powoli,

bardzo powoli — po dnie zbiornika.

Najwspanialsze stworzenie. Dominująca w swoim czasie forma życia.

Pojawił się mężczyzna w fartuchu. Pchał przed sobą tacę na kółkach, na której umocowane było jakieś skomplikowane nie znane pannie Fellowes urządzenie. Pozdrowił uprzejmie Hoskinsa, a do panny Fellowes uśmiechnął się zdawkowo.

— To jest Tom Dwayne z Uniwersytetu w Waszyngtonie — wyjaśnił Hoskins. — Jest jednym z tych, którzy zajmują się trylobitami. Specjalistą od chemii jądrowej. Tom, oto panna Fellowes, dyplomowana pielęgniarka. To ona jest tą cudowną osobą, która opiekuje się naszym małym neandertalczykiem.

Nowo przybyły znowu się uśmiechnął, tym razem o wiele serdeczniej.

— To ogromny dla mnie zaszczyt poznać panią, pani doktor. Ma pani wielkie zadanie do spełnienia.

— Proszę mi mówić „panno Fellowes” — powiedziała, próbując nie zrobić wrażenia nadętej. — A co specjalista od chemii jądrowej ma wspólnego z trylobitami, jeśli wolno zapytać?

— No właściwie ja nie badam trylobitów per se — powiedział Dwayne. — Ja się zajmuję wodą, która im towarzyszyła.

— Tom bada zawartość izotopów w tlenie znajdującym się w tej wodzie — wtrącił się Hoskins.

— A po co?

— To, co tu mamy, to jest woda pierwotna, woda mająca co najmniej pół miliarda lat, a może sześćset milionów. Znając współczynnik zawartości izotopów, wiemy, jaka w tamtych czasach była temperatura w oceanach. A znając temperaturę oceanów, możemy wyciągnąć wnioski dotyczące panującego wtedy klimatu. Wtedy, w czasach, gdy żyły trylobity, większość powierzchni Ziemi pokrywał ocean.

— Widzi pani, panno Fellowes, Toma właściwie wcale nie interesują trylobity. Dla niego one są brzydkimi małymi zawalidrogami pełzającymi w jego ciemnej, pierwotnej wodzie. Ci, co zajmują się samymi trylobitami, mają o wiele łatwiejsze zadanie. Muszą tylko dokonać sekcji tych stworzeń. Potrzebują do tego jedynie skalpela i mikroskopu. A biedny Tom musi przy okazji każdego swego eksperymentu ustawić tu spektrograf mas.

— Dlaczego? Czy nie może…

— Nie, nie może. Nie może wynieść niczego z tej komory. Tego nie wolno robić. Bo chodzi o zachowanie równowagi potencjału temporalnego.

— Równowagi potencjału temporalnego? — powtórzyła panna Fellowes, jak gdyby Hoskins powiedział coś po łacinie.

— Chodzi o zachowanie energii. To, co wędruje w czasie, przekracza linie siły temporalnej. Poruszając się, kumuluje potencjał. Ten potencjał jest zneurtalizowany w polu statycznym i musi taki pozostać.

— Aha — powiedziała panna Fellowes.

Nie uczyła się w życiu zbyt wiele fizyki. Nigdy nie rozumiała pojęć z tej dziedziny. Była to, być może, reakcja na wspomnienia związane z nieszczęśliwym małżeństwem. Jej eks-mąż lubił rozprawiać o „poezji" zawartej w fizyce, o tajemnicy, magii i pięknie związane z tą dziedziną. Może rzeczywiście były w niej magia, tajemnica i piękno. Ale panna Fellowes nie lubiła myśleć o niczym, co się wiązało z jej eks-mężem.

— Pójdziemy dalej? Zostawimy Toma z trylobitami? — zapytał Hoskins.

Dalej znajdowały się próbki pierwotnej roślinności — dziwne łuskowate małe roślinki, dziwne i niepiękne, oraz kawałki skał, które dla panny Fellowes nie różniły się od skał z dwudziestego pierwszego wieku. No tak, tę część kolekcji poświęcono roślinności i minerałom. Zwierzęta, rośliny, minerały — wszystko było dokładnie tak, jak zapowiedział Hoskins. Wszechstronnie przedstawiono tu pradawną historię naturalną. I każdy okaz miał swojego badacza. Wszystko to przypominało muzeum, muzeum przywrócone do życia i służące jako bardzo ożywiony ośrodek badań.

— I pan tym wszystkim kieruje, panie doktorze?

— Tylko pośrednio, panno Fellowes. Mam dzięki Bogu podwładnych. Praca administracyjna związana z zarządzaniem korporacją pochłania mi cały czas.

— Ale pan nie jest właściwie biznesmenem — powiedziała panna Fellowes, przypominając sobie owo dumne słowo „DOKTOR" stojące przed jego nazwiskiem. — Jest pan w zasadzie uczonym, który stopniowo podryfował w stronę dyrektorowania, prawda?

Kiwnął głową ze smutkiem.

— „Podryfował" to dobre słowo. Zacząłem od fizyki teoretycznej. Napisałem pracę doktorską o naturze czasu, o technice mezonowej detekcji intertemporalnej i tak dalej. Kiedy stworzyliśmy firmę, nie przyszło mi do głowy, że kiedyś będę pełnił inną funkcję niż funkcja kierownika badań. Ale wyniknęły… no… problemy. Nie mam na myśli problemów technicznych. Mam na myśli to, że pojawili się bankierzy i zaczęli nam robić wykłady na temat prowadzenia tego typu placówki. Potem nastąpiły zmiany kadrowe na najwyższych szczeblach w instytucie. Jedno pociągało za sobą drugie i w końcu ludzie przyszli do mnie i powiedzieli: „Musisz być dyrektorem, Jerry. Jesteś jedyną osobą, która będzie umiała ustabilizować to wszystko". A ja byłem tak głupi, że im uwierzyłem i potem, no… — Uśmiechnął się szeroko. —

Wylądowałem za mahoniowym biurkiem, z całym tym majdanem na głowie. Z przekładaniem papierów, parafowaniem sprawozdań, organizowaniem zebrań. Ciągle tylko mówię ludziom, co mają robić. A na myślenie o własnych badaniach zostaje mi od czasu do czasu po dziesięć minut w ciągu dnia.

Panna Fellowes poczuła, że wzbiera w niej ogromna fala współczucia. Wreszcie zrozumiała, dlaczego przed jego nazwiskiem widniało słowo „DOKTOR". Hoskins się nie chwalił. On sam sobie chciał przypomnieć, kim właściwie jest.

Jakie to smutne, pomyślała.

— A gdyby pan mógł przestać zajmować się stroną administracyjną — spytała — to jakim badaniom by się pan poświęcił?

— Zająłbym się problemami krótkozasięgowego transferu temporalnego. Nie mam co do tego wątpliwości. Chciałbym opracować metodę wychwytywania obiektów, które znajdują się bliżej niż dziesięć tysięcy lat, co obecnie stanowi granicę. Przeprowadziliśmy już obiecujące badania wstępne, ale nic ponad to. To jest kwestia dostępności środków finansowych i technicznych, a także priorytetów i akceptacji obecnych ograniczeń. Gdybyśmy mogli dokonać zaczerpnięcia z czasów historycznych, panno Fellowes, gdybyśmy mogli skontaktować się z żywymi mieszkańcami Egiptu z czasów faraonów albo z Babilończykami czy mieszkańcami starożytnego Rzymu i Grecji, albo…

Przerwał w pół zdania. Panna Fellowes usłyszała, że w jednym z odległych pomieszczeń coś się dzieje. Ktoś zrzędził podniesionym, cienkim głosem. Hoskins zmarszczył brwi, powiedział szybko „przepraszam" i pospiesznie się oddalił.

Panna Fellowes podążyła za nim. Szła tak prędko, jak tylko mogła, ale nie biegła. Nie miała jednak ochoty zostać tu sama wśród całego tego zgiełku przeszłości.

Starszy człowiek nie mający na sobie laboratoryjnego fartucha ani uniformu, z rzadką siwą brodą i ze złą, zaczerwienioną twarzą kłócił się z o wiele od siebie młodszym technikiem ubranym w fartuch z wyszytym czerwonozłotym monogramem Instytutu Badań nad Polem Statycznym.

— Czy pan nie rozumie, że pozostały mi do wykonania bardzo ważne czynności związane z moimi badaniami? — mówił rozzłoszczony starszy człowiek.

— Co się tu dzieje? — zapytał Hoskins, pospiesznie wchodząc pomiędzy nich.

— Usiłowanie wyniesienia okazu, panie doktorze — zameldował technik.

— Wyniesienia z pola statycznego? — zapytał Hoskins, unosząc

brwi. — Mówi pan poważnie? Nie mogę w to uwierzyć, doktorze Adamewski — dodał, zwracając się do starszego człowieka.

Doktor Adamewski wskazał najbliższą kopułę pola statycznego. Panna Fellowes skierowała wzrok w tamtą stronę. Zobaczyła jedynie mały szary stół laboratoryjny. Leżał na nim całkiem niepozorny odłamek skały. Obok niego stały jakieś fiolki, w których, jak się domyśliła, były odczynniki.

— Wciąż jeszcze mam mnóstwo do zrobienia. Muszę sprawdzić…

— Panie doktorze — przerwał mu technik — pan profesor Adamewski wiedział od początku, że ten okaz chalkopirytu może tu być tylko przez dwa tygodnie. Termin upływa dzisiaj.

— Dwa tygodnie! — wybuchnął Adamewski. — A kto jest w stanie z góry powiedzieć, ile czasu zajmą badania? Czy Roentgen odkrył działanie promieni X w dwa tygodnie? Czy Rutherford rozwiązał problem jądra atomowego w dwa tygodnie? Czy…

— Jednak na ten eksperyment przeznaczono dwa tygodnie — powiedział technik. — Pan profesor o tym wiedział.

— No to co z tego? Nie byłem w stanie zagwarantować, że zdołam skończyć pracę tak szybko. Nie potrafię przewidywać przyszłości, panie doktorze. Dwa, trzy czy cztery tygodnie… to nie o to chodzi. Chodzi o to, żeby rozwiązać problem, zgodzi się pan chyba ze mną?

— Panie profesorze — powiedział Hoskins — problem polega na tym, że istnieją pewne ograniczenia. Posiadamy określoną liczbę kopuł pola statycznego, a nieograniczoną ilość pracy do wykonania. Dlatego musimy udostępniać kopuły różnym osobom po kolei. Ten odłamek chalkopirytu musi wrócić tam, skąd przybył. Na tę komorę czeka długa kolejka ludzi.

— No to niech im pan ją udostępni — powiedział Adamewski zapalczywie. — A ja zabiorę stąd okaz i skończę pracę u siebie na uniwersytecie. Zaraz potem zwrócę go panu.

— Wie pan, że to niemożliwe.

— Też coś! Przecież tu chodzi o kawałek chalkopirytu! O trzykilogramowy odłamek skały nie mający żadnej wartości handlowej! Dlaczego nie mogę go wziąć?

— Nie możemy sobie pozwolić na tak wielkie wydatkowanie energii! — odrzekł Hoskins. — Wie pan o tym. To dla pana nic nowego i bardzo proszę, niech pan nie udaje, że jest inaczej.

— Chodzi o to, panie doktorze — powiedział technik — ze pan profesor usiłował zabrać odłamek wbrew przepisom i że ja omal nie wyłączyłem pola statycznego w tej kopule w chwili, kiedy był w środku, bo nie wiedziałem, ze on tam jest.

Nastąpiła chwila lodowatej ciszy. Następnie Hoskins zwrócił się do uczonego tonem zimnym i oficjalnym:

— Czy to prawda, panie profesorze? Adamewski zmieszał się.

— Nie widziałem niczego złego w…

— Niczego złego? Niczego złego?

Hoskins pokręcił głową. Wydawało się, że z dużym trudem powstrzymuje gniew.

W zasięgu jego ręki, na zewnątrz komory zawierającej okaz minerału profesora Adamewskiego tkwiła dźwignia z czerwoną rączką. Od tej dźwigni — przez ścianę i prosto do komory — biegła nylonowa linka. Hoskins bez wahania podniósł rękę i szarpnął dźwignię.

Panna Fellowes wstrzymała oddech, widząc, że wokół odłamka skały zabłysło jaskrawe światło, otaczając go na ułamek sekundy oślepiającą czerwono-zieloną aureolą. Zanim zdążyła zamknąć porażone tym światłem oczy, światło zniknęło. Zniknął też odłamek skalny. Po prostu zniknął. Na szarym stole laboratoryjnym nie było teraz niczego. Adamewski, wściekły i sfrustrowany, zaczaj ciężko sapać.

— Co pan zro…

— Może pan opróżnić swoją kabinę, panie profesorze — przerwał mu szorstko Hoskins. — Pana zezwolenie na prowadzenie badań w polu statycznym jest od tej chwili unieważnione na zawsze.

— Zaraz, zaraz. Nie może pan…

— Przykro mi, ale mogę, panie profesorze. I zrobiłem to. Złamał pan jeden z naszych najsurowszych zakazów.

— Zwrócę się do Międzynarodowego Stowarzyszenia…

— Może się pan zwracać do kogo pan chce — powiedział Hoskins. — W takim wypadku jak ten moja decyzja jest nieodwołalna. Przekona się pan.

Odwrócił się powolnym ruchem od wciąż protestującego profesora i stanął twarzą do panny Fellowes. Panna Fellowes obserwowała cały ten epizod ze wzrastającym zakłopotaniem. Miała nadzieję, że odezwie się jej alarmowy brzęczyk i dzięki temu będzie mogła się stąd oddalić, by przestać być świadkiem tej nieprzyjemnej sceny.

Twarz Hoskinsa była blada z gniewu.

— Przykro mi, panno Fellowes, że musieliśmy przerwać nasz obchód z powodu tak nieprzyjemnego incydentu. Jednak czasami takie działania okazują się konieczne. Jeżeli jest jeszcze coś, co chciałaby pani tutaj zobaczyć… jeżeli ma pani jeszcze jakieś pytania…

— Sądzę, że widziałam dosyć, panie doktorze. Może powinnam już wrócić do Timmie'ego.

— Ale jest pani poza kopułą dopiero…

— Uważam jednak, że powinnam…

Hoskins przez chwilę poruszał bezgłośnie wargami. Zdawało się, że formułuje jakąś prośbę. W końcu powiedział:

— No więc niech sprawdzi pani, co się dzieje z Timmiem. I jeżeli wszystko jest w porządku, może da sobie pani trochę więcej wolnego. Chciałbym zaprosić panią na lunch.

* * *

Znalazłszy się w kafeterii, weszli do małej niszy przeznaczonej dla wyższych urzędników. Hoskins pozdrawiał siedzących naokoło ludzi i przedstawiał pannę Fellowes z zupełną swobodą, natomiast ona czuła, że ogarnia ja wręcz chorobliwa nieśmiałość.

Co oni myślą, widząc nas razem? — zastanawiała się, czyniąc rozpaczliwe próby, żeby wyglądać jak osoba odbywająca spotkanie służbowe. Żałowała teraz, że zdjęła uniform pielęgniarki i przebrała się w sukienkę. Uniform był dla niej rodzajem pancerza. Pozwalał mierzyć się ze światem nie w roli indywidualnej osoby, lecz w roli kogoś pełniącego określoną funkcję.

Jedzenie w kafeterii nie było wymyślne. Sałatki, kanapki, talerze owoców, okrągłe bułeczki — to było prawie wszystko, co tu podawano. Zresztą ona nie jadała wystawnych posiłków, zwłaszcza w środku dnia. Przez lata pracy w szpitalu nie tylko przyzwyczaiła się do potraw podawanych w kafeteriach, ale nawet je polubiła. Wybrała kilka niewyszukanych rzeczy i postawiła je na tacy: sałatkę z sałaty, truskawek i plasterków pomarańczy, kilka kawałków żytniego chleba, małą flaszkę maślanki.

Kiedy już usiedli, zapytała:

— Czy często miewa pan takie kłopoty, panie doktorze? To znaczy takie jak z tym profesorem.

— Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz — odrzekł. — Oczywiście ciągle muszę mówić ludziom, żeby nie wynosili okazów, kiedy czas przeznaczony na ich badania dobiegnie końca. Ale po raz pierwszy ktoś usiłował naprawdę to zrobić.

— A to by spowodowało ogromne kłopoty z… no… z równowagą potencjału temporalnego, tak?

— Właśnie — powiedział Hoskins zadowolony, że użyła prawidłowego określenia. — Oczywiście próbowaliśmy brać takie możliwości pod uwagę. Wypadki się zdarzają i dlatego posiadamy specjalne źródła energii mające kompensować jej odpływ spowodowany przypadkowymi usunięciami obiektów z pola statycznego. Ale to nie znaczy, że życzymy sobie, żeby wystarczający na rok zasób energii został zużyty w ciągu sekundy. Nie moglibyśmy sobie na to pozwolić. Gdyby tak się stało, to chcąc zrekompensować

koszty, musielibyśmy zredukować fundusze na działalność przez kilka miesięcy. A na dodatek profesor znajdowałby się w kopule w momencie wyłączenia tej części pola statycznego.

— I co by się z nim stało?

— No więc… eksperymentowaliśmy z obiektami nieożywionymi i z myszami, jeżeli już o to chodzi, i okazało się, że wszystko, co było w kopule w chwili wyłączenia, znikało.

— To znaczy cofało się w czasie, tak?

— Przypuszczalnie tak. To coś zostawało, że tak powiem, pociągnięte przez obiekt, który właśnie wracał do swego naturalnego czasu. Taka jest w każdym razie nasza teoria. Nie mamy powodu, żeby wątpić w jej słuszność. Obiekt wracający na swoje miejsce w matrycy przestrzenno-czasowej wytwarza tak wielkie siły w swoim sąsiedztwie, że zabiera ze sobą wszystko, co znajduje się w pobliżu. Wydaje się, że ograniczenia dotyczące masy odnoszą się tylko do ruchu w przód. Gdyby w komorze obok kawałka skały znajdował się słoń, zostałby zabrany w przeszłość razem z tym kawałkiem. Nie chcę nawet myśleć, do jakiego stopnia w takim wypadku pogwałcone by było prawo zachowania energii.

— Stół laboratoryjny nie został zabrany — zauważyła panna Fellowes.

Hoskins uśmiechnął się szeroko.

— Nie, nie został. Podłoga też nie ani okna. Ta siła podlega pewnym ograniczeniom. Nie może oczywiście przenieść całego budynku. Nie jest wystarczająco duża, żeby zagarnąć w przeszłość obiekty, które są przymocowane. Zagarnia tylko te, które są luzem. Dlatego zakotwiczamy wszystko, co znajduje się w pobliżu przenoszonego obiektu i co ma pozostać w naszym czasie. Jest to dość skomplikowane.

— Ale profesor nie byłby zakotwiczony.

— Nie — powiedział Hoskins. — Ten idiota popędziłby razem z tym kawałkiem skały, prosto do jego czasów, czyli do pliocenu.

— To byłoby dla niego straszne.

— Chyba tak. Ale ja tam bym po nim nie płakał, zapewniam panią. Jeżeli byłby taki głupi, jeżeli złamałby przepisy i wskutek tego znalazł się nie tam, gdzie trzeba, i nie w tym czasie, co trzeba, to dobrze mu tak. Tylko że w ostatecznym rozrachunku ucierpielibyśmy my. Czy może pani sobie wyobrazić ten proces, który by nam wytoczono?

— Ale gdyby on stracił życie przez własne zaniedbanie…

— Niech pani nie będzie naiwna, panno Fellowes. Od dziesięcioleci różni idioci w tym kraju zaniedbują różne rzeczy, a prawnicy zrzucają winę na innych. Pijak, który wpada pod kolejkę metra, włamywacz, który spada z dachu i rozbija sobie głowę,

chłopak, który czepia się autobusu i spada… czy nie wie pani, że tacy ludzie dostają ogromne odszkodowania? Spadkobiercy Adamewskiego powiedzieliby, że to my czegoś zaniedbaliśmy, bo przed wyłączeniem pola statycznego nie sprawdziliśmy, czy kopuła jest pusta. A sąd by się z nimi zgodził, nie biorąc pod uwagę tego, że on nie powinien był wchodzić do kopuły i że wszedł do niej po to, żeby ukraść okaz. Nawet gdybyśmy wygrali sprawę… Czy może pani sobie wyobrazić, jak zareagowaliby ludzie, gdyby ta historia wyszła na jaw? Delikatny, stary uczony traci życie w wypadku w polu statycznym! Okropne niebezpieczeństwa związane z podróżami w czasie! Jakież to straszliwe eksperymenty przeprowadza się za tymi zamkniętymi bramami? Zlikwidować instytut! Zlikwidować go! Rozumie pani? Z dnia na dzień stalibyśmy się jakimiś potworami i w jednej chwili odcięto by nam fundusze, ot tak — powiedział Hoskins, strzelając palcami.

Zasępił się, zapatrzył się w talerz i z ponurą miną zaczął przesuwać na nim jedzenie.

— A czy nie moglibyście sprowadzić go z powrotem? — zapytała panna Fellowes. — W ten sam sposób, w jaki przedtem sprowadziliście ten kawał skały?

— Nie, bo jeśli obiekt wróci w czas przeszły, gubimy go, chyba że zawczasu podejmiemy kroki prowadzące do odzyskania tej rzeczy, a w tym wypadku ich nie podjęliśmy. Prawdę mówiąc, nigdy ich nie podejmujemy. Nie ma powodu, żeby to robić. Żeby znaleźć profesora, musielibyśmy go namierzyć w czasie oddalonym o jakieś pięć milionów lat. Przypominałoby to zarzucenie liny w otchłań oceanu w celu złapania tej a nie innej ryby. Boże drogi, kiedy pomyślę o środkach ostrożności, jakie podejmujemy, żeby zapobiec wypadkom, robię się wściekły. Każda jednostka w polu statycznym ma swoje własne urządzenie wyłączające. Musi tak być, gdyż każda jednostka ma swoją własną, oddzielną, sprowadzoną z przeszłości zawartość i musi działać niezależnie od innych. Dowcip polega jednak na tym, że aż do ostatniej chwili nie uaktywniamy żadnego urządzenia wyłączającego. Celowo uniemożliwiliśmy aktywację metodą inną niż przez pociągnięcie dźwigni, której uchwyt został umieszczony poza polem statycznym. Widziała pani, jak to robiłem? To pociągniecie to jest mechaniczny ruch, ale wymaga dużego wysiłku. Nie można go wykonać przypadkowo.

— Więc musiałby pan po prostu zostawić profesora Adamewskiego tam, w tym, jak to pan nazwał… pliocenie?

— Nie byłoby innego wyjścia.

— I ten pliocen był pięć milionów lat temu?

— Zaczaj się około dziesięciu milionów lat temu. I trwał przez jakieś osiem. Ale ten kawałek skały pochodził sprzed pięciu.

— Jak pan myśli, czy profesor byłby w stanie długo tam żyć?

Hoskins rozłożył ręce gestem oznaczającym niepewność.

— Klimat prawdopodobnie nie byłby taki srogi jak później, w epoce lodowcowej, z której pochodzi pani Timmie. A powietrze, w którym profesor by się znalazł, byłoby mniej więcej takie jak to, którym oddychamy dzisiaj… tylko oczywiście bez tych wszystkich zanieczyszczeń, które do niego wprowadziliśmy przez ostatnich kilkaset lat. Więc gdyby miał pojęcie o polowaniu i wyszukiwaniu jadalnych roślin, w co raczej wątpię, mógłby przez jakiś czas sobie radzić. Przeżyłby dwa tygodnie do dwóch miesięcy. Tak sądzę.

— No, a gdyby spotkał jakąś plioceńską kobietę, która by go polubiła i nauczyła, jak zbierać pożywienie?

To powiedziawszy, panna Fellowes wpadła na jeszcze bardziej fantastyczny pomysł.

— Mógłby nawet z nią żyć mieliby dzieci i powstałaby cała nowa linia genetyczna, bo geny współczesnego nam mężczyzny pomieszałyby się z genami prehistorycznej kobiety. Czy to nie zmieniłoby całej historii? Na tym polegałoby największe ryzyko związane z podróżą profesora w czasie, prawda?

Hoskins dostał ataku śmiechu. Próbował go stłumić. Panna Fellowes poczuła, że twarz jej purpurowieje.

— Czy powiedziałam coś głupiego, panie doktorze? Hoskins odpowiedział dopiero po chwili.

— Głupiego? To za ostre słowo. Ja bym powiedział „naiwnego”. Panno Fellowes, w pliocenie na naszego profesora nie czekałyby żadne kobiety. W każdym razie nie było wtedy nikogo, kogo on mógłby uznać za ewentualną towarzyszkę życia.

— Rozumiem.

— Wiadomości dotyczące naszych przodków z rodziny Hominidae wyleciały mi z głowy, ale mogę pani powiedzieć z dużą dozą pewności, że Adamewski nie spotkałby tam nikogo, kto by przypominał Homo sapiens. Mógłby co najwyżej spotkać jakąś samicę australopiteka, mającą metr dwadzieścia wzrostu i pokrytą od stóp do głów sierścią. Rodzaj ludzki, w dzisiejszym rozumieniu tego terminu, w tamtych czasach jeszcze nie wyewoluował. I wątpię, czy nawet tak namiętny mężczyzna jak profesor Adamewski — tu Hoskins znowu stłumił śmiech — zakochałby się do tego stopnia w przeciętnej australopiteczce, że chciałby mieć z nią stosunki seksualne. Oczywiście gdyby natknął się na plioceński odpowiednik Heleny Trojańskiej, na małpę, która spowodowała wypłynięcie tysiąca statków…

— Sądzę, że rozumiem, o co panu chodzi — powiedziała panna Fellowes, sznurując usta i żałując, że w ogóle zaczęła mówić na ten temat. — Pytałam pana już przedtem, kiedy pokazywał mi pan

dinozaura, dlaczego przemieszczanie obiektów w czasie nie zmienia historii. Rozumiem teraz, że profesor w pliocenie nie mógłby założyć rodziny, ale gdyby posłał pan kogoś w czasy, w których istnieli prawdziwi ludzie, powiedzmy dwadzieścia tysięcy lat wstecz…

Hoskins zamyślił się.

— Przypuszczam, że wtedy nastąpiłoby pewne nieznaczne rozerwanie linii czasowej. Ale nie sądzę, że zaszłoby coś wielkiego.

— Więc posługując się polem statycznym, nie można zmienić historii?

— Teoretycznie można. Ale w rzeczywistości nie, poza naprawdę niezwykłymi przypadkami. Bez przerwy wynosimy różne obiekty z pola statycznego. Cząsteczki powietrza. Bakterie. Kurz. Jakieś dziesięć procent naszej energii pochłania nadrabianie takich mikrostrat. Ale nawet straty spowodowane przenoszeniem dużych obiektów w czasie amortyzują się. Weźmy ten plioceński kawał chalkopirytu. Przez dwa tygodnie, podczas których znajdował się tutaj, w naszym czasie, jakiś owad mógł się pod nim schować i zostać zabity. Myślę, że to zapoczątkowałoby cały szereg zmian w linii czasowej. Jednak zgodnie z matematyką tych zjawisk, byłby to szereg zbieżny. Rozmiary zmian mają tendencję do zmniejszania się z czasem i w końcu wszystko wraca na ten tor, po którym i tak by się toczyło.

— Chce pan powiedzieć, że rzeczywistość sama się uzdrawia?

— W pewnym sensie. Wyrywając człowieka z przeszłości albo posyłając go w przeszłość, zadaje się większą ranę. Jeżeli ten człowiek jest jednostką przeciętną, ta rana wkrótce się zagoi… tak wykazują obliczenia. Oczywiście jest bardzo wielu ludzi, którzy piszą do nas i domagają się, żebyśmy sprowadzili Abrahama Lincolna albo Mahometa, albo Aleksandra Wielkiego. Nie mamy jeszcze możliwości technicznych pozwalających to zrobić, co nie oznacza, że gdybyśmy je mieli, to byśmy to zrobili. Bo gdybyśmy potrafili zarzucić naszą sieć tak blisko i wyłowić określonych osobników — na przykład tych trzech, których wymieniłem — to zmiana rzeczywistości łącząca się z przeniesieniem tych wielkich twórców historii byłaby zbyt wielka i rzeczywistość nie mogłaby się sama uzdrowić. Można obliczyć, kiedy zmiana będzie zbyt wielka. Dokonujemy takich obliczeń i bardzo pilnujemy, żeby nie przekroczyć granicy.

— A więc Timmie… — powiedziała panna Fellowes.

— Nie, on nie przedstawia sobą żadnego takiego problemu. Jest mało prawdopodobne, aby przeniesienie w nasze czasy małego chłopca należącego do podgatunku ludzkiego, który miał wymrzeć za pięć czy dziesięć tysięcy lat, stało się przyczyną zmian w historii. Rzeczywistości nic nie grozi. — Hoskins spojrzał na nią bystro. — Nie musi się pani tym martwić.

— Ja się nie martwię. Po prostu staram się zrozumieć, jak to

wszystko tutaj działa.

— Czemu ja przyklaskuję.

Panna Fellowes pociągnęła spory łyk maślanki.

— Jeżeli ze sprowadzeniem jednego neandertalskiego dziecka nie łączy się żadne ryzyko, to można by też sprowadzić drugie, prawda?

— Oczywiście. Ale nam potrzebne jest tylko jedno. Jeżeli Timmie pomoże nam dowiedzieć się wszystkiego, czego chcemy…

— Ja nie myślałam o sprowadzeniu dziecka w celach badawczych. Myślałam o tym, że Timmie powinien mieć towarzystwo do zabawy.

— Co takiego?

Pomysł ten przyszedł jej do głowy tak nagle i niespodziewanie jak imię „Timmie". Był to impuls, było to coś spontanicznego. Panna Fellowes sama dziwiła się własnej propozycji.

Ale skoro już pomysł się narodził, to się przy nim upierała.

— O ile mi wiadomo, on jest dzieckiem pod każdym względem zdrowym i normalnym. Oczywiście dzieckiem własnego czasu. Ale myślę, że na swój sposób jest wybitny.

— Ja też tak myślę, panno Fellowes.

— Jednak jego rozwój w przyszłości może nie być normalny.

— Dlaczego? — spytał Hoskins.

— Każde dziecko potrzebuje bodźców, a on żyje w izolacji. Ja mam zamiar zrobić, co w mojej mocy, ale przecież nie zastąpię mu całej matrycy kulturowej. Chcę przez to powiedzieć, panie doktorze, że jemu potrzebny jest drugi chłopiec do zabawy.

Hoskins powoli pokiwał głową.

— Niestety, on jest tylko jeden. Biedne dziecko. Panna Fellowes obserwowała go bystro, mając nadzieję, że wybrała właściwy moment.

— Gdyby pan mógł sprowadzić drugiego neandertalczyka, który by z nim zamieszkał…

— Tak. To by było idealne rozwiązanie, panno Fellowes. Ale oczywiście to się nie da zrobić.

— Nie da się? — zapytała panna Fellowes, którą nagle ogarnęło przerażenie.

— Nie, nawet przy najlepszej woli, którą, jak pragnę przypuszczać, wykazujemy. Żeby znaleźć drugiego neandertalczyka w zbliżonym wieku, musielibyśmy mieć niewiarygodne szczęście. W tamtych czasach, panno Fellowes, Ziemia była słabo zaludniona. Nie możemy tak po prostu złapać dziecka, sięgając do neandertalskiego odpowiednika wielkiego miasta. A gdybyśmy nawet mogli, nie byłoby dobrze powiększać ryzyka spowodowanego przetrzymywaniem drugiej istoty ludzkiej w polu statycznym.

Panna Fellowes odłożyła łyżkę. Oszałamiające pomysły przychodziły jej do głowy jeden po drugim.

— W takim razie — odezwała się stanowczym tonem — zmieniam taktykę. Niech tak będzie, że sprowadzenie drugiego neandertalskiego dziecka jest niemożliwe. Nie jestem nawet pewna, czy dałabym sobie radę z dwoma takimi chłopcami. Ale może trochę później, kiedy Timmie lepiej przystosuje się do współczesnego życia, moglibyśmy przyprowadzić mu z zewnątrz jakieś inne dziecko, z którym mógłby się bawić? Hoskins patrzył na nią zakłopotany.

— Ludzkie dziecko?

— Inne dziecko — powiedziała panna Fellowes, spoglądając na niego z gniewem. — Timmie jest człowiekiem.

— Oczywiście. Wie pani, co miałem na myśli. Ale mnie by się o czymś takim nawet nie śniło.

— Dlaczego? Dlaczego nie? Ja nie widzę w tym niczego złego. Wyrwał pan tego chłopca z jego czasu i zrobił pan z niego wiecznego więźnia. Czy nie jest pan mu nic winien? Panie doktorze, jeżeli w dzisiejszym świecie istnieje ktoś, kogo można by nazwać ojcem tego dziecka, w każdym sensie oprócz biologicznego, to tym kimś jest pan. Dlaczego nie może pan zrobić dla niego chociaż tyle?

— Jego ojcem? — zapytał Hoskins i wstał, trochę się chwiejąc. — Panno Fellowes, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, odprowadzę panią teraz z powrotem.

Wrócili do domku dla lalek w milczeniu, którego żadne z nich nie przerwało.

* * *

Zgodnie z daną obietnicą, Mclntyre przysłał stertę książek mówiących o neandertalczykach. Panna Fellowes rzuciła się na nie jak uczennica szkoły pielęgniarskiej na kilka dni przed decydującym egzaminem.

Dowiedziała się, że pierwsze skamieniałe neandertalskie szczątki zostały odkryte w połowie dziewiętnastego wieku przez robotników kopiących w wapiennym kamieniołomie w pobliżu Dusseldorfu w Niemczech w miejscowości zwanej po niemiecku Neanderthal, co oznaczało Dolinę Neandru. Uprzątając błoto pokrywające złoże wapienne w grocie znajdującej się dwadzieścia metrów ponad dnem doliny, natknęli się na ludzką czaszkę tkwiącą w dnie groty. W pobliżu były też inne kości.

Robotnicy zanieśli szczątki miejscowemu nauczycielowi szkoły średniej, a ten zawiózł je do doktora Hermana Schaafhausena z Bonn, sławnego anatoma. Schaafhausenowi czaszka i kości wydały się

niezwykłe. Czaszka miała wiele cech właściwych czaszkom ludzkim, ale wyglądała dziwnie prymitywnie — była długa i wąska, miała spadziste czoło i ogromny kostny wał czołowy wystający nad oczami. Kości udowe, które jej towarzyszyły, były tak grube i ciężkie, że prawie nie wyglądały na ludzkie.

Jednak Schaafhausen uważał, że kości neandertalskie są szczątkami ludzkimi — bardzo starymi szczątkami ludzkimi. W referacie, który wygłosił na zebraniu naukowym w początkach tysiąc osiemset pięćdziesiątego siódmego roku, określił te niezwykłe skamieliny mianem „najstarszej pamiątki po wczesnych mieszkańcach Europy".

Panna Fellowes podniosła wzrok na Timmie'ego, który bawił się jakąś zabawką w drugim końcu pokoju.

— Posłuchaj — powiedziała. — „Najstarsza pamiątka po wczesnych mieszkańcach Europy." On mówi o jednym z twoich krewnych.

Na Timmiem nie zrobiło to wrażenia. Mlasnął kilka razy obojętnie i wrócił do swojej zabawy.

Panna Fellowes czytała dalej. Bardzo szybko książka potwierdziła to, co ona przeczuwała: że neandertalczycy, będąc oczywiście dawnymi mieszkańcami Europy, byli dalecy od tego, żeby być jej mieszkańcami najdawniejszymi.

Po odkryciu oryginalnych skamielin neandertalskich nastąpiły w późniejszych latach dziewiętnastego wieku podobne odkrycia w innych częściach Europy. Odkopano następne skamieniałe kości prehistorycznych człekopodobnych stworzeń z pochyłymi czołami, ogromnymi wypukłymi brwiami i jeszcze jedną typową cechą charakterystyczną, a mianowicie cofniętym podbródkiem. Uczeni dociekali, jakie te skamieniałe szczątki mają znaczenie, a kiedy teoria Darwina spotkała się z powszechną akceptacją, nastąpiła ogólna zgoda co do tego, że okazy neandertalskie są pozostałościami prehistorycznych istot ludzkich o prymitywnym wyglądzie, które były przodkami człowieka współczesnego i znajdowały się na drabinie ewolucji być może w połowie drogi między małpami człekokształtnymi a ludźmi.

— O prymitywnym wyglądzie? — prychnęła panna Fellowes. — To rzecz gustu, prawda Timmie?

Ale później odkryto inne formy skamieniałych szczątków ludzkich: na Jawie, w Chinach, w innych miejscach w Europie i formy te wydawały się nawet bardziej prymitywne niż neandertalczycy. A w dwudziestym wieku, kiedy opracowano pewne metody oceniania wieku wykopalisk, okazało się, że neandertalczycy żyli stosunkowo niedawno, stosunkowo blisko nas na skali czasowej ewolucji człowieka. Prymitywne formy ludzkie znalezione na Jawie i w

Chinach miały co najmniej pół miliona lat, być może były nawet starsze, podczas gdy neandertalczycy pojawili się dopiero jakieś sto pięćdziesiąt tysięcy lat temu. Przez ponad sto tysięcy lat zamieszkiwali najprawdopodobniej większość terenów Europy i Bliskiego Wschodu, mnożąc się intensywnie aż do okresu oddalonego od czasów współczesnych o jakieś trzydzieści pięć tysięcy lat. Następnie zniknęli, a ich miejsce wszędzie zajęła forma człowieka takiego jak człowiek nam współczesny, która najwyraźniej zaczęła istnieć już wtedy, kiedy pojawili się pierwsi neandertalczycy. Wyglądało na to, że ludzie podobni do nas żyli równocześnie z neandertalczykami, że koegzystowali z nimi — pokojowo lub nie — i że trwało to tysiące lat, dopóki nie nastąpiła wśród nich nagła eksplozja populacyjna i dopóki nie wyparli kompletnie innych form ludzkich.

Wyglądało też na to, że istnieje kilka odrębnych teorii wyjaśniających nagłe wymarcie neandertalczyków. Co do jednego jednak wszyscy uczeni się zgadzali: neandertalczycy zniknęli z powierzchni Ziemi w późnym okresie epoki lodowcowej.

Tak więc neandertalczycy nie byli jakimiś prymitywnymi, podobnymi do małp przodkami człowieka współczesnego. Nie byli w ogóle jego przodkami. Byli po prostu inną formą człowieka, różniącą się pod wieloma względami od współczesnych im ludzi reprezentujących odmianę, która przetrwała do naszych czasów. Te dwie odmiany były prawdopodobnie dalekimi kuzynami. W epoce lodowcowej obie istniały równolegle, koegzystowały mniej czy bardziej zgodnie. Jednak tylko jedna z nich przetrwała czasy, w których Ziemię pokrywały wielkie lodowce.

— Więc ty jesteś człowiekiem, Timmie. Tak naprawdę to nigdy w to nie wątpiłam — (powiedziała tak, chociaż na samym początku miała taki zły moment, którego się dotąd wstydziła) — a teraz mam to tutaj czarno na białym. Po prostu wygląd masz trochę niezwykły… to wszystko. Ale jesteś człowiekiem tak samo jak ja. Tak samo jak wszyscy naokoło.

Timmie mlasnął parę razy i zamruczał.

— Tak — powiedziała panna Fellowes. — Ty też tak uważasz, prawda?

A jednak te różnice… jakie one były?

Wzrok panny Fellowes przebiegał szybko po stronach. Jak ci neandertalczycy naprawdę wyglądali? Początkowo prowadzono na ten temat ożywione dyskusje, gdyż szczątków neandertalskich było tak mało, a także dlatego, że, jak się okazało, najwcześniej odkryty szkielet należał do mężczyzny, którego kości zostały zniekształcone przez osteoartrozę, co dawało mylny obraz osobnika jego gatunku. Jednak stopniowo, w miarę odkrywania kolejnych szkieletów, uformowano sobie ogólnie przyjęty obraz neandertalczyka.

Neandertalczycy byli niżsi niż ludzie nam współcześni. Najwyżsi mężczyźni nie mieli prawdopodobnie więcej niż jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu. Byli przy tym bardzo krępi, mieli szerokie ramiona i potężne beczkowate klatki piersiowe, pochyłe czoła, wały czołowe ogromne, a zamiast podbródków zaokrąglone dolne szczęki. Nosy duże, szerokie i nisko sklepione, a wysunięte do przodu usta przypominały pyski. Stopy płaskie i bardzo szerokie, z krótkimi i grubymi palcami, kości — ciężkie i grube, stawy potężne, a mięśnie musiały być bardzo dobrze rozwinięte. Ich nogi, w porównaniu z tułowiami, były krótkie i pałąkowate z natury. Kolana stale ugięte, tak że prawdopodobnie neandertalczycy chodzili pociągając nogami.

Nie byli ładni, nie. W każdym razie jeżeli zastosować współczesne kryteria urody.

Ale byli ludźmi — to bezdyskusyjne. Gdyby neandertalczyka ogolić, obciąć mu włosy i ubrać go w koszulę i parę dżinsów, mógłby prawdopodobnie chodzić po ulicach każdego miasta na świecie, nie zwracając niczyjej uwagi.

— A posłuchaj tego, Timmie!

Panna Fellowes przesunęła palcem po stronie i odczytała głośno:

— „Miał duży mózg. Wielkość mózgu określa się mierząc pojemność czaszki w centymetrach sześciennych. U współczesnego nam Homo sapiens przeciętna pojemność czaszki wynosi czterysta albo tysiąc pięćset centymetrów sześciennych. U niektórych ludzi objętość mózgu wynosi tysiąc do tysiąca dwustu centymetrów sześciennych. Przeciętna objętość mózgu neandertalczyka wynosiła około tysiąca sześciuset u samców i tysiąca trzystu pięćdziesięciu u samic. To więcej niż przeciętna objętość u Homo sapiens”.

Panna Fellowes roześmiała się.

— Co ty na to, Timmie? „Więcej niż przeciętna objętość u Homo sapiens!”

Timmie uśmiechnął się do niej. Prawie tak jakby zrozumiał! Ale panna Fellowes wiedziała, że to niemożliwe, że wcale jej nie rozumie.

— Oczywiście — powiedziała — tak naprawdę nie liczą się rozmiary czaszki, tylko jakość mózgu, który się w niej mieści. Słonie mają większe czaszki niż ktokolwiek, ale nie mogą nauczyć się algebry. Ja zresztą też, ale ja potrafię czytać i prowadzić samochód. A pokaż mi słonia, który by to umiał! Czy myślisz, Timmie, że jestem głupia? Bo mówię do ciebie w ten sposób?

Twarz chłopca była poważna. Mlasnął raz czy dwa razy.

— Potrzebny ci tutaj ktoś, z kim będziesz mógł rozmawiać. Ja zresztą też potrzebuję kogoś do rozmowy. Podejdź do mnie na chwilę, dobrze?

Panna Fellowes kiwnęła na niego ręką. Chłopiec popatrzył na nią wzrokiem bez wyrazu i nie ruszył się z miejsca.

— Chodź tu do mnie, Timmie. Chcę ci coś pokazać.

Timmie ani drgnął. Wymyśliła sobie ładną bajkę, wyobrażając sobie, że on zaczyna rozumieć jej słowa. Jednak wiedziała bardzo dobrze, że to tylko bajka.

Nie wzywając go już więcej, podeszła do niego sama, usiadła obok i pokazała mu książkę, którą czytała. W lewej części strony był obrazek — rekonstrukcja twarzy neandertalczyka, masywnej, z typowymi wypukłymi ustami, wielkim spłaszczonym nosem i dziko zmierzwioną siwą brodą. Głowa neandertalczyka wysuwała się do przodu. Jego wargi były nieco cofnięte, a zza nich ukazywały się obnażone zęby. Owszem, było to oblicze dzikusa. Można by nawet powiedzieć, że było to oblicze o cechach zwierzęcych — nie dało się tego faktu pominąć.

A jednak w oczach niezaprzeczalnie tliła się inteligencja, a poza tym te oczy miały jakiś wyraz. Jaki? Tragiczny? Wyrażały cierpienie? Ból?

Neandertalczyk patrzył w dal. Wyglądało to tak, jakby spoglądał poprzez tysiąclecia i patrzył na świat, w którym nie istniał już nikt do niego podobny, nikt oprócz jednego małego chłopca, który tak naprawdę nie miał w tym świecie czego szukać.

— Jak on wygląda, Timmie? Poznajesz go? Czy on wygląda tak, jak naprawdę wyglądali twoi ziomkowie?

Timmie mlasnął kilka razy. Spojrzał na książkę bez widocznego zainteresowania.

Panna Fellowes postukala palcem w obrazek. A potem, chcąc skierować na niego uwagę Timmie'ego, wzięła chłopca za rękę.

Timmie nie zrozumiał. Wydawało się, że obrazek nic dla niego nie znaczy.

Przesunął dłonią po stronie bez zainteresowania, tak jakby gładkość papieru była jedyną rzeczą, która zwróciła jego uwagę. Następnie odwinął dolny róg strony i zaczął go powoli ciągnąć, oddzierając kartkę od grzbietu.

— Nie! — krzyknęła panna Fellowes i pospiesznym ruchem szarpnęła go za rękę, a potem dała mu w nią klapsa.

Był to lekki klaps, jednak oczywiste było, że wyraża on naganę.

Timmie spojrzał na nią z wściekłością. Oczy płonęły gniewem. Zawarczał okropnie i jego dłoń upodobniła się do łapy ze szponami. Sięgnął ponownie po książkę.

Panna Fellowes usunęła ją poza zasięg jego ręki.

Timmie opadł na kolana i warknął. Było to przerażające warczenie — głęboki i dziwny dźwięk, któremu towarzyszyło wywrócenie oczu w górę, cofnięcie warg i obnażenie zębów w strasznym grymasie wściekłości.

— Och Timmie, Timmie.

Do oczu panny Fellowes napłynęły łzy; poczuła, że jest zrozpaczona, przerażona, poczuła, że przegrała. Tarza się po podłodze i warczy jak dzikie zwierzątko, pomyślała. Warczy na nią tak, jakby chciał skoczyć i rozszarpać jej gardło. Zamierza się na nią łapami, tak jak zamierzał się na książkę, chcąc wydrzeć kartkę.

— Och Timmie.

Zaraz jednak panna Fellowes opanowała się. Nie należało tak reagować na zachowanie dziecka. Czego się spodziewała? Chłopiec miał najwyżej cztery lata i pochodził z jakiejś prymitywnej kultury plemiennej. Nigdy w życiu nie widział książki. Czy miał na tę książkę patrzeć z podziwem i szacunkiem i dziękować jej, pannie Fellowes, za to, że udostępniła jego żądnemu wiedzy umysłowi to cenne źródło informacji?

Nawet współczesne czterolatki pochodzące z przyzwoitych, wykształconych rodzin — przypomniała sobie — wyrywają kartki z książek. A czasem też warczą i okazują, złość kiedy człowiek da im po łapach. Nikt nie uważa ich za dzikie bestie tylko dlatego, że robią takie rzeczy. Nie, w tym wieku to o niczym nie świadczy. Timmie też nie jest bestią, jest po prostu małym chłopcem, małym chłopcem pochodzącym z dzikiego plemienia. Więźniem w świecie, którego nie jest w stanie zrozumieć.

Panna Fellowes odłożyła książki, które dał jej Mclntyre, do jednej z zamykanych szafek. Kiedy wróciła do drugiego pokoju, przekonała się. że Timmie jest znowu spokojny, że bawi się swoją zabawką, tak jakby nie zaszło nic niezwykłego.

Jej serce wezbrało miłością do chłopca. Zapragnęła błagać go o przebaczenie, że jeszcze raz i to z tak błahego powodu w niego zwątpiła zwątpią. Ale co by to dało? On nie byłby w stanie jej zrozumieć.

Istniał jednak inny sposób.

— Chyba czas na owsiankę, prawda Timmie?

6. Udostępnienie

Później tego samego dnia pojawił się w domku dla lalek Mclntyre, który chciał odbyć drugą wizytę u Timmie'ego.

— Dziękuję za książki, panie doktorze — powiedziała panna Fellowes, gdy wszedł. — Zapewniam pana, że bardzo dokładnie je przeczytałam.

Mclntyre uśmiechnął się swoim niezbyt promiennym uśmiechem.

— Miło mi, że w czymś pani mogłem pomóc, panno Fellowes.

— Ale ja pragnę wiedzieć więcej. Mam zamiar jeszcze poczytać, ale skoro pan tu jest, chciałabym pana zapytać…

Paleoantropolog uśmiechnął się po raz drugi, jeszcze mniej promiennie. Oczywiste było, że bardzo pragnie zacząć już swoją sesję z neandertalskim dzieckiem i że nie ma ochoty z tym zwlekać tylko dlatego, iż pielęgniarka chce usłyszeć odpowiedzi na swoje nieważne pytania. Jednak po przykrym incydencie, jaki miał miejsce podczas poprzedniej wizyty, panna Fellowes była zdecydowana nie dopuścić do tego, żeby Mclntyre doprowadził Timmie'ego do łez swoją naukową dociekliwością. Ta sesja miała się odbywać powoli, w tempie, które ona sama narzuci, albo nie miała się odbyć wcale. Jej słowo miało być prawem — tak powiedział Hoskins, a ona przyjęła to wyrażenie za swoje własne.

— Jeżeli mogę pani pomóc, panno Fellowes… Czy jest coś, czego nie mogła pani znaleźć w książkach?

— Istnieje pewne pytanie… główne pytanie, które mnie nurtuje od czasu, gdy zaczęłam pracować z Timmiem. Wszyscy zgadzamy się, że neandertalczycy byli ludźmi. Ja usiłuję się dowiedzieć, do jakiego stopnia nimi byli. Jak bardzo są nam bliscy, jakie są podobieństwa, a jakie różnice. Nie mam na myśli różnic fizycznych, bo te są oczywiste, a poza tym przestudiowałam teksty, które mi pan przysłał. Mnie chodzi o różnice kulturowe. O różnice stopnia inteligencji. Chodzi mi o rzeczy, które naprawdę decydują o tym, czy ktoś jest człowiekiem, czy nie.

— Hm, są dokładnie te rzeczy, których ja się będę usiłował dowiedzieć. Mam zamiar poddać Timmie'ego testom, których celem jest wykazanie…

— Rozumiem. Ale proszę mi najpierw powiedzieć, co j u ż na ten temat wiadomo.

Mclntyre skrzywił się ze złością. Przeczesał sobie dłonią ładne, lśniące, złote włosy.

— Co dokładnie chce pani wiedzieć?

— Dowiedziałam się dzisiaj, że dwie różne rasy… rasa neandertalska i rasa ludzi takich jak my i nam współcześni… czy

można nazywać je rasami, czy to poprawne?… Otóż dowiedziałam się, że w epoce lodowcowej te rasy żyły obok siebie w Europie i na Bliskim Wschodzie przez jakieś sto tysięcy lat.

— „Rasy" to nie jest właściwe słowo, panno Fellowes. Poszczególne rasy ludzkie, tak jak je rozumiemy dzisiaj, są o wiele bardziej spokrewnione ze sobą niż my z neandertalczykami. „Podgatunek" — to byłoby właściwe słowo. Należałoby go używać, mówiąc o nas i o neandertalczykach.

Oni należeli do podgatunku Homo sapiens neanderthalensis, a my jesteśmy zaklasyfikowani jako Homo sapiens sapiens.

— W porządku. Ale te podgatunki żyły obok siebie, tak?

— Wszystko wskazuje na to, że tak, przynajmniej na pewnych obszarach. To znaczy w okolicach cieplejszych. Bo zimniejsze rejony neandertalczycy mieli prawdopodobnie wyłącznie dla siebie, gdyż byli lepiej przystosowani do warunków w nich panujących. Oczywiście mówimy o bardzo małej populagi, o rozproszonych grupach. Jest możliwe, że niektóre plemiona neandertalczyków żyły przez całe wieki, nie spotykając ani razu Homo sapiens sapiens. Z drugiej strony, w pewnych okolicach neandertalczycy i przedstawiciele Homo sapiens sapiens mogli być bardzo bliskimi sąsiadami, zwłaszcza wtedy, gdy epoka lodowcowa zbliżała się do końca i większa część Europy mogła już być zamieszkiwana przez naszych przodków.

— Więc uważa pan, że neandertalczycy w żadnym wypadku nie byli naszymi przodkami.

— O nie. Oni tworzyli odrębną grupę, oddzielną gałąź ewolucyjną. Tak przynajmniej uważają prawie wszyscy uczeni. Byli nam na tyle bliscy, że mogli się krzyżować z Homo sapiens sapiens. Istnieją pewne skamieniałe dowody na to, że to się zdarzało. Ale przeważnie trzymali się swoich, zachowywali własną pulę genetyczną i w bardzo małym stopniu przyczyniali się do powstawania mieszanki genetycznej, jaką jest współczesny nam człowiek.

— Byli takim mieszkańcami ostępów, kuzynami ze wsi?

— To niezłe określenie — powiedział Mclntyre.

— Dziękuję za uznanie. A czy byli mniej inteligentni niż Homo sapiens sapiens!

Mclntyre znowu okazał zniecierpliwienie.

— Tego nie będę mógł pani powiedzieć, panno Fellowes, dopóki nie pozwoli mi pani przeprowadzić poważnych badań dotyczących zdolności umysłowych Timmie'ego i jego umiejętności…

— A jak pan uważa? Bez tych badań.

— Byli mniej inteligentni.

— Na czym opiera pan to twierdzenie, panie doktorze? Na uprzedzeniu?

Delikatna cera Mclntyre'a zaczerwieniła się.

— Prosiła mnie pani, żebym pani powiedział, co myślę na ten temat, nie dając mi szansy zbadania jedynego dostępnego nauce materiału. Czymże może być mój sąd, jeżeli nie odzwierciedleniem uprzedzenia?

— No tak, tak. Rozumiem. Ale to twierdzenie musi być oparte na jakimś konkrecie. Jaki jest ten konkret?

Starając się panować nad sobą, Mclntyre powiedział:

— Poziom kulturalny człowieka mustierskiego — bo taki mamy termin na określenie kultury neandertalskiej — otóż ten poziom nie był zbyt wysoki, a poza tym przez setki lat swojego istnienia kultura ta nie wykazywała oznak postępu. Na stanowiskach antropologicznych człowieka neandertalskiego znajdujemy tylko proste narzędzia z krzemienia, które rzadko się zmieniają. Tymczasem linia sapiens w okresie paleolitu bez przerwy ulepszała swoją technologię i kontynuuje to ulepszanie aż do czasów obecnych, dzięki czemu to właśnie ludzie z linii sapiens sprowadzili neandertalskie dziecko z głębin czasu, a nie neandertalczycy dziecko z linii sapiens. — Tu Mclntyre przerwał, żeby zaczerpnąć tchu. — Nie istnieje też żadna znana nam forma sztuki neandertalskiej: nie ma rzeźb, malowideł naskalnych, nie ma śladów zdobień o charakterze religijnym. Przypuszczamy, że neandertalczycy musieli mieć jakąś religię, bo znaleźliśmy groby neandertalskie, a gatunek, który grzebie swoich zmarłych, musi mieć jakiś rodzaj wiary w życie pozagrobowe, i co za tym idzie, w wyższe byty duchowe. Jednak na podstawie odkrytych i przebadanych miejsc, w których neandertalczycy mieszkali, możemy tylko wnioskować, że prowadzili najprymitywniejsze życie myśliwych i zbieraczy. A poza tym, jak już pani mówiłem, nie jesteśmy pewni, czy byli fizjologicznie zdolni do posługiwania się językiem. Nie mamy też pewności, czy posiadali intelektualną zdolność do posługiwania się nim, nawet gdyby ich krtanie i języki były w stanie wytwarzać dźwięki mowy.

Panna Fellowes poczuła, że ogarnia ją ponury nastrój. Spojrzała na Timmie'ego, zadowolona, że chłopiec nie rozumie nic z tego, co mówi Mclntyre.

— Myśli więc pan, że byli rasą niższą pod względem intelektualnym. To znaczy w porównaniu z Homo sapiens sapiens.

— Na podstawie tego, co dotychczas wiemy, musimy tak uważać — powiedział Mclntyre. — Z drugiej strony, uważając tak, nie jesteśmy wobec nich do końca sprawiedliwi. Neandertalczycy mogli nie potrzebować tych kulturowych fanaberii, które były ważne w oczach podgatunku sapiens sapiens. Ich narzędzia, chociaż proste, zostały doskonale przystosowane do wykonywania zadań, które przed nimi stały. Do zabijania drobnej zwierzyny, do krojenia mięsa, do skrobania skór, do ścinania drzew, do takich rzeczy. A to, że nie

malowali i nie rzeźbili, mogło wynikać po prostu z faktu, że uważali te czynności za bluźniercze. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy tak nie było. Nawet w młodszych kulturach funkcjonowały zakazy dotyczące tworzenia bożków.

— Ale i tak uważa pan neandertalczyków za rasę niższą. To znaczy za niższy podgatunek.

— Rzeczywiście. I to jest uprzedzenie, panno Fellowes, czyste uprzedzenie, przyznaję. Nie mogę nic poradzić na to, że jestem przedstawicielem Homo sapiens sapiens. Mogę rozstrzygnąć sprawę na korzyść neandertalczyków, ale to nie zmieni faktu, że uważam ich w zasadzie za tępą, nieewoluującą formę człowieka, formę, którą przewyższyli i w końcu starli z powierzchni Ziemi nasi ludzie. Oczywiście fizyczna wyższość to co innego. Jeżeli się weźmie pod uwagę warunki panujące w tamtych czasach, można uznać neandertalczyków za formę wyższą. Te cechy, które skłaniają nas do myślenia o nich jako o brzydkich, prymitywnych istotach, mogły być dowodami tej wyższości.

— Proszę o przykład.

— No na przykład ich nosy — powiedział Mclntyre i wskazał Timmie'ego. — On ma nos o wiele większy niż współczesne nam dziecko.

— Rzeczywiście.

— Niektórzy powiedzą, że jest brzydki, bo jest taki szeroki i gruby i wystający.

— Niektórzy mogliby tak powiedzieć — zgodziła się panna Fellowes.

— Ale proszę się zastanowić, jaki był klimat, z którym musiał się zmagać człowiek paleolityczny. Większą część Europy pokrywała wieczna zmarzlina. Na równinach wiał ciągle zimny, suchy wiatr. Śnieg padał o każdej porze roku. Wie pani, jak to jest, kiedy człowiek oddycha naprawdę zimnym powietrzem. Jedną z funkcji ludzkiego nosa jest ogrzewanie i zwilżanie wdychanego i płynącego do płuc powietrza. Im większy nos, tym większa zdolność ogrzewania.

— Nos służy jako coś w rodzaju podgrzewacza, tak?

— Właśnie. Twarz neandertalczyka jest zbudowana tak, żeby zapobiec docieraniu zimnego powietrza do płuc… i do mózgu. Bo nie należy zapominać, że arterie dostarczające krew do mózgu położone są tuż za kanałem nosowym. Duży neandertalski nos, jego wysunięcie do przodu, ogromne zatoki szczękowe, duża średnica naczyń krwionośnych obsługujących twarz — wszystkie te rzeczy mogły być dowodami przystosowania do lodowcowego środowiska, gdyż wszystkie one powodowały, że neandertalczykom o wiele łatwiej było poradzić sobie z zimnem niż naszym przodkom. Także masywna muskulatura i krępa budowa ciała…

— Tak więc ten prymitywny, „zwierzęcy” wygląd neandertalczyków był niczym innym jak wynikiem działania doboru naturalnego, wyspecjalizowaną reakcją ewolucyjną na srogie warunki, z którymi człowiek musiał się zmagać w Europie epoki lodowcowej.

— Dokładnie tak.

— Jeżeli więc byli tak dobrze wyposażeni w to, co pozwalało im przetrwać — powiedziała panna Fellowes — to dlaczego wymarli? Czy jakaś zmiana klimatu spowodowała, że ich wyposażenie przestało być korzystne?

Mclntyre westchnął ciężko.

— Ten problem stale powraca i powoduje liczne spory…

— No, a jak pan myśli? Czy oni zostali wytępieni, bo byli tak nierozgarnięci, jak pan zdaje się uważać? Czy może ich specyficzne cechy genetyczne zanikły dzięki małżeństwom mieszanym z osobnikami z tej drugiej linii genetycznej? A może nastąpiła kombinacja tych…

— Czy mogę pani przypomnieć, panno Fellowes, że mam tu dzisiaj pracę do wykonania? — powiedział zirytowany Mclntyre. — Chciałbym z panią porozmawiać o neandertalczykach, ale nie możemy zapominać o tym, że prawdziwy żywy neandertalczyk czeka w tym pokoju na to, żebym go zbadał, i że ja mam na to ograniczoną ilość czasu.

— No to proszę się do tego zabrać, panie doktorze — westchnęła panna Fellowes zrezygnowana. — Proszę badać Timmie’ego. Porozmawiać możemy kiedy indziej. Tylko proszę nie zdenerwować chłopca tak jak zeszłym razem.

* * *

Przyszedł wreszcie czas na konferencję prasową — na publiczną prezentację Timmie’ego. Panna Fellowes odwlekała ten moment tak długo, jak tylko mogła. Ale Hoskins nalegał. „Reklama”, powtarzał, „jest dla nas sprawą zasadniczą, bo dzięki niej możemy dostać pieniądze na dalsze finansowanie przedsięwzięcia”. Teraz, kiedy widać było wyraźnie, że chłopiec jest w dobrym stanie fizycznym, że nie ulegnie żadnej dwudziestopierwszowiecznej infekcji, że jest zdolny wytrzymać stres związany ze spotkaniem z przedstawicielami mediów, konferencja prasowa po prostu musiała się odbyć. To, co panna Fellowes mówiła, było prawem, jednak równocześnie w sposób oczywisty istniało jedno słowo, którego nie miała prawa wymówić — słowo „nie”. Tak, tym razem Hoskins nie zamierzał pogodzić się z jej

odmową.

— W takim razie chcę ograniczyć czas trwania publicznego występu do pięciu minut — powiedziała panna Fellowes.

— Oni prosili o piętnaście.

— A niech sobie proszą nawet o półtora dnia. Pięć minut to wszystko, na co się mogę zgodzić.

— Dziesięć — powiedział z widoczna determinacją.

— No dobrze, dziesięć to ostateczne granica. Mniej, jeżeli u chłopca pojawią się jakiekolwiek oznaki zmęczenia.

— Pani dobrze wie, że takie oznaki się pojawią — stwierdził Hoskins. — Nie mogę pozwolić, żeby jego zawodzenie było sygnałem do wyrzucenia dziennikarzy.

— Ja nie mówię o zawodzeniu, panie doktorze. Ja mówię o oznakach histerii, o poważnych reakcjach psychosomatycznych zagrażających potencjalnie życiu, o reakcjach na wtargnięcie w jego przestrzeń życiową. Pamięta pan, jak chłopiec szalał tego wieczoru, kiedy tu przybył?

— Wtedy był śmiertelnie przerażony.

— A pan myśli, że kamery telewizyjne nakierowane na jego twarz go nie przerażą? I jaskrawo świecące, gorące reflektory? I kupa wygadanych obcych, którzy będą do niego coś wrzeszczeli?

— Ależ panno Fellowes…

— Ilu dziennikarzy ma pan zamiar tu wpuścić? Hoskins policzył ich w myśli.

— Najprawdopodobniej będzie ich ze dwunastu.

— Trzech.

— Panno Fellowes!

— Kopuła jest mała. Jest to azyl Timmie'ego. Jeżeli pozwoli pan na inwazję ogromnego stada… pawianów…

— To będą dziennikarze zajmujący się sprawami nauki, tacy jak Candide Deveney.

— Dobrze. Trzech.

— Naprawdę postanowiła pani być nieznośna.

— Ja odpowiadam za dziecko. Płaci mi pan za opiekowanie się nim, a ja mam zamiar spełniać swoje obowiązki. Jeżeli zbyt trudno ze mną pracować, może pan zawsze dać mi wymówienie.

Te słowa wyrwały jej się niespodziewanie. Panna Fellowes poczuła nagle, że jest przerażona. Co będzie, jeżeli Hoskins weźmie to poważnie? Co będzie, jeżeli ją zwolni i zatrudni przy Timmiem jedną z odrzuconych kandydatek? Bo takie kandydatki przecież na pewno istniały.

Ale myśl o zwolnieniu jej z pracy była dla Hoskinsa tak samo przerażająca jak dla niej.

— Nie chcę tego robić, panno Fellowes. Wie pani o tym bardzo

dobrze.

— No to niech mnie pan posłucha. Pojęcie kooperacji nie jest wam obce, prawda? Niech pańscy ukochani dziennikarze wybiorą spośród siebie trzech reprezentantów, którzy przyjdą tu, żeby zobaczyć Timmie'ego. Albo raczej żeby stać przed wejściem do kopuły, podczas gdy ja im go będę pokazywała. Mogą się potem podzielić informacjami z. resztą. Proszę im powiedzieć, że jeżeli ich będzie więcej niż trzech, zdrowie i równowaga psychiczna chłopca zostaną zagrożone.

— A może by tak czterech, co?

— Trzech.

— Oni się wściekną, jeżeli im powiem…

— Trzech.

Hoskins popatrzył na nią przeciągle. A potem zaczął się śmiać.

— W porządku, panno Fellowes. Wygrała pani. Trzech dziennikarzy. Ale będą go mogli oglądać przez dziesięć minut. Powiem im, że zażalenia mają kierować do opiekunki Timmie'ego, a nie do mnie.

* * *

Przedstawiciele prasy pojawili się w parę godzin później. Dwóch dżentelmenów — John Underhill z Timesa i Stan Washington z Ogólnoświatowej Telewizji Informacyjnej, oraz dama — Margaret Annę Crawford z Agencji Reutera.

Panna Fellowes trzymała Timmie'ego w ramionach, stojąc na skraju pola statycznego, a on przytulił się do niej gwałtownie, kiedy zobaczył skierowane na siebie kamery i usłyszał, jak dziennikarze wykrzykują swoje życzenia przez otwarte drzwi. Panna Fellowes starała się jak mogła, obracała Timmie'ego to w tę, to w tamtą stronę, żeby dziennikarze zobaczyli jego twarz i głowę pod różnymi kątami.

— Czy to jest chłopiec, czy dziewczynka? — spytała kobieta z Agencji Reutera.

— Chłopiec — powiedziała szorstko panna Fellowes.

— Wygląda prawie jak człowiek — stwierdził Underhill z Timesa.

— On jest człowiekiem.

— Nam powiedziano, że to neandertalczyk. Jeżeli pani mówi nam teraz, że to człowiek…

— Zapewniam państwa — rozległ się nagle głos Hoskinsa — że nie popełniono tu żadnego oszustwa. To dziecko to autentyczny Homo sapiens neanderthalensis.

— A Homo sapiens neanderthalensis — dodała dobitnie panna Fellowes — jest formą Homo sapiens. Ten chłopiec jest człowiekiem tak samo jak państwo i jak ja.

— Ma jednak małpią twarz — stwierdził Washington z telewizji. — Małpolud, oto, co przed sobą mamy. Jak on się zachowuje, siostro? Jak małpa?

— Zachowuje się dokładnie tak jak każdy mały chłopiec — powiedziała oschle panna Fellowes, czując, że ogarnia ją coraz bardziej wojowniczy nastrój.

Timmie kręcił się niespokojnie w jej ramionach. Mlaskał cicho, co świadczyło o tym, że jest przestraszony.

— On pod żadnym względem nie jest małpoludem. Rysy jego twarzy są rysami typowymi dla neandertalskiej gałęzi gatunku ludzkiego. Jego zachowanie jest zachowaniem zupełnie normalnego ludzkiego dziecka. Wtedy, kiedy nie boi się bandy hałaśliwych obcych, jest inteligentny i wrażliwy. Ma na imię Timothy… Timmie… i błędem jest uważać go za…

— Timothy? — zapytał dziennikarz z Timesa. — Jakie znaczenie ma to, że się go tak nazywa?

Panna Fellowes poczerwieniała.

— Nie ma to żadnego specjalnego znaczenia. To po prostu jego imię.

— Miał je wypisane na rękawie, kiedy tu przybył? — zapytał Washington z Globe-Net Cable News.

— Ja mu nadałam to imię.

— Timmie małpolud — skonstatował Washington. Cała trójka dziennikarzy roześmiała się. Panna Fellowes poczuła, że gniew wzbiera w niej tak, że za chwilę nie będzie w stanie go opanować.

— Niech go pani postawi na podłodze, dobrze? — powiedziała kobieta z Agengi Reutera. — Zobaczymy, jak chodzi.

— Dziecko jest za bardzo przestraszone — odparła panna Fellowes, zastanawiając się, czy ci ludzie przypuszczają, że Timmie będzie chodził po pokoju, ciągnąc za sobą sięgające ziemi ręce. — Stanowczo za bardzo. Czy państwo tego nie widzą? Czy to nie jest oczywiste?

I rzeczywiście Timmie oddychał coraz szybciej, mobilizując energię przed wybuchnięciem płaczem. A potem rozległ się jego przeraźliwy krzyk. Timmie krzyczał, pomrukiwał, mlaskał. Trwało to bez końca. Panna Fellowes czuła, że chłopiec drży. Ten śmiech, te gorące reflektory, ten zaporowy ogień pytań — chłopiec był przerażony.

— Panno Fellowes… panno Fellowes…

— Ani jednego pytania więcej — odpaliła. — Konferencja skończona.

Odwróciła się szybko, trzymając mocno Timmie'ego w objęciach i skierowała się do pokoju w głębi. Idąc w tamtą stronę, minęła Hoskinsa. Wyglądał na skonsternowanego i spiętego, ale kiwnął krótko głową i uśmiechnął się do niej z aprobatą.

Uspokajanie chłopca zajęło jej kilka minut. Stopniowo jego drżące ciałko przestało być takie napięte, stopniowo wyraz przerażenia zniknął z jego twarzy.

Konferencja prasowa! — pomyślała z goryczą panna Fellowes. — Konferencja prasowa czterolatka. Biedne, cierpiące dziecko! Co oni mu jeszcze zrobią?

Po pewnym czasie panna Fellowes wyszła z pokoju w głębi zaczerwieniona z oburzenia i zamknęła za sobą drzwi. Trójka dziennikarzy wciąż tłoczyła się w ograniczonej przestrzeni na zewnątrz kopuły. Panna Fellowes przekroczyła granicę pola statycznego i stanęła oko w oko z nimi.

— Mają mieli państwo dosyć? — zapytała. — Naprawianie tego, co państwo zrobili, zajmie mi całe popołudnie. Całe popołudnie upłynie, zanim chłopiec odzyska spokój ducha. Proszę już iść, dobrze?

— Mamy jeszcze kilka pytań, panno Fellowes. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu.

Panna Fellowes popatrzyła na Hoskinsa, spodziewając się od niego jakiejś wskazówki. Hoskins wzruszył ramionami i uśmiechnął się blado, jakby chciał jej doradzić, żeby była cierpliwa.

— Chcielibyśmy dowiedzieć się czegoś o pani — powiedziała dziennikarka z Agencji Reutera.

— Jeżeli pani sobie życzy, możemy dostarczyć kopię dokumentów stwierdzających, jakie panna Fellowes ma kwalifikacje — wtrącił się szybko Hoskins.

— Tak, proszę o to.

— Czy panna Fellowes jest specjalistką od podróży w czasie?

— Panna Fellowes jest doświadczoną pielęgniarką — wyjaśnił Hoskins. — Sprowadziliśmy ją do instytutu specjalnie po to, żeby zajęła się Timmiem.

— A co mają państwo zamiar zrobić z … Timmiem? — zapytał dziennikarz z Timesa.

— No więc — powiedział Hoskins — z mojego punktu widzenia głównym celem tego przedsięwzięcia było przekonanie się, czy potrafimy dokonać zaczerpnięcia z ery paleolitycznej w sposób tak dokładny, żeby sprowadzić żywy organizm. Nasze poprzednie sukcesy, jak pan wie, wiązały się z zaczerpywaniem z ery oddalonej o miliony lat, a nie zaledwie o czterdzieści tysięcy. Zaczerpnięcie z odległości czterdziestu tysięcy lat zostało dokonane, a my pracujemy teraz dalej, chcąc udoskonalić naszą technikę tak, żeby było możliwe sprowadzenie organizmów z jeszcze mniejszej odległości. Ale

oczywiście mamy teraz tutaj żywe neandertalskie dziecko, stworzenie, które jest prawie człowiekiem, czy raczej stworzenie, które należy uznać za człowieka. Antropologowie i fizjologowie naturalnie bardzo się nim interesują i chłopiec będzie on obiektem intensywnych badań.

— Jak długo będziecie go tu trzymać?

— Aż do chwili, kiedy przestrzeń, którą zajmuje, okaże się bardziej potrzebna niż on sam. Chyba dość długo.

— Czy może go pan wyprowadzić do ogrodu, tak żebyśmy mogli przeprowadzić transmisję subeteryczną i przedstawić naszym widzom doskonałe widowisko? — zapytał dziennikarz z telewizji.

Panna Fellowes głośno odchrząknęła. Ale Hoskins był od niej szybszy.

— Przykro mi, ale dziecko nie może opuścić pola statycznego.

— A co to jest pole statyczne? — spytała pani Crawford z Agencji Reutera.

— Ach — Hoskins pozwolił sobie na przelotny uśmiech. — To wymaga długich wyjaśnień. Myślę,, że państwa czytelnicy wcale nie chcieliby ich czytać. Ale mogę powiedzieć krótko. W polu statycznym czas taki, jakim go znamy, nie istnieje. Te pomieszczenia znajdują się wewnątrz niewidzialnej kopuły, który właściwie nie jest częścią naszego wszechświata. Jest to coś, co można nazwać środowiskiem samowystarczalnym i nienaruszalnym. Dlatego właśnie to dziecko mogło zostać wyrwane z czasu w sposób, w jaki zostało wyrwane.

— Zaraz, chwileczkę — zaoponował Underhill z Time-<<a. — Samowystarczalne, nienaruszalne środowisko? Ale przecież pielęgniarka wchodzi tam i wychodzi stamtąd.

— Każde z państwa mogłoby to zrobić — powiedział Hoskins rzeczowo. — Poruszalibyście się równolegle do siły temporalnej i nie wchodziłaby w grę żadna wielka utrata energii; nie zyskano by też żadnej dużej jej ilości. Jednak dziecko zostało sprowadzone z przeszłości. Przekroczyło linie czasowe w poprzek i jego potencjał temporalny wzrósł. Przeniesienie go do wszechświata, naszego wszechświata, i do naszego własnego czasu spowodowałoby pobór takiej ilości energii, że wszystkie linie energetyczne w instytucie spaliłyby się i prawdopodobnie nastąpiłaby awaria elektryczności w całym mieście. Wraz z chłopcem przybyły tu różne śmieci… kurz, gałązki, | kamyki, takie rzeczy. Zebraliśmy to wszystko i przechowujemy na tyłach kopuły. Kiedy będziemy mieli okazję, poślemy to tam, skąd przybyło. Ale nie odważymy się przenieść chłopca poza pole statyczne.

Dziennikarze gorliwie notowali to, co mówił Hoskins. Panna Fellowes podejrzewała, że nie rozumieją z tego zbyt wiele i że są pewni, że ich czytelnicy czy widzowie także zbyt wiele nie zrozumieją. Ale liczył się fakt, że wszystko brzmi naukowo.

— Czy można będzie dziś wieczorem przeprowadzić i z panem wywiad, panie doktorze? — spytał dziennikarz z Globe Net.

— Myślę, że to się da zrobić — odpowiedział natychmiast Hoskins.

— Ale chłopiec w tym nie weźmie udziału — wtrąciła J panna Fellowes.

— Nie — zgodził się Hoskins. — Chłopiec nie. Będę rad, mogąc odpowiedzieć na wszelkie dalsze pytania. A teraz proszę opuścić to miejsce.

Panna Fellowes bez żalu patrzyła, jak odchodzą.

Zamknęła drzwi, usłyszała cyknięcia elektronicznych zaników i postała przy drzwiach przez moment, zastanawiając się nad tym, co zostało przed chwilą powiedziane.

Jeszcze raz była mowa o wzroście potencjału temporalne-go, o nagłych zmianach mocy, o tym, że uczeni boją się usunąć z pola statycznego te obiekty, które przybyły z przeszłości. Panna Fellowes przypomniała sobie, jaki poruszony był Hoskins, kiedy profesor Adamewski został przyłapany na próbie wyniesienia odłamka skały. Przypomniała też sobie wyjaśnienia, których Hoskins jej wtedy udzielił. Większość z tego, co powiedział, wkrótce stała się dla niej raczej mglista, ale gdy teraz sobie wszystko przypomniała, z ogromną jasnością uświadomiła sobie jedną rzecz — uświadomiła sobie, jaki z tego płynie wniosek, wniosek, nad którym przedtem nie zastanawiała się głębiej.

Otóż Timmie był skazany na to, że nie zobaczy wcale tego świata, do którego — choć nic z tego nie rozumiał ani nie wyraził na to zgody — został siłą wciągnięty. Kopuła miała być jego jedyną rzeczywistością przez cały czas pozostawania w dwudziestym pierwszym wieku.

Timmie jest więźniem i będzie nim zawsze, pomyślała. Nie na mocy arbitralnej decyzji doktora Hoskinsa, ale na mocy nieubłaganych praw rządzących procesem, w trakcie trwania którego został porwany z własnego czasu. Rzecz nie polegała na tym, że Hoskins nie chciał go wypuścić spod kopuły. Hoskins po prostu nie mógł tego zrobić.

Przypomniało jej się, co powiedział tego wieczoru, kiedy przybył Timmie.

„Musi pani tylko pamiętać, że jemu nie wolno wychodzić z tego pomieszczenia. Nigdy. Ani na chwilę. Z żadnego powodu. Nawet gdyby to miało uratować mu życie. Albo pani życie, panno Fellowes”.

Panna Fellowes nie zwróciła wtedy szczególnej uwagi na pobieżne wyjaśnienie, jakiego jej udzielił. „To sprawa energii”, powiedział. „Istnieją prawa zachowania energii, które tu wchodzą w grę”. Wtedy myślała o innych rzeczach, o problemach o wiele bardziej naglących. Ale teraz wszystko było dla niej tak jasne, jak powinno

było być. Te małe pokoje w tym domku dla lalek miały na zawsze stanowić granice świata Timmie'ego.

Biedne dziecko. Biedne dziecko.

Panna Fellowes nagle uświadomiła sobie, że Timmie płacze, i pospieszyła, by go pocieszyć.

* * *

Hoskins miał właśnie otworzyć zebranie zarządu, kiedy zadzwonił telefon. Doktor spojrzał na aparat z irytacją. Co teraz?

Telefon dalej dzwonił.

— Przepraszam. — Hoskins rozejrzał się po pokoju. Przełączył na „tylko audio" i powiedział: — Tu Hoskins.

— Panie doktorze, mówi Bruce Mannheim. Z Rady do j Spraw Obrony Dzieci. Zapewne znane jest panu moje, nazwisko.

Hoskins stłumił kaszel.

— Tak, proszę pana. Czym mogę służyć?

— Widziałem oczywiście pański program telewizyjny; nadany wczoraj wieczorem. Miły neandertalski chłopiec. To fascynujące, absolutnie fascynujące! To wspaniałe osiągnięcie naukowe!

— No… dziękuję panu. A…

— Ale oczywiście w związku z tą sytuacją pojawiają się j pewne problemy moralne i etyczne. Sądzę, że wie pan; o tym. Zabrać dziecko z obcej kultury, z jego własnej! rodziny i przenieść je w naszą epokę… — Mannheim przerwał. — Wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać, panie doktorze.

— Być może. Ale właśnie w tej chwili…

— O nie, nie w tej chwili — wtrącił Mannheim beztrosko. — Wcale nie miałem zamiaru mówić o tym w tej chwili. Chcę panu po prostu zaproponować, żebyśmy ustalili termin szczegółowej rozmowy na temat problemów, które…

— Tak — odpowiedział Hoskins, wznosząc oczy do sufitu. — Oczywiście. Oczywiście. Jeżeli zostawi pan swój numer mojej sekretarce, skontaktuje się z panem wkrótce i zorganizujemy spotkanie.

— Świetnie, panie doktorze. Dziękuję bardzo. Hoskins odłożył słuchawkę. Z ponurą miną rozejrzał się po pokoju.

— Bruce Mannheim — powiedział niezadowolony. — Słynny obrońca dzieci. Chce ze mną porozmawiać o chłopcu. O Boże, Boże! No tak, to było nieuniknione. Teraz się dopiero zacznie.

* * *

Upływały kolejne tygodnie, a panna Fellowes z każdym dniem wyraźniej zdawała sobie sprawę, że staje się integralną częścią Instytutu Badań nad Polem Statycznym. Oddano jej do użytku mały gabinet, na którego drzwiach widniało jej nazwisko. Gabinet ten znajdował się blisko domku dla lalek (jak wciąż nazywała kopułę, w którym przebywał Timmie). Jej pierwotna umowa została podarta i Hoskins zaproponował nową, dając znaczną podwyżkę. Od czasu do czasu sprzeczali się z Hoskinsem, ale jasne było, że panna Fellowes zdobyła sobie jego szacunek. Domek dla lalek otrzymał sufit, o który prosiła od początku, a jego umeblowanie zostało udoskonalone. Dodano też drugą łazienkę i zorganizowano lepsze warunki dla przechowywania rzeczy panny Fellowes.

Hoskins powiedział, że możliwe jest urządzenie dla niej mieszkania na terenie instytutu, dzięki czemu nie będzie musiała dyżurować przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ona odmówiła.

— Chcę być blisko Timmie'ego kiedy on śpi — wyjaśniła. — Chłopiec budzi się z płaczem prawie każdej nocy. Wygląda na to, że ma bardzo wyraziste sny. Domyślam się, że są przerażające. Wiem, jak go pocieszyć. Przypuszczam, że nikt inny nie potrafiłby tego zrobić.

Od czasu do czasu jednak panna Fellowes opuszczała teren instytutu. Ale nie dlatego, że chciała, tylko dlatego, iż uważała, że powinna. Chodziła do miasta załatwiać drobne sprawy — a to żeby wpłacić pieniądze do banku,] a to żeby kupić Timmie'emu coś z ubrania albo jakąś zabawkę. Raz poszła do kina. Timmie stał się dla niej wszystkim. Przedtem, pracując w szpitalu, nigdy nie zauważyła, jak bardzo jej życie skupia się wokół pracy i jak nikłe są jej powiązania ze światem zewnętrznym. Teraz, kiedy mieszkała w miejscu, w którym pracowała, stało się to oczywiste. Nie pragnęła kontaktów ze światem, nie pragnęła nawet widywać się ze swoimi nielicznymi przyjaciółkami, z których większość była pielęgniarkami tak jak ona. Wystarczały jej rozmowy przez telefon, nie miała zbytniej ochoty na odwiedziny.

To właśnie podczas jednego z wypadów do miasta panna Fellowes zaczęła sobie uświadamiać, jak bardzo przyzwyczaiła się do Timmie'ego. Złapała się bowiem na tym, że na ulicy patrzy na zwykłego chłopca, a jego wysokie czoło i wysunięty podbródek wydają jej się jakieś wydęte, płaskie brwi i mały nosek jakieś brzydkie. Dopiero kiedy zganiła za to samą siebie, pozbyła się tego wrażenia.

Kiedy zaakceptowała Timmie'ego takim, jaki był, i kiedy nie

widziała już w nim niczego szczególnie dziwnego czy odbiegającego od normy, chłopiec zaczął szybko przystosowywać się do swego nowego życia. W obecności obcych okazywał coraz mniejszą bojaźliwość, a z panną Fellowes czuł się tak dobrze jak z własną prawdziwą matką. Jego sny nie były już tak przerażające jak przedtem.

Ubierał się i rozbierał sam. Wkładał i zdejmował kombinezon, okazując wyraźnie, że te osiągnięcia sprawiają mu przyjemność. Nauczył się pić ze szklanki i posługiwać plastikowym widelcem. To ostatnie robił niezdarnie, niemniej potrafił przenieść pokarm z talerza do ust przy pomocy tego sztućca.

Wydawało się nawet, że próbuje nauczyć się mówić po angielsku.

Panna Fellowes nie zdołała do niczego dojść, próbując rozszyfrować własny język Timmie'ego składający się z pomruków i mlasków. Hoskins nagrywał, a ona wiele razy przesłuchiwała taśmy z wypowiedziami chłopca. Mimo to nie mogła się w tych wypowiedziach dopatrzeć żadnych zrozumiałych słów czy fraz. Były to po prostu mlaski i pomruki. Timmie wydawał pewne dźwięki, kiedy był głodny, inne, kiedy był zmęczony, a jeszcze inne, kiedy się bał. Jednak, jak już dawno powiedział jej Hoskins, nawet koty i psy wydają określone dźwięki, reagując na określone sytuacje, co nie oznacza, że w ich , języku" da się wyodrębnić słowa.

A może to ona po prostu nie była w stanie zauważyć struktur językowych? Może nie tylko ona, może oni wszyscy nie byli do tego zdolni? Panna Fellowes wciąż miała pewność, że Timmie posługuje się językiem — tak odległym w swej strukturze od języków nowożytnych, że nikt w dwudziestym pierwszym wieku nie jest w stanie pojąć, jak ten język jest zbudowany. Z drugiej strony, w chwilach zwątpienia, bała się, iż okaże się, że Timmie nie będzie zdolny nauczyć się prawdziwego języka. Albo dlatego, że neandertalczycy stali zbyt daleko na ścieżce ewolucji i że brakowało im intelektualnego wyposażenia koniecznego do posługiwania się mową albo dlatego, że — przeżywszy swoje pierwsze, decydujące dla rozwoju mowy, lata wśród ludzi, którzy posługiwali się najprostszym, najprymitywniejszym językiem — był już za duży na to, żeby opanować język bardziej skomplikowany.

Postarała się zdobyć wiadomości na temat dzikich dzieci czyli dzieci, które spędziły dużo czasu prowadząc życie właściwie zwierzęce i które żyły w prymitywnych warunkach. Odkryła, że te dzieci, gdy je odnaleziono i przywrócono cywilizacji, przeważnie nie rozwinęły zdolności mówienia, lecz były w stanie wydawać z siebie tylko kilka prymitywnych pomruków. Okazało się, że nawet tam, gdzie istniała fizyczna i intelektualna zdolność do opanowania mowy, potrzebne były właściwe bodźce we wczesnych latach życia, gdyż inaczej dziecko

nie było w stanie nauczyć się mówić.

Panna Fellowes rozpaczliwie pragnęła, by Timmie udowodnił jej i doktorowi McIntyre'owi, iż się co do niego mylą, i żeby nikt nie mógł wątpić w to, że jest człowiekiem. A jakaż cecha bardziej odróżniała człowieka od zwierząt niż zdolność posługiwania się mową?

— Mleko — powiedziała, pokazując mu je. — Szklanka mleka.

Timmie wydał dźwięk, który ona uważała za mlaśnięcie oznaczające, że jest głodny.

— Tak. Głodny. Chcesz trochę mleka? Żadnej reakcji.

Panna Fellowes postanowiła spróbować inaczej.

— Timmie — ty. Ty — Timmie — powiedziała, pokazując go palcem.

Popatrzył na palec, ale nie odezwał się ani słowem.

— Chodzić.

— Jeść.

— Śmiać się.

— Ja — panna Fellowes. Ty — Timmie. Znowu żadnej reakcji.

To beznadziejne, pomyślała z goryczą. Beznadziejne, beznadziejne, beznadziejne.

— Mówić?

— Pić?

— Jeść?

— Śmiać się?

— Jeść — powiedział nagle Timmie.

Panna Fellowes była tak zdumiona, że omal nie upuściła talerza z przygotowanym przed chwilą jedzeniem.

— Powiedz to jeszcze raz!

— Jeść.

Ten sam dźwięk. Niezbyt wyraźny. Bardziej to przypominało „Jeee". W obydwu przypadkach nie udało jej się usłyszeć końcowych spółgłosek. Ale był to właściwy dźwięk we właściwym kontekście.

Panna Fellowes wyciągnęła talerz w stronę dziecka. Talerz był za wysoko. Chłopiec nie mógł do niego dosięgnąć.

— Jeee! — powiedział znowu, bardziej ponaglająco.

— Jeść? — spytała. — Chcesz jeść?

— Jeee! — powtórzył naprawdę już zniecierpliwiony.

— Proszę — odrzekła panna Fellowes. — Jeść, tak Timmie, jeść. Jedz! Jedz!

— Jeee — powiedział zadowolony, chwycił widelec i rzucił się z zapałem na jedzenie.

— Dobre było? — zapytała go panna Fellowes po posiłku. — Smakował ci lunch?

Ale wymagała od niego zbyt wiele. Wiedziała o tym, lecz nie miała zamiaru rezygnować. Wymówił jedno słowo, wymówi i inne.

Musi je wymówić.

Wskazała go palcem.

— Timmie.

— Mmm — mmm — powiedział.

Czy w ten sposób wymawiał „Timmie”?

— Czy Timmie chce jeszcze jeść? Jeść?

Wskazała palcem najpierw na niego, potem na swoje usta i poruszyła, udając, że je. Popatrzył na nią i nic nie powiedział. No bo dlaczego miałby coś mówić? Nie był już głodny. Ale wiedział, że jest Timmiem. Prawda?

— Timmie — powiedziała znowu panna Fellowes i wskazała go palcem.

— Mmm — mmm — odparł i poklepał się po klatce piersiowej.

Nie mogła się mylić. Poczuła, że jest oszołomiona i że wzbiera w niej nagle jakieś silne uczucie. Co to jest? — pomyślała. Duma? Radość? Zdumienie? I jedno, i drugie, i trzecie. Przez chwilę miała wrażenie, że zaraz zaleje się łzami.

A potem podbiegła do interkomu.

— Panie doktorze! Proszę tu przyjść, dobrze? I proszę posłać po doktora Mclntyre’a!

* * *

— Jeszcze raz Bruce Mannheim przy telefonie, panie doktorze.

Hoskins popatrzył na słuchawkę jak na jadowitego węża. Mannheim dzwonił do niego po raz trzeci w ciągu niecałych dwóch tygodni. Hoskins usiłował jednak mówić jowialnym tonem.

— Ach tak. Miło mi pana słyszeć!

— Chciałem tylko panu powiedzieć, że omówiłem naszą ostatnią bardzo przyjemną rozmowę z zespołem moich doradców.

— Tak? — powiedział Hoskins już nie tak jowialnie. Nie uważał, że ta rozmowa była taka przyjemna. Jego zdaniem Mannheim okazał się podczas niej wścibski, nachalny i zachowywał się wręcz oburzająco.

— Poinformowałem moich doradców, że odpowiedział pan na moje wstępne pytania w sposób absolutnie zadowalający.

— Miło mi to słyszeć.

— Ogólnie biorąc, obecnie jesteśmy zdania, że w tej chwili nie powinniśmy podejmować żadnych kroków w sprawie neandertalskiego chłopca. Ale po zakończeniu badań nad całą kwestią będziemy musieli zacząć dokładnie śledzić sytuację. W przyszłym

tygodniu zadzwonię do pana i podam panu dalszą listę warunków do spełnienia. Uważam, że dobrze będzie pana o tych warunkach poinformować.

— Ach tak — powiedział Hoskins. — Dziękuję bardzo za to, że mnie pan o tym zawiadomił.

Zamknął oczy i postarał się oddychać spokojnie.

Dziękuję bardzo, panie Mannheim. Jakie to miłe z pana strony, że pozwala nam pan na razie kontynuować pracę. To znaczy do czasu zakończenia badań nad całą kwestią. Dziękuję. Bardzo dziękuję. Bardzo uprzejmie dziękuję.

* * *

Dzień, w którym Timmie wypowiedział pierwsze słowa po angielsku, był dla panny Fellowes wprost cudowny. Ale zaraz potem nastąpiły inne dni — o wiele mniej cudowne.

Problem polegał na tym, że Timmie nie był takim sobie małym chłopcem oddanym jej pod opiekę. Timmie był okazem przeznaczonym do badań i naukowcy z całego świata walczyli między sobą o przywilej badania go. Doktor Jacobs i doktor Mclntyre stanowili tylko grzywę fali, byli pierwszą zapowiedzią powodzi, która miała nastąpić.

Obaj oczywiście wciąż przychodzili. Byli szczęściarzami, bo wzięli Timmie'ego na pierwszy ogień i do tej pory mieli do niego dostęp, gdyż ich pozycja była pozycją uczonych prowadzących prace o priorytetowym znaczeniu. Zdawali sobie jednak sprawę, że nie mają na niego monopolu. Pod drzwiami znajdowała się horda antropologów, specjalistów od fizjologii, historyków kultury i przedstawicieli tuzina innych dyscyplin i wszyscy pukali, chcąc wejść do środka. I każdy z nich miał dla chłopca swój rozkład zajęć.

Fakt, że Timmie potrafił mówić po angielsku, powodował, że podchodzili do swoich zadań z tym większym zapałem. Niektórzy z nich zachowywali się tak, jakby chcieli po prostu usiąść z chłopcem i zacząć zadawać mu pytania na temat życia w epoce paleolitu.

— Na jakie gatunki zwierząt polowało twoje plemię?

— Jakie były wierzenia religijne twojego plemienia?

— Czy migrowaliście wraz z nastaniem określonych pór roku?

— Czy plemiona prowadziły wojny?

— Czy była wojna między twoim podgatunkiem a innymi podgatunkami?

Timmie był dla nich jedynym dostępnym źródłem informacji. W

ich głowach kłębiły się pytania, na które tylko on mógł odpowiedzieć. Powiedz nam, powiedz, powiedz, powiedz! Chcemy wiedzieć wszystko, co można wiedzieć o twoim plemieniu i jego…

strukturach pokrewieństwa…
zwierzętach totemicznych…
grupach językowych…
pojęciach astronomicznych…
umiejętnościach technicznych…

Ale oczywiście żadnemu z nich nie udało się zadać Timmie'emu ani jednego z tych fascynujących i ważnych pytań, gdyż jego znajomość angielskiego, aczkolwiek z każdym dniem lepsza, ciągle ograniczała się do fraz takich jak: „Teraz Timmie jeść" czy „Pan teraz wyjść".

A poza tym jedyną osobą, która tak naprawdę rozumiała jego słowa, była panna Fellowes. Dla innych, nawet dla tych, którzy widywali go prawie codziennie, wymawiane przez niego dźwięki zaledwie przypominały coś, co może mieć znaczenie. Najwyraźniej przypuszczenia dotyczące zdolności neandertalczyków do posługiwania się mową były słuszne, przynajmniej częściowo: neandertalczycy posiadali intelektualną zdolność do posługiwania się nią, ich anatomia też pozwalała na wypowiadanie zrozumiałych słów, jednak ich języki i krtanie nie były w stanie wytworzyć dźwięków używanych w językach współczesnych. Timmie w każdym razie nie dawał sobie z tym rady. Zrozumienie tego, co usiłował powiedzieć, wymagało dużego wysiłku nawet od panny Fellowes.

Było to frustrujące dla wszystkich — dla Timmie'ego, dla panny Fellowes, a zwłaszcza dla uczonych, którzy bardzo chcieli zadawać chłopcu pytania. Wzmagało to też u Timmie'ego bolesne poczucie izolacji, bo nawet teraz, kiedy zaczynał się uczyć porozumiewać się z tymi, co go więzili — tak, tak, oni go więżą, myślała panna Fellowes — przekazywanie najprostszych pojęć jedynej osobie, która go potrafiła przynajmniej częściowo zrozumieć, przychodziło mu z wielkim wysiłkiem.

Jakiż on musi być samotny! — myślała panna Fellowes.

I jak onieśmielająco i przerażająco musi działać na niego cały ten wiecznie otaczający go zgiełk!

Panna Fellowes robiła, co było w jej mocy, żeby chłopaka ochronić. Nie mogła i nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że to, w co została zamieszana, jest po prostu eksperymentem naukowym. Oczywiście to był eksperyment naukowy, ale w jego centrum znajdowało się małe, nieszczęśliwe dziecko i panna Fellowes nie miała zamiaru pozwolić na to, żeby to dziecko było traktowane wyłącznie

jako obiekt eksperymentu.

Specjaliści od fizjologii stosowali dla niego jakieś szczególne diety. A panna Fellowes kupowała dla niego zabawki. Uczeni zadręczali ją, prosząc o próbki krwi, zdjęcia rentgenowskie, a nawet próbki włosów Timmie'ego. A ona uczyła go piosenek i wierszyków. Oni przeprowadzali szczegółowe badania dotyczące odruchów i koordynacji ruchów, ostrości jego wzroku, słuchu, intuicyjnie objawiającej się inteligencji. A ona pocieszała go po tych badaniach, trzymając go w ramionach i głaszcząc, dopóki się nie uspokoił.

Oni żądali, żeby Timmie coraz dłużej znajdował się w ich rękach. A ona upierała się przy tym, żeby ich przesłuchania były ściśle ograniczone w czasie.

Przeważnie — chociaż nie zawsze — ona zwyciężała. Uczeni odwiedzający Timmie'ego bez wątpienia uważali ją za potwora, za kogoś, kto przeszkadza w badaniach, za kobietę upartą i zachowującą się irracjonalnie. Panna Fellowes się tym nie przejmowała. Niech sobie myślą co chcą, ją obchodzi tylko dobro Timmie'ego, a nie ich interesy.

Uczonym, który najbardziej przypominał jej sprzymierzeńca, był Hoskins. Odwiedzał domek dla lalek właściwie codziennie. Dla panny Fellowes było oczywiste, że jej zwierzchnik chętnie korzysta z każdej okazji pozwalającej mu oderwać się od swej coraz trudniejszej funkcji dyrektora instytutu i że ma stosunek emocjonalny do dziecka, które spowodowało całe to zamieszanie. Równocześnie wydawało jej się, że Hoskins lubi z nią rozmawiać.

Dowiedziała się już o nim kilku rzeczy. Wynalazł metodę analizy odbić przenikającego przeszłość promienia mezonowego, był jednym z wynalazców metody ustanawiania pola statycznego, jego często chłodny, bardzo rzeczowy sposób bycia był jedynie sposobem na ukrycie łagodnej natury, którą jego współpracownicy czasami wykorzystywali, no i, tak, oczywiście: był żonaty, i był zdecydowanie szczęśliwym mężem.)

Pewnego dnia Hoskins wszedł do kopuły dokładnie w chwili, kiedy panna Fellowes z trudem hamowała furię.

Ten dzień był złym dniem, tak, był bardzo zły. Pojawiła się nowa grupa fizjologów z Kalifornii, którzy chcieli przeprowadzić całą serię kolejnych badań. Chcieli je przeprowadzić natychmiast. Chodziło o postawę Timmie'ego i budowę jego miednicy. Do zbadania chłopca fizjologowie używali całego zestawu różnych zimnych metalowych prętów. Popychali go przy tym i przyciskali pręty do jego ciała. Timmie nie był w odpowiednim do tego nastroju. Panna Fellowes, patrząc na uczonych manipulujących nim jak zwierzęciem laboratoryjnym, poczuła, że miałaby ochotę ich zabić.

— Dosyć! — krzyknęła w końcu. — Proszę wyjść! Popatrzyli na nią zdumieni.

— Powiedziałam: proszę wyjść! Sesja skończona! Chłopiec jest zmęczony. Wykręcacie mu nogi, naciągacie kręgosłup. Nie widzicie, że płacze? Proszę wyjść!

— Ależ panno Fellowes…

Zaczęła zbierać ich instrumenty. Pospiesznie odebrali je od niej. Wskazała im drzwi. Pomrukując coś do siebie, wyszli.

Patrzyła za nimi z furią. Wyjrzała przez otwarte drzwi, zastanawiając się, kto następny tu wtargnie, a Timmie stał tymczasem za nią i szlochał. W chwilę później zdała sobie sprawę, że w pomieszczeniu jest Hoskins.

— Czy jest jakiś problem? — spytał. Spojrzała na niego z wściekłością.

— Oczywiście, że jest!

Odwróciła się do Timmie'ego i przywołała go gestem, a on podbiegł do niej i przytulił się, oplatając nogami jej nogę. Usłyszała, że chłopiec mruczy coś bardzo cicho, me rozróżniała jednak słów. Przytuliła go mocniej.

— On nie wygląda na szczęśliwego — powiedział Hoskins poważnie.

— A pan byłby szczęśliwy na jego miejscu? Oni są tu teraz codziennie. Pobierają krew, robią swoje badania. Trzeba było widzieć, co z nim wyrabiali przed chwilą. Usiłowali się przekonać, w jaki sposób jego nogi są przymocowane do ciała… tak to w każdym razie wyglądało. Zmieniono mu także dietę. Tym syntetycznym jedzeniem, którym Jacobs każe go żywić od poniedziałku, nie nakarmiłabym nawet świni.

— Doktor Jacobs mówi, że to go wzmocni, że pozwoli mu wytrzymać…

— Wytrzymać c o? Dodatkowe badania?

— Musi pani pamiętać, panno Fellowes, że głównym celem tego eksperymentu jest dowiedzenie się tyle, ile można o…

— Ja o tym pamiętam, panie doktorze. A pan powinien pamiętać, że nie mamy do czynienia z chomikiem, świnką morską czy nawet szympansem, mamy natomiast do czynienia z prawdziwym człowiekiem.

— Nikt temu nie przeczy — powiedział Hoskins — ale… Przerwała mu znowu.

— Ale wszyscy ignorujecie ten fakt, fakt, że on jest człowiekiem, że jest ludzkim dzieckiem. Przypuszczam, że uważacie go za jakąś małpę, która nosi kombinezon, i wyobrażacie sobie, że wolno wam…

— Wcale go nie uważamy za…

— Uważacie, uważacie! Panie doktorze, ja żądam… Mówił pan, że to dzięki Timmie'emu pańska firma wypłynie na powierzchnię. Jeżeli czuje pan do niego za to choć odrobinę wdzięczności, to musi

pan trzymać tych ludzi od niego z daleka, przynajmniej do czasu, gdy biedak będzie dość duży na to, żeby zrozumieć, czego się od niego wymaga. Po takim złym dniu zawsze ma koszmarne sny, nie może spać, czasami godzinami krzyczy. Ostrzegam pana — (tu ogarnęła ją nagle wielka wściekłość) — nie wpuszczę ich tu więcej. Nie wpuszczę!

(Uświadomiła sobie, że mówiła z każdą chwilą głośniej i że teraz krzyczy. Ale nic nie mogła na to poradzić.)

Hoskins patrzył na nią z wielkim smutkiem.

— Przepraszam — powiedziała panna Fellowes po chwili o wiele ciszej. — Nie miałam zamiaru tak krzyczeć.

— Rozumiem, że jest pani zdenerwowana. Rozumiem, dlaczego jest pani zdenerwowana.

— Dziękuję.

— Doktor Jacobs zapewnił mnie, że chłopiec jest zdrowy i nie jest w żaden sposób poszkodowany przez program, któremu został… poddany.

— A więc doktor Jacobs powinien spędzić tu noc. Byłby wtedy innego zdania — stwierdziła panna Fellowes.

Zauważyła, że Hoskins jest zaskoczony, i poczerwieniała ze wstydu, gdyż zdała sobie sprawę, że jej słowa mogły zostać zupełnie opacznie zrozumiane.

— Powinien posłuchać, jak on płacze w ciemności. Powinien popatrzeć, jak ja chodzę do jego sypialni, jak go tulę i jak mu śpiewam kołysanki. Nie jest poszkodowany, panie doktorze? To, że dotychczas mu to tak bardzo nie zaszkodziło, wynika stąd, że spędził pierwsze lata życia w najokropniejszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić, i przeżył. Jeżeli jakieś dziecko potrafi przeżyć zimę w epoce lodowcowej, potrafi też prawdopodobnie wytrzymać opukiwanie i badania prowadzone przez tłum ludzi w białych kitlach. Ale to nie znaczy, że te badania dobrze mu robią.

— Na najbliższym zebraniu personelu będziemy musieli omówić harmonogram badań.

— Tak. Będziemy musieli. Trzeba przypomnieć wszystkim, że Timmie ma prawo do humanitarnego traktowania. Do ludzkiego traktowania.

Hoskins uśmiechnął się. Panna Fellowes spojrzała na niego pytająco.

— Zastanawiałem się właśnie… Wie pani, panno Fellowes, pani się bardzo zmieniła, od czasu kiedy złościła się pani, że podrzuciłem pani neandertalczyka. Wtedy była pani gotowa zrezygnować z tej pracy, pamięta pani?

— Nigdy bym z niej nie zrezygnowała — powiedziała panna Fellowes cicho.

— Powiedziała pani: „Zostanę z nim… na jakiś czas”. To pani

własne słowa. Wyglądała pani na bardzo zdenerwowaną. Musiałem panią przekonywać, że naprawdę będzie się pani opiekowała dzieckiem, a nie jakimś zwierzęciem z grupy naczelnych, którego miejsce jest w zoo.

Panna Fellowes spuściła oczy.

— Przypuszczam — powiedziała — że z początku nie rozumiałam…

Przerwała i spojrzała na Timmie'ego, który wciąż się do niej tulił. Był teraz o wiele spokojniejszy. Poklepała go lekko po pupie i posłała do pokoju w głębi. Hoskins zajrzał tam i zobaczył, że Timmie uśmiecha się na widok zabawek.

— Sporo ich tutaj — powiedział.

— Biedne dziecko zasługuje na nie. Są wszystkim, co ma. Zarabia na nie, przechodząc przez to, przez co przechodzi.

— Oczywiście, oczywiście. Powinniśmy mu dać ich nawet więcej. Przyślę pani zgłoszenie zapotrzebowania, taki formularz. Wszystko, co według pani będzie chciał mieć…

Panna Fellowes uśmiechnęła się ciepło.

— Pan lubi Timmie'ego, prawda?

— Jakże mógłbym go nie lubić? Jest takim krzepkim malcem! Jest taki dzielny.

— Dzielny. Tak.

— Pani też jest dzielna, panno Fellowes.

Panna Fellowes nie wiedziała, co na to powiedzieć. Ona i Hoskins przez chwilę stali naprzeciwko siebie w milczeniu. Wydało jej się, że on na moment przestał się pilnować — dostrzegła, że ma zmęczone oczy.

— Wygląda pan na zmęczonego, panie doktorze — powiedziała z troską w głosie.

— Naprawdę, panno Fellowes? — Roześmiał się niezbyt przekonująco. — Będę musiał poćwiczyć i nauczyć się zachowywać bardziej dziarsko.

— Czy pojawił się jakiś problem, o którym powinnam wiedzieć?

— Problem? — Zdziwił się. — Nie, nie ma żadnego problemu! Dlaczego pani myśli, że jest jakiś problem? Moja praca wymaga wysiłku, to wszystko. Nie dlatego, że jest taka skomplikowana. Ja nie mam nic przeciwko komplikacjom. Tylko że nie jest to coś, co najbardziej lubię robić. Gdybym mógł po prostu wrócić do laboratorium… — Pokręcił głową. — A tak nie jestem ani tu, ani tam. Zapamiętałem, jakie pani ma zastrzeżenia, panno Fellowes. Zobaczymy, co się da zrobić, żeby rozkład zajęć Timmie'ego był mniej napięty. Zrobimy oczywiście to, co można, biorąc pod uwagę fakt, że musimy się od niego jak najwięcej dowiedzieć. Jestem pewien, że rozumie pani, co mam na myśli.

— Tak, oczywiście — powiedziała panna Fellowes tonem, który był może trochę zbyt oschły.

4. Drużyna Wojowników

Świtało. Niebo było szare i jakby martwe. Silny wiatr wiał równocześnie z dwóch stron. Na niebie widniał wciąż mały biały fragment księżyca, który wisiał w górze jak kościany nóż. Mężczyźni z Drużyny Wojowników przygotowywali się do zejścia po pochyłym zboczu wzgórza. Chcieli bowiem podejść do sanktuarium zbudowanego z błyszczących kamieni i znajdującego się tam, gdzie spotykały się trzy rzeki.

Ta Która Wie stała oddzielnie, obserwowała ich z daleka i żałowała, że nie może zejść na dół razem z nimi.

Interesujące rzeczy robili zawsze mężczyźni. I zawsze ci sami mężczyźni — młodzi, pełni żywotnych soków. Starzy tacy jak Srebrny Obłok, Cuchnący Wół Piżmowy i Walczący Jak Lew przemawiali i wydawali rozkazy, ale to młodzi — Drzewo Wilków, Góra o Zwalonym Wierzchołku, Płonące Oko, Ten Co Schwytał Ptaka w Zaroślach i trzej czy czterej inni — naprawdę działali. Oni żyją prawdziwym życiem, pomyślała Ta Która Wie, płonąc dziką zazdrością.

Kiedy na równinach była zwierzyna, ci młodzi mężczyźni tworzyli Drużynę Myśliwych. Ostrzyli włócznie, owijali sobie kostki ciemnymi kawałkami wilczego futra, które miało uczynić ich szybkimi i zawziętymi, i wyruszali w pościg za mamutami albo otaczali jakiegoś nieszczęsnego zagubionego nosorożca i dźgali go, dopóki nie upadł, albo rzucali kamieniem ze sznurami w rącze renifery, mając nadzieję oplatać im nogi i powalić je na ziemię. A później nieśli lub ciągnęli upolowaną zwierzynę do obozu, śpiewając i wykonując tryumfalny taniec, a wszyscy wychodzili im naprzeciw i wychwalali ich, i skandowali ich imiona. No, a potem tym młodym mężczyznom dostawały się pierwsze kawałki ugotowanego przed chwilą mięsa: serce, mózg i inne dobre kąski.

A kiedy ktoś popełnił przestępstwo albo wódz dożył swoich dni i trzeba go było posłać na następny świat, stawali się Drużyną Zabijaczy, wdziewali maski ze skóry niedźwiedzia, wyciągali maczugę śmierci zrobioną z kości słoniowej, szli ze swoją ofiarą tam, gdzie plemię nie mogło ich widzieć, i robili to, co było do zrobienia. A potem wracali w uroczystym pochodzie, krocząc jeden za drugim i śpiewając Pieśń Następnego Świata, którą wolno było wykonywać tylko im — mężczyznom z Drużyny Zabijaczy.

A kiedy w pobliżu czaił się wróg, nadchodził czas na to, żeby ci mężczyźni, ci sami mężczyźni, stali się Drużyną Wojowników, żeby namalowali sobie na ramionach niebieskie pasy, a na biodrach czerwone i żeby narzucili sobie na ramiona żółte opończe ze skóry

lwa. Robili to właśnie teraz i Ta Która Wie bardzo im zazdrościła. Mężczyźni stali nadzy, tworząc koło, żartowali nerwowo, śmiali się, podczas gdy stary rzemieślnik, Jeżdżący na Mamucie, kończył mieszać barwniki. Wojna była jedyną okazją, przy której mężczyźni malowali sobie ciała. Ostatnia toczyła się dawno i dlatego teraz barwniki trzeba było zmieszać na nowo. Zajmowało to sporo czasu. Jednak Jeżdżący na Mamucie wiedział, jak zemleć kamień i jak zmieszać tłuszcz antylopy z otrzymanym proszkiem tak, żeby farba trzymała się skóry. Siedział ze skrzyżowanymi nogami, pochylając się nad robotą. A mężczyźni z Drużyny Wojowników czekali, aż skończy. Jeżdżący na Mamucie wyjął kościane tuby, w których przechowywał barwniki, i zaczął mieszać tłuszcz z proszkiem w kamiennej misie. W końcu farby były gotowe. Jeżdżący na Mamucie wręczył misę z czerwoną farbą Górze o Zwalonym Wierzchołku, a misę z niebieską Młodej Antylopie. Pozostali mężczyźni ustawili się w jednej linii, czekając, aż ci dwaj ich pomalują.

Śmiechy i żarty były teraz jeszcze głośniejsze. Mężczyźni bali się tego, co miało nastąpić — dlatego tak dużo się śmiali. Dwaj malujący posługiwali się pędzlami z lisich ogonów. Już z tego powodu było dużo śmiechu, bo to łaskotało. Pasy na górze ciała było łatwo namalować: jeden wąski malowało się z tyłu, jeden szeroki na piersi, a potem wykonywało się tylko maźnięcie Bogini na szyi — na tej jej twardej, wystającej części, i drugie takie maźnięcie na sercu. Malowanie dolnej części ciała wywoływało wybuchy nieokiełznanej wesołości. Najpierw malowało się gruby, czerwony szlak w dole brzucha, tuż ponad miejscem, gdzie mężczyzna ma swoją męskość. Ten szlak opasywał malowanego, biegnąc przez pośladki. A później malowało się cienkie paski biegnące wokół ud, tuż pod męskością. Aż w końcu — i to przede wszystkim wywoływało śmiech — pas Bogini biegnący wzdłuż męskiego organu i dwie kropki na kulach, które wisiały poniżej. Góra o Zwalonym Wierzchołku kładł w tych miejscach farbę szerokim gestem, a młodzi mężczyźni udawali, że to strasznie łaskocze. A może wcale nie udawali.

No dalej, pomyślała Ta Która Wie. Pomaluj i mnie! Nie mam męskości, ale możesz mi namalować czerwone paski na udach i wokół koniuszków piersi. Gdy przyjdzie czas bitwy, będzie to miało takie samo znaczenie. Dlatego że jestem wojownikiem, tak samo jak każdy z was. Tak, zupełnie tak samo.

Już prawie skończyli. Pomalowani byli wszyscy z wyjątkiem samych malujących. Góra o Zwalonym Wierzchołku naznaczył czerwone paski na ciele Młodej Antylopy, a Młoda Antylopa niebieskie paski na ciele Góry o Zwalonym Wierzchołku, a potem wymienili się misami z farbą i Młoda Antylopa namalował czerwone paski na ciele Góry o Zwalonym Wierzchołku, a Góra o Zwalonym Wierzchołku

niebieskie na ciele Młodej Antylopy. I wszyscy zawiązali sobie przepaski na biodrach i narzucili lwie opończe na ramiona, wzięli włócznie i byli gotowi do wojny.

Albo prawie gotowi. Bo najpierw Kobieta Bogini powinna była wypowiedzieć — nad nimi i w obliczu trzech czaszek niedźwiedzich — wojenne słowa. Ta Która Wie widziała teraz, że dwie młodsze Kobiety Bogini przygotowują czaszki, a najstarsza wkłada na siebie specjalne szaty, w które musiała być ubrana podczas wypowiadania wojennego błogosławieństwa.

Wzrok Tej Która Wie pobiegł w dół, w stronę sanktuarium zbudowanego z lśniących kamieni, znajdującego się w miejscu, gdzie spotykały się rzeki. Nie było tam nikogo.

Wszystko to miało na nic się nie zdać, jeżeli Inni już się stąd oddalili. Kobieta Bogini mówiła, że ślady Innych wokół sanktuarium były świeże, ale co ona tam wiedziała? Nie była przecież myśliwym. Ślady stóp, które widziała, mogły pochodzić sprzed trzech dni. A Inni mogli być już daleko stąd.

Należało teraz szybko zejść do sanktuarium i odprawić obrzęd, który Srebrny Obłok uważał za konieczny. A później Lud mógłby znowu pójść na wschód, oddalić się z tego miejsca, wrócić na zimną, pustą równinę, na którą Inni zaglądali rzadko, i żyć dalej. Jeżeli tak naprawdę nie istniała potrzeba posyłania Drużyny Wojowników, aby ta upewniła się, czy koło sanktuarium nie czyhają Inni, to Srebrny Obłok marnował cenny czas. Rok upływał. Dni stały się teraz krótsze. Niedługo śnieg miał padać codziennie. Lud powinien szybko zrobić to, co miał tu do zrobienia, i znaleźć sobie bezpieczne miejsce, w którym mógłby spędzić nadchodzące złe miesiące.

Jednak najprawdopodobniej Kobieta Bogini miała rację, a Inni byli gdzieś w pobliżu. I prawdopodobnie zbliżała się wojna, podczas której mieli ginąć mężczyźni, a może nie tylko oni.

Ta Co Przechowuje Przeszłość podeszła do Tej Która Wie i powiedziała jej do ucha:

— Bogini jest ostatnio bardzo dla nas sroga. Przyszliśmy tutaj, żeby oddać Jej cześć, a Ona najpierw zabrała nam małego chłopca, a później wprowadziła nas prosto na Innych.

Ta Która Wie wzruszyła ramionami.

— Ja nie widzę Innych. Jesteśmy tu już dwa dni i nikt nie widział ani jednego Innego.

— Ale oni tam są. Czekają na nas, ukryci tam, w dole, gotowi do ataku. Ja to wiem.

— Skąd wiesz?

— Śniło mi się to — powiedziała Ta Co Przechowuje Przeszłość. — Byli niewidzialni jak stwory zrobione z mgły, a potem stali się na wpół dotykalni jak cienie, a jeszcze później wyskakiwali z

ziemi i zaczęli nas zabijać.

Ta Która Wie zaśmiała się chrapliwie.

— Jeszcze jeden zły sen.

— Jeszcze jeden?

— Przedwczoraj w nocy Srebrnemu Obłokowi śniło się, że był znowu chłopcem i że wszedł do morza, a potem zaczął z niego wychodzić i wychodząc stawał się z każdym krokiem starszy, aż w końcu, w ciągu kilku chwil, zrobił się zgrzybiały, zgarbiony i słaby. To był sen o śmierci. A teraz tobie się śniło, że Inni czekają na nas koło sanktuarium.

Ta Co Przechowuje Przeszłość kiwnęła głową.

— A na dodatek Bogini zabrała chłopca, Twarz Naznaczoną Ogniem z Nieba, nie okazując nam wcale, że jest z, tego zadowolona. Uważam, że powinniśmy stąd odejść, nie odprawiając żadnych obrzędów przy sanktuarium.

— Ale Srebrny Obłok mówi, że musimy to zrobić.

— Srebrny Obłok z wiekiem staje się coraz bardziej bojaźliwy i słaby — powiedziała Ta Co Przechowuje Przeszłość.

Ta Która Wie spojrzała na nią z wściekłością.

— Czy ty chciałabyś być wodzem zamiast niego?

— Ja? — Ta Co Przechowuje Przeszłość uśmiechnęła się. — Nie. Nie chciałabym. Jeżeli jest na świecie kobieta, która pragnie być wodzem, to tą kobietą jesteś ty. Ja nie mam apetytu na takie ciężary. Ale, skoro już o tym mowa, uważam, że przyszedł czas na to, aby Srebrny Obłok złożył buławę i czapkę i opończę.

— Nie.

— On jest stary i robi się słaby. W jego oczach widać zmęczenie.

— On jest silny i mądry — powiedziała Ta Która Wie bez wielkiego przekonania.

— Wiesz, że mówisz coś, co jest nieprawdą.

— Czy tak? Mówię nieprawdę?

— Uspokój się, kobieto. Jeżeli mnie uderzysz, zrzucę cię ze wzgórza.

— Powiedziałaś, że kłamię.

— Powiedziałam, że mówisz coś, co jest nieprawdą.

— To to samo.

— Kłamca, który okłamuje nawet siebie, nie jest prawdziwym kłamcą, tylko głupcem. Ty wiesz i ja wiem, i Kobieta Bogini wie, że Srebrny Obłok nie nadaje się już na wodza. Każda z nas na swój sposób to pomyślała ł powiedziała. A kiedy i mężczyźni zaczną zdawać sobie z tego sprawę, Drużyna Zabijaczy będzie musiała uczynić to, co do niej należy.

— Może i tak — powiedziała Ta Która Wie zmieszana.

— Więc dlaczego go bronisz?

— Żal mi go. Nie chcę, żeby musiał umierać.

— Jakaś ty delikatna. Jednak wódz sam wie, jak to się robi. Czy pamiętasz czasy, kiedy Czerwony Śnieg był wodzem i zachorował, bo zalała go zielona żółć, tak że nic go nie mogło uleczyć? I pamiętasz, jak stanął przed nami wszystkimi i powiedział, że jego czas już nadszedł? Czy wahał się choćby przez chwilę? Tak samo było z Wysokim Drzewem, jego poprzednikiem, ojcem Srebrnego Obłoku. Ja byłam wtedy dziewczynką, a ciebie nie było jeszcze na świecie. Wysokie Drzewo był wielkim wodzem, ale pewnego dnia powiedział: „Jestem za stary, nie mogę dłużej być wodzem" i przestał żyć, zanim zapadła noc. Tak samo musi się stać ze Srebrnym Obłokiem.

— Jeszcze nie. Jeszcze nie.

Ta Co Przechowuje Przeszłość powiedziała chłodno:

— Nawet jeżeli prowadzi nas ku katastrofie? Prawdopodobnie to właśnie czyni. Popełniliśmy błąd, przychodząc tutaj… widzę to teraz, chociaż przedtem tego nie widziałam. Dlaczego tak go bronisz? Przecież on nic dla ciebie nie znaczy. Nie sądziłam nawet, że go lubisz.

— Jeżeli Srebrny Obłok umrze, to kto będzie wodzem?

— Myślę, że Płonące Oko.

— No właśnie, Płonące Oko — powiedziała Ta Która Wie ze złością. — Powiadam ci, Ty Co Przechowujesz Przeszłość, wolałabym zostać z pyszniącym się Srebrnym Obłokiem i umrzeć od włóczni Innych niż żyć następne dziesięć lat z Płonącym Okiem jako wodzem tego plemienia!

— Aha — powiedziała Ta Co Przechowuje Przeszłość. — Aha! Teraz rozumiem. Przedkładasz własne uprzedzenie ponad zdrowy rozsądek, nawet ponad życie. Jakaż ty jesteś głupia!

— Zmusisz mnie w końcu, żebym cię uderzyła.

— Ale czy ty nie widzisz…

— Nie — powiedziała Ta Która Wie. — Wcale nie widzę. Ale dość już o tym. Spójrz, spójrz tam!

Podczas gdy Ta Która Wie i Ta Co Przechowuje Przeszłość rozmawiały, Kobieta Bogini skończyła błogosławić Drużynę Wojowników, więc wojownicy, odpowiednio pomalowani i wyposażeni, zeszli ze wzgórza i zajęli pozycje wokół sanktuarium. Stali teraz ramię przy ramieniu, wywijając włóczniami i spoglądając groźnie.

I pojawili się Inni. Zjawili się znikąd, jak te stwory z mgły, które stały się dotykalne we śnie Tej Co Przechowuje Przeszłość.

Skąd przybyli? Musieli kryć się w gęstych zaroślach rosnących wzdłuż jednej z trzech rzek. Być może jakimś magicznym sposobem upodobnili się do krzewów i wrócili do ludzkiej postaci dopiero w momencie, gdy mieli się ujawnić.

Było ich ośmiu lub dziesięciu. Nie, więcej niż dziesięciu. Ta Która Wie próbowała ich policzyć, ale nie wystarczyło jej palców obu rąk. Ich liczba musiała być co najmniej taka jak liczba palców u trzech rąk. A Drużyna Wojowników liczyła tylko dziewięciu mężczyzn.

Zanosiło się na masakrę. Srebrny Obłok posłał wszystkich młodych mężczyzn na śmierć.

— Jacy oni są ohydni! — szepnęła chrapliwie Ta Co Przechowuje Przeszłość, chwytając Tę Która Wie za przedramię tak mocno, że ta poczuła ból. — Są jak potwory! Jak postacie z koszmarnego snu! W moim śnie nie byli tacy okropni.

— Wyglądają tak, jak wyglądają — powiedziała Ta Która Wie. — Taki jest normalny wygląd Innych.

— Ty już ich kiedyś widziałaś. A ja nie. Ależ oni mają płaskie twarze! A te ich chude szyje! I te ręce i nogi… takie długie. Jak nogi pająka!

— Tak, oni są jak pająki.

— Patrz. Patrz.

Całe plemię tłoczyło się teraz w miejscu znajdującym się ponad sanktuarium. Stamtąd rozciągał się rozległy widok. Wszystkie oczy skierowały się na scenę rozgrywającą się poniżej. Ta Która Wie usłyszała ciężki oddech Srebrnego Obłoku. Jakieś dziecko płakało. Płakało chyba też kilka Matek.

W dole działo się coś dziwnego. Było to prawie jak taniec.

Mężczyźni z Drużyny Wojowników wciąż stali ramię przy ramieniu, tworząc równy szereg przed sanktuarium. Byli wyraźnie niespokojni, jednak stali w miejscu, mimo że mieli wielką ochotę uciec.

Inni tworzyli szereg naprzeciwko nich w odległości jakichś dwudziestu kroków. Oni także stali ramię przy ramieniu. Byli wysocy, wyglądali dziwnie, mieli płaskie twarze i trzymali włócznie.

Ale nikt nie atakował.

Obie grupy wojowników po prostu stały, spoglądając na siebie groźnie ponad obszarem ziemi niczyjej, który leżał między nimi. Nikt się nie ruszał. Zdawało się nawet, że nikt nie oddycha. Mężczyźni stali nieruchomi jak skały. Czy to możliwe, że Inni są tak samo przestraszeni jak członkowie Drużyny Wojowników? A było ich przecież więcej, mieli tylu dodatkowych ludzi, ile jest palców u jednej ręki. Jednak nic się nie działo. Nikt nie chciał zrobić ruchu.

Płonące Oko podjął pierwszą próbę przerwania impasu. Zrobił krok do przodu. W chwilę później cała Drużyna Wojowników zrobiła krok do przodu.

Płonące Oko potrząsnął groźnie włócznią, spojrzał na Innych gniewnie i wydał długi, niski dźwięk, który poszybował w górę i dotarł do obserwujących ich ludzi stojących na wzgórzu.

— Hoooo.

Inni popatrzyli po sobie, marszcząc brwi. Wyglądali na zdezorientowanych, niepewnych, zmartwionych.

Jeden z nich też postąpił krok do przodu. I jego ludzie również poszli za jego przykładem. On także potrząsnął włócznią.

— Hooooo.

— Hoooooo.

— Hooooooo.

Ta Która Wie i Ta Co Przechowuje Przeszłość popatrzyły na siebie zdziwione. I jedni, i drudzy nie robili nic poza pohukiwaniem! Czy taki miał być początek bitwy? Może i tak — żadna z nich nie miała co do tego pewności. Ale jeżeli tak, to bitwa zaczynała się głupio.

Być może mężczyźni tam w dole też nie byli pewni, co powinni robić. Ci wojownicy, pomyślała Ta Która Wie, nigdy dotąd nie walczyli z Innymi, nigdy dotąd nawet ich nie spotkali. Ona była jedyną osobą w całym plemieniu, która widziała Innego — tam, przy lodowatej sadzawce. I wtedy, dawno temu, Inny odwrócił się i uciekł przed nią.

A teraz ci Inni tu po prostu stali, wyglądali na zaniepokojonych i naśladowali te głupie pohukiwania mężczyzn z Drużyny Wojowników. Zachowywali się tak, mimo że było ich więcej i mieli chyba lepszą broń.

Dlaczego tak się działo? Czy ci Inni, których Lud tak się bał, byli rasą tchórzy?

— Hooooo.

— Hooooo.

— Hooooo.

— Hooooo.

— Posłuchaj tylko — powiedziała Ta Która Wie, prychając pogardliwie. — Pohukują jak sowy.

W tejże chwili na dole zaczaj się jakiś ruch. Cały szereg utworzony przez mężczyzn z Drużyny Wojowników przesunął się nieco, tak że stał teraz ukośnie w stosunku do sanktuarium. Inni przesunęli się również, nie łamiąc szeregu i znajdując się nadal naprzeciwko mężczyzn z Drużyny Wojowników.

Nastąpiły dalsze pohukiwania. Szeregi przesunęły sif jeszcze odrobinę, nie robiąc żadnego zdecydowanego ruchu, Potem wróciły na poprzednie pozycje. Podniesiono włócznie | i potrząśnięto nimi, ale żadna nie została rzucona.

— Oni boją się siebie nawzajem! — powiedziała ze,] zdumieniem Ta Co Przechowuje Przeszłość.

— Hoooo.

— Hoooo.

— Powinniśmy na nich natrzeć — mruknęła Ta Która j Wie. —

Oni by natychmiast uciekli!

— Hoooo.

— Hoooo.

— Jak sowy — powiedziała Ta Co Przechowuje Przyszłość.

Doprowadzało to obie kobiety do szału. Zanosiło się na] to, że ta głupia sytuacja będzie trwała w nieskończoność, Ta Która Wie nie mogła już dłużej tego znieść. Podeszła do miejsca, gdzie siedział Jeżdżący na Mamucie i gdzie na ziemi stały misy z farbą, i zerwała z siebie szatę. Jeżdżący na Mamucie spojrzał na nią zaintrygowany.

— Daj mi farbę — powiedziała Ta Która Wie.

— Ale ty nie możesz…

— Mogę.

Schyliła się, szybko schwyciła misę z niebieska farbą i niedbale pomalowała nią sobie obie piersi. Potem wzięła| czerwoną farbę i namalowała na swym ciele duży trójkąt, Podstawa trójkąta przebiegała przez dół jej brzucha, a dwa boki biegły wzdłuż ud. Teraz Ta Która Wie jednym szybkim ruchem pokryła farbą ciemne włosy łonowe. Wszyscy patrzyli na nią. A ona nie zadała sobie trudu, żeby poprosić Jeżdżącego na Mamucie o namalowanie pasów na plecach. Nie wierzyła, że on będzie chciał to zrobić i szkoda jej było tracić czas na dyskusje. Zresztą to nie miało znaczenia. Nie zamierzała pokazywać wrogom pleców.

Inni! — pomyślała z wściekłością. — Tchórze, wszyscy są tchórzami!

Teraz szedł ku niej Srebrny Obłok. Poruszał się ostrożnie, oszczędzając bolącą nogę.

— Co ty robisz? — zapytał.

— Przygotowuję się do walki. Będę walczyła za was — powiedziała.

Włożyła szatę i ruszyła w dół, w stronę sanktuarium zbudowanego z lśniących kamieni.

7. Stawianie oporu

— Puść jeszcze raz rozmowę z tym sukinsynem, dobrze Jerry? — powiedział Sam Aickman.

Hoskins wsunął sześcian z nagraniem do otworu. Na ekranie znajdującym się w przedniej części sali konferencyjnej pojawiła się twarz Bruce'a Mannheima, ta sama, która była na ekranie telefonu Hoskinsa podczas rozmowy. Uparcie mrugająca zielona rozeta w prawym dolnym rogu ekranu sygnalizowała, że rozmowa została zarejestrowana za wiedzą i zgodą dzwoniącego.

Mannheim był raczej młodym człowiekiem o pełnej twarzy, gęstych, falujących, rudych włosach przylegających ciasno do czaszki i rumianej cerze. Mimo że od paru lat brody były modne tylko wśród bardzo młodych i bardzo starych mężczyzn, on nosił krótką starannie przyciętą hiszpańską bródkę i krzaczaste wąsiki.

Znany orędownik praw dzieci wyglądał na człowieka niezmiernie szczerego i niezmiernie poważnego.

Według Hoskinsa był również człowiekiem niezmiernie denerwującym.

— Sytuacja przedstawia się tak, panie doktorze — powiedział Mannheim na ekranie — nasza ostatnia dyskusja nie była wcale owocna, a ja po prostu nie mogę dłużej panu wierzyć, kiedy pan twierdzi, że chłopiec przebywa w możliwych do przyjęcia warunkach.

— Dlaczego? — spytał Hoskins na ekranie. — Czy stałem się nagle niewiarygodny?

— Nie o to chodzi, panie doktorze. Nie mamy powodu wątpić w prawdziwość pańskich słów. Jednak nie istnieje też powód, dla którego mielibyśmy wierzyć w nie bez sprawdzenia. Poza tym niektórzy moi doradcy zaczęli odnosić wrażenie, że ja dotychczas zbyt łatwo wierzyłem w prawdziwość pańskich ocen, kiedy pan mówił o sytuacji chłopca. Problem polega na tym, że nie przeprowadziliśmy inspekcji na miejscu.

— Mówi pan o tym dziecku tak, jakby było ono jakąś ukrytą bronią.

Mannheim uśmiechnął się, ale jego jasnoszare oczy nie był zbyt wesołe.

— Proszę zrozumieć, w jakim jestem położeniu. Znajduję się pod znaczną presją ze strony tej części opinii publicznej, którą reprezentuję. Wbrew temu, co pan mówi, wielu ludzi uważa, że dziecko, które zostało w ten sposób sprowadzone do naszej epoki i które ma być przetrzymywane w zamknięciu i w samotności przez czas nie określony, jest dzieckiem podlegającym okrutnej i nieludzkiej karze.

— Rozmawialiśmy już o tym nie raz — powiedział Hoskins. — Dziecko jest pod najlepszą w świecie opieką i pan o tym dobrze wie. Przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czuwa nad nim pielęgniarka, codziennie poddawane jest badaniom lekarskim, stosujemy doskonale zrównoważoną dietę, która już zdziałała cuda. Jego forma fizyczna jest dzięki niej doskonała. Bylibyśmy niespełna rozumu, gdybyśmy postępowali inaczej. Jesteśmy, jacy jesteśmy, ale rozumu nam nie brakuje.

— Przyznaję, że mnie pan o tym informował. Jednak wciąż nie pozwala pan, aby ktoś z zewnątrz potwierdził pańskie słowa. A listy i telefony, którymi jestem codziennie bombardowany… głosy oburzenia i nacisk ze strony tych, którzy przejmują się tą sprawą…

— Jest pan pod presją, proszę pana — powiedział Hoskins nie siląc się na uprzejmość — ale to dlatego, że sam pan rozdmuchał tę sprawę i teraz pańscy ludzie obracają przeciwko panu część tej negatywnej energii, którą pan sam z własnej woli uruchomił.

— O to, to. Tak trzeba z nim rozmawiać! — powiedział Charlie McDermott, kontroler rachunkowy.

— Mnie się zdaje, że to było chyba trochę zbyt obcesowe — odezwał się Ned Cassiday.

Ned był szefem Działu Prawnego i jego praca polegała na okazywaniu być może zbyt daleko posuniętej ostrożności.

Na ekranie zarejestrowana rozmowa trwała dalej.

— …ani tu, ani tam, panie doktorze. Musimy wrócić do zasadniczej kwestii, czyli do tego, że dziecko zostało oderwane od rodziców i domu…

— Neandertalskie dziecko, proszę pana. Człowiek neandertalski był prymitywną, dziką odmianą człowieka prowadzącą życie wędrowne. Nie wiadomo, czy neandertalczycy mieli jakiekolwiek domy, nie wiadomo nawet, czy znali pojęcie relacji rodzice-dziecko takie, jakie funkcjonuje u nas. Z tego, co wiemy, wyrwaliśmy tego dzieciaka z prymitywnego, wrogiego świata, w którym wiódł nędzne życie, a nie, jak pan sugeruje, z idyllicznego rodzinnego gniazda w epoce pleistocenu, jak na pocztówce bożonarodzeniowej.

— Czy pan chce powiedzieć, że neandertalczycy są po prostu zwierzętami? — zapytał Mannheim. — Że dziecko, które pan sprowadził z plejstocenu, jest tylko jakąś małpą chodzącą na tylnych nogach?

— Oczywiście, że nie. Wcale tak nie twierdze. Neandertalczycy byli prymitywni, ale nie ma kwestii co do tego, że byli ludźmi.

— Bo jeżeli pan chce twierdzić, że pański więzień nie ma praw ludzkich, bo nie jest człowiekiem, to muszę panu powiedzieć, że uczeni są zupełnie jednomyślni uważając, że Homo neanderthalensis jest po prostu podgatunkiem naszego własnego gatunku Homo sapiens

i w związku z tym…

— O Jezu drogi — wybuchnął Hoskins — czy pan w ogóle nie słucha tego, co mówię? Właśnie powiedziałem, że przyznajemy, że Timmie jest człowiekiem.

— Timmie? — zapytał Mannheim.

— Tak, takie mu tutaj nadaliśmy imię. Mówiliśmy o tym we wszystkich sprawozdaniach w mediach.

— Co było prawdopodobnie błędem — mruknął Ned Cassiday na stronie. — Gdyż to powoduje, że ludzie zbytnio identyfikują się z dzieckiem. Nadanie imienia spowodowało, że stał się zbyt rzeczywisty w oczach publiczności, no i jeżeli będą przypadkiem jakieś kłopoty, to…

— Chłopiec jest rzeczywisty, Ned — powiedział Hoskins. — I nie będzie żadnych kłopotów.

Tymczasem na ekranie Mannheim mówił:

— No dobrze, panie doktorze. Obaj zgadzamy się, że mówimy o ludzkim dziecku. I nie ma między nami różnicy zdań, jeżeli chodzi o inne podstawowe zagadnienie, a mianowicie co do tego, że, jak powiedziałem przed paroma minutami, przejął pan opiekę nad tym dzieckiem w wyniku własnej decyzji i że zrobił pan to bezprawnie. Pan właściwie porwał to dziecko. Tak, takie jest precyzyjne określenie tego, co pan zrobił.

— Bezprawnie? A jakież to ja prawo złamałem? Proszę mi pokazać sąd z epoki plejstocenu, przed którym mogę stanąć!

— To, że ludzie z plejstocenu nie mają sądów, nie oznacza, że nie mają praw — powiedział bez zająknienia Mannheim. — Proszę zauważyć, że mówię o tych ludziach z przeszłości w czasie teraźniejszym. Teraz, kiedy podróże w czasie stały się rzeczywistością, wszystko jest czasem teraźniejszym. Jeżeli potrafimy wtargnąć w życie ludzi, którzy żyli czterdzieści tysięcy lat temu, to musimy z konieczności przyznać im te prawa, które uznajemy za niezbywalne w naszym społeczeństwie. Z pewnością nie próbowałby mi pan powiedzieć, że pracownicy Instytutu Badań nad Polem Statycznym mają prawo pojechać do jakiejś wioski we współczesnej Brazylii, w Zairze czy w Indonezji i porwać stamtąd akurat to dziecko, które im się podoba, porwać, po prostu po to, żeby…

— Ależ, proszę pana, to jest unikatowy eksperyment o ogromnym znaczeniu naukowym! — wybuchnął Hoskins.

— Myślę, że teraz pan nie słucha tego, co ja mówię, panie doktorze. Ja nie mówię o motywacjach, ja mówię o kwestiach prawnych. Czy uważałby pan za usprawiedliwione zabranie jakiegoś dziecka z wioski, z jakiejś współczesnej kultury plemiennej i przywiezienie go tutaj, aby antropologowie mogli je badać? Czy uważałby pan za usprawiedliwione zrobienie tego bez brania pod

uwagę uczuć rodziców czy innych opiekunów dziecka?

— Oczywiście, że nie.

— Ale z kultury plemiennej istniejącej w przeszłości można dziecko porwać?

— Tu nie ma analogii — powiedział Hoskins. — Przeszłość to zamknięta księga. Dziecko, które mamy teraz w swoich rękach, nie żyje, proszę pana, nie żyje od czterdziestu tysięcy lat.

Ned Cassiday sapnął i zaczął gwałtownie kręcić głową. Hoskinsowi przyszło na myśl, że musi on widzieć tu jakieś osobliwe i niepokojące kwestie prawne, które prawdopodobnie nie powinny były stać się przedmiotem dyskusji.

Tymczasem Mannheim powiedział:

— Rozumiem. Dziecko nie żyje, ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę czuwa nad nim pielęgniarka. Niech pan da spokój, panie doktorze. Pana rozumowanie jest absurdalne. W epoce podróży w czasie stare rozróżnienie między „umarłymi" i „żywymi" nie ma tego znaczenia co kiedyś. Otworzył pan zamkniętą księgę, o której przed chwilą pan mówił, i nie może pan tak po prostu jej zamknąć. Czy panu się to podoba, czy nie, żyjemy teraz w epoce paradoksu. Teraz, kiedy przeniósł pan to dziecko z jego epoki do naszej, ono jest tak samo żywe jak pan czy ja i obaj zgadzamy się, że zasługuje na takie traktowanie jak każde inne. A w związku z tym musimy powrócić do kwestii opieki, jaką ma tutaj, wśród nas. Jest bez znaczenia, jaki semantyczny wariant pan przyjmie, jak je pan nazwie — czy ofiarą porwania, czy obiektem unikalnego eksperymentu, czy gościem wbrew woli w naszej epoce — bo liczy się w istocie tylko to, że pan arbitralnie wyrwał dziecko z jego rodzinnego środowiska, nie mając zgody tych, których by to mogło obchodzić i że trzyma je pan zamknięte w pewnego rodzaju więzieniu. Czy musimy wciąż kręcić się w kółko? Tutaj istnieje tylko jeden problem. Pan wie, jaki to za problem. A ja reprezentuję dużą część opinii publicznej i proszono mnie, żebym sprawdził, czy prawa ludzkie tego nieszczęśliwego dziecka są należycie respektowane.

— Protestuję przeciwko słowu „nieszczęśliwe". Wyjaśniałem wielokrotnie, że chłopiec jest…

— W porządku. Wycofuję to słowo, jeżeli budzi w panu taki niepokój. Ale reszta mojego oświadczenia pozostaje bez zmian.

— Czego konkretnie chce pan od nas? — spytał Hoskins, nie próbując ukrywać, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Powiedziałem panu. Chcemy przeprowadzić inspekcję na miejscu, chcemy sami zobaczyć, w jakim stanie fizycznym i psychicznym jest dziecko.

Hoskins na ekranie zamknął na chwilę oczy.

— Jest pan bardzo uparty. Będzie pan usatysfakcjonowany

wyłącznie wtedy, jeżeli pozwolimy panu tu przyjechać i osobiście wszystko sprawdzić, prawda?

— Zna pan moją odpowiedź.

— Będę musiał się naradzić w tej sprawie. Dotychczas dopuszczaliśmy do Timmie'ego tylko wykwalifikowanych naukowców. Nie jestem pewien, czy pan należy do tej kategorii ludzi. Będę musiał zwołać zebranie moich doradców i przedyskutować sprawę. Dziękuję bardzo za telefon. Miło było porozmawiać z panem.

Ekran zgaś.

Hoskins rozejrzał się po pokoju.

— No i micie. Widzicie, w czym problem. On jest jak buldog trzymający zębami mankiet moich spodni. Nie puści, choćbym nie wiem, jak się wyrywał.

— A jeżeli nawet zdołasz mu się wyrwać, zaatakuje ponownie — powiedział Ned Cassiday. — I tym razem złapie zębami za nogę, a nie tylko za spodnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że powinniśmy mu pozwolić na tę inspekcję. Będzie to gest dobrej woli.

— Czy taka jest twoja porada prawna? Cassiday kiwnął głową.

— Stawiasz temu facetowi opór od kilku tygodni, prawda? On do ciebie dzwoni, ty mu dajesz wymijającą odpowiedź, od dzwoni znowu, ty znajdujesz jakiś nowy sposób na przeciwstawienie się jego argumentom i tak dalej, i tak dalej. Ale nie możesz tego ciągnąć w nieskończoność. On jest tak samo uparty jak ty. Różnica polega na tym, że w jego przypadku upór wygląda na oddanie szlachetnej sprawie, a w twoim na celowy obstrukcjonizm. To jest jego pierwsza prośba o wpuszczenie na nasz teren, tak?

— Tak — powiedział Hoskins.

— No widzisz. On zawsze może wymyślić coś nowego. A ty nie możesz zbyć tej prośby, wydając więcej materiałów informacyjnych albo udzielając kolejnego wywiadu Candide'owi Deveneyowi. Mannheim od razu narobi krzyku, że próbujemy coś ukryć, że mamy coś okropnego do ukrycia. Niech tu przyjedzie i zobaczy chłopca. Może dzięki temu zamknie się na dość długo i pozwoli nam skończyć nasze badania.

Sam Aickman pokręcił głową.

— Nie sądzę, że istnieje powód, dla którego mielibyśmy ustępować tej menstrualnej mendzie. Gdybyśmy trzymali dzieciaka skutego łańcuchami, to może… gdyby był nieszczęsnym, chorowitym chudzielcem, gdyby miał pryszcze i szkorbut, gdyby bez przerwy ryczał… ale Jerry mówi, że chłopak ma się świetnie. Przybiera na wadze i słyszałem, że uczy się mówić po angielsku. Nigdy mu nie było tak dobrze. To powinno być jasne nawet dla Bruce'a Mannheima.

— No właśnie — powiedział Cassiday. — Nie mamy nic do ukrycia. Wiec dlaczego mielibyśmy dać Mannheimowi okazję do tego, żeby przekonywał ludzi, że mamy?

— Racja — przytaknął Hoskins i rozejrzał się po pokoju. — Chciałbym usłyszeć wasze zdanie. Mamy zaprosić Mannheima czy nie?

— Ja mówię: do diabła z nim — odezwał się Sam Aickman. — Ten Mannheim to plaga. Nie ma powodu, żebyśmy mu ustępowali.

— A ja się zgadzam z Nedem — powiedział Frank Bruton. — Pozwolimy mu przyjechać i miejmy to za sobą.

— To się wiąże z ryzykiem — stwierdził Charlie McDermott. — Nie wiadomo, ile ten facet wynajdzie problemów, skoro raz tu wejdzie. Bo, tak jak powiedział Ned, on zawsze może wymyślić coś nowego. Pozwalając mu na wizytę u chłopca, nie pozbędziemy się go, a możemy tylko pogorszyć sytuację. Ja mówię: nie.

— A ty, Eleno? — spytał Hoskins, zwracając się do Eleny Sadler, która zajmowała się zaopatrzeniem.

— Ja głosuję za tym, żeby pozwolić mu przyjechać. Jak mówi Ned, nie mamy nic do ukrycia. Nie możemy pozwolić, żeby Mannheim dalej nas obsmarowywał. Kiedy złoży tu wizytę, będzie można skonfrontować poglądy. Zresztą posiadamy materiały telewizyjne pokazujące Timmie'ego i możemy udowodnić, że to my mamy rację, a on nie.

Hoskins kiwnął ponuro głową.

— Dwa głosy za, dwa przeciw. Więc zadecyduje mój. Dobrze. Niech będzie. Powiem Mannheimowi, że może przyjechać.

— Słuchaj, Jerry, jesteś pewien, że chcesz… — zaczął Aickman.

— Tak — powiedział Hoskins. — Ja go tak samo nie cierpię jak ty, Sam. I tak samo jak ty nie chcę, żeby tu węszył. Ten facet to plaga. Masz rację. I właśnie dlatego pomyślałem, że lepiej będzie spełnić jego żądanie. Niech zobaczy Timmie'ego. Niech zobaczy, jak dobrze Timmie się ma. Niech się spotka z panną Fellowes i niech się przekona, czy maltretujemy tu chłopca. Zgadzam się z Nedem, że to, co tu zobaczy, może zamknąć mu usta. A jeżeli nie, to nie będziemy w gorszym położeniu, niż jesteśmy teraz: on będzie dalej agitował i podnosił wrzask, a my będziemy zaprzeczali jego oskarżeniom. Natomiast jeżeli nie pozwolimy mu na te wizytę, on postawi wszelkiego rodzaju nowe zarzuty i Bóg jeden wie, co będziemy musieli zrobić, żeby je odeprzeć. Więc głosuję za tym, by rzucić buldogowi kość.

W ten sposób będziemy mieli szansę na to, żeby mu stawić opór. Jeżeli zrobimy inaczej, pójdziemy na dno. Tak więc Mannheim dostanie zaproszenie i niech będzie, co ma być. Zamykam zebranie.

* * *

Kiedy panna Fellowes kąpała Timmie'ego, w drugim pokoju odezwał się interkom. Panna Fellowes nachmurzyła się, słysząc ten dźwięk. Spojrzała na chłopca siedzącego w wannie. Kąpiel nie była już dla Timmie'ego ciężkim doświadczeniem. Traktował ją raczej jak sport i codziennie niecierpliwie na nią czekał. Leżenie w wodzie już mu się nie wydawało niebezpieczne. Kąpiel stała się czymś cudownym, rozkosznym. Rozkosznie było nie tylko czuć dotknięcie ciepłej wody, ale także wychodzić z wanny, bo człowiek był taki różowy, czysty i pachniał tak ładnie. No i oczywiście chlapanie się w wodzie to świetna zabawa. Im dłużej Timmie żył w dwudziestym pierwszym wieku, tym bardziej stawał się podobny do zwykłego współczesnego chłopca. Tak myślała panna Fellowes.

Ale nie podobało jej się to, że teraz musi zostawić go w wannie bez opieki. Nie, nie martwiła się, że się utopi. Mali chłopcy w jego wieku nie topią się w wannie, a Timmie zdawał się mieć zdrowy instynkt samozachowawczy. Ale co by było, gdyby wyszedł z wanny, poślizgnął się i upadł?

— Zaraz wracam, Timmie — powiedziała. — Zostaniesz sam w wannie, dobrze?

Timmie kiwnął głową.

— Siedź w wannie. W wannie. Rozumiesz?

— Tak, panno Fellowes.

Nikt na świecie nie uznałby dźwięków wydanych przez Timmie'ego za słowa: „Tak, panno Fellowes". Nikt prócz samej panny Fellowes.

Wciąż trochę zaniepokojona, panna Fellowes poszła szybko do drugiego pokoju i powiedziała do otworu interkomu:

— Kto mówi?

— Tu Hoskins, panno Fellowes. Chciałbym wiedzieć, czy Timmie wytrzyma dziś po południu jeszcze jedną wizytę?

— Miał mieć wolne popołudnie. Już go kąpię. Nigdy dotąd nie miał gości po kąpieli.

— Tak, wiem. Ale to specjalny gość.

Panna Fellowes nasłuchiwała. Z łazienki dobiegały odgłosy energicznego chlapania. Timmie najwyraźniej świetnie się bawił. Usłyszała jego głośny śmiech.

— To wszystko są specjalni goście — powiedziała niezadowolona. — Gdybym tu wpuszczała wszystkich specjalnych gości, to chłopiec byłby wystawiony na publiczny widok całymi dniami i nocami.

— Ten jest naprawdę specjalny, panno Fellowes.

— Mimo to wolałabym nie. Timmie ma prawo mieć wolny czas, jak każdy. I jeżeli pan pozwoli, panie doktorze, chciałabym wrócić do łazienki, zanim…

— Ten gość to Bruce Mannheim, panno Fellowes.

— Co takiego?

— Zdaje sobie pani sprawę, że Mannheim prześladował nas swoimi zmyślonymi zarzutami i ciągłym podżeganiem przeciwko nam od chwili, gdy ogłosiliśmy, że mamy u siebie Timmie'ego.

— No tak — powiedziała panna Fellowes, która w rzeczywistości nie bardzo się w tym orientowała.

— No więc on dzwonił do mnie mniej więcej co trzy dni, żeby dać wyraz swojemu oburzeniu. W końcu zapytałem go, czego od nas chce, a on mi odpowiedział, że żąda zezwolenia na inspekcję aa miejscu. Takiego użył wyrażenia: „inspekcja na miejscu". Tak jakbyśmy tu mieli jakieś składowisko pocisków. Nie jesteśmy tym zachwyceni, ale odbyliśmy zebranie zarządu i doszliśmy w końcu do wniosku, że odmawiając mu, bardziej sobie zaszkodzimy, niż zgadzając się na jego propozycje. Obawiam się, panno Fellowes, że nie mamy wyboru. Musimy go wpuścić.

— Dzisiaj?

— Za jakieś dwie godziny. On jest bardzo uparty.

— Mógł mnie pan wcześniej zawiadomić.

— Gdybym mógł, to bym to zrobił, panno Fellowes. Ale Mannheim mnie zaskoczył, kiedy zadzwoniłem, aby mu powiedzieć, że go wpuścimy. Oświadczył, że zaraz tu będzie, a gdy powiedziałem, iż nie jestem pewien, czy to się da urządzić, zaczął od początku: mówił o swoich podejrzeniach i oskarżeniach. Zdawało mi się, że sugeruje, iż chcemy zyskać na czasie, tak żeby być w stanie wyleczyć wszystkie siniaki, które Timmie ma po laniach, jakie mu dajemy, albo coś innego równie idiotycznego. Powiedział też, że przyjeżdżając dzisiaj, złoży nam wizytę przed zebraniem swojego zarządu, które ma się odbyć jutro, i że dzięki temu będzie mógł poinformować zarząd o stanie Timmie'ego, a w związku z tym… — Hoskins przerwał. — Wiem, zawiadamiam panią zbyt nagle, panno Fellowes. Ale, błagam panią, niech pani się nie denerwuje, dobrze?

Panna Fellowes poczuła, że jest jej go żal. Biedny zmęczony człowiek znalazł się między niezmordowanym politycznym agitatorem a taką złośnicą jak ona…

— Dobrze, panie doktorze — powiedziała. — Tym razem niech będzie. Zobaczę, co się da zrobić z tymi siniakami Timmie'ego. Pewnie zamaluj? je fluidem.

Wróciła już do łazienki, a z interkomu wciąż płynęły słowa wdzięczności wypowiadane przez Hoskinsa. Timmie bawił się w bitwę morską, w której zielona plastikowa kaczuszka walczyła z fioletowym

plastikowym potworem morskim. Wyglądało na to, że zwycięża kaczuszka.

— Będziesz dzisiaj miał towarzystwo — powiedziała panna Fellowes do chłopca, pieniąc się przy tym ze złości. — Przyjdzie tu jeden pan i będzie nas sprawdzał. On chce zobaczyć, czy cię przypadkiem nie maltretowaliśmy. Możesz w to uwierzyć?

Timmie podniósł na nią oczy, które zdradzały, że nie wie, o co chodzi. Jego zasób słów nie był aż taki duży — chłopiec nie mógł jej zrozumieć. Zresztą panna Fellowes wcale się tego po nim nie spodziewała.

— Kto przychodzić? — zapytał.

— Jeden pan — odpowiedziała. — Gość. Timmie kiwnął głową.

— Miły gość?

— Miejmy nadzieję, że tak. No chodź, już czas, żebyś wyszedł z wanny. Muszę cię wytrzeć.

— Jeszcze kąpać! Jeszcze kąpać!

— Jeszcze kąpać jutro. Chodź już, Timmie. Chłopiec niechętnie wygramolił się z wanny. Panna Fellowes wytarła go ręcznikiem i szybko obejrzała. Nie, nie widać żadnych śladów bata. W ogóle żadnych śladów. Chłopiec był w dobrej formie. Dochodziła do takiego wniosku, zwłaszcza gdy go porównywała z brudnym, kostropatym, posiniaczonym i podrapanym dzieckiem, które pojawiło się wraz z piaskiem, kamieniami, mrówkami i kępkami trawy tej pierwszej, dziwnej i przerażającej nocy. Teraz Timmie był okazem zdrowia. Od tamtej pory przybrał kilka kilogramów na wadze, zadrapania mu się wygoiły, a siniaki dawno zniknęły. Włosy miał porządnie przystrzyżone, paznokcie obcięte. Niech no tylko Bruce Mannheim znajdzie jakiś powód do narzekań. Niech tylko spróbuje!

Gdyby wszystko szło tego dnia normalnie, panna Fellowes po kąpieli przebrałaby chłopca w piżamę. Ale dzisiaj było inaczej niż zwykle z powodu tego gościa, który był gościem wyjątkowym. Na taką okazję trzeba wyjąć odświętne ubranie: fioletowy kombinezon z czerwonymi guzikami.

Timmie uśmiechnął się szeroko, kiedy zobaczył ubranko. Był to jego ulubiony kombinezon.

— A teraz, zanim ten pan przyjdzie, Timmie coś zje. No co ty na to?

Panna Fellowes wciąż trzęsła się ze złości.

Bruce Mannheim, pomyślała lodowato. Ten intrygant. Ten podżegacz. Ma czelność nazywać się orędownikiem dzieci! A kto go prosił, żeby za kimś w ogóle orędował? On jest po prostu zawodowym agitatorem. Ten człowiek to plaga.

— Panno Fellowes?

Z interkomu dobiegł głos Hoskinsa.

— O co chodzi, panie doktorze? Myślałam, że pan Mannheim przybędzie dopiero za pół godziny.

— Przyjechał wcześniej — powiedział Hoskins. — To po prostu taki człowiek. — Hoskins był dziwnie potulny, można to było poznać po jego głosie. — I obawiam się, że przywiózł ze sobą jeszcze kogoś, nie ostrzegłszy nas, że ma zamiar to zrobić.

— Dwóch gości to za dużo — powiedziała twardo panna Fellowes.

— Wiem. Wiem. Ale panno Fellowes, błagam panią. Nie miałem pojęcia, że on jeszcze kogoś przywiezie. On się upiera przy tym, żeby i ta osoba zobaczyła Timmie'ego. Teraz, gdy rzeczy zaszły już tak daleko, ryzyko, że go obrazimy… Rozumie pani? Czy pani to rozumie?

A więc Hoskins znowu błagał. Ten Mannheim naprawdę go przeraził. Gdzie był silny i nieposkromiony doktor Gerald Hoskins, którego znała dotychczas?

— A kim jest ta druga osoba? — spytała panna Fellowes po chwili. — Kim jest ten niespodziewany gość?

— To jego współpracownica, konsultantka udzielająca porad jego organizacji. Być może pani nawet ją zna. Pewnie tak. Jest specjalistką od dzieci z zaburzeniami, osobą zasiadającą w różnych komisjach i działającą w różnych instytucjach rządowych, bardzo znaną osobą. Przez pewien czas braliśmy pod uwagę jej kandydaturę na pani obecne stanowisko, chociaż mieliśmy wrażenie… to znaczy ja miałem wrażenie, że nie ma w sobie tego ciepła i współczucia, o które nam chodziło. Nazywa się Mariannę Levien. Myślę, że mogłaby się okazać trochę niebezpieczna. Nie możemy tak ryzykować, nie możemy nie wpuścić jej teraz, kiedy już tutaj jest.

Panna Fellowes, przerażona, położyła sobie dłoń na ustach.

Mariannę Levien! — pomyślała w osłupieniu. — Boże, miej mnie w swojej opiece. Boże, miej w opiece nas wszystkich!

* * *

Owalne drzwi prowadzące do domku dla lalek otworzyły się i Hoskins wszedł do środka. Tuż za nim dwie postacie. Na Hoskinsa przykro było patrzeć. Mięsiste policzki jakby mu obwisły. Wyglądał jak człowiek, który w ciągu jednego dnia postarzał się o dziesięć lat. Cerę miał szarą jak ołów. A jego oczy były oczami człowieka pokonanego, zastraszonego, co pannę Fellowes zdziwiło i przeraziło.

Z trudem go poznała. Co się dzieje? — pomyślała.

— To jest panna Edith Fellowes, opiekunka Timmie'ego —

powiedział Hoskins cicho, tonem człowieka skrępowanego. — A to, panno Fellowes, są pan Bruce Mannheim i panna Mariannę Levien.

— A to jest Timmie? — spytał Mannheim.

— Tak — powiedziała panna Fellowes gromkim głosem, i chcąc zrównoważyć nagłą nieśmiałość Hoskinsa. — To jest Timmie!

Chłopiec, który był w drugim pokoju służącym mu jako pokój do zabawy i spania, usłyszawszy, że goście weszli, ostrożnie wystawił z niego głowę. Teraz wyszedł do nich — śmiało, energicznym krokiem dziecka, które się nie boi. Panna Fellowes w duchu mu przyklasnęła.

Pokaż im, Timmie. Czy my cię maltretujemy? Czy chowasz się pod łóżkiem, czy trzęsiesz się ze strachu?

W swoim najlepszym kombinezonie chłopiec wyglądał olśniewająco. Podszedł do nowo przybyłych i zaczął im się przyglądać z nie ukrywaną ciekawością.

Świetnie, pomyślała panna Fellowes. Świetnie ze względu na ciebie i na nas wszystkich!

— Aha — powiedział Mannheim. — Więc to ty jesteś Timmie.

— Timmie — odezwał się Timmie, chociaż jedyną osobą w tym pokoju, która wiedziała, co mówi, była panna Fellowes.

Chłopiec wyciągnął rękę w górę, w stronę Mannheima. Mannheim najwyraźniej pomyślał, że chce uścisnąć mu dłoń, bo wyciągnął swoją. Ale Timmie nie miał pojęcia, że ludzie podają sobie ręce i wymieniają powitalne uściski dłoni. Nie dotknął wyciągniętej ręki Mannheima, a swoją pomachał niecierpliwym gestem, w dalszym ciągu wyciągając ją w górę.

Mannheima to zaintrygowało.

— Chodzi o pana włosy — powiedziała panna Fellowes. — Przypuszczam, że on nigdy przedtem nie widział człowieka o rudych włosach. W czasach neandertalskich najwyraźniej takich ludzi nie było, a tutaj nie odwiedził go jeszcze nikt rudowłosy. Jego chyba w ogóle bardzo fascynują jasne włosy.

— Aha — powiedział Mannheim. — Więc to o to chodzi.

Uśmiechnął się szeroko i przyklęknął, a Taninie natychmiast zanurzył ręce w jego gęste, sprężyste kędziory. Nie tylko ich kolor, ale również fakt, że się kręciły, musiał stanowić dla niego nowość. Timmie badał te włosy w zamyśleniu.

Mannheim znosił to z humorem. Panna Fellowes musiała przyznać, że nie jest taki, jakim go sobie wyobrażała. Spodziewała się, że będzie zionącym ogniem radykałem o spojrzeniu szaleńca, gotowym natychmiast wygłaszać potępiające sądy i manifesty i bezkompromisowo żądać zmian. Tymczasem okazało się, że jest raczej miły i łagodny, że jest zamyślonym, poważnie wyglądającym mężczyzną — młodszym, niż się spodziewała — który, nie tracąc czasu, zaprzyjaźnia się z Timmiem.

Mariannę Levien natomiast była zupełnie inna. Nawet Timmie, zmęczywszy się badaniem włosów Mannheimai zwróciwszy na nią oczy, najwyraźniej nie wiedział, co o niej myśleć.

Panna Fellowes wyrobiła już sobie zdanie na jej temat: nie lubiła Levien od pierwszej chwili. Podejrzewała też, że to jej niespodziewane pojawienie się, a nie wizyta Bruce'a Mannheima, przyprawiło Hoskinsa o taką nerwowość.

Co ona tu robi? — zastanawiała się panna Fellowes. — Jakie kłopoty ma zamiar nam sprawić?

Levien była powszechnie znana wśród ludzi zajmujących się zawodowo opieką nad dziećmi z tego, że jest osobą agresywną i powodującą kontrowersje, bardzo zręcznie promującą siebie i umiejętnie kierującą rozwojem swojej kariery. Panna Fellowes nigdy dotychczas nie stanęła z nią twarzą w twarz, ale, patrząc na nią teraz, dochodziła do wniosku, że wygląda na osobę tak straszną i nieprzyjemną, jak głosiła fama.

Przypominała raczej aktorkę albo kobietę biznesu, albo aktorkę grającą rolę kobiety biznesu niż specjalistkę od opieki nad dziećmi. Ubrana była w jakąś obcisłą, mieniącą się suknię uszytą z metalicznie połyskującego materiału ze ściśle tkanych włókien. Na szyi miała łańcuszek z ogromnym, błyszczącym wisiorem opadającym na piersi, a na wysokim czole opaskę z misternej, złotej plecionki. Ciemne i lśniące, włosy sczesane ciasno do tyłu dodawały rysom dramatyzmu. Wargi miała jaskrawoczerwone, a oczy mocno umalowane. Otaczała ją niewidzialna chmura perfum.

Panna Fellowes przyglądała jej się z niesmakiem. Trudno było sobie wyobrazić, jak doktor Hoskins mógł chociaż przez ułamek sekundy uważać ją za potencjalną opiekunkę Timmie'ego. Ta kobieta była pod każdym względem przeciwieństwem jej samej, Edith Fellowes. I z jakiego to powodu, zastanawiała się dalej panna Fellowes, ta Mariannę Levien w ogóle interesowała się tą posadą? Przecież ta posada wymagała odizolowania się od świata i bezwarunkowego poświęcenia. A Levien, jak było wiadomo pannie Fellowes, była zawsze w ruchu, wiecznie uganiała się po całym świecie, jeżdżąc na konferencje naukowe i wygłaszając tam opinie, które ludzie z jakim takim doświadczeniem uważali za kontrowersyjne i wprowadzające zamieszanie. Levien miała mnóstwo zaskakujących pomysłów dotyczących posługiwania się nowoczesnymi technikami rehabilitacji trudnych dzieci, sądziła, że cudowna, lśniąca, futurystyczna maszyneria może zastąpić zwykłą miłość i poświęcenie, dzięki którym ludzie radzili sobie z takimi dziećmi na przestrzeni dziejów.

No a poza tym była biegłym politykiem. Wiecznie zasiadała w jakichś komitetach, pełniła rolę konsultanta różnych wpływowych

instytucji i pojawiała się w różnych miejscach we wszelkich możliwych rolach. Rzucała się w oczy i robiła błyskawiczną karierę. Jeżeli rzeczywiście starała się o posadę, którą w końcu dostała panna Fellowes, to musiała ją postrzegać jako trampolinę pozwalającą się odbić i podskoczyć o wiele wyżej.

Ja chyba jestem bardzo staroświecka, pomyślała panna Fellowes. Bo widziałam w tym wyłącznie szansę zrobienia czegoś dobrego dla wyjątkowego małego chłopca potrzebującego niezwykle dużo miłości i troski.

Timmie wyciągnął rękę w stronę lśniącej metalicznie sukni Mariannę Levien. Oczy błyszczały mu z zachwytu.

— Ładne — powiedział.

Mariannę Levien szybko cofnęła się poza zasięg jego ręki.

— Co on powiedział?

— Podziwia pani suknię — odparła panna Fellowes. — Chce jej tylko dotknąć.

— Wolałabym, żeby tego nie robił. Materiał jest delikatny.

— Więc niech pani lepiej uważa. Bo on jest bardzo szybki.

— Ładne — powtórzył Timmie. — Chcieć!

— Nie, Timmie. Nie. Nie wolno dotykać.

— Chcieć!

— Przykro mi, ale nie. NIE.

Timmie spojrzał na nią niezadowolony. Lecz nie wyciągnął ponownie ręki w stronę Mariannę Levien.

— Czy on panią rozumie? — spytał Mannheim.

— Przecież nie dotyka sukni, prawda? — odrzekła panna Fellowes, uśmiechając się.

— A pani jego rozumie?

— Czasami. Przeważnie.

— Te jego pomruki-powiedziała Mariannę Levien. — Co one mogły znaczyć, jak pani myśli?

— Powiedział: „ładne". To znaczy pani suknia. A potem powiedział: „chcieć!" To znaczy: chciał jej dotknąć.

— To on mówił po angielsku? — spytał zaskoczony Mannheim. — Nie domyśliłbym się tego.

— Jego artykulacja nie jest dobra… prawdopodobnie z jakichś przyczyn fizjologicznych. Ale ja go rozumiem. Jego słownictwo obejmuje… no jakieś sto angielskich słów, a może trochę więcej. Codziennie uczy się kilku nowych. Teraz sam je sobie przyswaja, ja mu ich specjalnie nie wbijam do głowy. Zdają sobie państwo sprawę, że on ma prawdopodobnie cztery lata. Mimo że zaczął tak późno, osiągnął poziom kompetencji językowej, jakiego można się spodziewać u dziecka w jego wieku, i szybko robi postępy.

— Mówi pani, że poziom kompetencji językowej u dziecka

neandertalskiego jest taki sam jak u dziecka ludzkiego? — spytała Mariannę Levien.

— On j e s t ludzkim dzieckiem.

— Tak. Tak, oczywiście. Ale jest inny. Reprezentuje przecież odrębny podgatunek. I dlatego należałoby się spodziewać różnic w uzdolnieniach intelektualnych tak znacznych jak różnice w wyglądzie fizycznym. Nader prymitywna budowa twarzy…

— Ona nie jest wcale prymitywna, proszę pani — powiedziała panna Fellowes ostro. — Jeżeli pani chce zobaczyć twarz antropoida, niech się pani przyjrzy szympansowi. Timmie ma pewne niezwykłe cechy anatomiczne, ale…

— To pani użyła słowa „antropoid", a nie ja — odrzekła Mariannę Levien.

— Ale pani to miała na myśli.

— Panno Fellowes! Pani doktor! Proszę! Nie ma powodu, żeby się tak kłócić.

Pani doktor? — pomyślała panna Fellowes, spoglądając na Hoskinsa. No tak, tak, pewnie tak.

— Te małe pomieszczenia… — powiedział Mannheim, rozglądając się. — Czy to cała przestrzeń życiowa chłopca?

— Tak — odrzekła panna Fellowes. — Tam jest jego sypialnia i pokój do zabaw. Posiłki je tutaj, a tam znajduje się jego łazienka. Ja mam tutaj swój pokój, a to jest magazyn.

— On nigdy nie wychodzi?

— Nie — powiedziała panna Fellowes. — Znajdujemy się pod kopułą będącą częścią pola statycznego. On jej nigdy nie opuszcza.

— No to żyje w zamknięciu, zgodzą się państwo?

— To zamknięcie jest absolutną koniecznością — powiedział Hoskins szybko, zbyt szybko. — Są po temu przyczyny techniczne związane z kumulacją potencjału temporalnego, która nastąpiła, gdy chłopiec przemieszczał się w czasie. Gdyby to państwa interesowało, mógłbym sprawę wyjaśnić szczegółowo. Mówiąc krótko, problem sprowadza się do tego, że koszt energii związany z przekroczeniem przez chłopca granicy pola statycznego byłby bardzo wielki.

— Więc, chcąc oszczędzić trochę pieniędzy, macie zamiar trzymać go w nieskończoność w tych trzech małych pokojach? — spytała Mariannę Levien.

— Nie trochę pieniędzy, pani doktor — powiedział J Hoskins, który wyglądał na bardzo zgnębionego. — Powiedziałem, że koszt byłby bardzo wielki. A poza tym chodzi nie tylko o koszt. Przemieszczenie chłopca spowodowałoby problemy energetyczne dla całego obszaru energetycznego. Nie ma problemu, kiedy granice przekraczam ja, czy pani czy panna Fellowes, ale dla Timmie'ego byłoby to… no niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

— Jeżeli nauka potrafi opracować metodę sprowadzania dziecka z przeszłości odległej o czterdzieści tysięcy lat — powiedziała pompatycznie Mariannę Levien — to potrafi też opracować metodę umożliwiającą mu chodzenie po korytarzu znajdującym się poza jego obecnym mieszkaniem.

— Chciałbym, żeby tak było, pani doktor — powiedział Hoskins.

— Więc dziecko jest na zawsze przywiązane do tych pomieszczeń — stwierdził Mannheim. — I o ile dobrze pana zrozumiałem, nie prowadzi się obecnie żadnych badań — zmierzających do rozwiązania tego problemu?

— Tak, dobrze pan zrozumiał. Jak usiłowałem wyjaśnić, me można tego zrobić w realnym świecie, w którym egzystujemy. Chcemy, żeby chłopcu było dobrze, ale nie możemy przeznaczyć naszych środków na pracę nad nierozwiązywalnymi problemami. Jak już mówiłem, mogę państwu później przedstawić pełną analizę techniczną. Jeżeli państwo tego chcą.

Mannheim kiwnął głową. Wyglądało na to, że sprawdza listę problemów, którą ma w pamięci.

— Na jakiej chłopiec jest diecie? — chciała wiedzieć Mariannę Levien.

— Pragnęłaby pani sprawdzić, co jest w spiżarni? — zapytała panna Fellowes bardzo uprzejmie.

— Tak. Właściwie tak. Proszę mi to umożliwić. Panna Fellowes szerokim gestem wskazała duże zamrażarki.

Przypatrz się dobrze, pomyślała. Sądzę, że ci się to spodoba.

Rzeczywiście Mariannę Levien wydawała się zadowolona z tego, co zobaczyła. A zobaczyła fiolki i ampułki, i zakraplacze, i urządzenia miksujące. Zobaczyła cały nieludzki zestaw syntetycznych pokarmów, które doktor Jacobs i jego współpracownicy stanowczo zalecili Timmie'emu wbrew gwałtownym protestom panny Fellowes uważającej je za coś, co nie przypomina zdrowego jedzenia. Mariannę Levien buszowała wśród półek z syntetyczną żywnością, patrząc na nie z widoczną aprobatą. No tak, to jest właśnie ten superfuturystyczny styl, który jej się podoba, pomyślała gniewnie panna Fellowes. Sama prawdopodobnie je tylko syntetyczne pokarmy. Jeżeli w ogóle coś je.

— Nie mam zastrzeżeń — powiedziała po pewnym czasie Mariannę Levien. — Wasi specjaliści od żywienia najwyraźniej wiedzą, co robią.

— Chłopiec wygląda na zdrowego — zauważył Mannheim. — Ale niepokoi mnie ta przymusowa samotność, w jakiej żyje.

— Tak — zawtórowała mu Mariannę Levien. — Mnie też to niepokoi. Bardzo.

— Już samo to, że został pozbawiony środowiska plemiennego, w którym się urodził, jest złe — powiedział) Mannheim. — A to, że jest

całkowicie pozbawiony towarzystwa, napawa mnie najwyższą troską.

— A ja się nie liczę jako towarzystwo? — spytała panna i Fellowes dość opryskliwie. — Jestem z nim właściwie przez j cały czas.

— Ja mówiłem o kimś, kto byłby w podobnym wieku. Mówiłem o towarzyszu zabaw. Ten eksperyment ma trwać j dość długo, prawda panie doktorze?

— Pragniemy dowiedzieć się od Timmie'ego jak najwięcej na temat epoki, z której pochodzi. Kiedy jego znajomość angielskiego się poprawi — a panna Fellowes zapewnia mnie, że zaczyna mówić dość płynnie, mimo że niektórym z nas trudno jest dokładnie zrozumieć, co mówi…

— Innymi słowy, panie doktorze, zamierzacie państwo trzymać go tu przez parę lat, tak? — zapytała Mariannę Levien.

— Tak, to możliwe.

— Zamkniętego bez przerwy w paru małych pokojach? — odezwał się Mannheim. — I bez żadnych kontaktów z rówieśnikami? Czy uważacie państwo, że to jest życie dla zdrowego chłopca?

Wzrok Hoskinsa szybko przeniósł się z Mariannę Levien na Mannheima i z powrotem. Hoskins wyglądał jak człowiek oblegany przez przeważającą liczbę przeciwników.

— Panna Fellowes poruszyła już ten problem — powiedział. — Mówiliśmy o tym, że Timmie powinien mieć towarzysza zabaw. Zapewniam państwa, że nie pragniemy, paraliżować rozwoju emocjonalnego chłopca, ani szkodzić mu w żaden inny sposób.

Panna Fellowes spojrzała na niego zdziwiona. Poruszała ich problem, to prawda. Ale nic z tego nie wynikło. Od czasu nie zakończonej żadnym wnioskiem rozmowy w kafeterii Hoskins nic na ten temat nie wspominał, nijak nie zareagował na jej prośbę o towarzysza zabaw dla Timmie'ego. Wtedy, podczas tej rozmowy, uznał ten pomysł za niemożliwy do zrealizowania i był tak zaskoczony jej prośbą, że panna Fellowes wahała się, czy ma podnieść tę kwestię po raz drugi. Jak na razie Timmie zupełnie dobrze radził sobie sam. Ale ostatnio panna Fellowes zaczęła zastanawiać się nad przyszłością i uznała, że skoro Timmie lak dobrze przystosowuje się do współczesnego życia, to trzeba będzie wkrótce jeszcze raz porozmawiać o tym z Hoskinsem.

A teraz uprzedził ją Mannheim, za co panna Fellowes była mu niezmiernie wdzięczna. Orędownik dzieci miał najzupełniejszą rację. Timmie'ego nie można tak tu trzymać w samotności jak jakąś małpę. Timmie nie jest małpą. Zresztą nawet goryl czy szympans nie czułby się dobrze, gdyby był tak kompletnie odcięty od rówieśników.

— A więc zajmowaliście się już państwo tą sprawą — powiedział Mannheim. — Skoro tak, to chciałbym wiedzieć, jakie zrobiliście

postępy.

Jego ton nagle przestał być taki uprzejmy.

— Jeżeli chodzi o sprowadzenie drugiego neandertalczyka w nasze czasy — powiedział Hoskins tonem zdradzającym wzburzenie — co sugerowała początkowo panna Fellowes, to muszę państwu powiedzieć, że my po prostu nie zamierzamy…

— Drugiego neandertalczyka? O nie, panie doktorze — zaprotestował Mannheim. — Wcale tego byśmy nie chcieli.

— Już samo to, że jego tu się więzi, stanowi bardzo poważny problem — powiedziała Mariannę Levien. — t Schwytanie drugiego skomplikowałoby tylko sprawę.

Hoskins spojrzał na nią ze złością. Po twarzy spływał) mu pot.

— Powiedziałem, że nie zamierzamy sprowadzać drugiego neandertalczyka — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Nigdy nie rozważaliśmy tej możliwości. Nigdy! Z wielu różnych powodów. Kiedy panna Fellowes po raz pierwszy o tym wspomniała, powiedziałem jej…

Mannheim i Mariannę Levien spojrzeli na siebie. Gwałtowność, z jaką nagle Hoskins zaczął mówić, mocno ich zaniepokoiła. Nawet Timmie chyba trochę się przestraszył, gdyż przytulił się do panny Fellowes, jakby szukał ochrony.

— Wszyscy zgadzamy się — powiedział Mannheim' gładko — że sprowadzenie drugiego neandertalczyka to z rozwiązanie. Wcale nie o to nam chodzi. Chcemy natomiast, wiedzieć, czy można by Timmie'emu zapewnić towarzystwo… no, jak to powiedzieć… nie ludzkiego dziecka, bo Timmie sam jest człowiekiem, ale dziecka nam współczesnego. Współczesnego towarzysza zabaw. Dziecka z naszej epoki.

— Dziecka, które odwiedzałoby go regularnie — powiedziała Mariannę Levien — i dostarczyłoby mu takich! bodźców rozwojowych, które przyczyniłyby się do jego i asymilacji socjokulturowej. A wszyscy zgadzamy się, że taka asymilacja jest potrzebna.

— Chwileczkę — warknął Hoskins. — Jaka asymilacja? j Czy państwo wyobrażają sobie, że Timmie w przyszłości' będzie wiódł wygodne życie w jakimś podmiejskim osiedlu? j Że złoży podanie o obywatelstwo amerykańskie, zostanie] członkiem jakiegoś kościoła, osiedli się i ożeni? Muszę państwu przypomnieć, że mamy tu do czynienia z dzieckiem prehistorycznym pochodzącym z epoki tak odległej, że nie możemy nawet nazwać jej barbarzyńską. Mamy do czynienia z dzieckiem z epoki kamienia, z gościem z czegoś, co pani, pani doktor, określiła słusznie jako „inny świat". I państwo myślą, że on stanie się…

— Nie chodzi nam o hipotetyczne ubieganie się o obywatelstwo i

przynależność do jakiegoś kościoła — przerwała chłodno Mariannę Levien — ani o żadną inną reductio ad absurdum. Timmie jest jeszcze dzieckiem i panu Mannheimowi i mnie chodzi o jakość jego dzieciństwa. Warunki, w jakich jest obecnie przetrzymywany, są nie do przyjęcia. Jestem pewna, że byłyby nie do przyjęcia w jego własnym społeczeństwie, mimo całej inności tamtego świata. Każde znane nam społeczeństwo ludzkie, bez względu na to, jak odległe od naszych byłyby jego paradygmaty i parametry, zapewnia swoim dzieciom prawo do integracji z ich matrycą społeczną. A my w żaden sposób nie możemy uznać, że warunki, w jakich żyje obecnie Timmie, zapewniają mu taką matrycę społeczną.

— Co oznacza — powiedział Hoskins kwaśno — mówiąc słowami zrozumiałymi dla skromnego fizyka, że uważa pani, pani doktor, że Timmie powinien mieć towarzysza zabaw.

— Nie „powinien” — odparła Mariannę Levien — tylko „musi”.

— Obawiam się, że będziemy się upierali przy tym, że towarzystwo jest dla dziecka sprawą zasadniczą — powiedział Mannheim tonem mniej wojowniczym niż jego koleżanka.

— Zasadniczą — powtórzył ponuro Hoskins.

— Zapewnienie mu towarzystwa to minimum, to pierwszy krok — powiedziała Mariannę Levien. — Nie oznacza to, że mamy zamiar uznać, że trzymanie chłopca w zamknięciu przez dłuższy czas jest rzeczą do przyjęcia czy też taką, na którą można wyrazić zgodę. Sądzimy jednak, że chwilowo przynajmniej możemy zrezygnować z naszych innych obiekcji i zezwolić na kontynuowanie eksperymentu, prawda panie Mannheim?

— Zezwolić! — krzyknął Hoskins.

— Pod warunkiem — ciągnęła spokojnie Mariannę Levien — że Timmie’emu umożliwione zostaną regularne emocjonalnie pozytywne kontakty z rówieśnikami.

Hoskins spojrzał w stronę panny Fellowes, jakby oczekiwał, że pomoże mu odeprzeć ten zaciekły atak. Ale panna Fellowes nie była w stanie mu pomóc.

— Muszę się z tym zgodzić, panie doktorze — powiedziała, czując się jak zdrajczyni. — Przez cały czas byłam tego samego zdania. A teraz sprawa staje się pilna. Chłopiec radzi sobie bardzo dobrze. Ale zbliża się moment, w którym życie w tej pustce społecznej zacznie być dla niego bardzo szkodliwe. A skoro nie będzie żadnych dzieci z jego własnego podgatunku, to…

Hoskins odwrócił się i stanął z nią twarzą w twarz. Najwyraźniej chciał powiedzieć: I pani przeciwko mnie?

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Timmie, którego zaniepokoiła ta hałaśliwa dyskusja, przytulił się mocniej do panny Fellowes.

— Więc takie są państwa warunki? — Powiedział w końcu Hoskins. — Ma być towarzysz zabaw albo napuścicie na mnie hordy protestujących, tak?

— My niczym panu nie grozimy, panie doktorze — odrzekł Mannheim. — Ale nawet pana współpracownicami panna Fellowes, widzi potrzebę wprowadzenia w życie naszego zalecenia.

— W porządku. I sądzą państwo, że łatwo będzie znaleźć ludzi, którzy z radością pozwolą swoim dzieciom przychodzić tutaj i bawić się z małym neandertalczykiem, tak? Że to będzie łatwe, mimo że wśród ludzi panuje przekonanie, że neandertalczycy byli okropnie dzicy i prymitywni?

— Nie powinno to być trudniejsze — odparł Mannheim — niż sprowadzenie małego neandertalczyka do dwudziestego pierwszego wieku. Właściwie to myślę, że powinno to być o wiele łatwiejsze.

— Mogę sobie wyobrazić, co na to powie nasz prawnik. Już koszt ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej… przyjmując oczywiście, że znajdziemy kogoś, kto będzie tak szalony, że pozwoli swojemu dziecku przebywać pod kopułą razem z Timmiem…

— Timmie wcale nie wygląda na takiego dzikiego — powiedział Mannheim. — Właściwie jest całkiem łagodny. Prawda, panno Fellowes?

— Jak już wcześniej powiedziała panna Fellowes — odezwała się Mariannę Levien z fałszywą słodyczą — nie wolno nam uważać Timmie'ego za istotę, która jest mniej niż człowiekiem. On ma tylko pewne niezwykłe cechy fizyczne.

— A więc oczywiście byłaby pani zachwycona, gdyby pani własne małe dziecko przychodziło tutaj i bawiło się z nim — powiedział Hoskins. — Tylko że pani nie ma własnych dzieci, prawda pani doktor? Nie, oczywiście że pani ich nie ma. A pan, panie Mannheim? Czy ma pan małego synka, którego by nam pan na ochotnika polecił?

Wyglądało na to, że Mannheima ubodło to pytanie.

— To, czy ja mam dzieci, czy ich nie mam, nie ma nic do rzeczy, panie doktorze — powiedział kategorycznie. — Ale zapewniam pana, że gdybym miał szczęście je mieć, to nie zawahałbym się zaoferować swojej pomocy. Rozumiem, że z niechęcią odnosi się pan do tego, co pan uważa za ingerencję z zewnątrz. Ale przenosząc Timmie'ego do naszej epoki, pominął pan prawo. Teraz przyszedł czas na wzięcie pod uwagę wszystkich implikacji tego, co pan zrobił. Nie może pan trzymać chłopca w zamknięciu i w izolacji tylko dlatego, że odbywa się tu eksperyment naukowy. Nie może pan, panie doktorze.

Hoskins zamknął oczy i kilka razy odetchnął głęboko.

— W porządku — powiedział w końcu. — Dość już o tym. Przyznaję państwu rację. Znajdziemy Timmie'emu towarzysza zabaw. Gdzieś go znajdziemy. Jakoś go znajdziemy. — W jego oczach nagle

zapłonął gniew. — Inaczej niż państwo, ja mam dziecko. Syna. I jeżeli to się okaże konieczne, przyprowadzę je tutaj, żeby się zaprzyjaźniło z Timmiem. Przyprowadzę własnego syna, jeżeli będę musiał. Czy to wystarczająca gwarancja? Timmie nie będzie już samotny i nieszczęśliwy. W porządku? Dobrze? — Hoskins spojrzał na nich ze złością. — A teraz, kiedy to już ustaliliśmy, czy mają państwo jeszcze jakieś prośby? Czy możemy już wreszcie prowadzić naszą pracę naukową w spokoju?

5. Inni

Schodząc ze wzgórza, Ta Która Wie czuła, że farba wojenna pali jej skórę pod szatą, że pali ją jak ogień. Gdyby miała odwagę, zeszłaby ze wzgórza naga i pokazała im wszystkim, jak jest pomalowana — pokazałaby i Innym, i mężczyznom z własnego plemienia, zwłaszcza mężczyznom z własnego plemienia. Niech wiedzą, że kobieta może się pomalować tak jak mężczyzna i niech do nich dotrze, że Ta Która Wie potrafi zaatakować wroga, jeżeli oni, wojownicy, nie zdecydują się tego zrobić.

Ale oczywiście nie mogła zejść naga. Kobieta zakrywa dolne części swego ciała i odkrywa je tylko wtedy, gdy odprawia rytuał łączenia się w parę — taka jest zasada. Gdyby miała opaskę na biodrach jak mężczyźni, mogłaby przynajmniej pójść na bitwę z odkrytą piersią, tak jak oni, i pokazać wrogom, jak jest pomalowana. Ale nie miała opaski na biodra. Miała tylko szatę, a ta przykrywała wszystko. No tak, ale będzie mogła ją rozchylić, kiedy stanie twarzą w twarz z Innymi. Wtedy oni poznają po kolorach, że stoi przed nimi wojownik, prawdziwy wojownik — chociaż z piersiami.

Słyszała za sobą wołanie Srebrnego Obłoku — daleko na ścieżce prowadzącej do doliny. Nie zwróciła na nie uwagi i poszła dalej.

Mężczyźni z Drużyny Wojowników widzieli, że się do nich zbliża. Wciąż znajdowali się w tej idiotycznej sytuacji, tkwili w martwym punkcie, mając przed sobą stojących w szeregu Innych. Ale kiedy do nich podchodziła, odwrócili głowy i popatrzyli na nią zdziwieni.

— Wracaj, Ta Która Wie — krzyknął do niej Płonące Oko. — To nie jest miejsce dla kobiety.

— Ty mnie nazywasz kobietą, Płonące Oko? Sam jesteś kobietą! Wszyscy jesteście kobietami! Nie widzę tu wojowników. To wy wracajcie, jeżeli boicie się walczyć.

— Co ona tu robi? — zapytał Drzewo Wilków, nie zwracając się właściwie do nikogo.

— Ona jest szalona — odezwał się Młoda Antylopa. — Zawsze była.

— Wracaj! — krzyczeli mężczyźni. — Odejdź od nas! To jest wojna, kobieto! To jest wojna!

Ale teraz nikt nie był zdolny jej zawrócić. Ich gniewne okrzyki brzmiały w jej uszach jak brzęczenie nieszkodliwych owadów.

Ta Która Wie doszła do końca ścieżki i skierowała się ku sanktuarium. Grunt był tu jak gąbka. To z powodu trzech rzek pod ziemią musi płynąć woda, pomyślała. Jej bose stopy zanurzały się w zimną, wilgotną, ustępującą ziemię.

Za jej plecami słońce przesuwało się coraz wyżej i wyżej.

Znajdowało się teraz ponad szczytem wzgórza, na którym obozował Lud. Małe, białe srebro księżyca, widoczne przedtem, teraz zniknęło. Wiatr wiał w twarz Tej Która Wie. Był rześki i ostry. Uderzał, jakby ją policzkowi. Ta Która Wie szła naprzód, aż wreszcie znalazła się w pobliżu stojących w szeregu mężczyzn z Drużyny Wojowników.

Nikt nawet nie drgnął. Inni stali nieco dalej — nieruchomo jak posągi. Ten Co Schwytał Ptaka w Zaroślach znajdował się na końcu szeregu, najbliżej niej.

— Daj mi swoją włócznię — powiedziała do niego Ta Która Wie.

— Odejdź — odparł Ten Co Schwytał Ptaka w Zaroślach. Jego głos zabrzmiał jak głos człowieka, którego ktoś dusi.

— Potrzebna mi włócznia. Czy chcesz, żebym stanęła przed Innymi bez włóczni?

— Odejdź.

— Spójrz! Jestem pomalowana na wojenne kolory! Rozchyliła szatę. Widać pod nią było jej piersi zuchwale ochlapane niebieską farbą.

— Jestem dzisiaj wojownikiem. A wojownikowi potrzebna jest włócznia!

— To ją sobie zrób.

Ta Która Wie splunęła i minęła go.

— Ty, Młoda Antylopo! Daj mi swoją. Tobie ona niepotrzebna.

— Jesteś szalona, kobieto.

Drzewo Wilków zrobił krok do przodu i chwycił Tę Która Wie za łokieć.

— Słuchaj — powiedział — nie możesz tutaj zostać. Tu będzie wojna.

— Wojna? Kiedy? Wy tu tylko stoicie i głupio pohukujecie. A oni robią to samo. Oni są takimi samymi tchórzami jak wy. Dlaczego nie zaczynacie walczyć?

— Ty się na tym nie znasz — powiedział z oburzeniem Drzewo Wilków.

— Nie. Chyba nie.

Bez sensu było prosić któregokolwiek z nich o broń. Żaden nie miał zamiaru dać jej swojej włóczni. Wszyscy trzymali je mocno, pamiętając bez wątpienia o tym, że Ta Która Wie chwyciła kiedyś włócznię Płonącego Oka i groziła mu nią. Była to profanacja. Płonące Oko musiał później zrobić sobie nową włócznie. Cuchnący Wół Piżmowy powiedział mu, że nie może brać udziału w bitwie z bronią, która znalazła się w ręku kobiety, więc Płonące Oko, klnąc i pomrukując, spalił starą włócznię i zrobił sobie nową. Ale po co mu nowa włócznia — zadawała sobie pytanie Ta Która Wie — skoro jest zbyt bojaźliwy na to, aby jej użyć?

— Świetnie. Poradzę sobie bez włóczni.

Odwróciła się i zrobiła dwa czy trzy kroki w stronę stojących w szeregu Innych, którzy patrzyli na nią tak, jakby była demonem o trzech głowach i sześciu kłach.

— Hej wy! Inni! Spójrzcie tu, popatrzcie na mnie! Patrzyli na nią z otwartymi ustami. A ona rozchyliła znowu szatę i pokazała im pomalowane piersi.

— Jestem wojownikiem Bogini — powiedziała. — To właśnie oznaczają te malunki. Bogini rozkazuje wam opuścić to miejsce. To jest jej sanktuarium. Zbudowaliśmy je dla niej. Wy nie macie tu nic do roboty.

Inni wciąż patrzyli zdumieni.

Wzrok Tej Która Wie pobiegł wzdłuż ich szeregu i z powrotem. Wszyscy Inni byli wysocy i bladzi, mieli bujne j czarne włosy, które po bokach zwisały poniżej ich ramion, a z przodu były krótko przycięte nad czołami. Widocznie Inni celowo chcieli pokazać ohydne, płaskie, wysokie sklepienia swych czaszek.

Ich ręce były długie i cienkie, podobnie jak nogi. Usta| mieli małe, ich niewielkie nosy wyglądały idiotycznie, a podbródki sterczały im obrzydliwie do przodu. Szczęki, mieli słabe, a oczy bezbarwne. Kiedy tak na nich patrzyła, powróciły do niej wspomnienia. Zobaczyła jeszcze raz chudego, wymizerowanego Innego, którego spotkała przy otoczonym skałami stawie, dawno temu, kiedy była młodą dziewczyną. Ci mężczyźni wyglądali tak jak on. Nie odróżniała ich, nie odróżniała też żadnego z nich od tego, którego spotkała przed laty. Wydało jej się, że on tutaj dzisiaj jest, ten znad stawu. A potem uświadomiła sobie, że to niemożliwe, gdyż wszyscy ci mężczyźni wyglądali młodo, a on musiał już być stary, prawie tak stary jak ona.

— Ależ wy jesteście brzydcy — powiedziała do nich. — Jesteście tacy bladzi i macie takie głupie miny! Dlaczego węszycie wokół sanktuarium Bogini? Bogini was nie stworzyła! Zostaliście zrobieni z łajna nosorożca przez jakąś hienę!

Inni wciąż patrzyli na nią oszołomieni.

Ta Która Wie zrobiła następny krok w ich stronę. Wykonała też w ich stronę ruch ręką, tak jakby chciała usunąć ich z miejsca znajdującego się w sąsiedztwie sanktuarium.

Jeden z Innych coś powiedział.

Tak przynajmniej jej się zdawało. Wydobył z siebie długi szereg jakichś stłumionych, ochrypłych dźwięków. Wytwarzał je tak jakby jego język przymocowany był nie tym końcem co trzeba. Był to po prostu taki hałas — bez odrobiny sensu.

— Czy nie możesz mówić, jak trzeba? — spytała Ta Która Wie. — Nie można cię zrozumieć. Niech mówi ktoś inny, jeżeli ty nie potrafisz.

Inny odezwał się znowu. To, co mówił, było tak samo

niezrozumiałe jak to, co wypowiedział przedtem.

— Nie — odezwała się Ta Która Wie. — Nie wiem, co usiłujesz powiedzieć.

Podeszła bliżej i odwróciła się tak, że stała teraz twarzą do przeciwległego końca szeregu.

— Ty — powiedziała do mężczyzny stojącego na końcu. — Czy potrafisz mówić lepiej niż tamten?

Wskazała go palcem i klasnęła w dłonie. Mężczyzna otworzył szeroko oczy i wymamrotał coś niewyraźnie.

— Używaj słów! — rozkazała mu Ta Która Wie. — Nie wydawaj tych idiotycznych dźwięków! Czy wszyscy jesteście niemądrzy? — Jeszcze raz wskazała palcem tego samego Innego. — Mów! Słowami! Czy żaden z was nigdy się nie uczył, jak się mówi słowami?

Inny wydobył z siebie ten sam dźwięk.

— Jesteście nie tylko brzydcy, ale i głupi — powiedziała Ta Która Wie, kręcąc głową. — Jesteście wytworami hien. Jesteście zrobieni z łajna nosorożca.

Byli zmieszani. Żaden się nie ruszył.

Ta Która Wie minęła ich i poszła do sanktuarium. Wody trzech rzek nadbiegały ze wszystkich stron, rozpryskiwały się wysoko. Lud zbudował sanktuarium dokładnie w miejscu spotkania trzech rzek, pod odsłoniętą skałą wznoszącą się ponad wodą. Kobieta Bogini pełzała wśród lodowatej piany, układając wzór z kamieni i piętrząc między nimi płytki ze specjalnej lśniącej skały. Ta Która Wie, podchodząc teraz do sanktuarium, widziała kreski Bogini wydrapane na kamieniu przez kapłanki; pięć w tę stronę, trzy w tamtą, a trzy w jeszcze inną. Ale z kreskami coś się stało. Ktoś, kto nie pochodził z Ludu, obrysował każdą grupę kresek kolistą linią głęboko wdzierającą się w skałę i dodał nad nimi inne figury — dziwne, nieprzyjemnie, wyglądające symbole, malowane symbole, które wiły się jak coś, co człowiek widuje w złych snach. Namalowano też kilka zwierząt: zgarbionego mamuta z dużą głową, wilka i jakieś stworzenie, którego Ta Która Wie nie rozpoznawała. Musi to być robota Innych, pomyślała Ta Która Wie. Lud używał farb do malowania ciała kiedy istniała taka potrzeba, ale nigdy nie malował symboli na skałach. Nigdy. A malowanie obrazów przedstawiających zwierzęta było po prostu głupotą. Mogło rozgniewać duchy malowanych zwierząt, wskutek czego zwierząt takich nigdy więcej nie dałoby się upolować.

— Co wyście zrobili, wy plugawe bestie? To jest sanktuarium Bogini, a wy je sprofanowaliście. Sanktuarium Bogini, rozumiecie? Sanktuarium Bogini — powtórzyła, gdyż nic nie wskazywało na to, że zrozumieli.

Patrzyli oczami bez wyrazu. Wzruszali ramionami.

Ta Która Wie wskazała ziemię i niebo — wykonała uniwersalne

gesty oznaczające Boginię. A potem dotknęła własnych piersi, łona, bioder — co oznaczało, że została stworzona na obraz i podobieństwo Bogini. Z pewnością zrozumieją te gesty. Tak, na pewno.

Ale oni dalej tylko na nią patrzyli.

— Warn brak mądrości, tak, brak wam jej! — krzyknęła. — Głupcy! Głupcy! Jesteście stadem bezrozumnych zwierząt!

Wspięła się na skały, ślizgając się na ich mokrej powierzchni. W pewnej chwili omal nie wpadła do rwącej rzeki. Gdyby tak się stało, zginęłaby. Ale na szczęście złapała się wystającego odprysku skalnego i zatrzymała się. Kiedy podeszła do sanktuarium, wyciągnęła rękę i postukała palcem w malowidło przedstawiające mamuta.

— Źle! — krzyknęła. — Zło! Świętokradztwo! Zmoczyła palec i potarła nim namalowany farbą obraz.

Zamazała go.

Teraz Inni wyglądali na zaniepokojonych. Patrzyli po sobie, mamrotali coś, kręcili się na miejscu, szurając nogami.

— To nie jest miejsce na wasze malowidła! — krzyknęła Ta Która Wie. — To jest nasze sanktuarium! To my zbudowaliśmy je dla Niej! I przyszliśmy tutaj, by oddać jej cześć i poprosić o radę.

Skrobała malowidło pracowicie, aż w końcu nic z niego nie zostało poza niechlujnie wyglądającymi resztkami farby. Chciała zetrzeć pozostałe rysunki, lecz nie mogła do nich dosięgnąć — miała za krótkie ręce. Tylko podobne do nóg pająka ręce Innych były w stanie sięgnąć tak daleko.

Ale była zadowolona z tego, że dała im do zrozumienia, co ma na myśli. Zeszła na dół i wróciła tam, gdzie dwa szeregi wojowników wciąż stały naprzeciwko siebie.

— Rozumiecie? — spytała Innych. — To jest nasze sanktuarium! Nasze!

Poszła w ich stronę, podeszła prosto do nich — bez strachu. Oni poruszyli się z zakłopotaniem, ale żaden nie podniósł włóczni. Bali się jej — wiedziała o tym. Była świętą kobietą, kobietą, w której wnętrzu mieszkała Bogini. Nie śmieli stawić jej oporu.

Spojrzała im gniewnie w twarze. Górowali nad nią, wysocy jak drzewa, wysocy jak góry. Wskazała palcem na zachód.

— Wracajcie tam, do własnego kraju — powiedziała. — Zostawcie nas. Pozwólcie nam w spokoju składać nasze ofiary, wy ohydne, śmierdzące zwierzęta! Wy durnie! Wy głupie bestie!

Chwyciła najbliżej stojącego Innego i popchnęła go w stronę, w którą przedtem wskazywała. Inny wyrwał się i cofnął o kilka kroków. Zrobiła taki gest, jakby go wyganiała.

— No ruszaj się! Ruszajcie się wszyscy!

Krążyła wśród nich jak trąba powietrzna, krzyczała, popychała. Odsuwali się od niej nerwowo, jakby była kimś, kto przynosi zarazę. A

ona szła za nimi, wymachując rękami, krzycząc na nich, wypędzając ich bez niczyjej pomocy z miejsca położonego w najbliższym sąsiedztwie sanktuarium.

Potem zatrzymała się i patrzyła, jak odchodzą. A oni odeszli na odległość jakichś stu pięćdziesięciu kroków, do miejsca, gdzie dwie mniejsze rzeki wyłaniały się zza zakrętu i płynęły między dwiema skalnymi ścianami. Tu się zatrzymali i wtedy, po raz pierwszy, Ta Która Wie zobaczyła, że jest tam ich obozowisko, że w zarośniętym wąwozie znajdują się ich kobiety, dzieci i starcy.

Dobrze, pomyślała. Zostali odpędzeni od sanktuarium. Nie mogła się spodziewać, że osiągnie więcej. Jej osiągnięcie nie było małe. I zrobiła to zupełnie sama. Chociaż nie, nie sama — pomógł jej ogień Bogini, który płonął w niej przez cały czas. Bez tego ognia nigdy by się jej nie udało.

Wróciła do mężczyzn z Drużyny Wojowników.

— No i co? Poradziłam sobie bez niczego! Nawet bez włóczni! — krzyknęła do nich tryumfalnie.

Młoda Antylopa pokręcił głową.

— Jaka ty jesteś szalona! — powiedział, ale popatrzył na nią z takim podziwem, że aż oczy mu zabłysły.

8. Sny

Późnym popołudniem, w kilka godzin po wyjściu Bruce'a Mannheima i Mariannę Levien, Hoskins wrócił do domku dla lalek. Był wymęczony i ponury.

— Czy Timmie śpi? — zapytał. Panna Fellowes kiwnęła głową.

— Zasnął w końcu. Musiałam go długo uspokajać. Odłożyła książkę, którą właśnie czytała, i spojrzała na Hoskinsa dość chłodno. To popołudnie było pełne napięć i męczące, więc panna Fellowes wolałaby teraz mieć już spokój.

— Przykro mi, że to było takie irytujące.

— Rzeczywiście, było dużo krzyku. Więcej niż chłopiec mógł znieść. Czy nie sądzi pan, że tę dyskusję należało przeprowadzić gdzie indziej?

— Przykro mi — powtórzył Hoskins. — Straciłem chyba panowanie nad sobą. Ten człowiek doprowadzi mnie w końcu do ostateczności.

— On nie jest taki okropny, jak się spodziewałam. Myślę, że jemu naprawdę chodzi o dobro Timmie'ego.

— Bez wątpienia. Ale żeby wmeldować się tu tak bez zaproszenia i mówić nam, co mamy robić…

— Chłopcu rzeczywiście potrzebny jest towarzysz zabaw. Hoskins spojrzał na nią przygnębiony. Widać spodziewał się, że dyskusja zacznie się od nowa. Ale zdołał się w porę opanować.

— Tak — powiedział spokojnie. — Rzeczywiście. Nie będę się z panią sprzeczał. Ale skąd mamy wziąć takiego-towarzysza zabaw? Są z tym ogromne problemy.

— To znaczy, że nie mówił pan poważnie, deklarując, że w razie czego przyprowadzi pan tutaj własnego syna?

Hoskins był przerażony. Panna Fellowes pomyślała, że może za bardzo na niego naciska. Ale przecież nie prosiła go, żeby przyszedł tu dzisiaj po raz drugi.

— Czy mówiłem poważnie?… Tak, tak, oczywiście, mówiłem poważnie. Jeżeli nie znajdziemy nikogo innego, to go przyprowadzę. Czy myśli pani, że się boję, iż Timmie mógłby zrobić mojemu synowi coś złego? Obawiam się jednak, że moja żona może mieć pewne zastrzeżenia. Ona będzie uważała, iż to jest ryzykowne. Mnóstwo ludzi z zewnątrz jest zdania, że Timmie to jakiś dziki małpolud. Dzikie stworzenie, które żyło w jaskini i żywiło się surowym mięsem.

— A może dalibyśmy z nim wywiad w sieci subeterycznej — zasugerowała panna Fellowes.

Dziwiła się sama sobie, że proponuje następne wtargnięcie mediów w strefę prywatności Timmie'ego. Jednak jeżeli to mogło

przyczynić się do wykorzenienia przesądów dotyczących chłopca, to może warto było narazić go na ten stres.

— On przecież mówi już po angielsku… Gdyby ludzie o tym wiedzieli…

— Nie sądzę, że to coś da, panno Fellowes.

— Dlaczego?

— Bo jego angielszczyzna jest nie najlepsza. Panna Fellowes nie posiadała się z oburzenia.

— Ależ co pan mówi! Jego zasób słów jest zadziwiająco duży, zwłaszcza jeżeli się zważy, od jakiego poziomu zaczął. No i codziennie uczy się nowych.

W oczach Hoskinsa pojawiło się ogromne zmęczenie.

— Pani jest jedyną osobą, która go rozumie. Dla pozostałych słuchających mógłby równie dobrze mówić po neandertalsku. To, co mówi, jest niezrozumiałe.

— Więc nie słuchacie go państwo uważnie.

— No tak — powiedział Hoskins tonem człowieka znużonego. — Może i nie słuchamy.

Wzruszył ramionami, uciekł wzrokiem w bok i zdawał się popadać w głęboką zadumę. Panna Fellowes wzięła książkę i otworzyła ją na stronie, na której czytała, mając nadzieję, że Hoskins zrozumie tę aluzję. Ale on nie ruszał się z miejsca.

— Gdyby chociaż nie została w to zamieszana ta okropna kobieta! — wybuchnął nagle.

— Mariannę Levien?

— Tak, ten robot.

— Ależ ona z pewnością nie jest robotem!

— No nie, nie jest — powiedział Hoskins, uśmiechając się blado jak człowiek naprawdę zmęczony. — Ona tylko przypomina robota. Tu chłopiec z przeszłości, a tu baba, która wygląda jak przybysz z przyszłości… Pojawia się i chce mi narobić kłopotu. Żałuję, że ją w ogóle poznałem. Mannheim nie jest taki zły. On jest po prostu jednym z tych mętnie myślących facetów martwiących się o sprawy społeczne i mających głowę nabitą wzniosłymi ideałami. Oni wkręcają się wszędzie i chcą naprawiać świat według własnego widzimisię. Tak, to jest taki egzaltowany naprawiacz świata. Ale ta Levien, ta chromowana suka, proszę mi wybaczyć ten język, panno Fellowes…

— Ale ona właśnie taka jest.

— Tak. Tak. Prawda? Panna Fellowes kiwnęła głową.

— Trudno mi uwierzyć, że kobieta taka jak ona była brana pod uwagę, kiedy państwo szukali opiekunki dla Timmie'ego.

— Ona była jedną z pierwszych osób, które złożyły podanie. Bardzo chciała dostać tę pracę. Paliła się do niej.

— Ale ona… tak zupełnie do tej pracy nie pasuje.

— Referencje były wspaniałe. Nie przyjąłem jej z powodu jej osobowości. Bardzo się zdziwiła, że nie dostała tej pracy. No i jakimś trafem związała się z grupą Mannheima. Prawdopodobnie zrobiła to celowo, bo chciała się na mnie odegrać. To taka jej zemsta. „Zemsta jest rozkoszą…" i tak dalej. Będzie go podjudzała, podjudzała bez końca… nakładzie mu do głowy tych wyrażeń ze swojego idiotycznego żargonu, jakby jemu nie wystarczał jego własny psychobełkot. Będzie go namawiała, żeby mnie prześladował…

Hoskins zaczynał podnosić głos.

— Według mnie twierdzenie, że Timmie jest bardzo samotny i że trzeba temu zaradzić, nie jest żadnym prześladowaniem — powiedziała stanowczo panna Fellowes.

— Zaradzimy temu.

— A dlaczego pan myśli, że ona się mści? Mnie się zdaje, że ona po prostu…

— Bo ona naprawdę się mści! — powiedział Hoskins głośniej niż przedtem. — Bo już na samym początku chciała tu się wmeldować i objąć kierownictwo. Ale jej się to nie udało, a teraz chce nas zniszczyć. Ona nie będzie miała litości. Mannheim w porównaniu z nią to człowiek słaby. Można nim manipulować, jeżeli się wie, który guzik nacisnąć. Zadowolą go zapewnienia o dobrych intencjach, zapewnienia, że się z nim zgadzam. Ale ona będzie żądała inspekcji na miejscu co drugi wtorek. I będzie chciała widzieć rezultaty. Zmiany. Takie, które dla nas będą oznaczały ciągłe zamieszanie. Wkrótce zażąda dla Timmie'ego psychoterapii albo zabiegów ortodoncyjnych albo operacji plastycznej, dzięki której chłopak będzie miał ładną, wesołą buzię godną Homo sapiens. Będzie się do nas wciąż wtrącała. Wykorzysta machin? do nadawania sprawom rozgłosu, którą ma do dyspozycji Mannheim, i będzie nas obsmarowywała. Będzie nas przedstawiała jako zwariowanych naukowców, którzy z zimną krwią torturują niewinne dziecko… — Odwrócił się i popatrzył na zamknięte drzwi prowadzące do sypialni Timmie'ego, a potem powiedział ponuro: — W rękach takiej kobiety Mannheim jest bezradny. Ona prawdopodobnie z nim sypia. Zrobiła już z niego swoją własność. W konfrontacji z nią on nie ma szans. Panna Fellowes otworzyła szeroko oczy.

— No wie pan! Jak pan może mówić takie rzeczy?

— Jakie rzeczy?

— No to, że ona i on, że ona wykorzystuje swoje… Nie ma pan żadnego dowodu. Ta sugestia jest nie na miejscu, panie doktorze. Zupełnie nie na miejscu.

— Naprawdę?

Gniew Hoskinsa zniknął w jednej chwili. Doktor spojrzał na pannę Fellowes i uśmiechnął się zawstydzony.

— No tak, chyba ma pani rację. Nie wiem nic na ten temat. Nie mam pojęcia, z kim sypia Mannheim, jeżeli z kimś w ogóle sypia. I nic mnie to nie obchodzi. Nie obchodzi mnie też, z kim sypia ta Levien. Chcę tylko, żeby się od nas odczepili i dali nam spokojnie prowadzić badania. Pani wie, że ja tego chcę. Wie pani także, że zrobiłem wszystko, żeby Timmie był tu szczęśliwy. Ale jestem już taki zmęczony… tak cholernie zmęczony…

Wiedziona impulsem Panna Fellowes podeszła do niego i ujęła jego dłonie. Były zimne. Panna Fellowes trzymała je przez chwilę, pragnąc tchnąć w nie życie i energię.

— Kiedy ostatnio miał pan urlop, panie doktorze?

— Urlop? — Hoskins roześmiał się. — Nie mam chyba pojęcia, co to słowo znaczy.

— Może na tym właśnie polega problem.

— Ja nie mogę brać urlopów, panno Fellowes. Po prostu nie mogę. Jeżeli na chwilę spuszczę to wszystko z oka, będzie się tu działo Bóg wie co. Tuzin różnych Adamewskich zacznie próbować kraść okazy z pola statycznego. Ktoś inny może zacząć eksperymentować bez zezwolenia i zrobić Bóg wie co Bóg wie jakim kosztem. Ktoś może zacząć używać kosztownego wyposażenia do przedsięwzięć, które nie mają racji bytu. Mamy tu sporo dziwaków, a ja jestem jedynym policjantem. Dopóki nie zakończy się ta faza pracy, nie odważę się wziąć urlopu.

— A może chociaż długi weekend? Potrzebny panu odpoczynek.

— Wiem. Bardzo dobrze o tym wiem! Dziękuję pani za troskę. Dziękuję pani za wszystko. W całym tym domu wariatów pani jest jednym z niewielu filarów zdrowia psychicznego i spolegliwości.

— Ale czy pan spróbuje trochę odpocząć?

— Tak, spróbuję.

— I zacznie pan od zaraz? — zapytała. — Zbliża się szósta. W domu czeka na pana żona. I synek.

— Tak — powiedział Hoskins. — Powinienem już iść. I jeszcze raz: dziękuję pani za wszystko, panno Fellowes. Dziękuję. Dziękuję.

* * *

W nocy obudziło ją szlochanie dobiegające z pokoju Timmie'ego. Słyszała je po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Wstała szybko z łóżka i poszła do pokoju chłopca. Już dawno opanowała umiejętność natychmiastowego budzenia się, gdy potrzebowało jej jakieś dziecko.

— Timmie? — zawołała.

Zapaliła nocną lampkę. Timmie siedział w łóżku, patrzył przed siebie szeroko otwartymi oczami i wydawał dziwny, wysoki dźwięk, który był jego szlochaniem. Ale wyglądało na to, że jej nie widzi. Nie zwrócił na nią w ogóle uwagi, kiedy weszła do pokoju, i nie przestawał szlochać.

— Timmie, to ja, panna Fellowes. Usiadła koło niego i objęła go.

— W porządku, Timmie. W porządku! Powoli szlochanie ustało.

Timmie spojrzał na pannę Fellowes tak, jakby nigdy w życiu jej nie widział. Jego oczy były dziwnie szkliste. Wargi miał cofnięte. W półmroku jego znamię odcinało się wyraźnie od policzka. Właściwie panna Fellowes przestała już je zauważać. Jednak teraz jego policzek był blady, jakby odpłynęła z niego krew, i znamię odznaczało się wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem.

On śpi, pomyślała panna Fellowes.

— Timmie?

Zaczął mlaskać, mówić coś po neandertalsku. I mówił nie tyle do niej, ile przez nią do kogoś niewidzialnego, kto stał za nią.

Panna Fellowes przytuliła go i zaczęła nim lekko kołysać z boku na bok, wypowiadając cicho jego imię, nucąc mu. Jego małe ciałko było sztywne jak w transie. Mlaskanie rozlegało się nadal, przerywane dzikimi pomrukami, takimi, jakie wydawał w początkowych tygodniach swego pobytu tutaj. Panna Fellowes przeraziła się, widząc, że powrócił do swego prehistorycznego ja.

— No, no, Timmie, mój malutki, już w porządku, wszystko jest już w porządku, nie ma się czym martwić. Chcesz mleka, co Timmie?

Poczuła, że zrobił się mniej sztywny. Budził się.

— Panna… Fellowes — powiedział, zająkując się.

— Mleka? Trochę ciepłego mleczka?

— Mleko. Tak. Chcieć mleko.

— Chodź — powiedziała, podnosząc go z łóżka, a potem zaniosła go do kuchni.

Nie chciała go teraz zostawiać samego. Posadziła dziecko na stołku koło dużej zamrażarki, wyjęła butelkę mleka i umieściła ją na chwilę na podgrzewaczu.

— Co to było, Timmie? — zapytała kiedy pił. — Sen? Zły sen? Tak, Timmie?

Timmie kiwnął głową, zajęty piciem mleka. Panna Fellowes czekała, aż skończy.

— Sen — powiedział.

Było to jedno z jego najnowszych słów.

— Zły. Zły sen.

— Sny nie są prawdą. — Czy on to rozumie? — Nie musisz bać się snów, Timmie.

— Zły… sen…

Twarz miał poważną. Drżał, chociaż w domku dla lalek było jak zwykle ciepło.

— Wracaj teraz do łóżka — powiedziała panna Fellowes, biorąc go na ręce.

Otuliła go kołdrą.

— Co ci się śniło, Timmie? Możesz mi powiedzieć, co ci się śniło?

Znowu zaczął mlaskać. Mlasków była cała seria, przerwana dwoma krótkimi, cichymi pomrukami.

Czy stres spowodował, że wracał do starych sposobów zachowania? A może po prostu brak mu było angielskich słów na opisanie tego, co mu się śniło.

— Na… zewnątrz — powiedział.

— Na zewnątrz? Tak powiedziałeś?

— Na… zewnątrz — powtórzył. Tak, była tego prawie pewna.

— Na zewnątrz kopuły? — Panna Fellowes wskazała ścianę. — Tam?

Kiwnął głową.

— Na… zewnątrz.

— Śniło ci się, że jesteś na zewnątrz? Energiczne kiwanie głową.

— Tak.

— I co tam widziałeś? Zaczął mlaskać.

— Nie rozumiem.

Mlaski stały się bardziej uporczywe.

— Nie, Timmie. To na nic. Musisz mówić moimi słowami. Ja twoich nie rozumiem. We śnie byłeś na zewnątrz. Co tam widziałeś?

— Nic — powiedział. — Pusto.

Pusto, tak. No, nic dziwnego. Nie miał przecież pojęcia, co tam jest. Przez jedyne okno w domku dla lalek widział tylko trochę trawy, płot i jakiś bezsensowny znak.

— Wielkie puste — powiedział.

— Nie widziałeś tam zupełnie niczego? Mlaski.

Może we śnie cofnął się do świata neandertalskiego i widział sceny z epoki lodowcowej — zaspy śnieżne, ogromne, powłóczące nogami, kudłate zwierzęta wędrujące przez kraj, ludzi ubranych w szaty ze skór takich zwierząt? Może widział to wszystko, ale brakowało mu angielskich słów, żeby to opisać? I dlatego posługiwał się znanymi sobie dźwiękami.

— Na zewnątrz — powtórzył. — Wielkie… puste…

— Było strasznie? — podpowiedziała panna Fellowes.

— Pusto — odpowiedział. — Timmie sam.

No tak, pomyślała. Timmie sam. Biedne, biedne dziecko. Uściskała go jeszcze raz i jeszcze raz otuliła kołdrą, którą z siebie ściągnął, a potem dała mu jedną z jego ulubionych zabawek —

bezkształtnego, zielonego zwierzaka o wiotkich nogach, który miał być dinozaurem. Doktor Mclntyre skrzywił się, kiedy zobaczył tę zabawkę, i wygłosił krótki wykład z paleoantropologii, w którym poinformował pannę Fellowes, że błędem jest myśleć, że prehistoryczny człowiek żył równocześnie z dinozaurami. Powiedział, że ten błąd jest często popełniany i że era mezozoiczna skończyła się na wiele milionów lat przed pojawieniem się pierwszych przypominających człowieka ssaków z grupy naczelnych. „Tak", odpowiedziała panna Fellowes, „wiem o tym. Ale Timmie tego nie wie i uwielbia swojego dinozaura". Teraz chłopiec przytulał zwierzaka, a panna Fellowes stała przy jego łóżku, czekając, aż zaśnie.

Nie miej więcej złych snów, powiedziała w myśli, zwracając się do niego. Nie śnij więcej o ogromnej, pustej przestrzeni, tam na zewnątrz, o przestrzeni, w której jesteś zupełnie sam.

Wróciła do własnego łóżka. Rzuciła okiem na zegarek stojący na komodzie i przekonała się, że jest za kwadrans piąta. Ranek był zbyt blisko — wątpiła, czy będzie mogła jeszcze zasnąć. Pewnie będzie leżała z otwartymi oczami i nasłuchiwała uważnie, czy z pokoju Timmie'ego nie dobiegają jakieś dźwięki. A potem nastąpi świt.

Jednak omyliła się. Zasnęła szybko i tym razem to ona miała sen.

Była w łóżku. Nie tutaj, w domku dla lalek, tylko w swoim małym mieszkaniu w mieście, w mieszkaniu, którego nie widziała od tylu miesięcy. Ktoś pukał do drzwi — natarczywie, niecierpliwie. Wstała, potykając się o szlafrok i uruchomiła ekran bezpieczeństwa. Zobaczyła na nim, że w korytarzu stoi jakiś mężczyzna — młody mężczyzna z rudymi przylegającymi do czaszki włosami z rudawą brodą.

Bruce Mannheim.

— Edith? — powiedział. — Edith, muszę się z tobą zobaczyć. Uśmiechał się. Pannie Fellowes ręce trochę drżały, kiedy otwierała drzwi. Mannheim stał przed nią w ciemnym korytarzu, był wyższy niż w rzeczywistości i barczysty, jego krzepka męska sylwetka górowała nad nią…

— Edith — powiedział. — Och Edith. Tak dawno cię nie widziałem…

A potem znalazła się w jego uścisku. Jeszcze tam, w korytarzu, otoczył ją w ramionami, nie zwracając uwagi na gapiących się sąsiadów, którzy stali w drzwiach swoich mieszkań, pokazywali ich palcami i coś mamrotali. A potem wziął ją na ręce tak, jak ona niedawno wzięła Timmie'ego, wniósł ją do mieszkania, cały czas wymawiając szeptem jej imię…

— Bruce — powiedziała.

I uświadomiła sobie, że wymawia to imię głośno. Nie spała. Zerwała się gwałtownie, usiadła w łóżku i przycisnęła sobie obie dłonie do ust. Policzki miała gorące — paliły ją ze wstydu. Fragmenty

snu wirowały w głowie. Była oszołomiona i przerażona jego absurdalnością… i jego rażącym, pensjonarskim erotyzmem. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni miała sen tego rodzaju.

I na dodatek romantycznym bohaterem tego snu był Bruce Mannheim!

Zaczęła się śmiać.

Doktor Hoskins byłby przerażony, gdyby o tym wiedział! Jego godna zaufania, spolegliwa panna Fellowes… obcująca intymnie z wrogiem, we śnie, ale obcująca z wrogiem!

Jakie to śmieszne. Jakie to niedorzeczne.

Jakie żałosne — powiedziała sobie nagle.

Atmosfera tego snu jeszcze ją otaczała. Niektóre szczegóły już uleciały jej z pamięci. Ale inne były tak wyraźne, jakby jeszcze spała. Jak mocno ją obejmował, jak żarliwie szeptał: „Edith… Edith… Tak dawno cię nie widziałem, Edith…”

Żałosne fantazjowanie starej panny. To chorobliwe.

Chorobliwe. Panna Fellowes zaczęła drżeć i z trudem powstrzymywała łzy. Ten sen już nie wydawał jej się śmieszny. Czuła się zbrukana. Sen wtargnął w jej umysł, dokonał inwazji na jej uporządkowane, prowadzone w odosobnieniu życie. Skąd się wziął? Co go spowodowało? Ona przecież już ileś lat temu wyzbyła się takich tęsknot. Tak przynajmniej chciała uważać. Wybrała życie bez tych zawirowań, które niosło ze sobą pożądanie. Życie dziewicze, życie starej panny. Ściśle biorąc, nie była ani dziewicą, ani starą panną, gdyż kiedyś, co prawda przez krótki czas, bo tylko przez kilka miesięcy, miała męża. Ale ten rozdział został zamknięty. Potem żyła jak wyspa, całkiem sama — przez całe lata, przez dziesięciolecia. Poświęciła się pracy, poświęciła się dzieciom. A teraz przyszło to…

To był tylko sen, powiedziała sobie. A sny nie są prawdą. Nie tak dawno zapewniała o tym Timmie’ego.

Tylko sen. Tylko. Śpiący umysł potrafi wyzwolić każdą myśl. Dziwne rzeczy krążą w nim bez ładu, unosząc się na falach nieświadomości. Ten sen znaczy tylko tyle, że Bruce Mannheim był tutaj dzisiaj i zrobił na niej pewne wrażenie. A potem jej śpiący umysł przetworzył to wrażenie na dziwny i nieprawdopodobny scenariusz. Ale Mannheim był od niej młodszy o co najmniej dziesięć lat. I nie wydał jej się specjalnie atrakcyjny, chociaż wygląd miał przyjemny. Nie, nie uważała go za atrakcyjnego, nawet w wyobraźni. Był po prostu mężczyzną, kimś, kogo spotkała tego dnia. Czasami, wbrew wszystkiemu, panna Fellowes czuła, że jakiś mężczyzna ją pociąga. Pociągał ją na przykład Hoskins, chociaż widziała, że to bez sensu, bo on ma żonę i jest szczęśliwy w małżeństwie. Ale gdyby przyśnił jej się Hoskins… No tak, taki sen odzwierciedlałby do pewnego stopnia rzeczywistość. Natomiast w wypadku Mannheima nie mogło być o

tym mowy. To tylko sen, powiedziała sobie znowu, tylko sen, tylko sen.

Postanowiła zasnąć i pomyślała, że do rana zapomni o całej tej historii.

Zamknęła oczy i po chwili spała. Cień tego snu wciąż jej towarzyszył. Kiedy obudziła się znowu, zaraz po szóstej, gdy Timmie zaczął kręcić się po swoim pokoju, ciągle snuły się jej jego mgliste zarysy i upokarzająca treść, wciąż miała w świadomości niecierpliwe pukanie do drzwi, szeptane bez tchu słowa powitania i namiętny uścisk. Ale teraz cała ta historia wydawała jej się po prostu idiotyczna.

* * *

Panna Fellowes spodziewała się, że po wszystkich tych rozmowach dotyczących towarzysza zabaw dla Timmie'ego, Hoskins sprowadzi jakieś dziecko prawie natychmiast, chociażby po to, żeby uspokoić te siły społeczne, które reprezentowali Mannheim i Mariannę Levien. Jednak ku jej zdziwieniu upływały tygodnie, a wyglądało na to, że nic się w tej sprawie nie dzieje. Najwyraźniej Hoskins, zgodnie ze swymi przewidywaniami, miał duże trudności ze sprowadzeniem czyjegoś dziecka do kopuły w polu statycznym. Panna Fellowes nie miała pojęcia, w jaki sposób zbywał w związku z tym Mannheima.

W tym okresie prawie wcale nie spotykała Hoskinsa. Było oczywiste, że jest zajęty jakimiś innymi pracami, i dlatego ona widuje go tylko w przelocie. Prowadzenie instytutu najwyraźniej bardzo go absorbowało. Z zasłyszanych tu i ówdzie uwag innych pracowników zorientowała się, że Hoskins musiał wkładać dużo wysiłku w dawanie sobie rady z personelem składającym się z utalentowanych lecz nadwrażliwych naukowych primadonn, z których każda pretendowała do Nagrody Nobla, i że równocześnie — wiecznie skłopotany — kierował jednym z najbardziej skomplikowanych przedsięwzięć naukowych na przestrzeni dziejów.

No tak. On miał swoje problemy. A ona swoje.

Najważniejszym z nich była w tej chwili wciąż pogłębiająca się samotność Timmie'ego. Panna Fellowes usiłowała być wszystkim, czego chłopiec potrzebował: opiekunką, pielęgniarką, nauczycielką i zastępczą matką. Jednak jemu to nie wystarczało. Chłopiec miewał wciąż ten sam sen — sen o tej wielkiej, pustej przestrzeni znajdującej się na zewnątrz domku dla lalek, o miejscu, dokąd nie wolno mu było pójść. Nie zdarzało się to co noc, ale zdarzało się nierzadko, tak że panna Fellowes zaczęła rejestrować częstotliwość pojawiania się snu.

Czasami chłopcu śniło się, że jest w tym dziwnym miejscu sam, a czasami, że są z nim jakieś tajemnicze postacie przypominające cienie. Ponieważ jego angielszczyzna była wciąż jeszcze raczej szczątkowa, panna Fellowes nie mogła się zorientować, czy ta wielka pusta przestrzeń jest w oczach chłopca utraconym światem z epoki lodowcowej, czy też jest jego wyobrażeniem o tej dziwnej nowej epoce, w którą został sprowadzony. Tak czy tak, to miejsce go przerażało i często budził się z płaczem. Nie trzeba było być psychiatrą, by wiedzieć, że ten sen pojawiał się na skutek izolacji Timmie'ego i że był objawem jego pogłębiającego się smutku.

W dzień występowały u chłopca długie okresy przygnębienia, podczas których zamykał się w sobie i siedział osowiały albo spędzał w milczeniu całe godziny przy oknie, za którym nie było właściwie niczego. Patrzył przez to okno w wielką pustkę ze snu, być może z nostalgią myśląc o ponurych, pokrytych lodem płaskowyżach swojego dalekiego dzieciństwa albo zastanawiając się po prostu, co znajduje się za ścianami pomieszczeń będących jego więzieniem. Widząc to, panna Fellowes myślała z wściekłością: Dlaczego nie przyprowadzą tu kogoś, kto dotrzyma mu towarzystwa? Dlaczego?

Zastanawiała się, czy nie powinna sama skontaktować się z Mannheimem, poinformować go, że nic nie zostało zrobione, i skłonić go, żeby wywarł nacisk na Hoskinsa. Doszła jednak do wniosku, że równałoby się to zdradzie. Była bardzo oddana Timmie'emu, ale nie mogła się zmusić do działania za plecami Hoskinsa. Ale jej gniew przybierał na sile.

Fizjologowie dowiedzieli się już od chłopca prawie wszystkiego, czego można się było od niego dowiedzieć bez krojenia go na kawałki. To ostatnie jednak nie zostało chyba włączone do planu badań. Wizyty fizjologów stały się rzadsze. Jeden z nich przychodził raz na tydzień, mierzył Timmie'ego, zadawał kilka rutynowych pytań i robił parę zdjęć. Ale to było wszystko. Zniknęły igły i strzykawki, ustało robienie zastrzyków i pobieranie płynów. Specjalne diety nie były już potrzebne, skomplikowane badania prowadzące do stwierdzenia, jak uformowane są stawy, wiązadła i kości Timmie'ego stały się o wiele rzadsze.

Tyle zmieniło się na lepsze. Jednak spadkowi zainteresowania fizjologów zaczynał towarzyszyć wzrost zainteresowania psychologów. Panna Fellowes przekonała się, że oni są tak samo nieznośni jak ich poprzednicy, a czasami o wiele bardziej. Timmie'ego zmuszano teraz, żeby pokonywał przeszkody dzielące go od jedzenia. Musiał podnosić jakieś zapadki, poruszać prętami, sięgać do sznurków i pociągać za nie. Łagodne wstrząsy elektryczne powodowały, że skowyczał ze strachu i zdumienia albo warczał jak istota pierwotna. Wszystko to doprowadzało pannę Fellowes do szału.

Nie chciała jednak zwracać się do Hoskinsa. Nie pragnęła w ogóle z nim rozmawiać. Hoskins z jakichś powodów trzymał się z daleka, a ona obawiała się, że jeżeli zgłosi się teraz do niego z jakąś prośbą i spotka się z najlżejszym oporem z jego strony, to straci panowanie nad sobą i porzuci tę pracę. A porzucenie pracy było krokiem, którego nie chciała robić. Musiała tu zostać ze względu na Timmie'ego.

Ale dlaczego Hoskins przestał się interesować przedsięwzięciem związanym z Timmiem? Skąd ta jego obojętność? Czy w ten sposób chciał odizolować się od zażaleń i próśb Mannheima? Jeżeli tak, to postępuje głupio — pomyślała. Jedyną ofiarą tej obojętności był bowiem Timmie. Głupiec, głupiec.

Robiła, co mogła, żeby ograniczyć uczonym dostęp do chłopca. Jednak nie była w stanie odizolować go od nich całkowicie. Chodziło tu w końcu o eksperyment naukowy. Dlatego badanie, opukiwanie i traktowanie wstrząsami elektrycznymi trwało nadal.

Oprócz psychologów pojawiali się też antropolodzy, całe armie antropologów, pragnących pytać Timmie'ego o życie w paleolicie. Jednak mimo że Timmie mówił już nieźle po angielsku — swoją własną angielszczyzną — uczeni ci byli skazani na frustrację. Mogli pytać, o co chcieli, ale on potrafił odpowiedzieć tylko wtedy, kiedy rozumiał pytanie, i jeżeli zachował w pamięci informacje o tych aspektach życia w odległych czasach epoki lodowcowej, o które pytali.

Im dłużej trwała jego wyprawa w dwudziesty pierwszy wiek, tym lepiej i precyzyjniej potrafił się wyrażać. Chłopiec wciąż nie stracił pewnej skłonności do niewyraźnego wymawiania dźwięków, które mu się zlewały (co panna Fellowes uważała za urocze), ale jego zdolność rozumienia zdań angielskich dorównywała praktycznie zdolności jego rówieśników urodzonych w dwudziestym pierwszym wieku. W chwilach podniecenia miał wciąż skłonność do mlaskania i do wydawania, od czasu do czasu, pomruków godnych istoty pierwotnej, jednak zdarzało się to coraz rzadziej. Zapomniał chyba o życiu, jakie znał przed przybyciem do dwudziestego pierwszego wieku. Przypominało mu się w snach, do których zamkniętego świata panna Fellowes nie miała wstępu. Kto wie, jakie to ogromne mamuty i mastodonty brykały w tym świecie i jakie tajemnicze sceny rozgrywały się na ekranie pamięci neandertalskiego chłopca?

Ku swemu zdziwieniu panna Fellowes stwierdzała, że wciąż jest jedyną osobą, która potrafi dokładnie zrozumieć słowa Timmie'ego. Niektórzy inni ludzie, pracujący często pod tą kopułą — jej pomocnicy: Mortenson, Elliott i pani Stratford, a także doktor Mclntyre i doktor Jacobs — potrafili od czasu do czasu coś wychwycić, ale robili to zawsze z dużym wysiłkiem i przeważnie połowę źle rozumieli. Pannę Fellowes bardzo to dziwiło. Z początku rzeczywiście chłopiec miał trudności z wypowiadaniem słów tak, żeby

były zrozumiałe, ale upłynęło sporo czasu i teraz mówił zupełnie płynnie. Albo tak jej się zdawało. Rozważając te sprawy, stopniowo doszła do wniosku, że to fakt, iż przebywa bezustannie w pobliżu Timmie'ego sprawia, że z taką łatwością go rozumie. Jej ucho automatycznie przechodziło do porządku dziennego nad różnicami między tym, co on mówił, a tym, jak słowa powinny były być wymawiane. Timmie był inny niż współczesne dzieci, różnił się od nich chociażby swoją zdolnością wymowy. Rozumiał bardzo dużo z tego, co się do niego mówiło, potrafił już odpowiadać złożonymi zdaniami, ale jego wargi i krtań i, jak przypuszczała panna Fellowes, jego mała kość gnykowa nie były chyba odpowiednio przystosowane do subtelności dwudziestopierwszowiecznej angielszczyzny. Dlatego to, co mówił, było zniekształcone.

Panna Fellowes broniła go przed ludźmi, którzy go nie rozumieli.

— Czy słyszeliście kiedyś, żeby Francuz wymówił takie proste słowo jak „the"? A słyszeliście Anglika, który próbuje mówić po francusku? W rosyjskim alfabecie są głoski, na których my łamiemy sobie języki. Każda grupa językowa ma inaczej wyćwiczone mięśnie, bo ćwiczy je w określony sposób od urodzenia i dla większości ludzi przestawienie się na dźwięki innego języka jest prawie niemożliwe. Dlatego istnieją akcenty. Timmie ma bardzo wyraźny akcent neandertalski. Ale on będzie z czasem zanikał.

Jednak do czasu, gdy zaniknie, myślała panna Fellowes, moja własna pozycja będzie pozycją kogoś, kto nieoczekiwanie posiadł władzę i autorytet. Jest nie tylko opiekunką Timmie'ego, jest też jego tłumaczką. Rzeczywiście, panna Fellowes była kanałem, przez który następowała transmisja wspomnień związanych z prehistorycznym światem od chłopca do przepytujących go antropologów. Bez jej pośrednictwa uczeni nie mogliby otrzymać spójnych odpowiedzi na swoje pytania. Jej pomoc była potrzebna, bez niej przedsięwzięcie nie miałoby pełnej naukowej wartości. Tak więc panna Fellowes stała się niezbędna dla badań nad charakterem ludzkiego życia w zamierzchłej przeszłości, niezbędna w stopniu, którego nikt, nie wyłączając niej samej, się nie spodziewał.

Niestety ludzie zadający pytania Timmie'emu prawie nigdy nie byli usatysfakgonowani jego rewelacjami. Rzecz nie polegała na tym, że chłopiec niechętnie współpracował. Problem w tym, że spędził w świecie neandertalskim zaledwie trzy czy cztery lata, które na dodatek były pierwszymi latami jego życia. Dziecko w jego wieku, z jakiejkolwiek by pochodziło epoki, nie jest w stanie zwerbalizować wiedzy o mechanizmach rządzących społeczeństwem, w którym żyło.

Prawie wszystkich rzeczy przekazywanych im przez Timmie'ego antropolodzy i tak się domyślali, a poza tym były to informacje, które prawdopodobnie uczeni ci sami zasiali w jego umyśle, zadając mu

swoje pytania za pośrednictwem panny Fellowes.

— Proszę go zapytać, jak duże było jego plemię — mówili na przykład.

— Nie sądzę, że on zna słowo „plemię".

— No więc ilu ludzi było w grupie, w której żył? Panna Fellowes zapytała chłopca. Niedawno zaczęła go uczyć liczyć. Timmie wyglądał na zmieszanego.

— Dużo — powiedział.

W jego słowniku „dużo" oznaczało jakąkolwiek liczbę większą niż trzy. Powyżej trzech wszystko było dla niego takie samo.

— Jak dużo? — spytała panna Fellowes.

Podniosła jego rękę i przeciągnęła swoim palcem po końcach jego palców.

— Tylu?

— Więcej.

— O ilu więcej?

Chłopiec wysilił się: zamknął na chwilę oczy, jakby wpatrując się w inny świat, wyciągnął ręce i zaczął szybko zamykać i otwierać dłonie.

— Czy on tak pokazuje liczby, panno Fellowes?

— Chyba tak. Każdy ruch dłonią oznacza prawdopodobnie pięć.

— Naliczyłem po trzy ruchy każdej ręki. Więc plemię liczyło trzydzieści osób?

— Ja myślę, że czterdzieści.

— Proszę go zapytać jeszcze raz.

— Timmie, powiedz mi jeszcze raz: ilu ludzi było w twojej grupie?

— W grupie, panno Fellowes?

— Ilu ludzi było wokół ciebie. Twoich przyjaciół i krewnych. Ilu ich było?

— Przyjaciół? Krewnych?

Zastanawiał się nad tymi pojęciami. Dla niego były to prawdopodobnie słowa mgliste i niezrozumiałe.

A po chwili zaczął znowu otwierać i zamykać dłonie, tym samym trzepoczącym gestem, który mógł oznaczać liczenie albo coś całkiem innego. Nie można było się zorientować, ile razy wykonał ten gest — może osiem, a może dziesięć.

— Widział pan? — spytała panna Fellowes. — Chyba tym razem mówił, że osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt, a może nawet sto osób. Jeżeli oczywiście odpowiadał na nasze pytanie.

— Poprzednio ta liczba była mniejsza.

— Wiem. Ale teraz jest taka.

— To niemożliwe. Takie prymitywne plemię nie mogło liczyć więcej niż trzydzieści osób!

Panna Fellowes wzruszyła ramionami. Jeżeli chcieli zniekształcić informację zgodnie z własnymi, z góry wyrobionymi sądami, nie był to jej problem.

— No to niech pan pisze: trzydzieści. Chce pan, żeby dziecko, które miało wtedy trzy lata, podało panu ścisłe dane dotyczące spisu ludności. On tylko zgaduje i zadziwiające, że potrafi zgadnąć, o co go pytamy. A zresztą może i nie potrafi. Dlaczego pan uważa, że on umie liczyć? Że w ogóle rozumie pojęcie liczby?

— Ale on je rozumie, prawda?

— Rozumie je tak, jak rozumie je pięciolatek. Niech pan zapyta jakiegoś pięciolatka, ilu ludzi mieszka na jego ulicy, a zobaczy pan, co odpowie.

— No, tak…

Zadawanie dalszych pytań dało prawie tak samo niepewne rezultaty. Struktura plemienna? Panna Fellowes, po dłuższej chwili słownego kluczenia, zdołała wydobyć z Timmie'ego stwierdzenie, że plemię miało swojego „wielkiego człowieka", co najprawdopodobniej oznaczało wodza. Nie było w tym nic dziwnego. Prymitywne plemiona w czasach historycznych zawsze miały wodzów. Należało się więc spodziewać, że miały ich też plemiona neandertalskie. Panna Fellowes zapytała chłopca, czy wie, jak „wielki człowiek" miał na imię i chłopiec odpowiedział szeregiem mlasków. Bez względu na to, jakie to imię było, chłopiec nie potrafił przetłumaczyć go na angielski, nie potrafił też podać ekwiwalentu fonetycznego — musiał więc posłużyć się dźwiękami neandertalskimi. Czy wódz miał żonę? — chciał wiedzieć uczony. Timmie nie wiedział, co to jest żona. W jaki sposób wybierano wodza? Timmie nie zrozumiał pytania. A jakie były ich wierzenia i praktyki religijne? Panna Fellowes, stosując różne wątpliwe z naukowego punktu widzenia podpowiedzi, zdołała wydobyć z chłopca pewnego rodzaju opis świętego miejsca zbudowanego z kamieni, do którego nie wolno mu było się zbliżać, oraz opis obrzędów prawdopodobnie odprawianych przez arcykapłankę. Panna Fellowes była pewna, że chodziło o kapłankę, a nie o kapłana, bo, mówiąc o tych obrzędach, chłopiec wskazywał na nią, ale równocześnie nie miała całkowitej pewności, czy chłopiec rozumie, czego ona usiłuje się od niego dowiedzieć.

— Jaka szkoda, że oni nie sprowadzili starszego dziecka — lamentowali wciąż antropolodzy. — Albo dorosłego neandertalczyka. Jaka szkoda! A tak naszym jedynym źródłem informacji jest ten mały chłopiec, który nic nie wie. Można z nim dostać szału.

— No tak, można — zgodziła się panna Fellowes tonem bynajmniej nie współczującym. — Jednak ten mały chłopiec, który nic nie wie, to więcej niż się spodziewaliście. Bo w najśmielszych marzeniach nie przypuszczaliście, że będziecie mogli porozmawiać z

neandertalczykiem.

— A jednak to wielka szkoda! Wielka!

— No tak, szkoda — przytaknęła panna Fellowes i poinformowała, że ich czas tego dnia się skończył.

* * *

A potem znowu pojawił się Hoskins. Pewnego ranka bez zapowiedzi przyszedł do domku dla lalek.

— Panno Fellowes? Czy mogę z panią porozmawiać?

Znowu mówił tym swoim tonem człowieka zastraszonego, tonem zdradzającym ogromne zakłopotanie. I słusznie, pomyślała panna Fellowes.

Wyszła do niego opanowana, wygładzając swój pielęgniarski uniform. A potem zatrzymała się zmieszana. Hoskins bowiem nie był sam. Towarzyszyła mu blada, szczupła kobieta średniego wzrostu, która stanęła na progu pola statycznego. Blond włosy i blada cera spowodowały, że wydawała się krucha. Jej oczy — bardzo jasnoniebieskie — z zakłopotaniem badały przestrzeń za panną Fellowes, szukały czegoś pilnie, przesuwały się po pokoju, jak gdyby spodziewała się, że zza drzwi prowadzących do sypialni Timmie'ego wyskoczy dziki goryl.

— Panno Fellowes — powiedział Hoskins — to jest moja żona Annette. Możesz wejść do środka, kochanie. To nie jest niebezpieczne. Na progu będziesz miała takie nieprzyjemne uczucie, ale to mija. Chcę, żebyś poznała pannę Fellowes, która opiekuje się chłopcem od chwili, gdy tu się pojawił.

(A więc to była jego żona? Niezbyt odpowiada wyobrażeniu, jakie miała o niej panna Fellowes. Ale zaraz uświadomiła sobie, że to wyobrażenie było raczej mgliste. Myślała, że żona Hoskinsa powinna być w każdym razie kimś bardziej wyrazistym, mniej nerwowym niż ta najwidoczniej zmieszana kobieta. Ale właściwie dlaczego nie miała być taka? Człowiek tak stanowczy jak Hoskins prawdopodobnie chciał mieć koło siebie kogoś słabego, kto stanowił dla niego tło. Jeżeli tego właśnie potrzebował, to niech mu będzie. Z drugiej strony, panna Fellowes wyobrażała sobie, że żona Hoskinsa jest młoda… młoda, elegancka i pełna uroku, że jest typową drugą żoną, jedną z tych, które lubią sobie brać odnoszący sukcesy biznesmeni w wieku Hoskinsa. Annette Hoskins niezupełnie należała do tej kategorii. Była sporo młodsza od Hoskinsa, to prawda, była też młodsza od panny Fellowes. Ale nie była młoda — miała mniej więcej koło czterdziestki.)

Panna Fellowes zmusiła się do tego, żeby ją przywitać spokojnie i rzeczowo.

— Dzień dobry pani. Miło mi panią poznać.

— Annette.

— Słucham?

— Proszę mi mówić „Annette". Wszyscy tak mnie nazywają. A pani ma na imię…

Hoskins przerwał jej pospiesznie.

— Co robi Timmie, panno Fellowes? Śpi? Chciałbym, żeby moja żona go poznała.

— Jest w swoim pokoju — powiedziała panna Fellowes. — Czyta.

Annette Hoskins roześmiała się — krótko, ostro, niemal kpiąco.

— On potrafi czytać?

— Ilustrowane książeczki dla dzieci. Takie z krótkimi podpisami pod obrazkami. Nie jest jeszcze gotowy do tego, żeby naprawdę czytać. Ale lubi oglądać książeczki. Ta jest o życiu na dalekiej północy. O Eskimosach, o polowaniu na morsy, o budowaniu igloo. Timmie czyta ją co najmniej raz na dzień.

(Słowo „czyta" nie było najdokładniejszym określeniem na to, co Timmie robił — panna Fellowes wiedziała o tym. Właściwie to używając tego słowa, kłamała. Bo Timmie wcale nie czytał. O ile się orientowała, oglądał tylko obrazki. Słowa wydrukowane pod nimi były dla niego tylko ozdobą, były tylko takimi dziwnymi znaczkami. Jak dotąd wcale się nimi nie zainteresował. I może nigdy się nie zainteresuje. Ale oglądał książeczki i prawdopodobnie rozumiał ich treść. A to już było dużo. Takie oglądanie znaczyło niewiele mniej niż prawdziwe czytanie. Biorąc pod uwagę cel tej rozmowy, być może dobrze było pozwolić żonie Hoskinsa myśleć, że Timmie naprawdę potrafi czytać, chociaż oczywiście sam Hoskins wiedział, że tak nie jest.)

— Czy to nie zadziwiające, panno Fellowes? — odezwał się Hoskins silnym, dziwnie ożywionym głosem. — Czy pamięta pani, jaki on był tego pierwszego wieczoru, kiedy go tu sprowadziliśmy? Czy pamięta pani to dzikie, wrzeszczące, brudne, oszalałe prehistoryczne stworzenie?

(Mówi tak, jakbym ja mogła to wszystko kiedyś zapomnieć, pomyślała panna Fellowes.)

— A teraz… siedzi tam sobie spokojnie i czyta książkę… uczy się o Eskimosach i ich domkach z lodu.

Hoskins promieniał czymś w rodzaju ojcowskiej dumy.

— Jakie to cudowne! Jakie wspaniałe! Jakie ten chłopiec zrobił postępy pod pani opieką!

Panna Fellowes przyglądała się Hoskinsowi podejrzliwie. Ten napuszony, oratorski ton, którym nagle zaczął mówić, wydawał jej się

dziwny i fałszywy. Co on knuł? Wiedział, że tak naprawdę to Timmie nie potrafi czytać. I dlaczego przyprowadził tu swoją żonę, dlaczego zrobił to po tak długim czasie i dlaczego czyni tyle fałszywie brzmiącego hałasu wokół cudownych postępów Timmie'ego?

A potem panna Fellowes zrozumiała dlaczego.

Głosem już bardziej normalnym Hoskins powiedział:

— Muszę panią przeprosić za to, że ostatnio przychodziłem tu tak rzadko. Jak może się pani domyślić, byłem uwiązany, miałem mnóstwo dodatkowych rozrywek. Sporo z nich dostarczał mi nasz przyjaciel Bruce Mannheim.

— Wyobrażam sobie — odparła panna Fellowes.

— Dzwonił do mnie prawie co tydzień. Zadawał mi różne pytania, trzęsąc się nad Timmiem tak, jakby chłopiec był jego własnym synem, a ja dyrektorem szkoły, do której on go posłał. Takiej okropnej szkoły z powieści Dickensa.

— I pytał pana, co pan robi, żeby znaleźć towarzysza zabaw dla Timmie'ego, tak? — powiedziała panna Fellowes.

— Pytał zwłaszcza o to.

— A co naprawdę zrobił pan w tej sprawie, pani doktorze?

Hoskins skrzywił się.

— Miałem w związku z tym mnóstwo kłopotu. Przepytaliśmy co najmniej z pół tuzina dzieci, no może trochę więcej. Rozmawialiśmy też oczywiście z ich rodzicami.

Dla panny Fellowes była to nowina.

— No i? — spytała.

— Krótko mówiąc, było dwóch chłopców, którzy wydawali się odpowiedni, ale ich rodzice stawiali różnego rodzaju warunki i wysuwali najrozmaitsze zastrzeżenia, których nie mogliśmy uwzględnić. Był jeszcze jeden chłopiec, który może by się nadawał. Już mieliśmy go tu przywieźć na próbną wizytę, ale w ostatniej chwili znowu pojawiły się warunki i zastrzeżenia. Jego rodzice sprowadzili prawnika, który zażądał, żebyśmy wystawili zobowiązanie zapłaty, udzielili bardzo pewnych gwarancji i podjęli różne inne zobowiązania. Nasz prawnik uznał, że byłoby nierozsądnie zgodzić się na to wszystko. Co do pozostałych dzieci, kwestia odpowiedzialności w ogóle nie zaistniała, gdyż rodziców interesowała tylko oferowana przez nas zapłata. A same dzieci były małymi brutalami i łobuziakami, więc kontakt z nimi przyniósłby Timmie'emu więcej szkody niż pożytku. Oczywiście oddaliliśmy ich kandydatury.

— Tak więc nie ma pan nikogo. Hoskins zwilżył wargi.

— Postanowiliśmy w końcu nie wychodzić z tym na zewnątrz i posłużyć się dzieckiem będącym synem kogoś z personelu. Ten członek personelu stoi teraz przed panią. To ja.

— Więc pański własny syn? — zapytała panna Fellowes.

— Przypomina sobie pani zapewne, że powiedziałem w obecności Mannheima i doktor Levien, kierując się bardziej gniewem niż czym innym, że jeżeli okaże się to konieczne, sprowadzę do Timmie'ego mojego własnego syna. No i okazało się to konieczne. Ja dotrzymuję słowa, panno Fellowes, chyba pani o tym wie. Nie mam zamiaru prosić nikogo z personelu instytutu o coś, czego sam nie jestem gotów zrobić. Postanowiłem, że mój syn, Jerry, stanie się tym towarzyszem zabaw, którego Timmie tak bardzo potrzebuje. Ale oczywiście to nie może być tylko moja decyzja.

— Przyprowadził pan więc żonę, żeby się przekonała, że państwa synkowi nie grozi ze strony Timmie'ego żadne niebezpieczeństwo — domyśliła się panna Fellowes.

Wyglądało na to że Hoskins jest jej niezmiernie wdzięczny. , — Tak, panno Fellowes, właśnie tak!

Panna Fellowes jeszcze raz spojrzała na żonę Hoskinsa. Ca, przygryzając wargę, patrzyła znowu na drzwi, za którymi czaił się ten straszny neandertalczyk.

Ona chyba uważa, że Timmie jest małpą, pomyślała panna Fellowes. Że jest gorylem. Albo szympansem. Który natychmiast rzuci się na jej ukochane dziecko i rozerwie je Ha strzępy.

— Czy mam go teraz przyprowadzić i pokazać pańskiej Żonie? — spytała lodowatym tonem.

Widać było, że Hoskins zdenerwował się jeszcze bardziej. Zresztą i ona była spięta i to od dłuższej chwili.

— Tak, panno Fellowes. Pielęgniarka kiwnęła głową.

— Timmie? — zawołała. — Timmie, możesz tu na chwilę przyjść? Mamy gości.

Timmie nieśmiało wyjrzał zza drzwi.

— W porządku, Timmie. To pan doktor Hoskins i jego żona. Chodź do nas.

Chłopiec zrobił krok w przód. Wygląda zupełnie dobrze, pomyślała panna Fellowes, zmawiając króciutką modlitwę dziękczynną. Miał na sobie niebieski kombinezon w duże zielone koła, który lubił prawie tak jak ten fioletowy, najbardziej ukochany. A jego włosy, które panna Fellowes wyszczotkowała dokładnie godzinę temu, wciąż były stosunkowo gładkie. W lewej ręce trzymał cienką książeczkę.

Spojrzał na gości wzrokiem pełnym oczekiwania. Oczy miał szeroko otwarte. Jasne było, że poznał Hoskinsa, nawet po tak długim czasie, ale nie wiedział, co myśleć o jego żonie. Bez wątpienia język, jakim przemawiało jej ciało, jakieś napięcie i strach, które w niej były, spowodowały, że chłopiec zaczął mieć się na baczności. Może dochodziły w nim do głosu prymitywne odruchy i instynkty?

Nastąpiła długa chwila ciszy, podczas której obecni w pokoju

dorośli czuli się niezręcznie.

A potem Timmie się uśmiechnął.

Uśmiechnął się ciepłym, cudownym uśmiechem, swoim specjalnym uśmiechem od ucha do ucha. Panna Fellowes była zachwycona. Miała ochotę objąć go i uściskać. Jak cudownie wyglądał, kiedy się tak uśmiechał! Jaki był słodki, jaki ufny, j jaki dziecinny. Tak. Wyglądał jak mały chłopiec wychodzący i ze swojego pokoju po to, aby przywitać się z towarzystwem. Czy Annette Hoskins mogła oprzeć się temu uśmiechowi? .

— Ojej — powiedziała Annette tonem osoby, która znalazła w zupie robaka. — Nie wiedziałam, że on wygląda i tak… dziwnie.

Panna Fellowes spojrzała na nią gniewnie.

— On ma tylko taką twarz — odezwał się Hoskins. — Od szyi w dół wygląda po prostu jak bardzo muskularny chłopiec.

— Ale jego twarz, Geraldzie… te wielkie usta… ten ogromny nos… te wypukłe brwi… ten podbródek… On jest taki brzydki. Taki dziwny.

— On prawie wszystko rozumie — powiedziała panna Fellowes cicho, lodowatym tonem.

Pani Hoskins kiwnęła głową. Jednak nadal nie mogła się powstrzymać.

— Wygląda zupełnie inaczej niż w telewizji — powiedziała. — W telewizji był o wiele bardziej podobny do człowieka…

— On jest człowiekiem, proszę pani — odrzekła szorstko panna Fellowes. Bardzo ją męczyło ciągłe przypominanie o tym różnym ludziom. — On po prostu pochodzi z innego odgałęzienia ludzkiego gatunku, to wszystko. Z takiego, które wymarło.

Hoskins, jak gdyby wyczuwając w tonie panny Fellowes tłumioną wściekłość, zaproponował pospiesznie:

— Może byś porozmawiała z Timmiem, kochanie? Może byś go trochę poznała? W końcu po to tu dzisiaj przyszłaś.

— Tak. Tak.

Wyglądało na to, że żona Hoskinsa mobilizuje odwagę.

— Timmie? — powiedziała cienkim głosem, w którym wyczuwało się napięcie. — Dzień dobry, Timmie. Ja jestem żoną doktora Hoskinsa.

— Dzień dobry — odpowiedział Timmie. Wyciągnął do niej rękę. Nauczyła go tego panna Fellowes. Annette Hoskins spojrzała na męża. Hoskins wzniósł oczy do sufitu i kiwnął głową.

Annette Hoskins wyciągnęła niepewnie rękę i ujęła w swoją dłoń dłoń Timmie'ego, tak jakby witała się z tresowanym szympansem w cyrku. Szybko i bez entuzjazmu potrząsnęła dłonią chłopca i puściła ją pospiesznie.

— Dzień dobry pani — odezwał się Timmie. — Miło mi panią

poznać.

— Co on powiedział? — zapytała Annette Hoskins. — Czy on coś mówił do mnie?

— Powiedział „dzień dobry” — poinformowała ją panna Fellowes. — A potem dodał, że miło mu panią poznać.

— On mówi? Po angielsku?

— Tak. Mówi. Rozumie też łatwe opowiastki z książeczek dla dzieci. Je widelcem i nożem. Potrafi się ubrać i rozebrać. I nie ma się czemu dziwić. On jest normalnym małym chłopcem, proszę pani. I ma trochę ponad pięć lat. Może pięć i pół.

— Pani tego nie wie?

— Mogę się tego tylko domyślać — powiedziała panna Fellowes. — Kiedy tu się pojawił, nie miał metryki w kieszeni.

Pani Hoskins znowu spojrzała na męża.

— Nie jestem pewna, Geraldzie. Jerry jeszcze nie skończył pięciu.

— Wiem, ile lat ma nasz syn, kochanie — powiedział Hoskins ozięble. — Jak na swój wiek jest duży i silny. Jest większy od Timmie’ego. Słuchaj, Annette, jeżeli uważałbym, że istnieje jakiekolwiek ryzyko… że istnieje najmniejsza możliwość…

— Ja nie wiem. Ja po prostu nie wiem. Skąd możemy mieć pewność, że to bezpieczne?

— Jeżeli pyta pani, czy pani synek będzie bezpieczny w obecności Timmie’ego, to odpowiedź brzmi „tak, oczywiście”. Timmie jest łagodnym dzieckiem.

— Ale on jest dzi… dzikusem.

(No tak, znowu ta etykietka, którą przyczepiły mu media! Małpolud. Czy ludzie nie potrafią myśleć samodzielnie?)

— On nie jest dzikusem — powiedziała panna Fellowes z naciskiem. — Nie jest nim w najmniejszym stopniu. Czy dzikus wyszedłby ze swojego pokoju z książką i podał pani rękę na powitanie? Czy dzikus uśmiechałby się tak ładnie i mówił „dzień dobry” i oświadczał, że miło mu panią poznać? Ma go pani przed sobą. Niech pani powie, jak on naprawdę wygląda?

— Nie mogę się przyzwyczaić do jego twarzy. To nie jest twarz człowieka.

Panna Fellowes z ogromnym wysiłkiem pohamowała gniew.

— Wyjaśniałam już pani-powiedziała spięta — że on jest człowiekiem, tak samo jak każde z nas. To wcale nie dzikus. Jest tak spokojny i rozsądny jak każdy normalny pięcioletni chłopiec. Okazuje pani wielką wspaniałomyślność, pozwalając swojemu synkowi przychodzić bawić się z Timmiem. Nie powinna pani żywić w związku z tym żadnych obaw.

— Nie powiedziałam, że mu pozwolę — odparła pani Hoskins głosem zdradzającym zdenerwowanie.

Hoskins spojrzał na nią zrozpaczony.

— Annette…

— Nie powiedziałam tego!

(No to dlaczego nie zabiera się pani stąd i nie pozwala pani Timmie'emu wrócić do swojej książki?)

Panna Fellowes z trudem powściągnęła złość.

(Niech doktor Hoskins to załatwia. Ta kobieta jest jego żoną.)

— Porozmawiaj z chłopcem, Annette — odezwał się Hoskins. — Postaraj się go poznać. Powiedziałaś, że to zrobisz.

— No tak, chyba powinnam… — Podeszła znowu do Chłopca. — Timmie? — mruknęła ostrożnie.

Timmie podniósł na nią wzrok. Tym razem na jego twarzy nie było promiennego uśmiechu. Poznał już — po jej intonacji — że ta kobieta nie jest do niego przyjaźnie nastawiona. — Pani Hoskins uśmiechnęła się, ale jej uśmiech nie był zbyt przekonujący.

— Ile masz lat, Timmie?

— On nie za dobrze umie liczyć-powiedziała spokojnie panna Fellowes.

Jednak, ku jej zaskoczeniu, Timmie podniósł w górę pięć palców rozczapierzonej lewej dłoni.

— Pięć! — krzyknął.

— Pokazał pięć palców i powiedział: „pięć" — stwierdziła zdumiona panna Fellowes. — Słyszeli państwo, prawda?

— Tak, słyszałem to — odrzekł Hoskins. — Myślę…

— Pięć — powtórzyła pani Hoskins niezbyt radośnie, próbując jednak nawiązać kontakt z Timmiem. — To bardzo ładnie. Mój synek Jerry ma też prawie pięć. A będziesz grzeczny, jeżeli go tu przyprowadzę?

— Grzeczny — powiedział Timmie.

— Grzeczny — przetłumaczyła panna Fellowes. — Zrozumiał panią. Obiecał, że będzie grzeczny.

Pani Hoskins kiwnęła głową.

— On jest mały — powiedziała półszeptem — ale wygląda na silnego.

— Nigdy nie próbował nikomu zrobić niczego złego — powiedziała panna Fellowes, pozwalając sobie zapomnieć o tym, co Timmie wyprawiał tuż po przybyciu. — On jest bardzo łagodny. Bardzo. Musi pani w to uwierzyć. Zabierz panią Hoskins do swojego pokoju — zwróciła się do chłopca. — Pokaż jej swoje zabawki i książki. I szafę z ubraniami.

Pokaż jej, że jesteś naprawdę po prostu małym chłopcem. Niech to dostrzeże, niech przestanie myśleć o twoich wypukłych brwiach i cofniętym podbródku.

Timmie wyciągnął rękę. Pani Hoskins wahała się, ale tylko przez

chwilę. A potem podała mu dłoń. I po raz pierwszy na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju prawdziwego uśmiechu.

Poszła razem z nim do jego pokoju. Drzwi zamknęły się za nimi.

— Myślę, że się uda — powiedział cicho Hoskins, kiedy jego żona zniknęła. — On chyba już podbił jej serce.

— Oczywiście.

— Ona nie jest nierozsądna. Proszę mi wierzyć. Nie kieruje się też irracjonalnymi motywami. Ale bardzo kocha Jerry'ego.

— To naturalne.

— On jest naszym jedynym dzieckiem. Jesteśmy małżeństwem od kilku lat. Z początku mieliśmy kłopoty z płodnością. Ale potem zdołaliśmy… byliśmy w końcu w stanie…

— No tak — powiedziała panna Fellowes. — Rozumiem.

Nie bardzo interesowały ją kłopoty z płodnością, jakie mieli państwo Hoskinsowie. Ani też sposób, w jaki je pokonali.

— No więc, widzi pani, mimo że z nią to dokładnie omówiłem i mimo że ona rozumie, że Mannheim i jego ludzie stwarzają nam problemy, a Timmie powinien przestać żyć w warunkach takiej izolacji, no więc mimo to ona wciąż się waha, nie wie, czy ma wystawić Jerry'ego na takie ryzyko…

— Nie ma żadnego ryzyka, pani doktorze.

— Wiem o tym. I pani o tym wie. Ale dopóki Annette tego nie będzie wiedziała…

Drzwi od pokoju Timmie'ego otworzyły się. Wyszła przez nie pani Hoskins. Panna Fellowes zobaczyła, że Timmie został w tyle i wygląda z pokoju, wystawiając głowę ostrożnie, w charakterystyczny dla siebie sposób. Panna Fellowes wstrzymała oddech. Musiało się tam stać coś złego, pomyślała.

Ale nie. Annette Hoskins uśmiechała się.

— To bardzo ładny pokoik — powiedziała. — On potrafi złożyć ubranie. Pokazał mi. Chciałabym, żeby Jerry umiał to robić chociaż w połowie tak dobrze. I tak porządnie ma poukładane zabawki… Panna Fellowes odetchnęła z ulgą.

— Więc możemy spróbować? — zapytał Hoskins żonę.

— Tak. Myślę, że możemy spróbować.

6. Martwy punkt

Nad obozowiskiem Innych położonym na zachód od sanktuarium Bogini, na brzegu najmniejszej rzeki, unosił się dym. Patrząc w przeciwną stronę, Srebrny Obłok widział inny dym — biały — unoszący się nad ogniskiem jego własnego Ludu obozującego pod łagodnie nachylonym pagórkiem, z którego Lud zszedł po opuszczeniu górzystych okolic na wschodzie. Przed sanktuarium nie było nikogo. Podczas przedłużającego się w nieskończoność okresu, w którym sprawy tkwiły w martwym punkcie, plemiona zawarły niemą ugodę. Sanktuarium będzie terytorium neutralnym. Nikomu nie wolno do niego podchodzić. Każda ze stron wystawiała warty na granicy przestrzeni otaczającej święte miejsce. Warty miały zagwarantować to, że nikt tej granicy nie przekroczy.

Srebrny Obłok stał zupełnie sam, opierając się na włóczni. Zapadał już zmrok, chociaż jemu zdawało się, że dzień dopiero co się zaczął. Rok szybko upływał. Noc nastawała coraz wcześniej. A ranek nadchodził coraz później. Ciemność coraz bardziej napierała z obu stron na dzienne godziny jasności. Wkrótce miała nastąpić pora długotrwałych śniegów, pora, podczas której tylko głupcy wychodzili na zewnątrz, pora, podczas której należało przycupnąć w jakimś osłoniętym miejscu i czekać na wiosnę, żywiąc się tym, co się zebrało jesienią.

Ale my wciąż jeszcze nie pogodziliśmy się z Boginią i nie otrzymaliśmy od niej wskazówek, pomyślał z rozpaczą Srebrny Obłok. Jak mamy to zrobić, skoro Inni wciąż krążą wokół sanktuarium, nie dopuszczając nas do niego?

— Srebrny Obłoku! Czy znowu będzie padał śnieg? Głos Tej Która Wie przypłynął do niego wraz z wiatrem.

Ta Która Wie stała niedaleko brzegu rzeki wraz z Kobietą Bogini i Tą Co Przechowuje Przeszłość. Trzy kobiety rozmawiały od dłuższego czasu. Srebrny Obłok zmarszczył brwi. Ciągle sprawiały jakieś kłopoty. Były to trzy potężne kobiety, pełne mocy Bogini. Budziły w nim niepokój. Zdawał sobie jednak sprawę, jak ważną rolę odgrywają wszystkie trzy w życiu plemienia — każda na swój własny sposób.

— Czy będzie padał śnieg? Powiedz nam, Srebrny Obłoku!

Srebrny Obłok wzruszył ramionami, a potem poklepał się po kolanie i kiwnął głową.

Stara rana w nodze bardzo bolała. Zawsze go tak bolała, kiedy zbliżał się czas padania śniegu. Teraz jednak ból pulsował intensywniej niż kiedykolwiek.

Wczoraj śnieg padał prawie przez godzinę. Przedwczoraj też — przez krótki czas. Teraz zanosiło się na to, że będzie padał znowu. To

źle, że zaczął się pojawiać codziennie. Większość wczorajszego leżała jeszcze na ziemi. Wiatr — wiatr-demon wiejący z północy — zgarniał go i, tworząc wiry, rzucał Srebrnemu Obłokowi w twarz.

Powinniśmy stąd odejść, pomyślał Srebrny Obłok. Powinniśmy poszukać sobie miejsca na zimowe obozowisko.

Ta Która Wie odwróciła się teraz tyłem do Tej Co Przechowuje Przeszłość i szła do niego. To najprawdopodobniej oznaczało kłopoty. Od czasu swojego odważnego wystąpienia przed sanktuarium, Ta Która Wie poruszała się z taką pewnością siebie i tak majestatycznie, jakby to ona była wodzem. Nikt nie miał odwagi z niej kpić, nikt nie miał odwagi nawet spojrzeć na nią krzywo, nikt nie miał odwagi zrobić czegoś takiego od czasu, gdy ona, pokryta wojennymi farbami, przeciwstawiła się całej grupie wojowników wroga. Ta Która Wie zawsze była dziwna i zawzięta, ale teraz popadła w jakiś nowy rodzaj zawziętości. Zdziwaczała tak, że zdawała się przebywać we własnym świecie różniącym się od świata pozostałych ludzi.

— To trwa i trwa, Srebrny Obłoku — powiedziała — t nic się nie zmienia. A czas śniegu nadchodzi.

— Wiem o tym.

— Powinniśmy zaatakować i skończyć z tym.

— Ich jest za dużo — stwierdził Srebrny Obłok. — Dobrze o tym wiesz. Prowadzili taką dyskusję nie po raz pierwszy.

— Nie jest ich tak dużo. Dalibyśmy sobie z nimi radę. Ale my, zamiast atakować, siedzimy tutaj bezczynnie. Oni boją się nas, a my boimy się ich i nikt się nie rusza. Jak długo będziesz nas tu jeszcze trzymał?

— Dopóki nie staniemy przed Boginią w Jej sanktuarium i nie dowiemy się, jaka jest jej wola.

— Ale później musimy ich zaatakować — powiedziała Ta Która Wie.

Srebrny Obłok wpatrywał się w nią uporczywie. Widok jej oczu przeraził go. Nie były to oczy kobiety, nie były to nawet oczy wojownika. Wyglądały, jakby zrobiono je z wypolerowanego kamienia.

— Byłaś tam razem z mężczyznami — powiedział Srebrny Obłok. — Widziałaś, że mężczyźni nie chcą atakować. Czy pragniesz walczyć z Innymi sama?

— Ty jesteś wodzem. Każ im walczyć. Ja będę walczyła wraz z nimi.

— Wszyscy stracą życie.

— A co się stanie, jeżeli będziemy tu tkwili i czekali na zimę? Wtedy też wszyscy stracą życie, Srebrny Obłoku.

Srebrny Obłok ponuro pokiwał głową. To prawda: nie mogą tu tkwić dłużej. Zdawał sobie z tego sprawę tak samo dobrze jak ona.

Właściwie to popełnili błąd, przychodząc tutaj. Wiedziało tym. Ale nie miał zamiaru przyznać się do tego przed nikim.

— Nie możemy stąd się ruszyć — powiedział. — Nie możemy, dopóki nie udamy się do sanktuarium.

— Nie możemy się stąd ruszyć i nie możemy tu zostać. Nie możemy też się dostać do sanktuarium. Sytuacja jest bardzo zła, Srebrny Obłoku.

— Być może.

— Mówiłam, że nie powinniśmy tu przychodzić. Powiedziałam ci to na samym początku, kiedy oświadczyłeś, że Letnie Święto będzie odwołane.

— Pamiętam. Ale jesteśmy tutaj. I będziemy tutaj, dopóki nie odprawimy obrzędu, z powodu którego tu przybyliśmy. Nie możemy tak po prostu odejść, nie usłyszawszy głosu Bogini.

— Nie możemy — powiedziała Ta Która Wie. — Zgadzam się z tobą. Nie chciałam, żebyśmy tu przychodzili. Ale skoro już tu jesteśmy, musimy stanąć przed Boginią, tak jak mówisz. Jeżeli o to chodzi, nie sprzeczam się z tobą.

Srebrny Obłok był jej wdzięczny za to, że przynajmniej w tej sprawie przyznawała mu rację.

— Ale skoro nie możemy tu zostać dłużej z powodu śniegu, skoro nie możemy odejść, nie odprawiwszy obrzędu i skoro Inni nie dają nam tego zrobić, bo bezczeszczą sanktuarium swoją obecnością, to musimy Innych odpędzić — ciągnęła Ta Która Wie. — Po prostu.

— Oni nas pozabijają, jeżeli ich zaatakujemy.

— A jeżeli ich nie zaatakujemy, zabije nas zima.

— Mówimy w kółko to samo — powiedział Srebrny Obłok. — Nie, to do niczego nie prowadzi.

Popatrzył na nią ponuro. Na jej twarzy malowała się zawziętość. Ale Ta Która Wie nie przedstawiała żadnych rozwiązań oprócz tego, które oznaczało pewną śmierć z rąk wroga.

Tak, mówiła w kółko to samo. Nie możemy odejść i nie możemy pozostać. On, Srebrny Obłok, odwołał Letnie Święto ze względu na obrzęd, który trzeba było odprawić tutaj. Jeżeli odwołałby również ten obrzęd z powodu obecności Innych przy sanktuarium, nie odprawiliby żadnego ani latem, ani jesienią, co z pewnością sprowadziłoby na Lud wielki gniew Bogini. Lud głodowałby i obwiniał o to wodza. Srebrny Obłok wiedział, że jeżeli nie naprawi wkrótce swoich błędów, grozi mu odsunięcie od przewodzenia ludowi. A w ich plemieniu żyjący były wódz nie miał prawa bytu. Wszyscy bardzo dobrze znali stosowny zwyczaj. Zrezygnowanie z wodzostwa oznaczało pożegnanie się z życiem.

W jego nodze, tam, gdzie była stara rana, pulsował ostry ból. Może to nie byłoby wcale takie złe, pomyślał Srebrny Obłok, może

dobrze byłoby się usunąć i pozwolić komu innemu nieść ten ciężar. I skończyć na zawsze z tym bólem i zmęczeniem.

Teraz podeszła do nich Kobieta Bogini.

— Czy Ta Która Wie przekonała cię, że powinniśmy atakować?

— Tak bardzo boisz się, że umrzesz?

Srebrny Obłok roześmiał się.

— Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak głupie jest to pytanie, Kobieto Bogini. Ja się boję, że ty umrzesz i Mleczne Źródło, i Walczący Jak Lew, i Piękny Śnieg, i wszyscy inni. Moim zadaniem jest bronić Ludu przed śmiercią, a nie prowadzić go na pewną śmierć.

— Czas śniegu nadchodzi. Jeżeli zostaniemy tu, pod gołym niebem, to zginiemy.

— Tak, tak — powiedział z westchnieniem. — To też wiem.

— Ja nie chciałam tej pielgrzymki — powiedziała Kobieta Bogini. — Pamiętasz? Powiedziałam, że, by dowiedzieć się, jaka jest wola Bogini, nie musimy wcale tu wracać. Ale Ta Co Przechowuje Przeszłość namówiła mnie, żebym ci pozwoliła zrobić, jak chcesz.

— Pamiętam — odpowiedział cierpliwie Srebrny Obłok. — Teraz to nie ma znaczenia. Teraz jesteśmy tutaj. Jak myślisz, czy możemy odejść, nie porozmawiawszy z Boginią?

— Być może Bogini już przemówiła — zasugerowała Kobieta Bogini — i powiedziała, że jesteśmy głupcami prowadzonymi przez głupca i że skoro tak, to zasługujemy na śmierć. W takim razie lepiej jest umrzeć walcząc z wrogiem, niż stać, gadać bez końca i czekać, aż śnieg nas przysypie. A może uważasz…

— Spójrzcie — przerwała jej Ta Która Wie. — Idzie tu do nas jeden z Innych. Chce z nami porozmawiać.

Srebrny Obłok odwrócił się, zaskoczony. Tak, to była prawda: wysoki młody wojownik z włócznią, do której przywiązany był kawałek rudego futra, opuścił obozowisko i zmierzał ku nim. Kiedy wysłannik mijał obszar położony przed sanktuarium, Góra o Zwalonym Wierzchołku, który stał na warcie, przybrał groźną postawę i potrząsnął bronią. Inny wydał charakterystyczny dla swojego plemienia okrzyk i poszedł dalej, nie zatrzymując się.

Płonące Oko i Drzewo Wilków wyszli z obozowiska i wskazywali Innego palcami, jak gdyby przypuszczając, że Srebrny Obłok go nie zauważył. Wywijali włóczniami i dawali do zrozumienia, że są gotowi skoczyć do przodu i zaatakować. Srebrny Obłok gniewnym gestem kazał im się cofnąć. Co oni sobie myślą? Czy uważają, że ten człowiek idzie tu walczyć? On na pewno chce rozmawiać. Na pewno.

Ale jak ja mam rozmawiać z Innym? — zastanawiał się Srebrny Obłok.

Wysłannik szedł teraz ścieżką biegnącą zygzakiem miedzy połaciami śniegu. Omijając miejsca, w których podziemna woda

rozmiękczyła powierzchnię, doszedł na brzeg rzeki, gdzie Srebrny Obłok stał razem z Tą Która Wie i Kobietą Bogini. Podniósł włócznię gestem, który mógł być tylko gestem powitania i pomachał nią uroczyście.

Srebrny Obłok podniósł swoją włócznię niewysoko nad ziemię, by dać do zrozumienia, że pojął, o co chodzi, a potem opuścił ją i czekał, chcąc zobaczyć, co stanie się dalej.

Inny wydał z siebie charakterystyczne dla swoich współplemieńców dźwięki. W uszach Srebrnego Obłoku brzmiały one jak postękiwania zwierzęcia odczuwającego ból.

— Czy myślisz, że jemu coś jest? — zapytał Srebrny Obłok Tę Która Wie.

— On coś mówi. To jest ich mowa.

— To? Mowa? To jest po prostu taki bełkot.

— Oni w ten sposób mówią — powiedziała Ta Która Wie. — Jestem tego pewna.

— W porządku — zgodził się Srebrny Obłok. — Więc powiedz mi, co on mówi.

— Ależ… jak ja to mogę zrobić?

— Jesteś Tą Która Wie. Sama tak twierdzisz.

— Wiem tylko to, co wiem. Język Innych nie jest mi znany.

— Aha — powiedział Srebrny Obłok. — Więc jest coś, czego nie wiesz! Nigdy przedtem nie słyszałem, żebyś coś takiego powiedziała.

Ta Która Wie uśmiechnęła się do niego kwaśno i nic nie odrzekła.

Inny znowu coś mówił. Głos miał bardzo cienki, a mówiąc najwyraźniej się wysilał, wydobywał z siebie dźwięki bardzo starannie, próbował dobitnie przekazać znaczenie. Mówił tak, jak mówi się do dzieci. Ale wydawane przez niego dźwięki nie miały znaczenia. Srebrny Obłok wpatrywał się w usta Innego, jednak nie mógł wyłowić ani jednego zrozumiałego słowa. Nie, te dźwięki nie były dźwiękami mowy.

— Czy nie możesz mówić normalnie? — zapytał Srebrny Obłok. — Z tych twoich jęków to ja nic nie rozumiem.

Inny pochylił się w przód, wyciągając szyję i przytknął sobie jedną dłoń do ucha, tak jak to robi człowiek głuchy. Zrobił ten gest, mimo że Srebrny Obłok mówił naprawdę głośno. Jego poza była bardzo dziwna. Inny był wysoki, niewiarygodnie wysoki, jego głowa znajdowała się w połowie drogi do nieba i kiedy tak się pochylał w przód, przypominał jakiegoś długonogiego, żyjącego na bagnach ptaka. Srebrny Obłok wpatrywał się w niego jak urzeczony. Jak on utrzymuje równowagę? — zastanawiał się. Jak to się dzieje, że on się nie przewraca? Przecież stoi na takich cienkich i długich nogach. I dlaczego, poruszając się, nie złamie się w pasie? A jaki on jest brzydki… ta jego blada cera jak u ducha… i ta twarz taka wypukła u

dołu i te dziwne, drobne rysy…

— Nie możesz mówić normalnie? Używaj słów, jeżeli chcesz ze mną porozmawiać!

— To są jego słowa — powiedziała nagle Ta Która Wie. — On ma swoje własne słowa.

Jej twarz miała dziwny wyraz, wyraz właściwy komuś, kto odkrył nową, zaskakująca prawdę.

— Inni mają swój własny język, różniący się od naszego.

— Co takiego? — zapytał zaintrygowany Srebrny Obłok. — Co ty mówisz? Istnieje tylko jeden język. Istnieją słowa, które daje się zrozumieć, i bełkoty, których zrozumieć nie można. Nie rozumiemy, co on mówi, a więc dźwięki, które wydaje, są tylko bełkotem. Jak może istnieć więcej języków? Niebo jest niebem. Góra jest górą. Woda jest wodą, śnieg jest śniegiem. Każdy to wie. Jak można nazywać to wszystko innymi słowami?

— Dwa ludy — dwa języki. Jeden język dla nas… a drugi dla nich.

Ta myśl przyprawiała Srebrny Obłok o ból głowy. Musiał przyznać, że jest w niej chyba jakiś sens. Dwa ludy — dwa języki. Dlaczego nie? Ale trudno mu było myśleć o tym teraz. Takie rzeczy wymagały dokładnego zastanowienia się w spokoju. Odsunął od siebie ten problem i spojrzał ponownie na Innego.

A Inny znowu mówił. Ale to, co mówił, było tak samo niezrozumiałe jak przedtem. Tym razem wykonywał też różne gesty, usiłując prawdopodobnie odegrać to, co miał do powiedzenia, gdyż widział, że mówiąc nie osiąga celu. Wskazał udekorowaną futrem włócznią na sanktuarium, a potem na pagórkowatą okolicę na wschodzie, czyli na obszar, z którego przyszedł tu Lud. Wskazał na zachód, w stronę krainy ciągnącej się aż po brzeg morski, która należała teraz w całości do Innych. Następnie znowu wskazał sanktuarium, a potem Srebrny Obłok i siebie. I jeszcze raz sanktuarium.

— Kobieto Bogini — powiedział Srebrny Obłok — rozumiesz coś z tego?

— On chce, żebyśmy stąd odeszli, tak żeby oni mogli zagarnąć sanktuarium dla siebie — powiedziała natychmiast Kobieta Bogini.

Srebrny Obłok nie był tego pewien. Inny zbyt wiele razy wskazywał tu i tam. Gdyby on sam, Srebrny Obłok, udał się do Innych, żeby im powiedzieć, że mają sobie pójść, wskazałby po prostu sanktuarium i Innych, a potem skierował włócznię na zachód i pokazał gestem dłoni, że oni mają iść tam, skąd przyszli. Każdy, kto miałby odrobinę inteligencji, by to zrozumiał.

A właściwie to dlaczego by nie spróbować natychmiast? Srebrny Obłok wykonał te gesty, o których przed chwila myślał.

Inny obserwował go z wyrazem twarzy, z jakim dorosły patrzyłby na dziecko, które, jąkając się, usiłuje coś zawile wyjaśnić, przerywając przy tym najzupełniej sensowną rozmowę starszych. Kiedy Srebrny Obłok skończył, Inny powtórzył jeszcze raz wszystkie te gesty, które wykonał poprzednio.

— Myślę — odezwała się Ta Która Wie — że on próbuje nam powiedzieć, że możemy podzielić się sanktuarium, że jego ludzie i nasi mogą razem przy nim odprawiać obrzędy.

— Dzielić się sanktuarium z nieczystymi? — krzyknęła Kobieta Bogini. — Sanktuarium jest nasze!

— Czy ty rzeczywiście to chcesz mi powiedzieć? — zapytał Srebrny Obłok Innego, starając się przy tym mówić jak najwolniej i jak najgłośniej. — Uważasz, że możemy wspólnie korzystać z sanktuarium? Ależ to niepoważne. To jest sanktuarium Bogini. A wy nie jesteście Jej ludem. A może jesteście, co? Jesteście ludem Bogini?

Czekał, mając nadzieję, że otrzyma odpowiedź, którą zrozumie.

Ale Inny znowu wydał z siebie jakieś bezsensowne dźwięki. I jeszcze raz wykonał te same gesty włócznią.

— To beznadziejne — stwierdził Srebrny Obłok. — Beznadziejne, beznadziejne, beznadziejne. Ja nie rozumiem ciebie, a ty nie rozumiesz mnie. Nie ma co do tego wątpliwości. Ta Która Wie i Kobieta Bogini uważają, że cię rozumieją, ale to nieprawda. Słyszą to, co chcą słyszeć.

— A co gdybym z nim usiadła i spróbowała nauczyć go naszego języka? — zaproponowała Ta Która Wie. — Albo może sama mogłabym nauczyć się mówić jego językiem.

— Trzymaj się od niego z daleka — powiedziała Kobieta Bogini. — On jest nieczysty, a ty znajdujesz się w świętej krainie.

— Ale gdybyśmy mogli porozmawiać z…

— To na nic — odezwał się Srebrny Obłok. — Nawet jeżeli te jego dźwięki są językiem, ty nigdy się go nie nauczysz. Bo jak byś mogła to zrobić? To by było tak, jakbyś usiadła z niedźwiedziem i usiłowała się nauczyć jego ryku. Albo uczyła niedźwiedzia mówić. To się nie da zrobić.

— Starzy ludzie zawsze mówią, że różne rzeczy nie dadzą się zrobić — odburknęła Ta Która Wie.

— Starzy? Starzy? — krzyknął Srebrny Obłok.

Inny znowu wymachiwał włócznią i znowu wydawał te swoje dźwięki. Była to prawdopodobnie jego ostatnia próba porozumienia się ze Srebrnym Obłokiem. Ale dźwięki były niezrozumiałe, tak jak przedtem. Srebrny Obłok poczuł, że ogarnia go wielki smutek. Nie dlatego, że Ta Która Wie nazwała go starym człowiekiem, nie dlatego, że znowu bardzo bolała go noga, i nie dlatego, że nadchodził czas śniegu, a Lud nie przygotował sobie jeszcze zimowego obozowiska.

Nie, wcale nie z tych powodów, tylko dlatego, że ten dziwny, przypominający bociana człowiek przyszedł do niego z czymś, co mogło być posłaniem pokoju, a on nie był w stanie go zrozumieć i porozumieć się z nim, a także dlatego, że w związku z tym sprawy miały nadal tkwić na martwym punkcie, jakby między nimi wznosiła się kamienna ściana uniemożliwiająca porozumienie.

Inny zakończył swoją mowę i czekał.

— Przykro mi — powiedział Srebrny Obłok. — Nie rozumiem. Problem polega na tym, że nie znam twojego języka. I że ty, jak się domyślam, nie znasz mojego.

— A więc zgadzasz się, że to jest język! — powiedziała tryumfalnie Ta Która Wie.

— Tak — odrzekł Srebrny Obłok ponuro. — Ale co to zmienia?

Pertraktacje zostały zakończone. Inny, rozsierdzony i posępny, odwrócił się i odszedł szybko w stronę własnego obozowiska. Srebrny Obłok obserwował go, zdumiony jego sposobem chodzenia. Członki Innego były tak luźno połączone w stawach, że dziwne było, że nie rozpadają się w ruchu. Dziwne też, że jego głowa nie odpada od kruchej szyi. Srebrny Obłok był wdzięczny losowi za własne krzepkie ciało, wdzięczny za jego odporność, mimo że ostatnio stało się zmęczone i obolałe. To ciało służyło mu dobrze przez wiele lat. Było dziełem Bogini. Srebrnemu Obłokowi zrobiło się żal Innych, którzy byli tacy brzydcy i których cechowała taka kruchość.

Kiedy wysłannik ponownie zbliżył się do obszaru strzeżonego przez wartowników, Góra o Zwalonym Wierzchołku jeszcze raz potrząsnął włócznią i zasyczał groźnie. Inny nie zwrócił na niego uwagi. Góra o Zwalonym Wierzchołku spojrzał na swego wodza, oczekując od niego rozkazów, ale Srebrny Obłok pokręcił głową i kazał mu zachować spokój. Inny zniknął w odległym obozowisku swojego plemienia.

I tak to się skończyło. Nie osiągnięto niczego.

Srebrny Obłok cierpiał męczarnie — takie dręczyły go wątpliwości. Wszystko, co ostatnio robił, powodowało jedynie zamęt. Nie oddali czci Bogini, mały chłopiec zniknął, sanktuarium, do którego przyszli z tak daleka, było niedostępne, pora roku szybko zmieniała się na gorszą, a teraz nie udało mu się osiągnąć czegokolwiek na drodze pertraktacji. Bez wątpienia Ta Która Wie miała rację — miała rację tak jak zwykle. Chociaż on nie chciał tego przyznać, miała rację, uważając, że on jest już za stary na wodza. Już czas się wycofać, już czas pozwolić Drużynie Zabijaczy wykonać jej powinność, już czas ułożyć się do snu, który nie ma końca.

Jego miejsce zajmie Płonące Oko. Tak, niech Płonące Oko będzie wodzem i niech się martwi, co robić dalej.

Ale ta myśl go rozzłościła, gdy tylko pojawiła się w jego głowie.

Płonące Oko? To głupiec. Płonące Oko będzie postępował głupio, jak wszyscy głupcy. Grzechem byłoby oddać plemię w jego ręce.

Więc w czyje? Czy wodzem ma być Góra o Zwalonym Wierzchołku? A może Drzewo Wilków? Albo Młoda Antylopa?

Wszyscy są głupcami. Srebrny Obłok nie mógłby oddać plemienia żadnemu z nich. Może kiedyś wyrośliby z tej głupoty, pomyślał, ale nie za bardzo w to wierzył.

Więc kto będzie po mnie wodzem?

Niech zdecyduje Bogini, powiedział sobie Srebrny Obłok. Kiedy ja już odejdę. Wtedy to będzie Jej problem, nie mój.

Nie, nie zrezygnuje. Zaczeka, aż śmierć sama po niego przyjdzie. Wiedział, że sam też jest głupcem, bo gdyby nim nie był, plemię nie znalazłoby się tutaj w sytuacji bez wyjścia. Ale jest mniej głupi niż ci młodzi, no i może pobyć jeszcze trochę wodzem.

— Co masz zamiar teraz zrobić, Srebrny Obłoku? — zapytała Ta Która Wie.

— Nic — odpowiedział. — Bo co można zrobić? Wrócił do obozu i usiadł przy ognisku. Przyszło do niego jakieś dziecko, dziewczynka. Nie mógł sobie przypomnieć, jak ona ma na imię. Przyciągnął ją do siebie i przez dłuższą chwilę siedzieli razem, wpatrując się w ruchliwe płomienie. Obecność dziecka rozproszyła trochę jego smutek. Kiedyś, kiedy jego już dawno nie będzie na świecie, ta mała dziewczynka da życie przyszłym członkom plemienia. Ta myśl była pocieszająca.. Wodzowie umierali, wojownicy umierali, każdy wcześniej czy później musiał umrzeć, a Lud trwał i miał trwać w nieskończoność, na wieki wieków. Tak. Tak. Dobrze jest o tym pamiętać. Wkrótce zaczął padać śnieg. I padał aż do późna w nocy.

9. Stawanie się

Trzy dni później pojawił się Hoskins.

— Wszystko jest załatwione — powiedział. — Moja żona nie ma więcej zastrzeżeń. Pozwoli Jerry'emu bawić się z Timmiem. Ned Cassiday spisał umowę uwzględniającą kwestię odpowiedzialności. Umowa ta, według niego, wytrzymuje krytykę.

— Kwestię odpowiedzialności? Za co, panie doktorze?

— Za jakąkolwiek zaistniałą szkodę.

— Którą Timmie wyrządzi Jerry'emu?

— Tak — powiedział Hoskins równie potulnie jak przedtem.

Panna Fellowes natychmiast się najeżyła.

— Niech mi pan powie, czy pan naprawdę myśli, że coś takiego się stanie? Czy naprawdę tak myśli pańska żona?

— Gdybyśmy się naprawdę tym martwili, nie zgodzilibyśmy się na to, żeby Jerry był towarzyszem zabaw Timmie'ego. Żona, jak pani wie, początkowo miała pewne wątpliwości, ale Timmie bardzo szybko podbił jej serce. Jednak kiedy spotykają się dwaj mali chłopcy, którzy się nie znają, zawsze istnieje możliwość, że jeden z nich uderzy drugiego. Nie muszę pani przecież o tym przypominać.

— Oczywiście. Ale rodzice przeważnie nie podpisują umów, tylko po prostu pozwalają swemu dziecku bawić się z innymi dziećmi. Hoskins roześmiał się.

— Nie rozumie pani. To firma nalega, żeby zawrzeć taką umowę, nie my. My z Annette dajemy gwarancję, że nie pozwiemy instytutu, jeżeli się coś stanie. To jest z naszej strony rezygnacja z roszczeń, panno Fellowes.

— Aha — powiedziała panna Fellowes. — Rozumiem. A kiedy przyprowadzą tu państwo Jerry'ego?

— Jutro rano, dobrze? Odpowiada to pani?

* * *

Panna Fellowes czekała z tą wielką nowiną aż do śniadania. Nie chciała nic mówić chłopcu poprzedniego wieczora, bo bała się, że z podniecenia nie będzie dobrze spał. A niewyspany mógł po przybyciu Jerry'ego okazać się zdenerwowany, a jego zachowanie trudne do przewidzenia.

— Przyjdzie dziś do ciebie kolega.

— Kolega?

— Taki mały chłopiec. Przyjdzie i będzie się z tobą bawił.

— Mały chłopiec taki jak ja?

— Tak, taki jak ty.

Taki jak ty pod każdym względem, który ma jakiekolwiek znaczenie — dodała w myśli z wielką stanowczością.

— On ma na imię Jerry — mówiła dalej. — Jest synem doktora Hoskinsa.

— Synem? — spojrzał na nią jak ktoś, kto się zastanawia, o co chodzi.

— Doktor Hoskins jest jego ojcem — powiedziała panna Fellowes, jakby to mogło coś wyjaśnić.

— Ojcem.

— Ojciec — syn. — Panna Fellowes podniosła rękę wysoko, a potem przeniosła ją niżej. — Ojciec to taki duży pan. A syn to mały chłopiec.

Timmie wciąż wyglądał na zdezorientowanego. Istniało tyle podstawowych pojęć, tyle rzeczy, które dla każdego były zrozumiałe same przez się, a dla niego stanowiły coś obcego. Działo się tak dlatego, że chłopiec spędził cały ten okres w izolacji, w kopule będącej częścią pola statycznego. Ale oczywiście Timmie wiedział, kim są rodzice. A może zapomniał? Może nawet to zatarło mu się w pamięci? Nie po raz pierwszy panna Fellowes złapała się na tym, że nienawidzi doktora Hoskinsa i wszystkich jego współpracowników za to, że wyrwali tego chłopca z jego własnego czasu i miejsca. Była prawie gotowa zgodzić się z Mannheimem i jego ludźmi, którzy twierdzili, że odbywa się tu bardzo wyrafinowane znęcanie się nad dzieckiem.

Przejrzawszy książeczki Timmie'ego, znalazła jedną z jego ulubionych, tę, która opowiadała historię Wilhelma Telia. Nie miała pojęcia, co ta historia dla niego znaczyła, ale wiedziała, że są w niej przemawiające do wyobraźni ilustracje o żywych barwach i że chłopiec bardzo często tę książeczkę ogląda, pocierając palcami kolorowe obrazki. Panna Fellowes wzięła ją teraz i otworzyła w miejscu, gdzie na dwóch stronach był obrazek przedstawiający Wilhelma Telia zestrzelającego strzałą z kuszy jabłko z głowy syna. Pokazała chłopcu najpierw Telia w średniowiecznym stroju, a potem jego syna.

— Ojciec — syn, ojciec — syn — powiedziała.

Timmie poważnie kiwnął głową.

Co on sobie myśli? — zastanawiała się. Czy uważa, że doktor Hoskins jest przystojnym mężczyzną o długich blond włosach, który chodzi w cudacznym ubraniu i nosi pod pachą dziwną machinę? Czy może myśli, że ktoś tu zaraz przyjdzie i będzie chciał zestrzelić jabłko z jego głowy? Być może błędem było wprowadzać teraz abstrakcyjne pojęcia „ojciec" i „syn".

Nie wiadomo. Najważniejsze jednak, że Timmie wkrótce będzie miał kolegę, pomyślała.

— On przyjdzie po śniadaniu — powiedziała. — To bardzo grzeczny chłopiec. — Miała głęboką nadzieję, że tak jest. — A ty mu pokażesz, że i ty jesteś grzeczny, tak? — Grzeczny chłopiec. Tak.

— Będziesz jego kolegą. A on będzie twoim kolegą. — Kolega. Grzeczny chłopiec.

Oczy mu błyszczały. Ale czy coś z tego zrozumiał? Czy zrozumiał cokolwiek?

Im bardziej zbliżała się chwila przybycia Jerry'ego Hoskinsa, tym więcej złych przeczuć miała panna Fellowes. Dostrzegała coraz to nowe problemy, o których przedtem nie myślała.

Przestań, powiedziała sobie.

(Chciałaś tego. Myślałaś o tym od miesięcy. A teraz to jest tuż tuż. Nie ma się czym martwić. Nie ma czym.)

— Panno Fellowes?

Głos Hoskinsa, przez interkom.

— Już są — powiedziała do Timmie'ego. — Jerry przyszedł!

Ku jej zaskoczeniu, Timmie pobiegł do swojego pokoju i przymknął drzwi. Wyglądał zza nich zbity z tropu. To nie Jest dobry znak, pomyślała panna Fellowes.

— Timmie… — zaczęła.

W tejże chwili w progu stanęła cała rodzina Hoskinsów.

— To jest mój synek Jerry — powiedział Hoskins. — Ukłoń się pannie Fellowes, Jerry.

Panna Fellowes zobaczyła wielkookie dziecko z okrągłą buzią, bladymi policzkami i zwisającymi luźno potarganymi włosami, trzymające się spódnicy Annette Hoskins. Chłopiec był bardzo podobny do ojca — był pięcioletnią kopią Geralda Hoskinsa.

— Powiedz „dzień dobry" — zwrócił się do niego Hoskins dość srogo.

— Dzień dobry.

Było to ledwie dosłyszalne. Jerry wycofał się miedzy fałdy matczynej spódnicy.

Panna Fellowes uśmiechnęła się do niego swoim najcieplejszym, najserdeczniejszym uśmiechem.

— Dzień dobry, Jerry. Może wejdziesz? Tutaj mieszka Timmie. On będzie twoim kolegą.

Jerry popatrzył na nią. Wyglądało na to, że wolałby odwrócić się na pięcie i uciec.

— Przenieś go przez próg — powiedział Hoskins do żony tonem trochę zniecierpliwionym.

Annette Hoskins podniosła chłopca z widocznym wysiłkiem, bo Jerry był duży jak na swój wiek, i przeszła przez próg. Jerrym

wstrząsnął dreszcz.

— On nie jest zadowolony, Geraldzie — powiedziała Annette.

— Widzę. Musi upłynąć trochę czasu. Zaraz poczuje się dobrze. Postaw go.

Oczy Annette Hoskins przeszukiwały pokój. Mięśnie jej ramion w widoczny sposób napięły się. Mimo że Timmie podbił jej serce podczas poprzedniej wizyty, ogarnęły ją | teraz złe przeczucia. Ukochane dziecko miało zostać w tej klatce małpoluda…

— Postaw go, Annette.

Annette kiwnęła głową. Chłopiec cofnął się i oparł o nią plecami, patrząc ze strachem na parę oczu spoglądającą na | niego z drugiego pokoju.

— Wyjdź, Timmie-powiedziała panna Fellowes. — To | jest twój kolega, Jerry. Jerry bardzo chce cię poznać. Nie bój się.

Timmie powoli wszedł do pokoju. Jerry zaczął się niespokojnie kręcić. Hoskins schylił się, chcąc oderwać | jego dłoń od spódnicy matki.

— Odsuń się, Annette — powiedział scenicznym szeptem. — Daj dzieciom szansę, na litość boską.

Dzieci stały teraz naprzeciwko siebie — dosłownie nos w nos. Jerry, chociaż z pewnością o kilka miesięcy młodszy od Timmie'ego, był od niego o dwa centymetry wyższy. W zestawieniu z wyprostowaną sylwetką Jerry'ego i jego ładnie ukształtowaną głową, którą trzymał wysoko, groteskowość wyglądu Timmie'ego zaczęła nagle bić w oczy tak samo jak na początku.

Wargi panny Fellowes zadrżały.

Nastąpiła chwila ciszy. Sytuacja była dość kłopotliwa. Dzieci wpatrywały się w siebie. Mały neandertalczyk przemówił pierwszy.

— Mam na imię Timmie — powiedział dziecięcym dyszkantem i nagle wysunął głowę w przód, jakby chcąc dokładniej przyjrzeć się rysom drugiego chłopca.

Jerry, zaskoczony, energicznie pchnął Timmie'ego, który się przewrócił. Obaj zaczęli głośno płakać. Pani Hoskins schwyciła swoje dziecko, podczas gdy, panna Fellowes, starając się pohamować gniew, podniosła szybko Timmie'ego i zaczęła go uspokajać. Małe zwierzątko! — pomyślała zapalczywie. — Złośliwa mała bestia!

Wiedziała jednak, że reaguje zbyt ostro. Timmie przestraszył Jerry'ego, a Jerry bronił się, jak umiał. Nie stało się nic niezwykłego. Od początku powinniśmy się byli tego spodziewać, powiedziała sobie.

— No, no — odezwał się Hoskins.

— Wiedziałam, że to nie jest dobry pomysł — stwierdziła Annette Hoskins. — Oni się instynktownie nie lubią.

— To nie jest instynktowne — powiedziała stanowczo panna Fellowes.

— Nie — zgodził się z nią Hoskins. — To wcale nie jest instynktowne. Wcale nie bardziej instynktowne niż wzajemna niechęć dwojga jakichkolwiek dzieci, odczuwana przez nie w pierwszej chwili. Zostaw Jerry'ego i pozwól mu przywyknąć do tej sytuacji.

— A co będzie, jeżeli ten jaskiniowiec mu odda?

— To nie będzie wcale dziwne — powiedział Hoskins. — Ale Jerry potrafi radzić sobie sam. A jeżeli nie potrafi, to najwyższy czas, żeby się nauczył. Musimy mu pozwolić przyzwyczaić się do sytuacji.

Annette Hoskins wciąż nie była pewna.

— Właściwie — powiedział jej mąż — uważam, że najlepiej będzie, jeżeli teraz oboje wyjdziemy. Jeśli pojawią się problemy, panna Fellowes będzie wiedziała, jak sobie z nimi poradzić. Za jakąś godzinę przyprowadzi Jerry „ego do mojego gabinetu, a ja zabiorę go do domu.

* * *

Była to długa godzina. Timmie wycofał się w kąt pokoju i patrzył ze złością na Jerry'ego, jakby usiłując go usunąć ze swego świata samą siłą spojrzenia. Najwyraźniej postanowił nie szukać schronienia w drugim pokoju, co często robił, kiedy był zdenerwowany. Tym razem jednak uważał chyba, że niemądrze byłoby uciec i zostawić pokaźną część swego terytorium wrogowi.

Jerry natomiast skulił się w drugim końcu pomieszczenia, zaczął płakać i wzywać matkę. Wyglądał na tak nieszczęśliwego, że panna Fellowes, zdając sobie sprawę, iż ryzykuje tym, że jeszcze bardziej zdenerwuje Timmie'ego, podeszła do niego i zaczęła go pocieszać. Zapewniała go, że matka jest w pobliżu, że wcale go nie porzuciła, a on wkrótce ją zobaczy.

— Chcę, żeby przyszła teraz! — powiedział Jerry.

(Ty pewnie myślisz, że zostawiono cię tutaj i że będziesz już zawsze mieszkał w tym pokoju, prawda, dziecko? Że będziesz tu zamknięty razem z Timmiem. A tobie się to wcale nie podoba. Oczywiście, że ci się nie podoba. Zresztą tak samo jak Timmiemu.)

— Do domu! — odezwał się Jerry. — Chcę już do domu!

— Pójdziesz do domu niedługo, Jerry — powiedziała panna Fellowes. — Przyszedłeś tu na krótko.

Zaczął ją bić zaciśniętymi pięściami.

— Nie — powiedziała panna Fellowes, łapiąc go zręcznie za pasek i trzymając wierzgającego chłopca na odległość ramienia. — Nie, Jerry! Nie, nie bij… A chcesz lizaka?

— Nie! Nie! Nie!

Panna Fellowes roześmiała się.

> — Ja jednak myślę, że chcesz. Zostań tu, a ja ci przyniosę.

Otworzyła schowek z lizakami… Timmie dowiódł już, że nie można mu ufać i trzymać lizaków na wierzchu… Panna Fellowes otworzyła więc schowek i wyciągnęła wielkiego kulistego, zielonego lizaka, tak wielkiego, że wydawał się za duży dla chłopca.

Jerry otworzył szeroko oczy i natychmiast przestał płakać. < — Tak myślałam — powiedziała panna Fellowes 2 uśmiechem.

Wręczyła mu lizaka, a on bez trudu wpakował go sobie do ust.

Timmie, siedzący w swoim kącie, zamruczał coś cicho.

— Tak, wiem, że i ty chcesz lizaka. Nie zapomniałam 6 tobie, Timmie.

Wyciągnęła drugiego, tym razem pomarańczowego, i podała mu go. Timmie złapał go z gwałtownością zwierzęcia trzymanego w klatce i wyrwał z jej ręki.

Panna Fellowes spojrzała na niego zmartwiona. Nie Spodziewała się, że ta wizyta przebiegnie spokojnie, ale te oznaki powrotu do stanu dzikości były denerwujące.

Do stanu dzikości? Nie, pomyślała. To była zbyt ostra interpretacja zachowania Timmie'ego. To Jerry pierwszy go uderzył, przypomniała sobie. Timmie wyszedł do niego i przedstawił się mu — grzecznie i w sposób cywilizowany. A Jerry go popchnął. Prawdopodobnie Timmie doszedł do wniosku, że jedyną sensowną reakcją na takie zachowanie są dzikie pomruki i warknięcia.

Chłopcy, liżąc lizaki, patrzyli teraz gniewnie na siebie poprzez całą szerokość pokoju.

Panna Fellowes zrozumiała, że ta pierwsza godzina nie będzie dla nikogo przyjemna.

Ale takie sytuacje nie były jej nie znane. Nie zbijały jej też z tropu. Była świadkiem wielu walnych bitew staczanych przez złoszczące się dzieci i widziała, jak po takich bitwach następowały rozejmy, a potem nawiązywały się przyjaźnie. W takich razach należy okazać cierpliwość. W stosunkach z dziećmi cierpliwość jest zawsze czymś właściwym. Takie problemy rozwiązują się same, trzeba tylko dać dzieciom czas, myślała.

— A co powiecie na klocki? — zapytała chłopców. — J Timmie, chciałbyś pobawić się klockami?

Timmie popatrzył na nią ponuro, ale jego spojrzenie wyrażało chyba zgodę. Tak stwierdziła w duchu, chociaż pewności nie miała.

— Dobrze — powiedziała.

Poszła do drugiego pokoju i przyniosła klocki — nowoczesne, gładkie sześciany, które elegancko z trzaskiem przystawały do siebie i cicho grały, kiedy się zbliżało do siebie powierzchnie w tym samym

kolorze. Panna Fellowes położyła je na środku pokoju.

— Czy Jerry też może się pobawić twoimi klockami? Timmie coś mruknął.

— Aha, może — powiedziała. — Grzeczny z ciebie chłopiec. Wiedziałam, że mu pozwolisz. Chodź, Jerry. Timmie pozwoli ci się bawić klockami.

Jerry, wahając się, podszedł. Timmie siedział już na podłodze i wybierał swoje ulubione klocki. Jerry obserwował go uważnie z bezpiecznej odległości. Panna Fellowes podeszła do niego z tyłu i lekko, ale zdecydowanie popchnęła go w stronę zabawek.

— Baw się, Jerry. No, baw się. Timmie ci pozwala.

Obejrzał się na nią z miną wyrażającą powątpiewanie.

Potem ostrożnie wybrał jeden klocek. Timmie zamruczał dość głośno, ale kiedy panna Fellowes spojrzała na niego ostrzegawczo, pozostał na miejscu. Jerry wziął drugi. I trzeci. Timmie złapał dwa i schował je za siebie. Jerry wziął jeszcze jeden.

Bardzo szybko sterta klocków została podzielona na dwie mniej więcej równe części Timmie bawił się jedną w jednym końcu pokoju, a Jerry gorliwie zajmował się drugą w drugim końcu, koło drzwi. Ignorowali się nawzajem tak dokładnie, jakby każdy z nich znajdował się na innej planecie. Nie było między nimi żadnego kontaktu, nawet na siebie nie spoglądali ukradkiem.

Ale przynajmniej bawią się tymi samymi klockami, pomyślała panna Fellowes. To już jakiś początek.

Wycofała się i pozwoliła im budować w spokoju. Od czasu do czasu zaglądała do nich, chcąc się przekonać, czy któryś nie zaczął myśleć o przekroczeniu niewidzialnej ściany, którą podzielili pokój. Ale nie: każdy w dalszym ciągu bawił się na swoim terytorium. Tak bardzo się starali się zwracać na siebie uwagi, że panna Fellowes zaczęła podejrzewać, że jest to dla nich męczące. Timmie dopasował wszystkie klocki i ułożył z nich nierówny kwadrat, otwarty dla dwóch rogach. Jerry ułożył swoje w sposób o wiele bardziej skomplikowany: po zrobieniu kilku poprawek, stworzył z nich doskonałą piramidę.

Panna Fellowes złapała się na tym, że — widząc bardziej złożone dzieło Jerry'ego — czuje się trochę przygnębiona. Czy jest to jeszcze jeden dowód wyższości umysłu Homo sapiens sapiens nad umysłem Homo sapiens neanderthalensis? — zastanowiła się. Może tak. Ale równie prawdopodobne, że Jerry ma takie same klocki w domu i że jego ojciec — uczony, fizyk — pokazał mu, jak budować taką ładną piramidę. A biedny, pozbawiony ojca Timmie nic miał takiej pomocy. Ona sama nie udzielała mu porad na temat sztuki układania klocków. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że można by to zrobić. Już sam fakt, że Timmie potrafił zorientować się, jak należy się bawić tą zabawką, i że prawie instynktownie się tego nauczył, stanowiło dla niej powód do

zadowolenia. I teraz z powodu wstydu, że Timmie nie wykazuje się taką sprawnością intelektualną jak Jerry, wolała myśleć, że Hoskins musiał włożyć wiele wysiłku w to, żeby zrobić ze swego syna takiego mistrza w dziedzinie układania piramid.

— Chłopcy, chcecie mleka? — zapytała, kiedy wyznaczona godzina już prawie minęła.

Chcieli, ale kiedy im je dała, nie okazali się bardziej towarzyscy niż przedtem. Każdy wycofał się do własnego kąta i tam wypił swoją porcję. Panna Fellowes była i niezadowolona, widząc, że Jerry o wiele lepiej radzi sobie J z trzymaniem szklanki.

Przestań — nakazała sama sobie surowo. — Jerry miał! mnóstwo okazji, żeby nauczyć się różnych rzeczy, okazji,! które Timmie'emu nie były dane. Jerry nie znalazł siei w tym świecie nagle w wieku lat czterech, nie mając pojęcia, jak robić to wszystko, co robią ludzie współcześni.

Ale nawet takie perswazje nie pomogły jej pozbyć się lekkiego przygnębienia. W takim też nastroju po godzinie odprowadziła Jerry'ego do gabinetu Hoskinsa.

— No i jak poszło? — zapytał Hoskins.

— Zrobiliśmy początek — odrzekła. — Tylko początek, ale trzeba przecież od czegoś zacząć.

— Nikt nikogo więcej nie uderzył?

— Nie.

Opowiedziała mu o klockach, nie informując o tym, że Jeny okazał się lepszym architektem.

— Tolerowali się nawzajem. To najtrafniejsze określenie. Timmie przebywał w jednej strefie, a Jerry w drugiej. Zbliżenie się do siebie zajmie im trochę czasu.

— Tak. Jestem pewien, że tak będzie — powiedział Hoskins.

Z jego tonu można było wywnioskować, że jest mu to zupełnie obojętne, że niemal z niecierpliwością czeka na to, żeby panna Fellowes już wyszła. Zauważyła, że ani słowem nie odezwał się do syna.

Jego biurko zarzucone było papierami, leżały na nim wydruki, a także stosy dyskietek z danymi.

— Jakiś nowy eksperyment? — odważyła się zapytać panna Fellowes.

— Tak, rzeczywiście. Albo raczej pewien przełomowy etap w eksperymencie trwającym od pewnego czasu. Kończymy pracę nad krótkozasięgowym transferem temporalnym. Jesteśmy bliscy dokonania detekcji temporalnej z bardzo bliskiej odległości.

— Dętek…

— Zacieśniamy granice obszaru sięgania. Jesteśmy teraz w stanie sięgnąć na odległość dziesięciu tysięcy lat. I wygląda na to, że przy

następnym przekroczeniu granic czasu możemy dokonać udoskonalenia ilościowego rzędu kilku wielkości.

Panna Fellowes, która wciąż myślała o chłopcach, popatrzyła na niego z roztargnieniem. A Hoskins radośnie mówił dalej.

— Przez co rozumiem, że spodziewamy się uzyskać zdolność sięgania wstecz na odległość tysiąca lat albo mniejszą. Może to pani sobie wyobrazić? Mało tego. Ograniczenie dotyczące masy robi się coraz mniejsze.

Dawna granica czterdziestu kilogramów wkrótce będzie pieśnią przeszłości. Teraz otwiera się przed nami możliwość przeniesienia osiemdziesięciu, a nawet stu kilogramów.

— Bardzo się cieszę, panie doktorze — powiedziała panna Fellowes tonem bynajmniej nie serdecznym, czego Hoskins nie zauważył.

— Dziękuję, panno Fellowes.

Hoskins spojrzał na syna tak, jakby zobaczył go po raz pierwszy od chwili jego wejścia do gabinetu, i przygarnął go do siebie z niejakim roztargnieniem.

— No więc będziemy musieli przyprowadzić Jerry'ego jeszcze raz za kilka dni. Wtedy się przekonamy, czy chłopcy lepiej się rozumieją. Tak, panno Fellowes?

— Tak. Tak, oczywiście. Panna Fellowes zawahała się.

— Czy coś jeszcze? — zapytał Hoskins.

Tak, było coś jeszcze. Chciała mu powiedzieć, jaka jest mu wdzięczna za to, iż pozwolił Jerry'emu odwiedzić Timmie'ego. Sprawy nie ułożyły się zbyt dobrze, ona jednak była mu wdzięczna. Wiedziała, że te występujące na początku napięcia ustąpią, że z czasem znikną lęki i niepewność, i że chłopcy w końcu się zaprzyjaźnią. Przekonał ją o tym fakt, że Timmie wyraził chęć podzielenia się klockami. Tak, była o tym przekonana, chociaż Timmie zrobił to bez wielkiego entuzjazmu. Chłopcy się zaprzyjaźnią. A przyjaciel był tym, czego Timmie potrzebował najbardziej. Z czasem obecność Jerry'ego wywrze na Timmie'ego cudowny wpływ, malec się zmieni: stanie się otwarty, będzie umiał porozumieć się z rówieśnikami, stanie się takim chłopcem, jakim powinien być. Tak. Nareszcie będzie mógł stać się prawdziwym Timmiem. Taka rzecz nie była możliwa, kiedy żył sam, nawet przy jej najczulszej opiece. Panna Fellowes była naprawdę wdzięczna Hoskinsowi za to, ze pozwolił Jerry'emu bawić się z Timmiem — a wdzięczność jej sięgała prawie granic sentymentalizmu.

Nie mogła jednak zmusić się do tego, żeby mu to powiedzieć. Szukała w myśli sposobu, w jaki należało podziękować, ale jego oficjalny ton, jego roztargnienie i zaabsorbowanie wydrukami oraz dyskietkami z danymi działały na nią odpychająco. Może on wciąż pamięta, myślała, nasz wspólny lunch i to, że powiedziałam mu, że

jest ojcem Timmie'ego w każdym sensie tego słowa z wyjątkiem biologicznego, i że jest okrutny, odmawiając chłopcu prawa do towarzystwa? Może pamięta także i to, iż powiedziałam, że powinien to towarzystwo zapewnić, bo jest mu to winien? I może dlatego przyprowadził swojego własnego, prawdziwego syna? Może chciał przez to udowodnić, że jest dobrym ojcem dla Timmie'ego, a równocześnie, iż nie jest wcale jego ojcem? Może chciał udowodnić te dwie rzeczy naraz?! I czuje do mnie urazę za to, ponieważ zmusiłam go do ich udowadniania?

Pomyślawszy tak, panna Fellowes zdołała powiedzieć jedynie:

— Jestem bardzo zadowolona, że pozwolił pan synowi tu przyjść. Dziękuję panu za to. Dziękuję bardzo, panie doktorze.

A on odpowiedział tylko:

— W porządku, panno Fellowes. Nie ma o czym mówić.

* * *

Wizyty stały się regularne. Jerry powrócił w trzy dni później, a następnie po czterech dniach. Druga trwała tyle co pierwsza, trzecia została przedłużona do dwóch godzin i później wszystkie następne trwały tyle samo.

Przyglądanie się sobie i popychanie, jakie miało miejsce podczas pierwszego spotkania, nigdy się nie powtórzyło.

Za drugim razem, kiedy Jerry — już bez rodziców — przekroczył barierę pola statycznego, chłopcy popatrzyli na siebie trochę nerwowo, ale panna Fellowes powiedziała szybko:

— Przyszedł Jerry, twój kolega, wiesz, Timmie?

A Timmie kiwnął głową, nie okazując wcale wrogości. Zaczynał akceptować obecność Jerry'ego, uznając ją za taki sam element życia pod kopułą jak wizyty antropologów czy badania wykonywane na polecenie doktora Jacobsa.

— Timmie, powiedz: „Cześć".

— Cześć.

— A ty, Jerry?

— Cześć, Timmie.

— A teraz ty powiedz: „Cześć, Jerry". Chwila milczenia.

— Cześć, Jerry.

— Cześć, Timmie.

— Cześć, Jerry.

— Cześć, Timmie.

— Cześć, Jerry.

Nie chcieli przestać. To była zabawa. Obaj się śmiali. Panna Fellowes poczuła wielką ulgę. Dzieci wygłupiające się razem nie były skłonne zacząć się bić, gdy tylko ona się odwróci. Dzieci rozśmieszające się nawzajem na pewno nie będą się nienawidziły.

— Cześć, Timmie.

— Cześć, Jerry.

— Cześć…

Jeszcze coś. Jerry nie miał żadnych trudności ze zrozumieniem tego, co mówił Timmie. Co prawda „Cześć, Jerry" nie było zbyt skomplikowaną sekwengą dźwięków. Jednak dorośli goście domku dla lalek zupełnie nie rozumieli Timmie'ego, nie identyfikowali ani jednej sylaby z tego, co mówił. Jerry natomiast nie miał takich jak oni ugruntowanych przekonań dotyczących wymowy. Dla niego wymowa kolegi, który mówił nieco stłumionym głosem, nie miała żadnych tajemnic.

— Chcielibyście pobawić się znowu klockami? — zapytała panna Fellowes.

Nastąpiło entuzjastyczne kiwanie głowami. Panna Fellowes przyniosła z drugiego pokoju klocki i wysypała je na podłogę.

Chłopcy znowu szybko podzielili je na mniej więcej równe kupki. I każdy z nich zabrał się natychmiast do zabawy swoimi klockami. Jednak tym razem nie wycofali się w przeciwległe końce pokoju. Pracowali obok siebie, w ciszy, żaden nie zwracał uwagi na to, co robi drugi, jednak bliskie sąsiedztwo nie stanowiło już dla nich problemu.

Dobrze. Tak, dobrze.

Niezbyt dobre było jednak to, że klocki nie zostały podzielone tak równo, jak to wyglądało na pierwszy rzut oka. Jerry przywłaszczył sobie więcej niż połowę — a tak naprawdę to prawie dwie trzecie. Szybko układał z nich piramidę, co szło mu łatwiej niż poprzednio, bo miał do dyspozycji więcej materiałów budowlanych.

Timmie natomiast pracował nad czymś w kształcie litery X. Nie miał jednak wystarczającej ilości elementów i jego budowla nie wychodziła tak jak trzeba. Panna Fellowes zauważyła, że spogląda w zamyśleniu na stos Jerry'ego i przygotowywała się do interwencji na wypadek, gdyby zaczęła się sprzeczka. Jednak Timmie nie sięgnął po klocki Jerry'ego. Zadowolił się patrzeniem na nie.

Czy był to dowód godnej pochwały powściągliwości? Gzy grzeczności, jaką dobrze wychowane dziecko okazuje swojemu gościowi?

. A może tym, że Timmie nie odbiera klocków Jerry'emu, należało się martwić? Bo Timmie wcale nie był tak dobrze wychowany. Panna Fellowes nie miała co do tego złudzeń. Dołożyła wszelkich starań, żeby nauczyć go grzeczności i szacunku dla innych, jednak szaleństwem byłoby uważać Timmie'ego za wzór cnót pod tym

względem. Był dzieckiem prymitywnej społeczności, w której zasady dobrego wychowania, tak jak je rozumiemy dzisiaj, były prawdopodobnie nieznane, a poza tym został oddzielony od własnego plemienia i zmuszony do życia w izolacji w polu statycznym, w związku z czym nic miał okazji rozwinąć w sobie tych umiejętności towarzyskich, które normalne dzieci w jego wieku już posiadały. A zresztą normalne dzieci w jego wieku też nie były uprzejme.

To, że Timmie nie sięgał po klocki znajdujące się na kupce Jerry'ego, swoje własne klocki, mogło być spowodowane wcale nie tym, że był taki dobrze wychowany, tylko tym, że czuje się zastraszony. Że boi się Jerry'ego i dlatego nie ma odwagi zachować się jak normalny chłopiec i wziąć tego, co chce.

Czy powodem tej bojaźliwości było to, że Jerry popchnął go podczas swojej pierwszej wizyty?

Czy może coś innego — coś głębszego, jakaś ciemna sprawa zagubiona w zamierzchłej przeszłości ludzkiego gatunku?

* * *

Pewnego wieczoru, dość jeszcze wcześnie, zaraz po tym jak Timmie poszedł do swojego pokoju, zadzwonił telefon. W słuchawce rozległ się głos z centralki:

— Panno Fellowes, dzwoni do pani Bruce „Mannheim.

Panna Fellowes uniosła brwi. Mannheim dzwonił do niej? Nikt nigdy tu do niej nie dzwonił. Z własnej woli żyła prawie zupełnie odcięta od świata zewnętrznego, bo nie chciała, żeby niepokoiły ją media, różni ciekawscy, fanatycy i wariaci, a także ludzie pokroju… Bruce'a Mannheima. I oto on sam do niej telefonował. Jak, na litość boską, udało mu się dodzwonić do niej za plecami Hoskinsa? Nie, on chyba telefonuje za wiedzą i zgodą Hoskinsa — pomyślała.

— Tak słucham, pana. Jak się panu powodzi?

— Świetnie, panno Fellowes, po prostu świetnie. Doktor Hoskins powiedział mi, że Timmie ma w końcu towarzysza zabaw.

— Rzeczywiście. Tym towarzyszem zabaw jest syn doktora Hoskinsa.

— Tak. Wiem o tym. Wszyscy jesteśmy zdania, że doktor postąpił wspaniale. A… się jak pani zdaniem wszystko układa?

Panna Fellowes zawahała się. — Zupełnie dobrze.

— Stosunki między chłopcami są dobre?

— Oczywiście. Z początku było trochę nerwowo… i muszę powiedzieć, że bardziej nerwowy był Jerry. Timmie szybko nabrał

sympatii dla Jerry'ego, chociaż nigdy przedtem nie widział takiego dziecka.

— A Jerry? Nie zareagował zbyt dobrze na neandertalczyka?

— Nie wiem czy fakt, że Timmie jest neandertalczykiem, ma coś z tym wspólnego. Jerry był po prostu zdenerwowany, to wszystko. Według mnie była to zwykła reakcja dziecka na drugie dziecko. Nie miało to żadnych podtekstów antropologicznych. Jeden drugiego popchnął, co mogło się zdarzyć między jakimikolwiek dziećmi. .Ale teraz jest inaczej. Wszystko przebiega bardzo pokojowo.

— Miło mi to słyszeć — powiedział Mannheim. — I Timmie ma się bardzo dobrze?

— Tak, to prawda, ma się bardzo dobrze. Nastąpiła chwila ciszy. Panna Fellowes miała nadzieję, że orędownik dzieci nie zamierza jej oświadczyć, że wycyganił zezwolenie na następną wizytę w domku dla lalek, podczas której sprawdzi, jak układają się stosunki Timmie'ego z nowym kolegą. Timmie'emu niepotrzebne były żadne dodatkowe wizyty i panna Fellowes nie chciała, żeby ktoś z zewnątrz, ktoś taki jak Mannheim, przychodził wtedy, kiedy chłopcy będą razem. Bo ich rozwijające się stosunki, aczkolwiek tak pokojowe, jak mówiła, miały jednak w sobie jakąś ulotność i w obecności kogoś obcego mogły przekształcić się w coś kłopotliwego.

Ale wyglądało na to, że Mannheim nie ma zamiaru składać im wizyty.

— Chcę pani tylko powiedzieć, panno Fellowes — odezwał się po chwili — że jesteśmy wszyscy bardzo zadowoleni, że Timmie ma taką doskonałą opiekę.

— To bardzo miłe z państwa strony.

— Chłopiec miał przerażające doświadczenia i adaptuje się bardzo dobrze. Jak dotąd. To w ogromnym stopniu pani zasługa. (Co on ma na myśli, mówiąc: „Jak dotąd"?)

— Oczywiście wolelibyśmy, żeby Timmie'ego pozostawiono w jego własnym środowisku, wśród jego bliskich — mówił dalej Mannheim. — Ale skoro stało się tak, jak się stało, dobrze jest wiedzieć, że opiekuje się nim oddana swoim obowiązkom i pracująca z całym poświęceniem kobieta taka jak pani i że opiekuje się w sposób, w jaki pani to robi. Pani zdziałała cuda. Nie mam na to innego określenia.

— To bardzo miłe, że pan tak mówi — powiedziała panna Fellowes dość obojętnie.

Nigdy nie zależało jej specjalnie na pochwałach, a Mannheim chwalił ją dość przesadnie.

— Doktor Levien jest tego samego zdania. ? — Ach tak — mruknęła panna Fellowes i dodała chłodno: — Bardzo mi miło to słyszeć. — Chciałbym podać pani mój numer — oświadczył

Mannheim. (Po co?)

— Zawsze mogę znaleźć pana za pośrednictwem doktora Hoskinsa — odrzekła panna Fellowes.

— Tak, oczywiście. Ale może przyjść moment, w którym będzie się pani chciała porozumieć ze mną bezpośrednio.

(Po co? Dlaczego? O co tu chodzi?)

— No… może…

— Uważam, że pani i ja jesteśmy naturalnymi sprzymierzeńcami, panno Fellowes. Leży nam na sercu przede wszystkim dobro Timmie'ego. Bez względu na to, jakie są nasze poglądy na sposoby opieki nad dziećmi, na sprawy polityczne, na cokolwiek. Obojgu nam chodzi o Timmie'ego. I dlatego, gdyby chciała pani o tym ze mną porozmawiać, gdyby w instytucie zaszły jakieś zmiany, mające złe skutki dla chłopca…

(Aha. Chcesz, żebym była twoim szpiegiem.)

— Jestem pewna, panie Mannheim, że wszystko będzie dalej szło bardzo gładko.

— Oczywiście, oczywiście. Jednak…

Podał jej numer. A ona go zapisała, nie wiedząc, dlaczego to robi.

Na wszelki wypadek, powiedziała sobie. ? To znaczy na jaki wypadek?

* * *

— Czy Jerry dzisiaj przyjdzie? — zapytał Timmie.

— Jutro.

Było aż nazbyt oczywiste, że chłopiec jest rozczarowany.

Jego okrągła buzia zmarszczyła się. Między wypukłymi brwiami też pojawiła się zmarszczka.

— Dlaczego nie dzisiaj?

— Dzisiaj nie jest jego dzień. Dzisiaj Jerry… musi dokądś pójść.

— A dokąd?

— No… w pewne miejsce — powiedziała, celowo nie precyzując dokąd.

Bo jak miała mu opisać przedszkole? Co pomyślałby Timmie, dowiedziawszy się, że inne dzieci… że dużo innych dzieci schodzi się, żeby się razem bawić, biegać ze śmiechem po podwórku i malować farbami po papierze?

— Jerry przyjdzie do ciebie jutro.

— Ja chciałbym, żeby przychodził codziennie.

— Ja też bym chciała.

(Czy rzeczywiście? Czy rzeczywiście bym chciała?)

* * *

Problem nie polegał na tym, że Timmie miał kolegę, tylko na tym, że ten kolega z czasem stawał się zbyt pewny siebie, zbyt agresywny. Jerry całkowicie pokonał już bojaźliwość, którą okazywał na początku, i zdecydowanie dominował.

Trzeba zacząć od tego, że był od Timmie'ego większy i rósł szybciej. Różnica wzrostu wynosiła już cztery centymetry. Poza tym był cięższy. I szybszy, i silniejszy, i prawdopodobnie inteligentniejszy, z czym pannie Fellowes trudno się było pogodzić. O wiele szybciej niż Timmie orientował się, do czego służą nowe zabawki i o wiele szybciej wymyślał nowe, ciekawe zabawy tymi zabawkami. Kiedy panna Fellowes dawała chłopcom farby, kredki albo modelinę, Jerry natychmiast zabierał się do roboty, i tworzył obrazki i kształty, podczas gdy Timmie bazgrał coś i wytwarzał masę pozbawioną formy. Wyglądało na to, że Timmie nie ma w ogóle żadnych zdolności artystycznych, nawet w tak minimalnym stopniu, jakiego można by się spodziewać u średnio inteligentnego dziecka w jego wieku.

Oczywiście, dyskutowała sama ze sobą panna Fellowes, Jerry codziennie chodzi do przedszkola. Tam nauczył się, jak należy rysować kredkami, malować farbami i jak lepić z modeliny.

Ale Timmie też miał kredki, farby i modelinę na długo przed pojawieniem się Jerry'ego. Jednak nigdy nie nauczył się dobrze nimi posługiwać. Przedtem nie niepokoiło to panny Fellowes. Nie porównywała wtedy Timmie'ego z żadnym innym dzieckiem i uważała, że ten jego brak umiejętności usprawiedliwiony jest faktem, że chłopiec pierwsze swoje lata spędził w społeczeństwie prymitywnym.

Teraz przypomniała sobie to, co wyczytała w książkach, które dał jej doktor Mclntyre. Przypomniała sobie, że nie istnieją żadne, ale to żadne przykłady sztuki neandertalskiej. Nie ma malowideł naskalnych w jaskiniach, nie ma posążków, nie ma rysunków żłobionych w ścianach skalnych.

(A może oni rzeczywiście byli gorsi od nas? I dlatego wymarli, kiedy pojawiliśmy się my?)

Panna Fellowes nie chciała o tym myśleć.

Natomiast musiała myśleć o Jerrym, który panoszył się tu teraz dwa razy na tydzień, tak jakby to miejsce należało do niego. „Pobawmy się klockami" — mówił do Tim-mie'ego albo „teraz

będziemy malować”, albo „teraz będziemy oglądać wiroekran”. A Timmie się godził. Nigdy nie miał własnych propozycji, tylko zawsze potulnie przystawał na to, co sugerował Jerry. Jerry zepchnął Timmie’ego na drugorzędną pozycję. Panna Fellowes akceptowała tak rozwijającą się sytuacją jedynie dlatego, że — pomimo trudności — Timmie z coraz większym zachwytem czekał na pojawienie się swego towarzysza zabaw.

Jerry to cały jego świat-powiedziała sobie ze smutkiem.

A pewnego razu, obserwując ich, pomyślała: oto dwoje dzieci Hoskinsa — jedno zrodzone z jego żony, a drugie z pola statycznego.

Podczas gdy ona…

Boże, pomyślała, przyciskając sobie pięści do skroni i czując wstyd, ja jestem zazdrosna!

10. Dotarcie do kresu

— Panno Fellowes — powiedział Timmie — a kiedy ja zacznę chodzić do szkoły?

To pytanie, które pojawiło się jakby znikąd, poraziło ją z siłą pioruna.

Spojrzała w pełne zapału, brązowe oczy i pogłaskała go lekko po gęstych, szorstkich włosach, odruchowo próbując je uporządkować. Włosy Timmie'ego były zawsze rozczochrane. Panna Fellowes obcinała je własnoręcznie. Timmie kręcił się niespokojnie podczas każdych takich postrzyżyn. Jednak sama myśl o wpuszczeniu tutaj fryzjera sprawiała pannie Fellowes przykrość. A poza tym ona obcinała mu włosy nierówno, co pozwalało ukryć fakt, że przednia część jego czaszki jest cofnięta, a tylna wypukła.

Teraz panna Fellowes zapytała ostrożnie:

— Gdzie słyszałeś o szkole, Timmie?

— Jerry chodzi do szkoły.

(Oczywiście. Od kogo jak nie od Jerry'ego mógł o tym słyszeć?)

— Jerry chodzi do przedszkola. — Timmie wymówił to długie słowo powoli i wyjątkowo starannie. — To jest tylko jedno z miejsc, w które Jerry chodzi. Bo on chodzi też do sklepu z mamą. Chodzi do kina. Do zoo. Chodzi w różne miejsca, tam, na zewnątrz. A kiedy ja będę mógł wyjść z tych pokoi, panno Fellowes?

Panna Fellowes poczuła bolesne ukłucie w sercu.

Wiedziała, że to było nieuniknione. Jerry musiał w końcu opowiedzieć Timmie'emu o świecie znajdującym się poza kopułą. Chłopcy dogadywali się z łatwością, jeden drugiego rozumiał bardzo dobrze. I Jerry, emisariusz z tajemniczego i zakazanego świata znajdującego się za drzwiami kopuły, musiał w końcu opowiedzieć o tym świecie Timmie'emu. Tego nie dało się uniknąć.

Ale Timmie nie miał wstępu do tego świata.

— A co ty byś tam robił? Dlaczego chcesz tam pójść? Czy wiesz, jak tam jest zimno w zimie? — Zapytała, siląc się na wesołość i pragnąc odwrócić uwagę chłopca od katuszy, jakie z pewnością przeżywał.

— Zimno?

Timmie spojrzał na nią tak, że widać było, że nie rozumie. Nie znał tego słowa.

(Dlaczego miałoby mu to przeszkadzać? Przecież ten chłopiec potrafił poruszać się po śnieżnych polach Europy epoki lodowcowej.)

— Zimno to znaczy tak jak w lodówce. Wychodzisz na zewnątrz i po chwili zaczyna cię boleć nos. A potem bolą cię uszy. Ale tak jest tylko zimą. Latem na zewnątrz robi się bardzo gorąco. Jest wtedy jak

w piecu. A poza tym czasami pada deszcz. Z nieba spada na ciebie woda, która moczy ci ubranie i włosy, i wszystko…

Było to bardzo cyniczne rozumowanie. Panna Fellowes wiedziała o tym i czuła się okropnie. Opowiadanie chłopcu, który nigdy miał nie opuścić tych kilku małych pokoi, że świat na zewnątrz pełen jest niewygód, było czymś takim, jak opowiadanie ślepemu dziecku, że oglądanie kolorów i kształtów to zajęcie nudne i denerwujące, i że właściwie to na świecie nie ma niczego ciekawego do oglądania.

Timmie zignorował całą tę jej żałosną sofistykę.

— Jerry mówi — powiedział — że w szkole dzieci grają w różne gry… Ja takich gier tutaj nie mam. Mają też taśmy z filmami i z muzyką. Mówi, że w przedszkolu jest bardzo dużo dzieci. Jerry mówi… Jerry mówi… — Tu nastąpiła chwila przerwy. Timmie zastanowił się, a potem tryumfalnie podniósł obie rozczapierzone dłonie. — On mówi, że tyle.

— Ty też masz taśmy z filmami — powiedziała panna Fellowes.

— Ale mało. Jerry mówi, że on w ciągu jednego dnia ogląda ich więcej, niż ja obejrzałem dotąd.

— Możemy ci kupić więcej. I to bardzo ładnych. Możesz też dostać taśmy z muzyką.

— Naprawdę?

— Dostaniesz je dziś po południu.

— Kupi mi pani o Ali Babie i Czterdziestu Rozbójnikach?

— Czy tę bajkę Jerry słyszał w przedszkolu?

— Tam są ci rozbójnicy w jaskini i te dzbany… — Przerwał. — Wielkie dzbany. A co to są rozbójnicy?

— Rozbójnicy to tacy źli ludzie. Oni zabierają innym ludziom ich rzeczy… rzeczy, które są ich własnością. I — Aha.

— Mogę ci kupić film o Czterdziestu Rozbójnikach — powiedziała panna Fellowes. — To bardzo znana bajka. Są też inne. O Sindbadzie Żeglarzu, który podróżował po całym świecie i który widział… no wszystko. — Głos jej zadrżał. Jednak Timmie nie dostrzegł w tym nic przygnębiającego. — I Podróże Guliwera. To też ci mogę kupić. Guliwer pojechał do kraju takich małych ludzi, a potem do kraju olbrzymów, a później…

Głos panny Fellowes znowu zadrżał. Było tak wielu podróżników, istniało tak wielu wszystkożernych pochłaniaczy doświadczeń! Ale może to był dobry sposób, może uwięzionego Timmie'ego należało nakarmić takimi zastępczymi opowieściami o dalekich podróżach? Nie będzie pierwszym więźniem, który pochłania z zachwytem takie historie.

— No i jest też opowieść o Odyseuszu, który brał udział w wojnie, a później spędził dziesięć lat w podróży, szukając drogi do swego domu i rodziny.

I znowu ukłucie bólu. Jej serce zabiło mocniej na myśl o chłopcu. Podobnie jak Guliwer, jak Sindbad i jak Odyseusz, Timmie był obcym w nie znanym sobie kraju, a ona nie mogła o tym zapomnieć. Czy wszystkie wielkie dzieła literackie na tym świecie mówiły o wędrowcach, zabłąkanych w nieznanych krajach, o wędrowcach, którzy starali się odnaleźć drogę do domu?

Oczy Timmie'ego błyszczały.

— Przyniesie je pani zaraz? Dobrze?

W ten sposób Timmie na chwilę został pocieszony.

* * *

Zamówiła wszystkie filmy z mitami i baśniami, jakie były w katalogu. Tworzyły stos sięgający wyżej niż czubek głowy Timmie'ego. W te dni, w które nie przychodził Jerry, Timmie oglądał je godzinami.

Trudno było powiedzieć, ile z tego wszystkiego rozumiał. Oczywiście w tych opowieściach roiło się od pojęć, obrazów i miejsc akcji, które dla niego nic prawie nie znaczyły. Ale ile znaczyły dla któregokolwiek dziecka? Ile rozumiało z nich którykolwiek, pięcio- czy sześciolatek? Nikt dorosły nie był w stanie wniknąć w dziecięcy umysł i wiedzieć, co się w nim dzieje. Panna Fellowes sama w dzieciństwie uwielbiała te opowieści, nie rozumiejąc ich do końca, podobnie jak inne dzieci żyjące przez setki a może tysiące lat przed nią. Wszystkie te dzieci, posługując się wyobraźnią, nadrabiały wszelkie braki wynikające z niezrozumienia szczegółów. Panna Fellowes miała nadzieję, że tak samo się dzieje w wypadku Timmie'ego.

Początkowo wahała się i nie wiedziała, czy ma przed-I stawić chłopcu historie Guliwera, Sindbada i Odyseusza, ale później nie czyniła już żadnych prób wyeliminowania z jego poszerzającej się filmoteki czegokolwiek, co mogło wywołać w nim jakieś niepokojące myśli na temat własnej sytuacji. Wiedziała, że spokój dziecka ulega zburzeniu rzadziej, niż sobie wyobrażają dorośli. Zresztą koszmarny sen pojawiający się od czasu do czasu nie wyrządza prawdziwej szkody. Żadne dziecko nie umarło jeszcze ze strachu, słuchając bajki o trzech niedźwiedziach, mimo że ta bajka, jeżeli się ją wzięło dosłownie, była przerażająca. Żaden wilk, któremu ciekła ślinka, żaden potwór, żaden okropny troll z bajki nie spowodował trwałych psychicznych urazów. Dzieci uwielbiają przerażające opowieści.

Czy straszydła z bajek — stwory z krzaczastymi brwiami, kudłate i patrzące groźnie — są echem tych czasów, w których

neandertalczycy przemierzali Europę? Panna Fellowes czytała o istnieniu teorii stwierdzającej, że tak jest, w jednej z książek pożyczonych od doktora Mclntyre'a. Czy Timmie'ego wyprowadziłaby z równowagi myśl, że sam nalepy do plemienia, które przetrwało w ludowych klechdach jako plemię potworów, których trzeba się bać i brzydzić? Nie, nie, pomyślała, to nigdy nie przyszłoby mu do głowy. Tylko nadmiernie wykształceni dorośli martwili się takimi rzeczami. Timmie'ego takie postacie z bajek by zachwyciły, tak jak zachwycają każde dziecko. Kryłby się pod kołdrą, przestraszony i rozentuzjazmowany równocześnie, widziałby w ciemnościach te stwory, ale istniała jedna szansa na miliard, że wyciągnąłby z owych opowieści jakieś okropne wnioski dotyczące własnego statusu genetycznego.

Tak wiec taśmy napływały dalej, a chłopiec oglądał filmy jeden po drugim. I było tak, jakby przerwana została jakaś tama i jakby ogromna, wspaniała rzeka ludzkiej wyobraźni wpłynęła do jego duszy. Tezeusz i Minotaur, Perseusz i Gorgona, król Midas ze swoją mocą przemieniania wszystkiego w złoto, średniowieczny kobziarz zaczarowujący muzyką szczury i dzieci z Hamelin, Herkules wykonujący swoje prace, Bellerofon i Chimera, Alicja i świat po drugiej stronie lustra, Aladyn i czarodziejska lampa, Rybak i Geniusz, Guliwer wśród Liliputów i Houyhnhnmów, przygody Odyna i Tora, walka miedzy Ozyrysem i Setem, wędrówka Odyseusza, podróż kapitana Nemo — nie było temu końca. Timmie chłonął te opowieści jak gąbka. Czy to wszystko tworzyło w jego głowie bezładną gmatwaninę? Czy potrafił odróżnić jedną od drugiej? Czy pamiętał którąś z nich w godzinę po obejrzeniu? Panna Fellowes nie wiedziała tego wszystkiego i nie próbowała się dowiedzieć. W tej chwili chodziło jej tylko o to, żeby pozwolić chłopcu zanurzyć się w ten potężny potok, pozwolić mu napełnić sobie umysł tymi historiami, pozwolić mu sięgnąć do magicznego świata mitów, skoro prawdziwy świat domów, samolotów, autostrad i ludzi musiał na zawsze pozostać poza jego zasięgiem.

Kiedy Timmie'ego zmęczyło oglądanie filmów, panna Fellowes czytała mu ze zwykłych książek. Opowieści były te same, ale teraz, słuchając jak ona czyta, chłopiec stwarzał obrazy we własnym umyśle.

Wszystko to musiało wywrzeć na niego jakiś wpływ. Nie raz i nie dwa panna Fellowes słyszała, jak opowiada Jerry'emu jakąś fantastycznie zniekształconą wersję którejś z opowieści filmowej — o tym jak Sindbad podróżuje łodzią podwodną albo o tym, jak Herkulesa związali Lilipuci. Jerry tymczasem słuchał tej historii z poważną miną i z taką samą przyjemnością, z jaką Timmie ją opowiadał.

Panna Fellowes pilnowała, żeby wszystko, co mówił Timmie, było

nagrywane. Nagrania dowodziły inteligencji chłopca. Niech każdy, kto myśli, że neandertalczycy są kudłatymi, podobnymi do zwierząt półludźmi, posłucha, jak Timmie opowiada o Tezeuszu w Labiryncie! Niech tego posłucha, bo to jest dowód inteligenci Timmie'ego, mimo że chłopiec uważa, że Minotaur jest głównym bohaterem tej opowieści.

* * *

No tak, ale były te sny. Teraz, kiedy świat zewnętrzny nabierał kształtów w jego świadomości, chłopiec miewał je częściej.

O ile panna Fellowes mogła się zorientować, powtarzał się u niego wciąż ten sam — sen o świecie zewnętrznym. Timmie, zająkując się, usiłował go jej opowiedzieć. Za każdym razem znajdował się na zewnątrz, w tej rozległej, pustej przestrzeni, o której mówił jej bardzo często już przedtem. Ale w snach, które miewał ostatnio, ta przestrzeń nie była już zupełnie pusta. Znajdowały się w niej teraz dzieci i dziwne, trudne do opisania obiekty pochodzące z na wpół tylko zrozumianych przez niego opisów wyczytanych w książkach albo ze wspomnień dotyczących na wpół zapomnianego, odległego neandertalskiego świata.

Jednak te dzieci ignorowały Timmie'ego, a dziwne obiekty usuwały się, kiedy usiłował ich dotknąć. Timmie znajdował się w ich świecie, ale nigdy nie stanowił części tego świata. Wędrował przez ogromne przestrzenie zupełnie sam. Był w nich tak samo samotny jak we własnym pokoju. I budził się przeważnie z płaczem.

Panna Fellowes nie zawsze znajdowała się w pobliżu, gdyż teraz trzy czy cztery razy w tygodniu sypiała gdzie indziej na terenie instytutu — w mieszkaniu, które już dawno przydzielił jej Hoskins. Uważała, że należy zacząć odzwyczajać Timmie'ego od jej stałej obecności, od której wyraźnie się uzależnił. Przez pierwsze kilka nocy miała takie poczucie winy, że prawie nie mogła spać, ale rano Timmie wcale nie wspominał o tym, że jej nie było. Być może spodziewał się, że prędzej czy później zostanie pozostawiony samemu sobie. Panna Fellowes po pewnym czasie przestała się zadręczać tym, że nie śpi w domku dla lalek. I uświadomiła sobie, iż nie tylko Timmie został w ten sposób uleczony z uzależnienia.

Codziennie rano robiła dokładne notatki na temat jego snów. Usiłowała traktować je po prostu jako materiał przydatny w badaniach psychologicznych nad umysłem Timmie'ego, które to badania miały się w końcu okazać najwartościowszym elementem całego

eksperymentu. Mimo to jednak bywały noce, podczas których i ona, samotna w swoim pokoju, także płakała.

* * *

Pewnego dnia, kiedy czytała Timmie'emu jedną z jego ulubionych książek — Baśnie z tysiąca i jednej nocy — chłopiec wziął ją pod brodę i podniósł delikatnie jej głowę, tak że jej wzrok oderwał się od tekstu i padł na niego.

— Ta bajka — powiedział — jest zawsze taka sama. Skąd pani wie, panno Fellowes, jak ją opowiadać, żeby było tak samo?

— Ależ ja ją czytam!

— Tak, wiem, że pani ją czyta. Ale co to znaczy „czytać"?

— No… więc…

Pytanie było takie zasadnicze, że z początku nie wiedziała, jak sobie z nim poradzić. Zwykle bywało tak, że dzieci uczące się czytać same intuicyjnie odgadywały, na czym czytanie polega, a potem przechodziły do następnego kroku, czyli do nauczenia się znaczenia zakodowanych symboli znajdujących się na papierze. Niewiedza Timmie'ego zdawała się zakorzeniona o wiele głębiej niż niewiedza przeciętnego cztero- czy pięciolatka, który właśnie zaczynał odkrywać, że istnieje coś takiego jak sztuka czytania i że on tę sztukę być może w przyszłości posiądzie. Dla Timmie'ego samo pojęcie czytania było obce.

— No wiesz — powiedziała panna Fellowes — w twoich książeczkach, nie na taśmach filmowych, tylko w książeczkach, pod obrazkami są takie znaczki. Wiesz jakie?

— Tak — odrzekł. — Słowa.

— No właśnie. Książeczka, którą czytam, składa się tylko ze słów. Nie ma w niej obrazków tylko słowa. Te znaczki to są słowa. Kiedy patrzę na te znaczki, słyszę w głowie słowa. Na tym polega czytanie. Czytanie to zamienianie znaczków napisanych na papierze w słowa.

— Ja też chcę zobaczyć.

Panna Fellowes dała mu książkę. Timmie obrócił ją na bok, a potem do góry nogami. Panna Fellowes roześmiała się i przekręciła książkę tak, jak trzeba.

— Te znaczki mają sens tylko wtedy, kiedy patrzysz na nie w ten sposób — powiedziała.

Timmie kiwnął głową. Pochylił się nisko nad stroną — , tak nisko, że prawdopodobnie nie mógł rozróżnić liter — i wpatrywał się w nią długo i z zaciekawieniem. Potem cofnął się o kilkanaście

centymetrów, na odległość, z której litery były czytelne. Dla eksperymentu znowu obrócił książkę na bok. Panna Fellowes tym razem nic nie powiedziała. Timmie przekręcił książkę jeszcze raz i trzymał ją znowu prawidłowo.

— Niektóre z tych znaczków są takie same-powiedział po dłuższej chwili.

— Tak. Tak. Rzeczywiście, Timmie.

Aż się roześmiała — taką przyjemność jej sprawił swoją przenikliwością.

— Skąd wiadomo, który znaczek oznacza jakie słowo?

— Tego trzeba się nauczyć.

— Ale słów jest tak dużo! Jak można się nauczyć tylu znaczków?

— Małe znaczki tworzą duże znaki. Duże znaki to słowa. A małe znaczki nazywamy literami. I tak naprawdę tych małych znaczków nie jest wcale tak dużo — powiedziała. — Tylko dwadzieścia sześć. — Podniosła rękę i otworzyła i zamknęła dłoń pięć razy, a potem pokazała jeszcze jeden palec. — Wszystkie słowa tworzy się z tych małych znaczków, różnie ułożonych.

— Niech pani mi pokaże.

— Zobacz. — Pokazała słowo Sindbad. — Czy widzisz te siedem małych znaczków, tutaj, miedzy dwiema przerwami? Te znaczki oznaczają Sindbad. Ten oznacza dźwięk „s". Ten to „i", a ten to „n". — Nie podawała mu nazw liter tylko wymawiała głoski. — Czytasz je pojedynczo i składasz wszystkie dźwięki razem: Sss iii nnn ddd bbb aaa ddd. Sindbad.

Czy chłopiec coś z tego rozumie? — zastanowiła się.

— Sindbad — powiedział cicho Timmie i przeciągnął palcem po wydrukowanych literach.

— A to słowo to statek. Zaczyna się takim samym znaczkiem jak Sindbad. Ssssss. Ten znaczek nazywa się „s". — Tym razem wymówiła to jako „ess". — A to jest „a", widzisz?

Timmie wpatrywał się w zadrukowaną stronę. Był wyraźnie zagubiony.

— Pokażę ci wszystkie znaczki — zaproponowała panna Fellowes. — Chcesz?

— Tak. To będzie dobra zabawa.

— No to przynieś mi kawałek papieru i kredkę. I przynieś też kredkę dla siebie.

Timmie usadowił się koło niej. A ona narysowała A, B i C i cały alfabet w dwóch równych kolumnach. Timmie, ściskając kredkę, narysował coś, co najwyraźniej uważał za imitację, a jednak to coś miało długie rozchwierutane nogi i wędrowało w poprzek strony, tak że na pozostałe litery nie starczyło miejsca.

— No dobrze — powiedziała panna Fellowes. — Spójrzmy teraz

na pierwszy znaczek.

Ku własnemu zawstydzeniu uświadomiła sobie, że nigdy nie przyszło jej do głowy, że Timmie mógłby nauczyć się czytać. Chłopiec co prawda z ogromną zachłannością oglądał książki z obrazkami i filmy, jednak aż do tej chwili nie zainteresował się drukowanymi symbolami, które im towarzyszyły. Czy to zainteresowanie powstało z inspiracji Jer-ry'ego? Panna Fellowes postanowiła zapytać Jerry'ego — przy okazji następnej jego wizyty — czy zaczął już się uczyć czytać. Była jednak świadoma tego, że sama a priori odrzucała myśl o tym, że Timmie mógłby też się tego nauczyć.

To przesąd rasowy, pomyślała. Zdała sobie sprawę, że nawet teraz, przeżywszy z nim tyle czasu i zobaczywszy jak jego umysł się rozwija, wciąż gdzieś w głębi duszy uważa go za stworzenie nie będące w pełni człowiekiem. Albo przynajmniej za stworzenie zbyt prymitywne, zbyt zacofane, aby mogło opanować tak skomplikowaną umiejętność jak czytanie.

Pokazując mu litery, informując go, jakim głoskom odpowiadają, i ucząc go, jak się je pisze — wciąż tak naprawdę nie wierzyła, że on kiedykolwiek zrobi z nich użytek.

Nie wierzyła w to aż do chwili, gdy Timmie przeczytał . jej samodzielnie fragmenty tekstu.

Nastąpiło to wiele tygodni później. Timmie siedział na jej kolanach z książką. Przewracał kartki i patrzył na obrazki — albo tak jej się wydawało.

I nagle przeciągnął palcem po linijce druku i powiedział, zająkując się: „Pies zaczął… gonić… kota". Ale zrobił to z uporem.

Panna Fellowes była senna i prawie nie zwracała na niego uwagi.

— Co mówiłeś, Timmie?

— Kot… wdrapał się… na drzewo.

— Przedtem powiedziałeś coś innego.

— No tak. Przedtem powiedziałem: „Pies zaczął gonić kota". Tak tu jest napisane.

— Co? Co takiego?

Panna Fellowes otworzyła szeroko oczy. Spojrzała na cienką książeczkę, którą trzymał chłopiec.

Na stronie po lewej było napisane: „Pies zaczął gonić kota".

A na stronie po prawej: „Kot wdrapał się na drzewo".

Timmie czytał to, co było napisane — słowo w słowo. Tak, Timmie czytał!

Panna Fellowes, zdumiona, zerwała się na równe nogi, tak że chłopiec spadł na podłogę. Najwyraźniej pomyślał, że to jakaś nowa zabawa, bo podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się szeroko. Ale ona postawiła go szybko na nogi.

— Od jak dawna potrafisz czytać? Wzruszył ramionami.

— Od zawsze?

— No nie…

— Ja nie wiem. Ja patrzyłem na znaczki i słyszałem słowa, kiedy pani czytała.

— Masz. Przeczytaj mi coś z tej książeczki.

Panna Fellowes chwyciła którąś z książeczek leżących na kupce i otworzyła ją na środkowych stronach. Timmie wziął książeczkę i zaczął jej się pilnie przyglądać. Marszczył przy tym brwi, co podkreślało ich wypukłość, a językiem przesuwał po wargach. Powoli, z wysiłkiem powiedział:

— A potem… po… pociąg… za… zag…

— Zagwizdał — dokończyła za niego panna Fellowes. — Timmie, ty potrafisz czytać! Naprawdę potrafisz czytać!

Rozgorączkowana porwała go na ręce i zaczęła tańczyć po pokoju. Timmie przyglądał jej się ogromnymi oczami jeszcze szerzej otwartymi ze zdumienia.

— Umiesz czytać! Umiesz czytać!

(Małpolud, co? Jaskiniowiec, tak? Jakaś niższa forma człowieka? „Kot wdrapał się na drzewo". „Pociąg zagwizdał". Pokażcie mi szympansa, który umie to przeczytać! Albo goryla! Pociąg zagwizdał. Och, Timmie, Timmie…)

— Panno Fellowes? — odezwał się Timmie trochę przestraszony tym szaleńczym tańcem.

Panna Fellowes roześmiała się i postawiła go na podłodze.

Był to przełom, o którym musiała komuś powiedzieć. Rozwiązanie problemu szczęścia Timmie'ego leżało w jej rękach. Taśmy filmowe mogły służyć mu tylko do czasu, |a potem na pewno by mu się znudziły. A książki nie. Teraz, i rosnąc i dojrzewając, będzie miał dostęp do bogatego świata książek. Nie będzie mógł wyjść spod kopuły i wkroczyć w świat realny, ale świat wkroczy do jego trzech małych pokoików, cały ogromny świat książek. Trzeba mu będzie dać jak najlepsze wykształcenie. Tyle przynajmniej jesteśmy mu winni, pomyślała panna Fellowes.

— Zostań tu z książeczkami — powiedziała. — A ja zaraz wrócę. Muszę się zobaczyć z doktorem Hoskinsem.

Przez zawiły labirynt korytarzy i pomostów udała się do tej części gmachu, w której znajdowała się administracja. Kiedy wpadła gwałtownie do sekretariatu, sekretarka Hoskinsa popatrzyła na nią zdziwiona.

— Czy doktor Hoskins jest u siebie?

— Panno Fellowes! Doktor Hoskins nie spodziewa się…

— Tak, wiem. Ale ja muszę się z nim zobaczyć.

— Czy jest jakiś problem? Panna Fellowes pokręciła głową.

— Jest wiadomość. Cudowna wiadomość. Proszę mu powiedzieć,

że przyszłam.

Sekretarka nacisnęła jakiś guzik.

— Jest tu panna Fellowes, panie doktorze. Chce się z panem zobaczyć. Nie jest umówiona.

(Od kiedy to muszę się urna…?)

Nastąpiła chwila ciszy. Sytuacja była niezręczna. Panna Fellowes zaczęła się zastanawiać, czy będzie musiała zrobić scenę, żeby dostać się przed oblicze Hoskinsa. Cokolwiek on robi, nie jest to tak ważne jak wiadomość, którą ma mu do zakomunikowania.

— Proszę powiedzieć, żeby weszła — rozległ się głos Hoskinsa w interkomie.

Drzwi rozsunęły się. Hoskins, by ją przywitać, podniósł się zza biurka, na którym stała plakietka z napisem DOKTOR GERALD A. HOSKINS.

Sam też wyglądał na podekscytowanego. Jego nastrój przypominał jej własny. Był to nastrój tryumfu.

— Wiec słyszała pani — powiedział natychmiast. — Nie, oczywiście, nie mogła pani słyszeć. Dokonaliśmy tego. Naprawdę dokonaliśmy.

— Dokonaliście czego?

— Detekcji intertemporalnej o bliskim zasięgu.

Był tak przejęty własnym sukcesem, że panna Fellowes pozwoliła, aby ten sukces usunął w cień jej wspaniałą wiadomość.

— Czy to znaczy, że potrafią państwo sięgnąć w czasy historyczne? — zapytała.

— Tak, dokładnie tak. W tej chwili namierzyliśmy pewnego osobnika z czternastego wieku. Czy może to pani sobie wyobrazić? Jesteśmy gotowi do rozpoczęcia realizacji Projektu „Średniowiecze”. Ooo, panno Fellowes, gdyby pani wiedziała, jaki jestem szczęśliwy, że mogę przestać się skupiać na mezozoiku, że mogę dać sobie spokój z tymi trylobitami, kawałkami skał, paprociami i innymi takimi rzeczami, że mogę przepędzić paleontologów i sprowadzić tu w końcu historyków… — Przerwał w pół zdania. — Ale pani chce mi coś powiedzieć, prawda? A ja gadam i gadam, i nie daję pani dojść do słowa. No więc proszę. Proszę mówić, panno Fellowes! Jestem w świetnym humorze. Może pani mnie poprosić, o co pani chce. Panna Fellowes uśmiechnęła się.

— Miło mi to słyszeć. Bo zastanawiałam się właśnie, czy nie moglibyśmy zacząć sprowadzać nauczycieli dla Timmie’ego.

— Nauczycieli?

— Tak, żeby go uczyli. Ja mogę nauczyć go tylko trochę. A potem powinnam ustąpić miejsca komuś, kto ma odpowiednie wykształcenie.

— Ale czego miałby go taki ktoś uczyć?

— No wszystkiego. Historii, geografii, fizyki, chemii, arytmetyki,

gramatyki, wszystkiego, czego się uczy w szkole podstawowej. Musimy mu tu zorganizować całą szkołę.

t Tak żeby mógł się nauczyć wszystkiego, czego trzeba.

Hoskins patrzył na nią jak na kogoś, kto mówi jakimś niezrozumiałym językiem.

— Chce go pani uczyć dzielenia… i o pierwszych osadnikach, i o historii Rewolucji Amerykańskiej?

— A dlaczego nie?

— No tak, możemy spróbować go uczyć. Trygonometrii i rachunku różniczkowego też, jeżeli pani tak sobie życzy. Ale ile on się może nauczyć, panno Fellowes? On jest wspaniałym chłopcem, nie ma co do tego wątpliwości. Ale nie możemy zapominać, że to tylko neandertalczyk.

— Tylko?

— Neandertalczycy byli ograniczeni umysłowo, bardzo ograniczeni. Zgodnie ze wszystkimi…

— Panie doktorze, on już umie czytać. Hoskins otworzył usta ze zdumienia.

— Co takiego?

— „Kot wdrapał się na drzewo". Odczytał to głośno z książeczki. „Pociąg zagwizdał". Wzięłam książkę, wybrałam stronę, a on odczytał to, co tam było napisane.

— On potrafi czytać? — spytał zdumiony Hoskins. — Naprawdę?

— Pokazałam mu, jak wyglądają litery i jak się je składa w słowa. A on dokonał reszty. Nauczył się czytać w zadziwiająco szybkim tempie. Nie mogę się doczekać na doktora Mclntyre'a i na resztę paleontologów. Chcę, żeby oni jak najszybciej się o tym dowiedzieli. No i jak to jest z tym ograniczeniem umysłowym neandertalczyków? On potrafi sobie czytać bajki. A z czasem, zobaczy pan, będzie umiał czytać książki bez obrazków, będzie czytał gazety, czasopisma, podręczniki…

Hoskins siedział i słuchał, a jej nagle wydało się, że jest przygnębiony.

— No, nie wiem, panno Fellowes.

— Powiedział pan, że mogę prosić, o co chcę.

— Tak, wiem. Nie powinienem był tego mówić.

— Czy to taki wielki wydatek? Ten nauczyciel dla Timmie'ego?

— Tu nie chodzi o koszt — powiedział Hoskins. — To cudowne, że Timmie potrafi czytać. I zadziwiające. Naprawdę tak myślę. I chcę się zaraz o tym przekonać. Ale pani pragnie zorganizować mu szkołę. Mówi pani o rzeczach, których on się z czasem nauczy. Ale, panno Fellowes, nie zostało wiele czasu. Panna Fellowes, zaskoczona, aż zamrugała.

— Nie zostało wiele czasu?

— Jestem pewien, że pani zdaje sobie sprawę, że eksperyment z Timmiem nie może trwać w nieskończoność.

Panna Fellowes była przerażona. Czuła się jak ktoś, komu podłoga pod stopami zamieniła się w ruchomy piasek.

Co on chciał przez to powiedzieć? Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała. Eksperyment z Timmiem nie może trwać w nieskończoność. Czy on tak powiedział? Co to ma znaczyć?

Przypomniała sobie nagle profesora Adamewskiego i to, że po dwóch tygodniach odebrano mu jego kamień, bo trzeba było zrobić miejsce w polu statycznym dla innego obiektu.

— Chce pan go odesłać z powrotem? — zapytała panna Fellowes słabym głosem.

— Obawiam się, że tak.

— Ale, panie doktorze, pan ma do czynienia z chłopcem, a nie z kamieniem.

— Tak — powiedział Hoskins zakłopotany. — Mimo to on nie może być traktowany wyjątkowo. Dowiedzieliśmy się już od niego tyle, ile mogliśmy. Na temat życia w swoich czasach nie pamięta niczego, co by miało wartość naukową. Antropologdzy niewiele się dowiadują z tego, co mówi, a pytania, które zadawali mu za pani pośrednictwem, nie doprowadziły do uzyskania wielu informacji mających realną wartość, więc…

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedziała zaszokowana panna Fellowes.

— No wie pani, to nie nastąpi dzisiaj. Ale nie można przed tym uciec. To jest konieczne. — Wskazał materiały naukowe leżące na biurku. — Teraz, kiedy spodziewamy się, że uda nam się sprowadzić ludzi z czasów historycznych, będziemy potrzebowali miejsca w polu statycznym, jak najwięcej miejsca. Panna Fellowes nie była w stanie tego zrozumieć.

— Ale nie możecie… Timmie… Timmie…

— Proszę się tak nie denerwować, panno Fellowes.

— Jest to jedyny na świecie żyjący neandertalczyk, a wy chcecie odesłać go z powrotem?

— Tak jak powiedziałem. Dowiedzieliśmy się tyle, ile mogliśmy. Teraz musimy pójść dalej.

— Nie.

— Panno Fellowes, bardzo panią proszę. Wiem, że jest pani niezwykle przywiązana do chłopca. I któż by panią za to winił? To wspaniałe dziecko. A pani już długo z nim mieszka, przebywa z nim pani dzień i noc. Ale pani jest profesjonalistką, panno Fellowes. Rozumie pani, że dzieci, które ma pani pod opieką, przychodzą i odchodzą, że nie może ich pani zatrzymać przy sobie na zawsze. To dla pani nic nowego. A poza tym Timmie nie odejdzie tak od razu.

Zostanie jeszcze z nami, być może przez parę miesięcy. Jeżeli pani chce dać mu nauczyciela… no to zobaczymy, co się da zrobić.

Panna Fellowes wciąż wpatrywała się w Hoskinsa.

— Pozwoli pani, że coś pani dam.

— Nie — wyszeptała. — Niczego mi nie potrzeba. Drżała. Wstała i potykając się jak w koszmarnym śnie, podeszła do drzwi. Zaczekała, aż się otworzą, a potem przeszła przez sekretariat, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo.

Chcą go odesłać?

Chcą go odesłać z powrotem?

Czy oni stracili rozum? Timmie nie był już przecież neandertalczykiem, a jeżeli nim był, to tylko z wyglądu.

Tak naprawdę był łagodnym, grzecznym chłopcem, który nosił zielony kombinezon i lubił oglądać filmy i książki z Baśniami z tysiąca i jednej nocy. Chłopcem, który wieczorem sprzątał swój pokój. Chłopcem, który posługiwał się łyżką, widelcem i nożem. Chłopcem, który umiał czytać.

A oni mieli zamiar posłać go z powrotem w epokę lodowcową, żeby tam radził sobie sam w jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi tundrze?

Nie, to nie mogło być prawdą. Przecież on w tamtym świecie nie miał najmniejszej szansy. Już do tamtego świata nie pasował. Nie posiadał umiejętności potrzebnych neandertalczykowi. Ich miejsce zajęły inne — absolutnie nieprzydatne w tamtym świecie.

On tam umrze, pomyślała panna Fellowes.

Nie.

Nie, Timmie, powiedziała do siebie z całą zawziętością, na jaką ją było stać, ty nie umrzesz. Nie umrzesz.

* * *

Wiedziała teraz, dlaczego Bruce Mannheim podał jej swój telefon. Rozmawiając z nim, nie miała o tym pojęcia, ale teraz rozumiała, że Mannheim przewidział przyszłość. Wiedział, że stanie się coś, co zagrozi Timmie'emu. On to wiedział, a ona nie. Ona po prostu była ślepa, nie dopuszczała do siebie myśli o takiej możliwości. Nie zwracała uwagi na nic, co wskazywało na tę konieczność, o której Hoskins właśnie jej powiedział. Pozwoliła sobie przypuszczać — wbrew wszelkim danym, wbrew rozumowi — że Timmie spędzi resztę życia w dwudziestym pierwszym i wieku.

Ale Mannheim wiedział, że tak nie będzie. I przez cały czas czekał

na jej telefon.

— Muszę się z panem natychmiast zobaczyć — oświadczyła mu.

— W instytucie?

— Nie — odrzekła. — Gdzie indziej. Gdziekolwiek. Gdzieś w mieście. Niech pan wybierze miejsce.

Spotkali się w malej restauracji nad rzeką. Mannheim powiedział, że tam nikt nie będzie im przeszkadzał. Było deszczowe popołudnie gdzieś w środku tygodnia. Kiedy przyszła, Mannheim już na nią czekał. Wszystko to wydawało jej się okropnie konspiracyjne, wręcz skandaliczne — miała jeść lunch z człowiekiem, który utrudniał życie jej pracodawcy. I ten człowiek był mężczyzną. Mężczyzną, którego prawie nie znała, młodym i atrakcyjnym. Takie postępowanie nie jest w moim stylu, stwierdziła w duchu. A kiedy przypomniała sobie tamten sen — Mannheima pukającego do drzwi, biorącego ją w objęcia…

Jednak to spotkanie nie miało w sobie niczego romantycznego. A sen był tylko snem, ulotną fantazją jej nieświadomości. Nie czuła najlżejszego pociągu do Mannheima. Spotykała się z nim w sprawie służbowej, która była równocześnie sprawą życia lub śmierci.

Obracała w rękach jadłospis, zastanawiając się, jak zacząć.

— Jak się miewa Timmie? — zapytał Mannheim.

— Świetnie. Doskonale. Nie .uwierzyłby pan, jakie zrobił postępy.

— Rośnie? Staje się silniejszy?

— Tak, jest z każdym dniem większy. I potrafi czytać.

— Naprawdę? — Oczy Mannheima zabłysły.

On ma bardzo miły uśmiech, pomyślała panna Fellowes. Jak Hoskins mógł uważać go za takiego potwora?

— To zdumiewający krok naprzód, prawda? — mówił dalej Mannheim. — Założę się, że antropolodzy byli zaszokowani, kiedy się o tym dowiedzieli.

Panna Fellowes kiwnęła głową. Przewracała kartki jadłospisu tak, jakby nie wiedziała, co trzyma w rękach. Za oknem zaczął padać większy deszcz. Bębnił w okno małej restauracji głośno i niemal wrogo. Panna Fellowes i Mannheim byli właściwie jedynymi gośćmi.

— Lubię tu jeść kurczaka w czerwonym winie — odezwał się Mannheim. — Robią też tutaj dobrą lasagne. A może wolałaby pani cielęcinę?

— Wszystko mi jedno. Zjem to, co pan. Spojrzał na nią spod oka.

— Proszę mi mówić „Bruce". Weźmiemy butelkę wina?

— Wina? Ja nigdy nie piję wina. Ale jeżeli pan chce się napić…

Wciąż na nią patrzył.

Starając się mówić tak, żeby go było słychać mimo bębnienia deszczu, zapytał:

— W czym kłopot, Edith? („Edith?")

Przez chwilę panna Fellowes nie mogła wymówić słowa. (W porządku, Edith. Weź się w garść! Bo on pomyśli, że jesteś idiotką!)

— Oni mają zamiar odesłać Timmie'ego z powrotem — powiedziała.

— Z powrotem? Masz na myśli z powrotem w czas przeszły?

— Tak. Do jego własnej epoki. Do czasów neandertalskich. W epokę lodowcową.

Mannheim uśmiechnął się szeroko. Oczy mu się zaświeciły.

— Ależ to cudownie! To najwspanialsza wiadomość, jaką słyszałem w tym tygodniu!

Panna Fellowes była przerażona.

— Nie… Ty nie rozumiesz…

— Rozumiem, że ten żałosny mały więzień zostanie w końcu odesłany do własnego środowiska, do matki, ojca, sióstr i braci, do świata, w którym było jego miejsce i który kochał. To trzeba uczcić. Kelner! Kelner! Proszę o butelkę chianti, no niech będzie pół butelki, bo pani nie pije… Panna Fellowes patrzyła na niego przerażona.

— Ale pani wygląda na zmartwioną, panno Fellowes. To znaczy Edith, wyglądasz na zmartwioną. Czy nie chcesz, żeby Timmie wrócił do swoich?

— Tak, ale… ale…

Panna Fellowes bezradnie zmachała rękami.

— Chyba cię rozumiem. — Mannheim pochylił się nad stołem, pełen współczucia i troski. — Opiekowałaś się nim tak długo, że trudno ci się będzie z nim rozstać. Więź, która między wami powstała, jest tak silna, że szokuje cię wiadomość o tym, że on ma wrócić. Rozumiem, co czujesz.

— To tylko część prawdy — odrzekła panna Fellowes. — I to niewielka część.

— Więc na czym polega prawdziwy problem?

W tej chwili przyszedł kelner z winem. Z wielką ostentacją pokazał Mannheimowi etykietkę, wyciągnął korek i nalał kilka kropel do kieliszka — na spróbowanie. Mannheim kiwnął głową. A do panny Fellowes powiedział:

— Jesteś pewna, że się nie napijesz? W taki okropny deszczowy dzień…

— Nie — odpowiedziała prawie szeptem. — Pij sam. Ja je tylko zmarnuję.

Kelner napełnił kieliszek Mannheima i odszedł.

— No dobrze — powiedział Mannheim. — Wróćmy do Timmie'ego.

— On umrze, jeżeli tam wróci. Nie rozumiesz tego? Mannheim postawił kieliszek tak gwałtownie, że wino rozlało się na obrus.

— Czy podróż powrotna jest taka niebezpieczna?

— Nie, to nie o to chodzi. Nie sądzę, by podróż była niebezpieczna. Ale to będzie dla niego zabójcze. Bo on jest teraz dzieckiem cywilizowanym. Potrafi zawiązać sznurowadła i ukroić mięso, posługując się widelcem i nożem. Myje zęby rano i wieczorem. Śpi w łóżku i codziennie przed snem bierze prysznic. Ogląda filmy z bajkami i potrafi czytać książeczki. Na co przyda mu się to wszystko w paleolicie? Mannheim nagle spoważniał.

— Chyba wiem, o co ci chodzi — mruknął.

— A poza tym — mówiła dalej panna Fellowes — on stracił te umiejętności, które są potrzebne do życia w paleolicie. Zresztą pewnie nawet ich wszystkich nie posiadał. Kiedy do nas przybył, był małym dzieckiem. Jego rodzice musieli się jeszcze nim opiekować. Albo robiły to piastunki. Przecież nawet neandertalczycy nie mogli oczekiwać, że czteroletni chłopiec będzie umiał polować i radzić sobie sam. Zresztą nawet gdyby trochę umiał, to upłynęło od tamtej pory parę lat. Na pewno już nic z tego nie pamięta.

— Ale jeżeli wróci do własnego plemienia, oni go z pewnością przyjmą i nauczą wszystkiego od nowa…

— Tak myślisz? On już nie umie zbyt dobrze posługiwać się ich językiem, nie myśli tak jak oni i dziwnie pachnie, bo jest taki czysty. Oni mogą go po prostu zabić.

Mannheim zamyślony wpatrzył się w kieliszek. A panna Fellowes mówiła dalej:

— A poza tym, jaką mamy gwarancję, że on wróci do swojego plemienia? Ja nie bardzo się orientuję, na czym polega podróż w czasie, i podejrzewam, że ludzie z instytutu też nie bardzo to wiedzą. Czy on, wracając, trafi dokładnie w ten moment, w którym zniknął? W takim razie będzie o trzy lata starszy i z ich punktu widzenia zmieni się bardzo w jednej chwili. Nie będą wiedzieli, co mają o nim myśleć. Mogą dojść do wniosku, że jest jakimś demonem. A może wróci na to samo miejsce, ale po trzech latach? Jeżeli tak, to jego plemienia już dawno tam nie będzie, bo przeniesie się ono w inne okolice. Oni byli przecież z pewnością nomadami. Więc kiedy on się tam pojawi, nie zastanie nikogo. Znajdzie się zupełnie sam w surowym, wrogim, bardzo zimnym środowisku. Mały chłopiec, który będzie sam musiał zmierzyć się z epoką lodowcową. Rozumie pan to, panie Mannheim? Rozumiesz?

— Tak — odpowiedział Mannheim. — Rozumiem. Milczał przez dłuższą chwilę. Wyglądał jak ktoś, kto w myśli dokonuje jakiegoś obliczenia.

— Kiedy on ma być wysłany? Wiesz? — spytał w końcu.

— Doktor Hoskins powiedział mi, że prawdopodobnie będzie jeszcze z nami przez parę miesięcy. Nie wiem, czy dwa, czy sześć.

— Tak czy tak niedługo. Musielibyśmy zorganizować kampanię.

Pod hasłem „Ratujmy Timmie'ego". Wiesz, listy do gazet, demonstracje, nakaz sądowy, być może zarządzone przez Kongres śledztwo dotyczące działalności instytutu. Oczywiście dobrze by było, gdybyś i ty wzięła w tym udział, zaświadczyła, że Timmie jest człowiekiem, dostarczyła filmów wideo pokazujących, jak Timmie czyta, jak się ubiera, je, sprząta. Ale chcąc to zrobić, musiałabyś pewnie zrezygnować z pracy w instytucie i straciłabyś kontakt z Timmiem. Tego byś pewnie nie chciała, a i dla nas to nie byłoby dobre. Z drugiej strony przypuszczam…

— Nie — powiedziała panna Fellowes. — To na nic. Mannheim podniósł na nią wzrok, zaskoczony.

— Co na nic?

— Kampania, o jakiej mówisz. To się na nas zemści. Jeśli zaczniesz protestować, grozić demonstracjami i sądem, doktor Hoskins po prostu pociągnie za sznurek. I wszystko. Pociągnie za sznurek. Jest tam taka rączka. Szarpiesz ją i to, co znajduje się w pomieszczeniu, wraca tam, skąd przybyło. Oni nie mogli pozwolić, żeby ktoś związał im ręce, pozywał do sądu i powodawał wydanie nakazu. W takim przypadku zadziałaliby natychmiast i zakończyli tę sprawę.

— Nie odważyliby się.

— Tak myślisz? To ci powiem, że oni już zadecydowali, że eksperyment z udziałem Timmie'ego się zakończył. Potrzebne im miejsce w polu statycznym. Ty ich nie znasz.

Oni nie są sentymentalni. Hoskins jest w zasadzie przyzwoitym człowiekiem, ale gdy chodzi i wybór między Timmiem a przyszłością instytutu, nie będzie się wahał.

A skoro Timmie raz zostanie odesłany, nie uda się go sprowadzić ponownie. To będzie fakt dokonany. Nie znajdą go w przeszłości po raz drugi. I na nic się nie zda nakaz sądowy. Zresztą ktoś, kto żył czterdzieści tysięcy lat temu umarł, zanim komukolwiek śniło się o cywilizacji, nie może odwoływać się do naszych sądów.

Mannheim powoli pokiwał głową. Pociągnął w zamyśleniu z kieliszka. Pojawił się kelner i stanął nad nim, trzymając notesik w pogotowiu, ale Mannheim odprawił go niecierpliwym gestem.

— Można zrobić tylko jedno — powiedział.

— Co mianowicie?

— Mamy w Kanadzie ludzi, którzy z przyjemnością wzięliby Timmie'ego na wychowanie. Są też tacy w Anglii i w Nowej Zelandii. Serdeczni, dobrzy ludzie. Nasza organizacja mogłaby dostarczyć pieniędzy na opłacenie ciebie jako pełnoetatowej opiekunki. Oczywiście musiałabyś kompletnie zmienić swoje życie, zacząć od nowa gdzieś w innym kraju. Ale przypuszczam, że dla Timmie'ego…

— Nie. To nie byłoby możliwe.

— Nie?

— Nie. Absolutnie. Mannheim zmarszczył brwi.

— Rozumiem — powiedział, chociaż widać było, że nie rozumie. — No dobrze, Edith, skoro masz trudności z wyjazdem z kraju, co doskonale rozumiem, myślę, że przynajmniej możemy liczyć na to, że pomożesz nam przemycić Timmie'ego z gmachu instytutu.

— Wyjazd z kraju nie stanowi dla mnie żadnego problemu. Dla Timmie'ego zrobiłabym wszystko i pojechała wszędzie. Ale niemożliwe jest przemycenie go poza obręb pola statycznego.

— Czyżby było aż tak pilnie strzeżone? Zapewniam cię, że znajdziemy niezawodny sposób: dokonamy infiltracji, pozyskamy sobie ludzi wśród ochrony i opracujemy plan wykradzenia Timmie'ego z budynku.

— Tego się nie da zrobić. Z naukowego punktu widzenia to niemożliwe.

— Z naukowego…?

— Chodzi o potencjał temporalny, o skumulowanie energii, o linie siły temporalnej. Gdybyśmy przenieśli masę równą masie Timmie'ego z pola statycznego na zewnątrz, nastąpiłaby awaria wszystkich linii energetycznych w mieście. Hoskins mi o tym powiedział i ja wierzę, że to prawda. Oni mają trochę kamyków, ziemi i gałązek, które zaplątały się razem z Timmiem. Trzymają wszystko w tylnej części kopuły i nie mają odwagi przenieść poza nią i wyrzucić. Poza tym nie wiem, czy przeniesienie Timmie'ego poza kopułę byłoby dla niego bezpieczne. Nie jestem pewna, ale być może wiąże się z tym jakieś ryzyko. To są moje domysły. O ile wiem, Timmie, gdyby przeniesiono go z tej kopuły do wszechświata, zostałby poddany jakiemuś działaniu siły temporalnej. Kopuła nie należy do naszego wszechświata. Znajduje się w jakimś specjalnym miejscu. Pamiętasz dziwne uczucie pojawiające się przy przejściu przez drzwi? Czułeś coś wtedy, prawda? Tak więc pomysł, żeby porwać Timmie'ego i wysłać gdzieś za granicę… Nie, nie, ryzyko jest zbyt wielkie. Nie dla mnie czy dla ciebie, tylko dla Timmie'ego. Mannheim miał ponurą minę.

— Już nic nie rozumiem — powiedział. — Proponuję, że podniesiemy zgodną z prawem wrzawę w obronie Timmie'ego, a ty mówisz, że to na nic, że oni po prostu pociągną za sznurek, gdy tylko zaczniemy mówić o sprawie. Wobec tego proponuję coś nielegalnego, proponuję, że wykradniemy go z pola statycznego i umieścimy poza zasięgiem Hoskinsa. A ty znowu mi mówisz, że to na nic. Z jakichś powodów mających coś wspólnego z fizyką. W porządku, Edith, ja chcę pomóc, ale ty dałaś mi twardy orzech do zgryzienia i na razie nie mam dobrych pomysłów.

— Ani ja — powiedziała zgnębiona panna Fellowes. Siedzieli w milczeniu, a deszcz bębnił w okna restauracji.

11. Odejście

W Instytucie Badań nad Polem Statycznym mówiono tylko o Projekcie „Średniowiecze". Wszyscy zgadzali się, że jest to początek zadziwiającej, nowej fazy doświadczeń z podróżami w czasie. Unikatowy proces, nad którym panowali uczeni z instytutu, miał otworzyć bramy historycznej przeszłości, miał wnieść w wiek dwudziesty pierwszy bezcenny skarb — zdumiewającą wiedzę o życiu w dawnych wiekach. A także i skarby innego rodzaju — bo jeżeli można sięgać w przeszłość historyczną i sprowadzać stamtąd ludzi, to dlaczego nie ściągać też dzieł sztuki, rzadkich książek, manuskryptów i cennych obiektów wszelkiego typu? Zasoby muzealne świata podwoją się, potroją, pomnożą dzięki temu w ciągu jednego dnia! I wszystkie te rzeczy będą w doskonałym stanie. A przy tym, sprowadzając je, nie poniesie się żadnych kosztów, poza kosztami energetycznymi.

Wszyscy w instytucie modlili się o to, żeby Projekt „Średniowiecze" się powiódł. Wszyscy oprócz Edith Fellowes, która po cichu modliła się o jego niepowodzenie. O to, żeby teorie Hoskinsa okazały się błędne, albo żeby zawiodły urządzenia. Była to jedyna rzecz, jakiej Edith Fellowes mogła się teraz uczepić, jedyna jej nadzieja, gdyż tylko to mogło zapobiec śmierci Timmie'ego. Gdyby się okazało, że człowieka z czternastego wieku nie da się sprowadzić, Timmie byłby uratowany, gdyż oznaczałoby to, że nie trzeba opróżniać zajmowanej przez niego kopuły i że wszystko może iść po staremu.

Dlatego panna Fellowes miała nadzieję, że projekt się nie powiedzie. Natomiast reszta świata pragnęła, żeby się powiódł. I panna Fellowes, kierując się irracjonalnym odruchem, nienawidziła za to reszty świata. Szum czyniony wokół projektu osiągnął teraz apogeum. Media miały na tym punkcie obsesję, to samo można było powiedzieć o publiczności. Instytut Badań nad Polem Statycznym już dawno nie miał czym przyciągnąć ich uwagi. Jakiś nowy kamień czy jeszcze jedna pochodząca z zamierzchłych czasów ryba nie mogły wzbudzić żadnych emocji. Mały dinozaur w swoim czasie wywołał pewną sensagę, ale potem o nim zapomniano. A Timmie-neandertalczyk, Timmie-jaskiniowiec miał szansę zainteresować publiczność na trochę dłużej, ale tylko gdyby okazał się dzikim małpoludem, jakiego wielu się spodziewało. Rzeczywistość jednak okazała się inna: Timmie wcale nie był małpoludem, był tylko brzydkim małym chłopcem. Brzydkim małym chłopcem, który chodził w kombinezonie i nauczył się czytać ilustrowane książeczki. Cóż w tym interesującego? Timmie przestał być człowiekiem

prehistorycznym. Może gdyby ryczał ze złości, walił się pięściami w piersi i wydawał z siebie jakieś godne dzikusa dźwięki, mógłby ich zainteresować swoją osobą na dłużej. Ale to nie było w jego stylu.

Tymczasem człowiek z jakiejś epoki znanej z historii, dorosła osoba, która własnymi oczami patrzyła na Joannę d'Arc, Ryszarda Lwie Serce czy Saladyna, ktoś, kto mówił zrozumiałym językiem, ktoś, kto był zdolny ożywić historię…

Mijały tygodnie. Zbliżała się ta chwila.

Godzina Zero Projektu „Średniowiecze" była tuż, tuż.

Od czasu przybycia Timmie'ego, co miało miejsce trzy lata wcześniej, Hoskins i jego współpracownicy nauczyli się dużo na temat techniki reklamy. Tym razem świadkami wydarzenia nie mieli być nieliczni obserwatorzy siedzący na balkonie. Tym razem technicy z instytutu mieli odegrać swoją rolę przed prawie całą ludzkością.

Panna Fellowes niemal szalała z niepokoju. Pragnęła, żeby całe to napięcie już minęło. Chciała wiedzieć, czy przedsięwzięcie się powiedzie, czy nie. W momencie kluczowym miała znajdować się na sali. Och, żeby jej nowa pomocnica już przyszła i żeby ona mogła już tam pójść. Ta nowa pomocnica nazywała się Mandy Terris. Zastąpiła panią Stratford, która odeszła do lepiej płatnej pracy w innym stanie…

— Panno Fellowes?

Odwróciła się pospiesznie, mając nadzieję, że wreszcie pojawiła się Mandy Terris. Ale nie, to była sekretarka doktora Hoskinsa, która przyprowadziła Jerry'ego, żeby się pobawił z Timmiem. Sekretarka zostawiła chłopca i szybko odeszła. Ona także spieszyła się, chcąc zająć dobre miejsce, z którego można było obserwować kulminację Projektu „Średniowiecze".

Jerry, zmieszany, przysunął się bokiem do panny Fellowes.

— Panno Fellowes? — powiedział.

— Co takiego, Jerry?

Chłopiec wyjął z kieszeni postrzępiony wycinek z gazety i pokazał.

— To jest zdjęcie Timmie'ego, prawda?

Panna Fellowes spojrzała na wycinek. Tak, to był Timmie, uśmiechnięty szeroko Timmie. Zamieszanie wywołane Projektem „Średniowiecze" spowodowało pewne odrodzenie zainteresowania Timmiem. Fotografia, którą trzymał Jerry, została zrobiona niedawno, w trzy lata po przybyciu chłopca, na „przyjęciu urodzinowym" , podczas którego kilku uczonych, kilku dziennikarzy, Jerry i sam Timmie obchodzili trzecią rocznice narodzin Timmie'ego w dwudziestym pierwszym wieku. Timmie trzyma jeden z „urodzinowych" prezentów — błyszczącego robota-zabawkę.

— Tak, no i co z tego? — powiedziała panna Fellowes. Jerry przyjrzał jej się bacznie.

— Tutaj jest napisane, że Timmie jest małpoludem. Oni nie powinni tak pisać, prawda?

— Co takiego?

Panna Fellowes wyrwała chłopcu wycinek i przyjrzała mu się. Pod zdjęciem był napis, którego przedtem nie przeczytała:

PREHISTORYCZNY MAŁPOLUD OTRZYMUJE NA URODZINY ROBOTA

Małpolud, małpolud, prehistoryczny małpolud. Oczy panny Fellowes napełniły się gorącymi łzami wściekłości. Gwałtownie podarła wycinek na tuzin kawałków i rzuciła na podłogę.

— Dlaczego pani to zrobiła? Czy dlatego, że oni napisali, że Timmie jest małpoludem? On nie jest małpoludem, prawda? A może jest?

Panna Fellowes złapała chłopca za przegub i z trudem się powstrzymała od potrząśnięcia nim — Nie, on nie jest małpoludem! Masz tak nie mówić!

Rozumiesz? Nigdy! To brzydko tak mówić, pamiętaj, nie Jerry, przestraszony, próbował jej się wyrwać.

Pannie Fellowes serce waliło jak młotem. Starała się zapanować nad sobą, ale przychodziło jej to z trudem.

— Wejdź i pobaw się z Timmiem — powiedziała. — On ma nową książeczkę. Pokaże ci.

— Ale mnie boli.

— Przepraszam. Nie chciałam cię tak ścisnąć.

— Powiem tatu…

— Wejdź do środka! Szybko! Przeprosiłam cię przecież. Chłopiec wszedł pospiesznie, oglądając się przez ramię z gniewną miną. Panna Fellowes usłyszała czyjeś kroki, odwróciła się i zobaczyła Mandy Terris. W samą porę, pomyślała.

— Spóźniła się pani trochę — zauważyła, starając się nie mówić tonem gderliwym. — Jerry Hoskins już tu jest. Bawią się z Timmiem.

— Wiem, panno Fellowes. Próbowałam iść szybko, ale wszędzie są tłumy. Panuje takie podniecenie.

— Wiem. Chcę, żeby pani…

— No tak, spieszy się pani. Chce pani to zobaczyć, prawda? — powiedziała Mandy, a na jej pociągłej, ładnej twarzy odmalowała się zazdrość. — Że też ja teraz muszę mieć dyżur.

— Obejrzy to pani w wieczornych wiadomościach — odrzekła sucho panna Fellowes. — Wejdźmy, dobrze?

Mandy Terris miała po raz pierwszy zostać sama z Timmiem.

— Chłopcy nie sprawią żadnego kłopotu. Mają pod ręką mleko i

zabawki. Właściwie najlepiej będzie, jeżeli zostawi ich pani jak najdłużej samym sobie.

— Rozumiem. No i nie mogę mu pozwolić wyjść. Wiem, jakie to ważne.

— Tak. Wejdźmy.

Panna Fellowes otworzyła drzwi kopuły i wprowadziła Mandy Terris. Timmie i Jerry bawili się w drugim pokoju i nie zwrócili na nie uwagi. Panna Fellowes pokazała Mandy, co trzeba zrobić w ciągu kilku następnych godzin.

Poinformowała, ją jak wypełnić odpowiednie formularze i jak pisać sprawozdanie.

Kiedy miała już wyjść, dziewczyna zawołała:

— Mam nadzieję, że dostanie pani dobre miejsce i że to przedsięwzięcie się uda!

Panna Fellowes wolała nic na to nie odpowiedzieć. Wyszła szybko, nie oglądając się za siebie.

Ale nie dostała dobrego miejsca, bo przyszła późno. Dotarła tylko do takiego, z którego dała się obserwować akcję na ściennym ekranie. Co za szkoda! Ach, gdyby mogła dostać się tam, w pobliże, gdyby mogła dosięgnąć ważnych urządzeń, gdyby mogła dokonać sabotażu…

Nie. To było szaleństwo. Zmobilizowała wszystkie siły psychiczne i wyparła te głupie myśli ze świadomości.

Niszczenie urządzeń nic by nie dało. Oni by je po prostu odtworzyli i dokonali próby jeszcze raz. A ona na zawsze zostałaby odcięta od Timmie'ego.

Nic tu nie mogło pomóc.

Nic prócz niepowodzenia eksperymentu. Nic prócz jakiejś awarii nie do naprawienia. Nic prócz jakiegoś zasadniczego załamania całej koncepcji…

Panna Fellowes w napięciu przeczekiwała odliczanie, obserwując każdy ruch na ogromnym ekranie, nie odrywając oczu od twarzy kolejno pokazywanych techników i szukając na tych twarzach wyrazu niepewności, dowodu na to, że technicy się martwią, bo coś niespodziewanie poszło źle.

Ale nikt nie wyglądał na niepewnego. Ani zmartwionego. Przed eksperymentem wiele razy testowali sprzęt. Dokonywali tysiąca symulacji, wiedzieli już, że namierzenie celu znajdującego się w bliskiej odległości czasowej i sięgnięcie po niego jest możliwe.

Odliczanie się skończyło.

I wtedy… w atmosferze spokoju i niepostrzeżenie… eksperyment został uwieńczony powodzeniem.

W nowej przestrzeni wydzielonej w polu statycznym stał brodaty, przygarbiony wieśniak w nieokreślonym wieku. Miał na sobie postrzępione, brudne ubranie i drewniaki, wyglądał na tępego i z

przerażeniem obserwował otoczenie, które zmieniło się tak nagle i w sposób tak niepojęty.

Wszyscy oszaleli z radości. Tylko panna Fellowes stała jak skamieniała. Była zrozpaczona. Tłum popychał ją i poszturchiwał, prawie tratował. Stała tak, otoczona ze wszystkich stron przez tryumfujących ludzi, przytłoczona poczuciem klęski.

Wzywano ją przez megafon. Trzeba było jednak aż trzy razy bardzo głośno powtórzyć jej nazwisko, żeby je usłyszała.

— Panno Fellowes. Panno Fellowes. Wzywa się panią do Sekcji Pierwszej. Proszę przyjść natychmiast. Panno Fellowes. Panno Fel…

Co się stało?

— Proszę mnie przepuścić! — krzyknęła, podczas gdy głos z megafonu nadal powtarzał bez przerwy swój komunikat.

Panna Fellowes z dziką energią utorowała sobie drogę przez tłum, waląc na prawo i lewo zaciśniętymi pięściami, machając rozpaczliwie rękami i posuwając się w stronę drzwi — powoli jak w koszmarnym śnie.

— Panno Fellowes… proszę… sprawa jest pilna…

* * *

Zapłakana Mandy Terris znajdowała się na korytarzu, pod drzwiami kopuły po jej zewnętrznej stronie.

— Nie wiem, jak to się stało. Wyszłam na korytarz, żeby popatrzeć na miniaturowy ekran, który tam był. Tylko na chwilę. I wtedy… Pani mówiła — krzyknęła nagle oskarżycielskim tonem — pani mówiła, że oni nie sprawią mi kłopotu, powiedziała mi pani, żebym ich zostawiła samych….

Panna Fellowes, która przybiegła z rozwianym włosem ji cała drżąca, spiorunowała ją wzrokiem. — Gdzie jest Timmie?

Pojawił się skądś Mortenson. Smarował ramię zawodzącego Jerry'ego jakimś środkiem dezynfekującym. Był tu też (Elliott — przygotowywał zastrzyk przeciwtężcowy. Na .ubraniu Jerry'ego widniała plama krwi.

— On mnie ugryzł, panno Fellowes — krzyczał Jerry z wściekłością. — Ugryzł mnie!

Ale panna Fellowes spojrzała na niego nie widzącymi oczami.

— Co zrobiliście z Timmiem? — krzyknęła. i — Zamknęłam go w łazience — powiedziała Mandy Terris. — Wepchnęłam tam tego potwora i zabarykadowałam drzwi krzesłami.

Panna Fellowes wbiegła do domku dla lalek, prawie nie

zauważając reakcji wywołanej przekroczeniem linii granicznej. Odepchnęła krzesła i zaczęła majstrować przy drzwiach łazienki. Otwieranie ich zajęło całą wieczność. Nareszcie. Spojrzała na brzydkiego małego chłopca kulącego się w kącie.

— Niech mnie pani nie bije — powiedział Timmie ochrypłym głosem. Oczy miał czerwone. Wargi mu drżały. — Ja nie chciałem zrobić mu krzywdy. Nie zbije mnie pani, prawda?

— Och, Timmie. Kto ci powiedział o biciu? Przyciągnęła go do siebie i przytuliła gwałtownie.

— Ona — odrzekł Timmie drżącym głosem. — Ta nowa. Powiedziała, że zbije mnie pani długim batem.

— To podłe, że tak powiedziała. Nikt cię nie tknie… Ale co się stało? Co się stało, Timmie?

Podniósł na nią wzrok. Oczy miał ogromne.

— On powiedział, że jestem małpoludem — odparł cicho.

— Co?!

— Powiedział, że nie jestem prawdziwym chłopcem. Czytał o tym w gazecie. Powiedział, że jestem zwierzęciem.

Timmie starał się pohamować łzy, ale na nic się to nie zdało. Po chwili płynęły po obu policzkach. Mówił płaczliwym głosem, niewyraźnie. Ale ona rozróżniała każde słowo.

— Powiedział, że nie będzie się więcej bawił z małpą. Ja odpowiedziałem, że nie jestem małpą. Nie jestem. Wiem, co to małpa.

— Timmie… Timmie…

— Mówił, że wyglądam śmiesznie. Że jestem straszny i brzydki. Powtarzał to w kółko i ja go ugryzłem.

Teraz oboje płakali.

— To nieprawda — powiedziała panna Fellowes, szlochając. — Wiesz, że to nieprawda. Jesteś prawdziwym chłopcem. Jesteś kochanym prawdziwym chłopcem, najlepszym na świecie. I nikt, nikt mi cię nigdy nie zabierze.

Potem wyszła spod kopuły. Elliott i Mortenson wciąż krzątali się koło Jerry'ego. Mandy Terris nie było widać.

— Zabierzcie stąd chłopca — powiedziała panna Fellowes. — Zaprowadźcie go do gabinetu ojca i tam zróbcie to wszystko, co jeszcze trzeba zrobić. A jeżeli spotkacie panią Terris, powiedzcie jej, że może odebrać czek z należną jej pensją, a potem niech się stąd zabiera.

Kiwnęli głowami. Wycofali się bardzo szybko, jakby mieli do czynienia z kimś, kto zieje ogniem. A ona odwróciła się i poszła do Timmie'ego.

* * *

Była już zdecydowana. Decyzja przyszła jej bardzo łatwo: nagle uświadomiła sobie, co trzeba zrobić, i nagle postanowiła, że zrobi to od razu, szybko. Nie można się było wahać. Być może wiązały się z tym nie znane jej niebezpieczeństwa, ale musiała zaryzykować. Jeżeli nie zrobi niczego, Timmie zostanie wysłany w przeszłość na pewną śmierć. A jeżeli zrobi to, co zamierza — będzie przynajmniej jakaś nadzieja. Tak, nadzieja, że plan się powiedzie. Z jednej strony była więc pewna śmierć, a z drugiej — nadzieja. Toteż łatwo przyszło jej dokonać wyboru. Zresztą nie miała czasu na zastanawianie się. Teraz, kiedy własny syn Hoskinsa został pogryziony, nie było już czasu.

Musi to zrobić jeszcze tej nocy, tej nocy, kiedy wszyscy świętują, upojeni sukcesem Projektu „Średniowiecze".

Żałowała, że nie może zadzwonić do Bruce'a Mannheima i powiedzieć mu o tym. Nie odważyłaby się jednak podjąć takiego ryzyka. Komputery obsługujące centralę mogły mieć zainstalowany jakiś program zabezpieczający. Mogłyby zarejestrować to, co ona mówi, i zawiadomić administrację o jej zamiarach. Porozumie się z Mannheimem po fakcie. Na pewno nie będzie miał pretensji, że budzi go nad ranem z tego powodu. I weźmie się zaraz do roboty.

Północ, pomyślała. Północ to właściwy moment.

Nie będzie miała żadnych kłopotów z wyjściem i powrotem o tak późnej porze. Często wracała do Timmie'ego nocą, nawet wtedy, gdy nocowała już we własnym mieszkaniu. Wartownik zna ją dobrze, więc nie przyjdzie mu nawet do głowy zadawać jej jakieś pytania. Nie będzie się też zastanawiał, dlaczego ona niesie walizkę. Panna Fellowes zrobiła próbę — wymówiła obojętnie słowa: „To gry dla chłopca" i uśmiechnęła się spokojnie.

Gry dla chłopca? I wnosi je o północy?

Ale dlaczego ktoś miałby mieć jakieś wątpliwości? Przecież żyła wyłącznie dla Timmie'ego. Całe jej otoczenie o tym wiedziało. Taka już była — można się było po niej spodziewać, że przyniesie dla niego gry w środku nocy. Dlaczego wartownik miałby zwrócić na to uwagę?

Rzeczywiście — nie zwrócił.

— Dobry wieczór, panno Fellowes. Dzisiaj był wielki | dzień, prawda?

— Tak, rzeczywiście. To gry dla chłopca — powiedziała,] pokazując mu walizkę i uśmiechając się.

Po czym przekroczyła barierę bezpieczeństwa.

Kiedy weszła do domku dla lalek, Timmie wciąż nie spał.

— Panno Fellowes… panno Fellowes…

Czyniąc wielki wysiłek, udawała, że wszystko jest normalnie. Zachowywała się tak, nie chcąc go przestraszyć.

— Spałeś? — zapytała.

— Trochę — odpowiedział.

Miał znowu ten sen i przez to się obudził. Usiadła więc na chwilę koło niego, żeby z nim pomówić o snach, i słuchała, jak ze smutkiem wypytuje o Jerry'ego. Wykazywała taką cierpliwość, do jakiej potrafiła się zmusić. Nie ma pośpiechu, powiedziała sobie. Dlaczego ktoś miałby coś podejrzewać? Mam prawo być tutaj.

A poza tym mało jest osób, które mogą ją zobaczyć, kiedy będzie wychodziła. Nikt nie zapyta, co jest w zawiniątku, które trzyma w ramionach. Timmie będzie bardzo spokojny, a potem będzie już po fakcie. Ta rzecz się stanie i na nic zdadzą się starania, żeby się odstała. Zostawią ją w spokoju. Być może jej postępek spowoduje awarię elektrowni w sześciu okręgach. Jednak po fakcie nie będzie sensu umieszczać Timmie'ego z powrotem w jego więzieniu.

Panna Fellowes otworzyła walizkę.

Wyjęła płaszcz, wełnianą czapkę z nausznikami i resztę rzeczy.

Oszołomiony i przestraszony Timmie zapytał:

— Dlaczego wkłada pani na mnie to wszystko?

— Mam zamiar zabrać cię spod kopuły, Timmie — odpowiedziała. — Tam, gdzie przebywasz w snach.

— W snach?

Na jego twarzy odmalowała się nagle tęsknota pomieszana jednak ze strachem.

— Nie masz się czego bać. Będziesz ze mną. Nie będziesz się bał, kiedy będziesz ze mną, prawda Timmie?

— Nie, panno Fellowes.

Przytulił swoją niekształtną głowę do jej boku, a ona — pod ramieniem, którym go obejmowała — poczuła bicie jego małego serca.

Podniosła go. Wyłączyła alarm i po cichu otworzyła drzwi.

I wrzasnęła przerażona.

Gdyż przed nią, po drugiej stronie drzwi, stał Gerald Hoskins.

* * *

Hoskinsowi towarzyszyli dwaj mężczyźni, a on sam wpatrywał się w pannę Fellowes ze zdumieniem równym jej własnemu.

Panna Fellowes oprzytomniała pierwsza, po sekundzie, i spróbowała szybko przepchnąć się obok niego na korytarz. Ale to sekundowe opóźnienie sprawiło, że Hoskins zdołał ją złapać za rękę. Chwycił gwałtownie i popchnął tak mocno, że zatrzymała się dopiero, gdy wpadła na komodę. Potem Hoskins gestem przywołał dwóch mężczyzn i stanął naprzeciwko niej, blokując drzwi.

— Nie spodziewałem się tego. Czy pani oszalała? Panna Fellowes zdołała osłonić ramieniem Timmie'ego, tak że chłopiec nie uderzył się o komodę. Teraz odwróciła się, przyciskając go do siebie i patrząc na Hoskinsa gniewnie i buntowniczo. Ale cała jej buntowniczość zniknęła, gdy zaczęła mówić.

— Co w tym złego, że zabiorę stąd Timmie'ego, panie doktorze? — zapytała błagalnym tonem. — Nie wierzę, że coś takiego jak utrata energii znaczy dla pana więcej niż| życie ludzkie.

Hoskins kiwnął głową do dwóch towarzyszących mu mężczyzn, którzy stanęli zaraz koło niej, gotowi w razie potrzeby ją unieruchomić. Sam natomiast wyciągnął ręce i wziął Timmie'ego z jej ramion.

— Awaria, której przyczyną byłoby to, co pani chciała zrobić, spowodowałaby odcięcie ogromnego obszaru od dopływu prądu. Przez cały jutrzejszy dzień miasto nie funkcjonowałoby normalnie. Nie działałyby komputery, systemy alarmowe, zaprzepaszczone zostałyby dane, byłoby mnóstwo zamieszania. Wytoczono by tysiąc procesów i my bylibyśmy w nich pozwanymi. Kosztowałoby to nas miliony. Mogłoby nawet doprowadzić do bankructwa. Oznaczałoby to dla nas co najmniej ogromną stratę finansową i kolosalne fiasko, jeżeli chodzi o naszą opinię. Proszę sobie wyobrazić, co powiedzieliby ludzie, gdyby się dowiedzieli, że wszystko zostało spowodowane przez sentymentalną pielęgniarkę działającą nieracjonalnie pod wpływem miłości do małpoluda.

— Małpoluda! — powtórzyła panna Fellowes z bezsilną furią.

— Wie pani, że tak lubią go nazywać dziennikarze — powiedział Hoskins. — I wszyscy zwykli ludzie tak o nim myślą. Wciąż nie rozumieją, co to jest neandertalczyk. I nie sądzę, że kiedykolwiek zrozumieją.

Podczas ich rozmowy jeden z dwóch mężczyzn wyszedł| z kopuły. Teraz wrócił i zaczął przeciągać nylonową linkę przez uchwyty umocowane u góry na ścianie.

Pannie Fellowes zaparło dech. Przypomniała sobie linkę przymocowaną do dźwigni znajdującej się na zewnątrz pomieszczenia, w którym znajdowała się próbka skalna profesora Adamewskiego.

— Nie! Nie wolno wam! — krzyknęła.

Ale Hoskins postawił Timmie'ego na podłodze i ostrożnie zdjął z niego płaszcz.

— Stój tutaj, Timmie. Nic ci się nie stanie. My tylko na chwilę wychodzimy, dobrze?

Timmie, blady jak kreda, zdołał tylko kiwnąć głową.

Hoskins wyprowadził pannę Fellowes z domku dla lalek, zmuszając ją, żeby szła przed nim. Nie była w stanie się opierać. Rozglądając się w oszołomieniu, zauważyła czerwoną rączkę od

dźwigni zamontowaną w korytarzu. Dziwne, że przedtem nigdy nie zwracała na nią uwagi, nigdy nie dopuszczała do świadomości faktu jej istnienia.

To jest miecz katowski, pomyślała.

— Przykro mi, panno Fellowes — powiedział Hoskins. — Oszczędziłbym pani tego, gdybym mógł. Planowałem, że zrobimy to o północy, tak żeby pani dowiedziała się po fakcie.

— Pan to robi, bo Timmie ugryzł pana syna — szepnęła panna Fellowes, czując bezgraniczne znużenie. — Czy pan nie rozumie, że Jerry mu tak dokuczał, że on nie wytrzymał?

— To nie ma nic wspólnego z tym, co się stało Jerry'emu.

— No jasne. Oczywiście że nie — powiedziała kwaśno panna Fellowes.

— Naprawdę. Proszę mi wierzyć. Wiem, co się stało, i wiem, że to była wina Jerry'ego. No tak, to, co się stało, przyspieszyło trochę bieg rzeczy. Był przeciek do prasy na ten temat. Nie mogło go nie być, skoro wszędzie tu pełno dziennikarzy obsługujących Projekt „Średniowiecze". Na pewno usłyszymy o „niedbalstwie" i „neandertalskich dzikusach", na pewno będzie o tym mowa w wiadomościach i odwróci to uwagę opinii od dzisiejszego sukcesu. Więc lepiej będzie zakończyć eksperyment z Timmiem od razu. Timmie i tak wkrótce musiałby odejść. Lepiej wysłać go już teraz, tak żeby żądni sensacji dziennikarze mieli jak najmniej materiału do swoich artykułów.

— Ale tu nie chodzi o odesłanie kawałka skały. On jest człowiekiem, a pan go zabije.

— Wcale nie. Nie mamy powodu sądzić, że podróż powrotna jest szkodliwa. Timmie wyląduje mniej więcej w tym samym miejscu, z którego go wzięliśmy, w z grubsza biorąc dziesięć tygodni od momentu, kiedy zniknął… no z dokładnością do paru tygodni, biorąc pod uwagę powolną zmianę wartości wielkości czasowej związaną ze zjawiskiem entropii i inne warunki techniczne… On nic nie poczuje. Wróci do domu. Neandertalczyk znajdzie się w neandertalskim świecie. Nie będzie już ani więźniem, ani obcym. Będzie miał szansę być wolny.

— Jaką szansę? On ma w najlepszym razie siedem lat, jest przyzwyczajony do tego, że ktoś się nim opiekuje, karmi go, ubiera, zapewnia dach nad głową. A znajdzie się sam w epoce lodowcowej. Czy nie sądzi pan, że w ciągu tych dziesięciu tygodni jego plemię dokądś powędrowało? Oni nie siedzą na miejscu, oni idą tam, gdzie jest zwierzyna, idą po jej śladach. A nawet jeżeli jakimś cudem będą tam jeszcze, to uważa pan, że go poznają? Przecież on jest o trzy lata starszy, a u nich upłynęło dziesięć tygodni. Oni przed nim uciekną z krzykiem. Chłopiec zostanie sam i będzie musiał się o siebie troszczyć.

Skąd będzie wiedział, jak to robić?

Hoskins pokręcił głową. Minę miał posępną, był nieprzejednany.

— Timmie odnajdzie swoje plemię, a plemię przyjmie go do siebie. Jestem tego absolutnie pewien. Proszę mi zaufać, panno Fellowes.

Popatrzyła na niego udręczona.

— Mam panu zaufać?

— Proszę panią o to — powiedział i na jego twarzy również odmalowała się udręka. — Nie ma innego wyjścia. Przykro mi, panno Fellowes. Proszę mi wierzyć… jest mi bardziej przykro, niż pani sobie wyobraża. Ale chłopiec musi odejść, nie ma na to rady. Niech mi pani tego nie utrudnia.

Panna Fellowes popatrzyła mu prosto w oczy. Patrzyła w nie uporczywie, w milczeniu, przez długą, straszną chwile.

W końcu powiedziała ze smutkiem:

— No dobrze. Ale niech pan mi przynajmniej pozwoli się z nim pożegnać. Niech pan mi na to da pięć minut. Może pan to zrobić, prawda?

Hoskins zawahał się. A potem kiwnął głową.

— No dobrze — powiedział.

* * *

Timmie podbiegł do niej. Podbiegł do niej po raz ostatni, a ona po raz ostatni go objęła.

Przez chwilę tuliła go do siebie. A potem jedną stopą zahaczyła o krzesło i przysunęła je do ściany.

— Nie bój się, Timmie.

— Ja się nie boję, kiedy pani tutaj jest, panno Fellowes… Czy ten pan, tam na zewnątrz, jest na mnie zły?

— Nie. On po prostu niczego nie rozumie… Timmie, czy ty wiesz, kto to jest mama?

— Taki ktoś jak mama Jerry'ego?

— No tak. Jak mama Jerry'ego. Czy wiesz, co mama robi?

— Mama to taka pani, co się dzieckiem opiekuje, jest dla niego dobra i robi bardzo dobre rzeczy.

— Tak. To właśnie robi mama. Czy chciałeś kiedyś mieć mamę?

Timmie odchylił głowę i spojrzał jej w twarz. Powoli wyciągnął rękę i położył dłoń na jej policzku, a potem przesunął ją na jej włosy i zaczął głaskać, długo, tak jak ona kiedyś jego głaskała.

— A pani nie jest moją mamą? — zapytał.

— Och, Timmie…

— Czy jest pani zła na mnie za to, że tak powiedziałem?

— Nie. Oczywiście że nie.

— Ja wiem, że pani się nazywa panna Fellowes, ale czasami, sam do siebie, mówię na panią „mama”. Tak jak Jerry mówi na swoją mamę, tylko że on robi to głośno. Mogę panią tak po cichu nazywać?

— Tak. Tak. Ja cię nigdy nie opuszczę i nie stanie ci się żadna krzywda. Będę z tobą zawsze i będę się tobą opiekowała. Powiedz do mnie „mamo”, tak żebym usłyszała.

— Mamo — powiedział Timmie zadowolony, przytulając się policzkiem do jej policzka.

Panna Fellowes wstała i, wciąż trzymając go w objęciach, weszła na krzesło.

Pamiętała, co powiedział Hoskins na temat obiektów, które nie są zakotwiczone — że obiekty te są porywane razem z tym, który jest przenoszony do innego czasu. Część rzeczy w pokoju była zakotwiczona, a część nie. Na przykład krzesło, na którym stała. No dobrze, niech i tak będzie — krzesło przeniesie się w przeszłość. To nieważne. Inne rzeczy też pewnie się przeniosą. Nie wiedziała, które z nich znajdą się w polu czasowym, a które nie. Nie obchodzi mnie to, pomyślała. To nie mój problem.

— Halo! — krzyknął Hoskins zza drzwi kopuły. Panna Fellowes uśmiechnęła się. Chwyciła Timmie’ego mocno, a wolną ręką sięgnęła w górę i uwiesiła się całym ciężarem na lince w miejscu, gdzie ta zwisała między dwoma uchwytami.

I pole statyczne w kopule Timmie’ego zostało wyłączone, a pokój opustoszał.

EPILOG
Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba

Srebrny Obłok podszedł do Kobiety Bogini, która, przykucnąwszy, rysowała na śniegu magiczne koła, i powiedział:

— Muszę z tobą porozmawiać.

— No to mów — odrzekła Kobieta Bogini, nie przerywając sobie.

— Czy możesz na chwilę przestać rysować koła?

— Te koła nas chronią.

— Ale przestań — powiedział Srebrny Obłok. — Wstań i popatrz mi prosto w oczy. Chcę porozmawiać poważnie.

Kobieta Bogini spojrzała na niego wilkiem i powoli wstała. A jemu wydało się, że słyszy, jak trzeszczą jej kości.

Śnieg przestał padać, przynajmniej na chwilę. Słońce świeciło słabo. Było to słońce jesienne. Stało nisko nad horyzontem.

— No więc? — odezwała się Kobieta Bogini. — Mów.

— Musimy stąd odejść — powiedział Srebrny Obłok.

— Oczywiście. Wszyscy to wiedzą od dawna.

— Opuścimy to miejsce. Dzisiaj. To mam na myśli. Kobieta Bogini w zamyśleniu podrapała się w zadek.

— Ale nie oddaliśmy jeszcze czci Bogini przy sanktuarium.

— To prawda.

— Przyszliśmy tutaj, żeby to zrobić. Jeżeli odejdziemy, nie zrobiwszy tego i nie odprawiwszy rytuałów Letniego Święta, Bogini się na nas pogniewa.

— Bogini już się na nas gniewa — powiedział Srebrny Obłok ze złością. — Wiemy, że tak jest. Przysłała Innych, żeby zajęli brzeg rzeki i nie dopuścili nas do sanktuarium. Nie możemy więc dostać się do niego. Ale nie możemy też zostać tutaj. Nie mamy się gdzie schronić, nie mamy zbyt wiele jedzenia, a zima tuż, tuż.

— Powinieneś był zdać sobie z tego sprawę dawno temu, Srebrny Obłoku.

— Tak. Racja. Powinienem był. Teraz przyznaję, że rzeczy tak się mają. Kiedy skończymy tę rozmowę, wydam ludziom rozkaz, żeby zwijali obóz, ty odprawisz rytuał związany z odejściem i odejdziemy stąd. Zrozumiałaś?

Kobieta Bogini przez chwilę stała nieruchomo, wpatrując się w niego. A potem powiedziała:

— Zrozumiałam. Tak. Ale po tym ty nie będziesz już mógł być wodzem, Srebrny Obłoku.

— Wiem o tym. Zbierze się Drużyna Zabijaczy i zrobi to, co zrobić należy. Możecie mnie zostawić, złożyć mnie w ofierze Bogini.

Inny wódz poprowadzi plemię pod górę, a potem na wschód w poszukiwaniu schronienia.

— Tak — zgodziła się Kobieta Bogini. Wyglądało na to, że słowa Srebrnego Obłoku wcale jej nie wzruszyły. — A kto po tobie będzie wodzem? — spytała. — Płonące Oko? Góra o Zwalonym Wierzchołku?

— Ten, kto będzie chciał — odrzekł Srebrny Obłok.

— A jeżeli zechce kilku?

Srebrny Obłok wzruszył ramionami.

— Niech wtedy walczą.

— Ale tak nie powinno być. Ty powinieneś wybrać wodza.

— Nie — odpowiedział. — Moja mądrość się wyczerpała. Mój czas upłynął. Idź, przygotuj się na to, co ma się stać, Kobieto Bogini. Skończyłem rozmowę z tobą.

Odszedł. Kobieta Bogini zawołała go po imieniu, ale on nie zareagował. Rzuciła za nim śnieżką. Śnieżka uderzyła go w ramię, śnieg posypał mu się po plecach, lecz on szedł dalej. Nie chciał teraz z nikim rozmawiać. Był to ostatni dzień jego życia i jedynym jego pragnieniem było pragnienie spokoju. Chciał w spokoju doczekać chwili, w której Drużyna Zabijaczy przyjdzie po niego z maczugą z kości słoniowej. Jutro noga nie będzie go już bolała i ktoś inny będzie dźwigał za niego ciężar władzy.

Oddaliwszy się, przystanął. Stał w samotności i patrzył w stronę sanktuarium, w którym jego ludzie nigdy nie oddali czci Bogini.

Tam w dole, tuż nad rzeką kręciło się kilku Innych. Byli to uzbrojeni wojownicy. Jakie mieli zamiary? Młoda Antylopa trzymał straż w pobliżu sanktuarium — chodził niespokojnie w tę i z powrotem. Czy Inni zamierzali zaatakować? Czy o tym myśleli? Czy chcieli wziąć sanktuarium siłą?

Takie już moje szczęście, pomyślał Srebrny Obłok. Tkwimy tu w bezruchu, upływa tydzień za tygodniem, każda ze stron boi się drugiej, żadna nie chce zaryzykować i zdobyć sanktuarium siłą. A w dniu, w którym decyduję się wycofać i oddać je Innym, oni postanawiają się o nie bić. Nie mamy sposobu, żeby się z nimi porozumieć, więc będziemy musieli się bić i wielu z nas straci życie. Niepotrzebnie. Gdyby poczekali do jutra, sanktuarium dostałoby się im bez walki, bo my byśmy już stąd odeszli.

— Płonące Oko! — krzyknął. — Drzewo Wilków! Obaj przybiegli do niego natychmiast. Srebrny Obłok pokazał im, co się dzieje koło sanktuarium.

— Czy oni mają zamiar zacząć walkę? — spytał Drzewo Wilków.

— Bogini jedna wie, mój chłopcze. Ale lepiej się przygotujcie. Na wszelki wypadek. Powiedzcie pozostałym. Powiedzcie wszystkim, żeby się przygotowali. Nawet starcom. — Srebrny Obłok podniósł włócznię. — Jeżeli zaatakują, ja będę walczył razem z wami.

Płonące Oko popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Ty, Srebrny Obłoku?

— A dlaczego nie? Czy myślisz, że zapomniałem, jak się walczy?

Lepiej zginąć w bitwie, powiedział sobie, niż mieć do czynienia z maczugą z kości słoniowej Drużyny Zabijaczy. Chociaż z drugiej strony wolałby, żeby bitwy nie było i żeby Lud odszedł stąd w pokoju.

Płonące Oko i Drzewo Wilków pobiegli do obozu, aby ogłosić alarm.

A zaraz potem, nagle, pojawiła się skądś Ta Która Wie. Zbliżała się w podskokach, jakby ją coś ugryzło. Tego ranka oddaliła się od grupy, jak to miała w zwyczaju. Poszła z powrotem po śladach biegnących zboczem wzgórza na wschód. Ona naprawdę z każdym dniem staje się bardziej dziwna, pomyślał Srebrny Obłok.

— Srebrny Obłoku! Srebrny Obłoku! Popatrz! Srebrny Obłok odwrócił się w jej stronę.

— Na co mam patrzeć?

— Tam, na wzgórzu! Światło! — obróciła się szybko, wskazując za siebie. — Widzisz je?

— Co? Gdzie?

Zmrużył oczy i spojrzał w górę. Nie widział tam niczego niezwykłego.

— Tam, na ścieżce — powiedziała Ta Która Wie. — Na tej, którą przyszliśmy. Widzisz światło?

— Nie… Tak! Tak!

Srebrny Obłok poczuł, że przenika go dziwny chłód. Takie światło już kiedyś widział. Powietrze drżało, raz za razem następowały czerwone i zielone błyski. Świecące czerwone i zielone pętle i spirale tańczyły szybko na niebie, tworząc coś w rodzaju girlandy blasku. W samym środku tej girlandy płonęło białe światło, tak jasne, że Srebrny Obłok prawie nie mógł na nie patrzeć.

Takie samo światło pojawiło się wtedy, kiedy, wiele tygodni temu, zeszli z pagórka i przybyli w to miejsce. Tego dnia, kiedy Bogini zabrała chłopca imieniem Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba.

Srebrny Obłok zaczął po cichu, ochrypłym głosem odmawiać modlitwę. Słyszał, że Kobieta Bogini znajdująca się za nim coś śpiewnie recytuje i że zaraz przyłączają się do niej dwie pozostałe kapłanki.

— Co to za światło, Srebrny Obłoku? — spytał go ktoś. — Powiedz nam, co to za światło?

Nie odpowiedział. Powoli, niezdarnie, jak ktoś, kto zbyt długo brnął przez śnieg i kto ma wskutek tego nogi jak z kamienia, zaczął się posuwać w stronę ścieżki prowadzącej pod górę. Muszę podejść bliżej, pomyślał. Muszę to zobaczyć.

— Bogini jest znowu tutaj — wyszeptała za nim jakaś kobieta.

Srebrny Obłok szedł dalej. Słyszał, że jego współplemieńcy idą za nim. I, spojrzawszy w dół, w stronę sanktuarium, zorientował się, że i Inni widzą to zjawisko na zboczu wzgórza, że porzucili swoje zajęcia na brzegu rzeki i zbliżają się powoli do tego tajemniczego światła, tak samo jak on popychani chęcią przyjrzenia mu się z bliska.

— Tam jest Bogini! — jęknęła jakaś kobieta. — Widzę Ją. Widzę Ją!

— Tak, Bogini!

— Bogini. Bogini jest Inną!

— Bogini jest Inną! Spójrzcie na Nią! Popatrzcie! Srebrny Obłok zmrużył oczy. Wytężył wzrok, chcąc zobaczyć to, co widzieli pozostali. Ale światło było zbyt jaskrawe… to dziwne światło, ta porażająca wzrok girlanda koloru z wirującą bielą w środku…

Potem światło zaczęło przygasać. I Srebrny Obłok zobaczył Boginię.

Bogini stała spokojnie na zboczu, w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowało się to dziwne światło. Rzeczywiście była taka jak Inni — bardzo wysoka, bardzo szczupła. Cerę miała bladą, a włosy jasne. Jej wargi były czerwone, a czoło wznosiło się stromo. Miała na sobie białe szaty, takie, jakich Srebrny Obłok nigdy przedtem nie widział.

I trzymała w ramionach dziecko. Dziecko z ich plemienia.

Powoli, spokojnie Bogini zeszła z pagórka i podeszła do grupy stojącej poniżej. Srebrny Obłok wciąż szedł w jej stronę. Ta Która Wie znajdowała się teraz na lewo od niego, Kobieta Bogini na prawo, a Ta Co Przechowuje Przeszłość szła za nim. Wszystkie trzy, oszołomione tak jak on, skupiły się blisko niego, jak gdyby liczyły na to, że święta obecność wodza będzie stanowiła ochronę.

Bogini była teraz bardzo blisko.

Jaką dziwną miała twarz! I jaka ta twarz była piękna, mimo że była twarzą Innej, tak, zdecydowanie twardą Innej. I malował się na niej taki spokój! Bogini uśmiechała się, a jej oczy błyszczały radością.

Błyszczały też oczy chłopca znajdującego się w jej ramionach — chłopca już dość dużego i ubranego w dziwną szatę.

— To znamię na jego twarzy — powiedziała Ta Która Wie. — Widzicie je? To znak ognia z nieba! Wiecie przecież, co to za dziecko. Gdzie jest Czerwony Dym o Wschodzie Słońca? Spójrz, Czerwony Dymie, Bogini przyniosła twojego zaginionego syna, Twarz Naznaczoną Ogniem z Nieba.

— Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba był mały. A ten jest…

— Ale znamię! Znamię na jego policzku!

— Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba! Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba! — rozległy się liczne okrzyki.

Tak, pomyślał Srebrny Obłok. Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba. To musi być on. A jaki jest szczęśliwy! Uśmiecha się, macha

ręką, krzyczy coś do nich. Przez kilka tygodni urósł tak, jakby upłynęło kilka lat. Stało się to bez wątpienia za sprawą cudu, który uczyniła Bogini. Ale nie było wątpliwości, że ten chłopiec to Twarz Naznaczona Ogniem z Nieba, a nie kto inny. Gdzie on był? I dlaczego teraz wrócił? Kto to wie? Wszystko to stało się za sprawą cudu, którego dokonała Bogini.

— Popatrz — szepnęła Ta Co Przechowuje Przeszłość. — Nadchodzą Inni.

Srebrny Obłok rozejrzał się. Tak — wrogowie byli tuż tuż. Ale zbliżyli się nie po to, żeby walczyć — mógł to wyczytać z ich twarzy. Pod górę szli nie tylko wojownicy Innych, ale wszyscy — kobiety, dzieci i starcy zbliżali się wraz z wojownikami. I wszyscy zdawali się tak samo jak Lud oszołomieni pojawieniem się Bogini — tak samo pełni lęku i pokorni w obliczu tego nieziemskiego zjawiska.

Bogini stała w miejscu i czekała, wciąż trzymając chłopca w ramionach i wciąż się uśmiechając. Zarówno od niej, jaki od chłopca bił złoty blask.

Srebrny Obłok padł przed nimi na kolana. Emanowała z nich radość, która napełniła jego oczy gorącymi łzami. Srebrny Obłok poczuł, że musi uklęknąć i złożyć dzięki. Uczynił to. Kobieta Bogini także uklękła, a zaraz potem Ta Która Wie zrobiła to samo. A później Srebrny Obłok rozejrzał się naokoło i zobaczył, że pozostali też klękają, oddając cześć Bogini — klękają wszyscy, zarówno Lud, jak i Inni. Jedni obok drugich, porzuciwszy wszelką myśl o wojnie. Klęczeli tak na śniegu, podnosząc pełen podziwu wzrok i składając hołd otoczonej blaskiem postaci trzymającej w ramionach uśmiechnięte dziecko, postaci, która stała wśród nich jak zwiastun wiosny i pokoju.